



Danielle Steel

SPRAWY SERCA



Z angielskiego przełożyła: Karolina Sobiepanek

To dla mnie szczególna książka, i poświęcam ją moim wspaniałym, wyjątkowym dzieciom: Beatrix, Trevorowi, Toddowi, Nickowi, Samowi, Victorii, Vanessie, Maxxowi i Żarze, którzy rozumieli mnie w każdej chwili mojego dorosłego życia i mojej kariery pisarskiej. To oni są największym szczęściem mojego życia.

Książka ta jest szczególna, ponieważ, jeśli policzyć wszystkie moje opublikowane powieści, jak również te wcześniejsze, nieopublikowane, publikacje niepowieściowe, tomiki wierszy, książeczki dla dzieci, cały ten kram - będzie to książka setna z kolei. To wyjątkowa chwila w życiu pisarza. I zawdzięczam ją w znacznej mierze bezgranicznej miłości i cierpliwości oraz niewyczerpanym zasobom miłości moich dzieci. Bez oparcia, jakie w nich znalazłam, nie mogłabym tego osiągnąć. Poświęcam im więc tę książkę z całego serca, z miłością i wdzięcznością.

Mijając ten słup milowy mojej pracy, nie mogę też zapomnieć o innych, ważnych dla mnie ludziach, którzy mają swój udział w moich sukcesach. Należy do nich mój agent literacki i przyjaciel, Mort fanklow, moja wieloletnia wydawczyni i przyjaciółka Carole Baron, moja niewiarygodnie zdolna riserczerka Nancy Eisenbarth, zaprzyjaźniona ze mną od dzieciństwa, zajmująca się zbieraniem dla mnie materiałów, dzięki którym historie stają się wiarygodne. Dziękuję wszystkim moim wydawcom, redaktorom, a także Wam, moi wierni czytelnicy, bez których ta przygoda nie mogłaby stać się moim udziałem.

Wszystkim Wam składam gorące, serdeczne podziękowania w tym szczególnym momencie mojego życia. A najserdeczniejsze podziękowania kieruję znów ku moim dzieciom, dla których żyję, dzięki którym każda chwila mojego życia staje się bezcennym darem.

Z miłością d.s.

Niejedną z największych zbrodni w dziejach popełniono ze słowem „miłość” na ustach.

Socjopata to człowiek pozbawiony serca i sumienia, który może cię zniszczyć bez poczucia winy. Z początku wyda ci się kimś tak wspaniałym, że aż trudno będzie uwierzyć w jego istnienie. Potem, precyzyjnymi cięciami skalpela, pozbawi cię wiary i nadziei, a także wszystkiego, co miałeś i co może mu się przydać, i zada ci cios w samo serce, jest przy tym inteligentny i pomysłowy. I nie zostawia śladów. A kiedy już uzyska to, na czym mu zależało, zostawia swoją udreńczoną, przerażoną ofiarę, by wykrwawiła się pod płotem, i wyrusza na poszukiwanie następnej.

d.s.

Rozdział pierwszy

Hope Dunne brnęła przed siebie pośród płatków śniegu cicho opadających na bruk Prince Street w Nowym Jorku. Była siódma wieczorem, właśnie zamykano sklepy i zwykły zgiełk handlowej ulicy powoli zamierał w ciszy wieczoru. Mieszkała w dzielnicy SoHo już od dwóch lat i bardzo lubiła to miejsce. Była to od pewnego czasu jedna z najmodniejszych okolic Manhattanu. Hope uważała, że otoczenie jest tam znacznie bardziej przyjazne niż w eleganckich dzielnicach położonych nieopodal Central Parku. W SoHo mieszkało mnóstwo młodych ludzi i zawsze działo się tu coś ciekawego. Zawsze miała z kim zamienić parę słów, zawsze miała co robić i po co opuścić swój loft - do którego zresztą lubiła wracać.

Zima nie była jej ulubioną porą roku. Trwał właśnie grudzień, do Gwiazdki brakowało zaledwie tygodnia. Od kilku lat starała się nie przejmować świętami, po prostu czekała, aż miną. W zeszłym roku i dwa lata temu spędziła je, pracując jako wolontariuszka w schronisku dla bezdomnych. A trzy lata temu była wtedy w Indiach, gdzie Boże Narodzenie nietrudno przeoczyć. Powrót z Indii był dla niej potężnym wstrząsem. Po tym doświadczeniu w Stanach wszystko wydawało jej się powierzchowne i nieznośnie skomercjalizowane.

Okres, który spędziła w Indiach, odmienił jej życie, a być może wręcz je ocalił. Wyjechała pod wpływem chwili i spędziła tam ponad sześć miesięcy. Powrót oznaczał ponowne zderzenie z amerykańskim stylem życia, który okazał się dla niej wówczas niewiarygodnie trudny do przyjęcia na nowo. Wszystkie jej rzeczy zostały przed wyjazdem spakowane i oddane do magazynu. Po powrocie przewiozła je z Bostonu do Nowego Jorku. Tak naprawdę było jej wszystko jedno, gdzie zamieszka. Jako zawodowy fotograf mogła pracować wszędzie. Zdjęcia, które zrobiła w Indiach i w Tybecie, po jej powrocie były wystawiane w najbardziej prestiżowych galeriach przy eleganckich ulicach. Wiele jej prac zakupiły muzea. Krytycy porównywali je z pracami Diany Arbus. Była zafascynowana obrazami nędzy i rozpadu. W oczach jej modeli widać było ból, od którego każdemu miękło serce. Tak jak jej samej, kiedy robiła te zdjęcia. Prace Hope były powszechnie cenione, ale nic w jej wyglądzie i sposobie bycia nie wskazywało na to, że przywiązuje wagę do swojej sławy.

Przez całe swoje życie zawodowe Hope dawała świadectwo życia innych ludzi. Twierdziła, że aby móc tego dokonać, należy zniknąć, stać się niewidzialną, tak aby nie zwracali na nią uwagi ci, których fotografowała. Zdjęcia, które zrobiła podczas swojej niezwykłej podróży do Indii i Tybetu, potwierdziły tę jej rzadką umiejętność. Hope Dunne była osobą niemal niewidzialną, choć jednocześnie wyjątkową, pełną wewnętrznego światła i nieodpartej siły.

Uśmiechnęła się do jakiejś kobiety, mijając ją pośród wirujących płatków śniegu. Nabrała ochoty na dłuższy spacer i pomyślała, że pozwoli sobie na niego później, wieczorem. Nie miała stałego rozkładu zajęć. Jedną z dobrych stron jej samotnego życia była wolność robienia wszystkiego, na co przyszła jej chęć, choć w sprawach związanych z pracą była nieprawdopodobnie zdyscyplinowana. Hope była kobietą doświadczoną i niezależną.

Czasami wsiadała do metra i jechała do Harlemu, gdzie włóczyła się po ulicach w dżinsach i podkoszulku, fotografując maluchy. Spędziła dużo czasu w Ameryce Południowej, skąd przywiozła zdjęcia dzieci i starców. Była wszędzie tam, gdzie wzywało ją serce, i już od dawna bardzo rzadko pracowała na zamówienie. Owszem, od czasu do czasu robiła sesje zdjęciowe dla miesięcznika „Vogue”, wyróżniające się niesztampowymi ujęciami. Ale jeśli chodzi o współpracę z wysokonakładową prasą, najbardziej lubiła robić zdjęcia sławnym ludziom, zwłaszcza tym, których ceniła i którymi sama była zafascynowana. Wydała nawet wspaniały album takich zdjęć. I drugi - ze zdjęciami dzieci. Trzeci, zawierający zdjęcia przywiezione z Indii, ukaże się wkrótce.

Miała to szczęście, że mogła robić rzeczy, które ją interesowały. Mogła wybierać i przebierać w niezliczonych propozycjach, jakie otrzymywała. Chociaż bardzo lubiła fotografię portretową, ostatnio decydowała się na takie sesje nie częściej niż raz albo dwa razy w roku. Była raczej skoncentrowana na fotografowaniu przypadkowych scen ulicznych, miejsc i osób spotykanych na swojej drodze.

Hope była kruchą kobietą o porcelanowobiałej, delikatnej cerze i czarnych jak smoła włosach. Jej matka lubiła opowiadać żartem, że jako dziewczynka Hope wyglądała jak Królewna Śnieżka. Ale tak rzeczywiście było. I zawsze wyczuwało się w niej coś niezwykłego, jakby była postacią z bajki. Była drobna jak elf i niewiarygodnie zwinna. Mogła niepostrzeżenie przecisnąć się przez najciaśniejszą dziurę. Jej fiołkowe oczy zawsze przykuwały uwagę. Właściwie były niebieskie, w odcieniu bardzo ciemnego błękitu z małą domieszką fioletu, jak niektóre rzadkie i cenne szafiry z Birmy albo Cejlonu. I wyraz smutku zapadł w nie na zawsze, bo widziały wszelkie nieszczęścia świata. Ktokolwiek spojrzał w jej oczy, musiał odgadnąć, że ta kobieta wiele przecierpiała, ale zniosła swoje cierpienia z godnością i nie pozwoliła, by los ją złamał. Ból nie zepchnął jej w otchłań depresji, lecz wyniósł na wyżyny anielskiej cierpliwości i spokoju. Nie była wprawdzie buddystką, ale podzielała filozoficzne poglądy buddyzmu w tym sensie, że nie buntowała się przeciwko temu, co ją spotykało, lecz raczej pozwalała się unosić biegowi wydarzeń, płynąc od jednego doświadczenia ku następnemu. I ta właśnie głębia przeżyć, połączona z mądrością, przebijała ze

wszystkich jej prac. Akceptacja dla życia takiego, jakim było w rzeczywistości, zamiast daremnego upierania się, by było takim, jakiego sobie życzymy. Umiała rozstać się z tym, co kochała, a to właśnie jest najtrudniejsza rzecz na świecie. Im dłużej żyła, im więcej widziała i rozumiała, tym więcej miała w sobie pokory. Pewien mnich, którego spotkała w Tybecie, nazwał ją świętą. I w samej rzeczy, prowadziła żywot świętej, choć formalnie nie przynależała do żadnego Kościoła. Jeśli w cokolwiek wierzyła - to w życie, i przyjmowała je miękko, z otwartymi ramionami. Była jak mocna trzcina kołysząca się na wietrze, giętka i piękna.

Śnieg padał coraz gęściej, kiedy dotarła do drzwi frontowych swojego domu. Miała przy sobie torbę na aparaty fotograficzne przewieszoną przez ramię. Trzymała w niej również klucze i portfel. Nie nosiła ze sobą nic więcej. Nawet kosmetyków, bo ich nie używała, oprócz ciemnoczerwonej szminki, której potrzebowała tylko czasami, kiedy wychodziła wieczorem, i która jeszcze mocniej uwydatniała jej podobieństwo do Królowy Śnieżki. Czarne, wpadające niemal w granat włosy ściągała ciasno do tyłu w koński ogon albo w kok. Gdyby je rozpuściła, sięgałyby do pasa. Sprężyste ruchy nadawały jej młodzieńczy wygląd, zresztą na twarzy nie miała prawie żadnych zmarszczek. Z notki biograficznej można było wyczytać, że skończyła już czterdzieści cztery lata, ale jej wygląd wcale na to nie wskazywał i łatwo można było dojść do przekonania, że to jakaś pomyłka. Tak jak zdjęcia, które robiła, tak jak tematy, które ją pociągały, wydawała się istnieć poza czasem. Każdy, kto na nią spojrzał, miał ochotę zatrzymać się i poobserwować ją dłużej. Ale nie lubiła zwracać na siebie uwagi, więc rzadko nosiła kolorowe ubrania, na ogół ubierała się na czarno. A w krajach o gorącym klimacie - na biało.

Wyjęła z torebki klucz i otworzyła drzwi, a potem ruszyła szybkim krokiem po schodach. Zatrzymała się dopiero na trzecim piętrze. Była trochę zmarznięta i cieszyła się, że będzie mogła się zaraz rozgrzać we własnym mieszkaniu. Było w nim jednak znacznie cieplej niż na zewnątrz, mimo że stropy miało bardzo wysokie i czasem wiatr wdzierał się do środka przez nieszczelności w futrynach wielkich okien.

Włączyła światło i jak zawsze obrzuciła zadowolonym spojrzeniem spartański wystrój wnętrza. Betonowa podłoga pomalowana na czarno, kanapy i miękkie fotele obite tkaniną w kolorze kości słoniowej. Żadnych bibelotów. Na wszystkich ścianach wisiały oprawione w surowe ramy wielkie czarno-białe fotografie, te, które najbardziej lubiła. Na najdłuższej ze ścian powiesiła cykl efektownych zdjęć młodziutkiej baletnicy podczas tańca. Dziewczyna na tych fotografiach była wyjątkowo piękna, jasnowłosa i pełna wdzięku. Ten cykl najbardziej rzucał się w oczy spośród wszystkich zdjęć należących do osobistej kolekcji Hope. Na innych

ścianach rozwiesiła fotografie dzieci, było też paru mnichów z tybetańskiego klasztoru, w którym mieszkała, swami z hinduskiej aśramy i dwa ogromnych rozmiarów portrety głów państw.

Loft, w którym mieszkała, przypominał galerię sztuki.

Na długim, polakierowanym na biało stole leżały na tacach wyłożonych miękką gumą aparaty fotograficzne ułożone z taką pedanterią, jak narzędzia chirurgiczne w sali operacyjnej. Kiedy przyjmowała jakieś większe zlecenie, dobierała sobie asystentów spośród młodych adeptów zawodu, ale przeważnie pracowała sama. Asystenci, jak twierdziła, są bardzo pomocni, ale ich obecność zanadto rozprasza uwagę. Jej ulubionym aparatem fotograficznym była stara leica, która służyła jej od lat. We wnętrzach używała też aparatów marki Hasselblad i Mamiya, ale przywiązana była tylko do tego najstarszego. Zaczęła robić zdjęcia w wieku dziewięciu lat. Kiedy miała lat siedemnaście, wzięła udział w specjalnym programie Uniwersytetu Rhode Island, przeznaczonym dla młodych fotografików, a wkrótce po dwudziestych pierwszych urodzinach przedstawiła znakomitą pracę dyplomową, która powstała na Bliskim Wschodzie, i ukończyła z wyróżnieniem studia na tej uczelni. Niedługo po dyplomie wyszła za mąż. Przez rok pracowała dla wysokonakładowej prasy kolorowej, a potem wycofała się z zawodu na długie lata, udzielając się jedynie z rzadka, w wyjątkowych okolicznościach. Wróciła do fotografii zaledwie dziesięć lat temu i to w ciągu tych ostatnich dziesięciu lat wyrobiła sobie markę uznaną w całym świecie. Zanim skończyła trzydzieści osiem lat, była już sławna. Właśnie wtedy otwarto jej wystawę w nowojorskim Museum of Modern Art. Było to jedno z największych osiągnięć jej życia.

Hope zapaliła świece i zgasiła część świateł. Powrót do domu zawsze ją uspokajał i wyciszał. Sypiała na małej antresoli, gdzie wchodziła po drabinie, na prostym wąskim łóżku. Lubiła widok loftu z antresoli, a kiedy zasypiała, miała wrażenie, że unosi się w powietrzu nad jego obszernym pomieszczeniem. Loft w niczym nie przypominał żadnego z mieszkań, w których kiedykolwiek mieszkała, i to też jej się bardzo podobało. Zawsze obawiała się zmian, ale tym razem przyjęła zmianę z gotowością i zadowoleniem. Było coś naprawdę podnoszącego na duchu w łatwości, z jaką zaakceptowała to, czego, jak dotąd, zawsze starała się unikać. Nieszczęścia, jakie w życiu przeżyła, zawsze wiązały się ze stratą i zmianą. Ale nauczyła się godzić ze zmianą i przyjmować stratę. To dodawało jej siły.

Na zapleczu loftu znajdowała się nieduża kuchnia wyłożona czarnym granitem. Hope wiedziała, że powinna coś zjeść, więc w końcu się tam znalazła i zaczęła odgrzewać zupę z puszki. Rzadko kiedy miała ochotę coś ugotować. Żyła zupami z puszek, sałatkami i jajkami na twardo. Kiedy naprawdę zapragnęła porządnego

posiłku, co nie zdarzało się często, wychodziła samotnie do którejś z małych okolicznych restauracyjek i jadła w pośpiechu, pragnąc mieć to już za sobą. Nigdy nie była dobrą kucharką i bynajmniej nie miała takich ambicji. Gotowanie zawsze wydawało jej się stratą czasu. Znajdowała wciąż tyle innych, ciekawszych rzeczy do zrobienia. Póki miała rodzinę, zajmowała się rodziną. Teraz została jej tylko praca. W ciągu ostatnich trzech lat praca stała się całym jej życiem. Wkładała w nią serce i nie sposób było tego nie zauważyć.

Jadła zupę i patrzyła na wirujące za oknem płatki śniegu, kiedy zadzwonił telefon komórkowy. Odsunęła talerz i zaczęła szukać telefonu w tej samej dużej torbie, w której nosiła aparaty fotograficzne. Nie spodziewała się, że właśnie teraz ktoś do niej zadzwoni. Znajomy głos Marka Webbera, jej agenta, wywołał uśmiech na jej twarzy. Usłyszała go po raz pierwszy od dawna.

- Gdzie teraz jesteś? W jakiej strefie czasowej? Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Roześmiała się w odpowiedzi i usiadła w fotelu. Mark był jej agentem od dziesięciu lat, odkąd wróciła do zawodu. Zawsze próbował namawiać ją na dobrze płatne zlecenia prasowe, ale szanował także jej poważniejsze, artystyczne działania. Powtarzał, że przyjdzie dzień, kiedy Hope Dunne stanie się najważniejszą przedstawicielką fotografii amerykańskiej swojego pokolenia. W pewnym sensie już nią była. Cieszyła się zasłużonym szacunkiem znawców sztuki i organizatorów wystaw.

- Jestem w Nowym Jorku - odparła z uśmiechem. - Nie, nie obudziłeś mnie.

- Co za rozczarowanie. Miałem nadzieję, że złapię cię w Nepalu albo w Wietnamie. Albo w jakimś innym okropnym miejscu. A tu nic.

Wiedział, że nie lubiła świąt, i znał też powody, dla których miała prawo ich nie lubić. Tak, te powody były dla niego całkowicie zrozumiałe. Była kobietą o niezwyklej biografii. Miała za sobą wyjątkowo ciężkie doświadczenia. Mark Webber czuł się jej przyjacielem. Lubił ją i ogromnie podziwiał.

- Miałam zamiar wybrać się na krótki spacer. A teraz siedzę w domu i patrzę, jak pada śnieg. Jest pięknie. Potem wyjdę i może strzelę parę zdjęć. Takich ładnych, w staromodnym stylu.

- Jest bardzo zimno - ostrzegł ją. - Nie przezięb się.

Należał do tych nielicznych osób, które się o nią martwiły. Była wzruszona jego troską. W ostatnich latach wiele podróżowała i rozluźniły się nieco jej kontakty ze starymi przyjaciółmi. Od czasu ukończenia studiów mieszkała w Bostonie, ale po powrocie z Indii osiadła w Nowym Jorku. Nigdy nie była bardzo towarzyska, a teraz chyba mniej niż kiedykolwiek. To także trochę go martwiło. Ale sprawiała wrażenie zadowolonej z życia.

- Dopiero wróciłam do domu - powiedziała. - I właśnie jem gorącą zupę.

- Moja babcia pochwaliłaby cię za to. - Roześmiał się. - A jakie masz plany na najbliższy czas?

Domyślał się, że nie miała nic pilnego do roboty, bo większość propozycji, jakie jej składano, przechodziła przez jego ręce.

- Nic wielkiego. Miałam zamiar spędzić święta w swoim domku na Cape Cod. O tej porze roku jest tam bardzo ładnie.

- Zabawne. Chyba tylko ty jedna jesteś tego zdania. Każdy normalny człowiek o tej porze roku na Cape Cod popadłby w depresję i zaczęłyby go dręczyć myśli samobójcze. Mam lepszą propozycję.

Powiedział to tonem, który oznaczał po prostu: „Mam dla ciebie nowe zlecenie”. Roześmiała się. Znała go aż za dobrze. Ale i ona go lubiła.

- Co by to miało być? Do jakiego szalonego zajęcia zaczniesz mnie teraz namawiać, Mark? Mam zrobić zdjęcia w kasynach Las Vegas w wigilię Bożego Narodzenia?

Ten pomysł rozśmieszył ich oboje. Od czasu do czasu składał jej propozycje nie z tej ziemi, które od razu odrzucała. Ale przynajmniej próbował. Zawsze obiecywał klientom, że przynajmniej spróbuje.

- Nie, nic z tych rzeczy. Chociaż do Las Vegas sam bym się pewnie chętnie wybrał. - Oboje wiedzieli, że lubił od czasu do czasu trochę hazardu i zdarzało mu się robić wypadki do Las Vegas albo do Atlantic City. - To, co chcę ci zaproponować, to bardzo solidna propozycja, do której nie sposób się przyczepić. Zadzwonili do mnie dzisiaj z jednego z największych wydawnictw. Ich autor, wielka gwiazda literatury, nie ma jeszcze zdjęcia na skrzydełko swojej najnowszej powieści. Książka ma się ukazać lada chwila i wydawca na gwałt potrzebuje zdjęcia. Zamieści je również w katalogu. Mucha nie siada na tym zamówieniu, to naprawdę jedno z tych najlepszych. Jedyne, co może ci się nie spodobać, to ekspresowy termin. Moim zdaniem ktoś u nich zasnął i zapomniał.

- Jak bardzo ekspresowy? - zapytała niezobowiązująco i rozsiadła się wygodniej w fotelu koloru kości słoniowej.

- Chcieliby mieć to zdjęcie w przyszłym tygodniu. Są pod presją harmonogramu wydawniczego. To znaczy, że musiałabyś zrobić je przed świętami. Pisarz się domagał, żeby zamówili zdjęcie u ciebie. Nie chciał słyszeć o nikim innym. Muszę przyznać, że ma facet dobry gust. A płacą za to fantastycznie. To znakomity interes.

- Jak się nazywa ten pisarz?

Od odpowiedzi na to pytanie uzależniała swoją decyzję. Zawahał się, zanim podał nazwisko. Był to pisarz bardzo znany, zdobywca wielu nagród, między

innymi National Book Award. Od lat utrzymywał się na najwyższych miejscach list bestsellerów, a kolorowa prasa bez przerwy publikowała jego zdjęcia w towarzystwie najpiękniejszych kobiet. Mark nie wiedział, czy Hope będzie miała ochotę zrobić mu zdjęcia, bo znany był z tego, że nie zawsze potrafi się zachować. I nie było żadnej gwarancji, że tym razem zachowa się należycie. Zwykle wolała pracować z ludźmi bardziej przewidywalnymi.

- To Finn O'Neill.

Nie dodał żadnego komentarza, czekając na jej odpowiedź. Nie zamierzał jej ani namawiać, ani zniechęcać. To ona miała zdecydować. Gdyby się nie zgodziła, byłoby to całkowicie zrozumiałe, zważywszy na oczekiwany pośpiech, a także na zbliżające się święta.

- Czytałam jego ostatnią powieść - powiedziała z nutą zainteresowania w głosie. - Przerażająca, ale świetnie napisana. To niegłupi facet. Znasz go?

Wydawała się coraz bardziej zaintrygowana.

- Prawdę mówiąc, nie. Nigdy nie byłem mu przedstawiony. Otarłem się o niego na jakichś przyjęciach w Nowym Jorku i w Londynie. To czarujący gość. Ma słabość do pięknych kobiet i młodych dziewcząt.

- W takim razie nic mi nie grozi z jego strony - powiedziała, śmiejąc się znowu. Na próżno próbowała przypomnieć sobie jego fotografię ze skrzydełka książki, którą przeczytała.

- Nie bądź taka pewna. Wyglądasz mniej więcej na połowę swoich lat. Ale dasz sobie z nim radę. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Z drugiej strony, Londyn jest o tej porze roku o wiele weselszym miejscem niż Cape Cod. Więc może będziesz zadowolona, jeśli tam polecisz. Zafundują ci bilet w pierwszej klasie, pokryją wszystkie wydatki. Zarezerwują pokój w hotelu Claridge. O'Neill mieszka w Irlandii, ale ma też dom w Londynie i teraz tam właśnie przebywa.

- Szkoda - odparła. - Wolałabym robić mu zdjęcia w Irlandii. To byłoby znacznie ciekawsze.

- Obawiam się, że taka możliwość nie wchodzi w grę. On zawsze wyznacza spotkania w Londynie. Ale dzięki temu cała ta robota zajmie ci jeden dzień. Kiedy wrócisz, zdążysz się jeszcze udać na Cape Cod, żeby zażyć tamtejszych depresyjnych nastrojów. Na przykład w Nowy Rok.

Śmiała się z jego żartów, ale jednocześnie rozważała propozycję. Było w niej coś pociągającego. Finn O'Neill cieszył się sławą wybitnego pisarza, spodziewała się, że będzie to interesująca sesja zdjęciowa. Drażniło ją, że nie przypomina sobie zdjęcia ze skrzydełka okładki.

- I co? Masz na to ochotę? - spytał.

Przynajmniej nie odmówiła od razu, pomyślał. Jego zdaniem powinna przyjąć zamówienie. Zwłaszcza jeśli alternatywą był samotny wyjazd na Cape Cod w Nowej Anglii. Miała tam dom, w którym od lat spędzała letnie wakacje. Była do tego miejsca bardzo przywiązana.

- A jakie jest twoje zdanie?

Często pytała go o radę, choć potem nie zawsze była gotowa z niej skorzystać. No, ale przynajmniej chciała ją poznać. Z jego klientów mało kto zadawał mu takie pytania.

- Myślę, że powinnaś się zgodzić. To ciekawy facet i ważna postać. Cieszy się powszechnym uznaniem. A ty od dawna już nie zrobiłaś żadnego portretu. Nie możesz przez całe życie fotografować jedynie mnichów i żebraków - odrzekł lekkim tonem.

- Tak, pewnie masz rację. - Lubiła portrety, zwłaszcza jeśli model był interesujący. A taki był z pewnością Finn O'Neill. - Mógłbyś mi znaleźć asystenta w Londynie? Nie będę go przecież ciągnęła ze sobą z Nowego Jorku.

Hope nie była wymagająca.

- Oczywiście, nie musisz się o to martwić - obiecał i wstrzymał oddech, czekając na jej decyzję.

Chciał, żeby się zgodziła. I ona właściwie też uważała, że należy przyjąć tę propozycję. Przecież nie lubiła świąt i obawiała się ich. I potrzebowała odmiany. A wycieczka do Londynu mogła ją trochę rozerwać.

- Dobrze, zrobię to. Jak sądzisz, kiedy powinnam wyruszyć?

- Im prędzej, tym lepiej. Jeśli się pośpieszysz, na Boże Narodzenie będziesz z powrotem.

Ale wtedy po raz kolejny przypomniało mu się, że jej na tym na pewno nie zależy.

- Poleciałabym na przykład jutro wieczorem. Przed wyjazdem muszę załatwić jeszcze kilka drobiazków. I obiecałam, że skontaktuję się z kuratorem wystaw w Museum of Modern Art. Jeśli polecę jutro wieczorem, wyśpię się w samolocie.

- Doskonale. Powiem wydawcy. Oni się zajmą biletami i rezerwacjami. A ja poszukam dla ciebie asystenta.

Znajdowanie asystentów dla Hope nigdy nie było problemem. Młodzi fotograficy po prostu wyskakiwali ze skóry, żeby z nią pracować. Miała opinię osoby, z którą łatwo się dogadać - zresztą całkowicie zasłużoną. Była miła, miała profesjonalne podejście i od nikogo nie żądała rzeczy niemożliwych. A to, czego młodzi ludzie mogli się od niej nauczyć, było dla nich bezcenne. Ponadto praca z nią, choćby przez jeden dzień, wyglądała potem doskonale w ich CV.

- Jak długo zostaniesz w Londynie?

- Nie wiem - odpowiedziała z namysłem. - Dwa, trzy dni. Nie lubię pracować w pośpiechu. Nie wiem, co to za człowiek. Może minie dzień albo dwa, zanim się rozluźni? Załatw mi rezerwację na czterodniowy pobyt. Zobaczymy, jak to będzie wyglądało w praniu. Cztery dni dadzą mi więcej swobody. Wyjadę, kiedy skończymy.

- Załatwione. Cieszę się, że się zgodziłaś. A Londyn jest wspaniały o tej porze roku. Wszędzie są świąteczne dekoracje i mnóstwo świateł. Oni tam w niczym nie ograniczają się ze względu na polityczną poprawność. Angole wciąż jeszcze wierzą w Świętego Mikołaja. A u nas Boże Narodzenie powoli staje się tematem tabu.

- Lubię mieszkać w hotelu Claridge - powiedziała, zadowolona. I tym razem zabrzmiało to bardziej serio niż jego żarciki. - I może uda mi się spotkać z Pauliem, jeśli akurat będzie w Londynie. Bo nie wiem dokładnie, gdzie teraz jest. Nie rozmawiałam z nim już od jakiegoś czasu.

Sama myślała o tym ze zdziwieniem. Przez dwadzieścia jeden lat była jego żoną, a teraz nie miała pojęcia, co się z nim dzieje. W tym przedświątecznym okresie wciąż przypominało jej się pewne chińskie powiedzonko. „Kiedyś było kiedyś, a teraz jest teraz”. Tamto było kiedyś. Teraz jest co innego. To wielka różnica.

- Jak mu się wiedzie? - zapytał Mark uprzejmie. Wiedział, że to dla niej drażliwy temat. Jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co ją spotkało, zniosła to zdumiewająco dobrze. Mark przypominał sobie, że wedle jej słów „pozostali przyjaciółmi”, a Paul był „niezwykłym człowiekiem”. Tak, niewielu ludzi przeżyło takie nieszczęście jak ona, wychodząc z tego prawie bez szwanku.

- Paul choruje i nie ma żadnej poprawy - odpowiedziała. - Przechodził jakąś eksperymentalną kurację, którą mu zalecili lekarze z Harvardu. Ostatnio miałam wrażenie, że jego stan przynajmniej się nie pogorszył.

- Muszę się skontaktować z wydawnictwem i zawiadomić, że przyjęłaś propozycję.

Mark zmienił temat. Kiedy zaczęli rozmawiać o Paulu, nigdy nie wiedział, co powiedzieć. Hope mówiła o nim tylko dobrze. Prawdopodobnie wciąż jeszcze kochała byłego męża i godziła się z tym, co los jej przeznaczył. Nie była zgorzkniała ani rozżalona. Choć trudno było pojąć, jak to możliwe.

- Ktoś z wydawnictwa zgłosi się do ciebie jutro rano - obiecał, zanim się rozłączyli.

Hope włożyła talerz do zmywarki i stanęła przy oknie. Śnieg padał i padał. Przykrywał chodniki coraz grubszą warstwą. Zaczęła myśleć o Londynie. Ostatnim razem, kiedy tam była, padał właśnie taki śnieg i miasto wyglądało jak

na obrazku ze świątecznej pocztówki. Nie była pewna, czy zastanie Paula w Londynie. Postanowiła nie dzwonić do niego, póki nie znajdzie się na miejscu. Musiała najpierw się zorientować, ile czasu będzie miała do dyspozycji. Nie zamierzała spędzić z nim świąt. Obawiała się, że przy takiej okazji oboje wpadliby w płaczliwy nastrój. Tego wołała uniknąć. Teraz byli tylko dobrymi przyjaciółmi. Gdyby jej potrzebował, na pewno by do niego pojechała na dłużej. Ale wiedziała, że był zbyt dumny, by ją wezwać. Kiedy się spotykali, oboje starali się unikać zbyt poważnych tematów. Przekonali się, że to im wychodzi najlepiej. O przeszłości byłoby zbyt trudno rozmawiać, zresztą na nic by się to już nie zdało.

Hope stała przy oknie i patrzyła z góry na ślady butów na śniegu, które zostawiali za sobą przechodnie. Pierwszy szedł mężczyzna, a zaraz za nim starsza pani z psem, która ślizgała się i z trudem utrzymywała równowagę. Widząc przez okno tyle śniegu, Hope nie mogła już dłużej oprzeć się pomysłowi spaceru. Włożyła buty i kurtkę i wyszła na ulicę z ulubioną leicą w kieszeni. Nie z najnowszym modelem, pożądanym przez wszystkich - taki aparat także miała - ale ze starym, do którego była najbardziej przywiązana. Ten lubiła tak, jak lubi się starego, dobrego przyjaciela. Służył jej wiernie od lat.

Dziesięć minut później krążyła już po ulicach, wypatrując ciekawych ujęć. Z początku nie miała tego w planie, ale gdy znalazła się obok stacji metra, zbiegła w dół po schodach. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Postanowiła zrobić trochę nocnych zdjęć w Central Parku, a potem wyjść z parku na północno-zachodni Manhattan i rozejrzeć się po tej niezbyt przyjaznej okolicy. Śnieg wycisza ludzkie serca. A wtedy twarze także łagodnieją. W pojęciu Hope pora była jeszcze dość wczesna. Zresztą, gdyby chciała, mogła krążyć po mieście przez całą noc. To jeden z wielu odkrytych przez nią pożytków z samotnego życia. Mogła pracować, kiedy chciała, tak długo, jak długo miała co robić, i nigdy nie czuła się winna z tego powodu. Bo w domu nikt na nią nie czekał.

Kiedy wróciła na Prince Street, było już po trzeciej nad ranem. Uśmiechała się do siebie, zadowolona z nocnych ujęć. Śnieg właśnie przestawał padać, gdy otwierała frontowe drzwi i szła po schodach do swego loftu. Zdjęła wilgotną kurtkę i zostawiła ją rozwieszoną na krześle w kuchni. Przypomniała sobie, że rano będzie musiała spakować walizkę. Po pięciu minutach, przebrana już w ulubioną nocną koszulę, wśliznęła się do wąskiego łóżka na antresoli. Zasnęła natychmiast, ledwie przyłożyła głowę do poduszki. Była to dobrze wykorzystana, pracowita noc.

Rozdział drugi

Kiedy Hope przyjechała na lotnisko, okazało się, że lot do Londynu jest opóźniony o dwie godziny. Aparaty fotograficzne miała w torbie, którą zabierała na pokład jako bagaż podręczny. Położyła tę torbę obok siebie w poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy i wyjęła książkę. Czytała ją, póki nie ogłoszono, że rozpoczyna się odprawa biletowa. Książkę, którą miała przy sobie, zamierzała przeczytać podczas podróży. Była to jedna z powieści Finna O'Neilla. Śnieg znowu zaczął padać, poza tym okazało się, że samolot ma oblodzone skrzydła, start opóźnił się więc o kolejne dwie godziny z uwagi na konieczność użycia specjalnych urządzeń do usuwania lodu. W sumie opóźnienie urosło więc do czterech godzin. Hope się tym zupełnie nie przejęła. Podczas długich lotów zazwyczaj spała. Poprosiła stewardesę, żeby nie budziła jej na posiłki i obudziła ją dokładnie czterdzieści minut przed lądowaniem na lotnisku Heathrow. Dzięki temu zdąży jeszcze wypić kawę i zjeść rogalik, zanim samolot zacznie schodzić do lądowania. Będzie też miała dość czasu, żeby umyć zęby i uczesać się. Nie potrzebowała niczego więcej, żeby wyglądać w miarę przyzwoicie podczas odprawy paszportowej i potem w hotelowej recepcji.

Jak zwykle zasnęła twardo i obudziła się dopiero nazajutrz rano. Mimo porannej mgły samolot wylądował bez problemów. Okazało się, że opóźnienie miało swoją dobrą stronę: pogoda tymczasem się ustaliła. Tak jak jej obiecano, samochód wysłany z hotelu Claridge czekał przed wyjściem i mogła do niego wsiąść, kiedy tylko odebrała bagaż z taśmy. Szybko załatwiła wypożyczenie sprzętu fotograficznego, jaki był jej potrzebny. Miał zostać dostarczony bezpośrednio do hotelu tego dnia. Ze swoim modelem zamierzała się spotkać następnego ranka u niego w domu. Potrzebowała dwóch, trzech godzin rozmowy, żeby go poznać. Sesję zdjęciową zaplanowała na popołudnie.

Wszystko więc jak dotąd szło zgodnie z planem. Wypała się na pokładzie samolotu i jadąc przez miasto, czuła się świetnie. Pokój w hotelu Claridge przypadł jej do gustu. Był to jeden z najładniejszych apartamentów, o ścianach obitych koralowym jedwabiem w kwiatowe wzory, umeblowany angielskimi antykami, ozdobiony obrazami. Było tam ciepło i przytulnie. Zaraz po przyjeździe postanowiła się wykapać. Przez chwilę zastanawiała się nad telefonem do Paula. Ale z tym postanowiła poczekać, aż spotka się z Finnem O'Neillem, bo wtedy dopiero się dowie, kiedy będzie dysponowała wolnym czasem. Z Paulem - jeśli w ogóle jest w mieście - w ostateczności może spotkać się nawet przed samym wyjazdem. Wymazała z pamięci wszystko, co wydarzyło się między nimi w przeszłości, i teraz, myśląc o nim, nie pozwalała sobie na żadne wspomnienia.

Zanurzyła się w wannie i przymknęła oczy. Zaraz po kąpieli, gdy tylko się ubierze i coś przegryzie, wyjdzie na miasto. W Londynie była już druga po południu. Zamówiła do pokoju omlet i zupę. W tym czasie przywieziono też wynajęty sprzęt i zadzwoniła asystentka umówiona przez Marka Webbera. Kiedy wreszcie wyszła z hotelu, była już prawie czwarta.

Wybrała się na długi spacer. Najpierw przeszła szybkim krokiem przez New Bond Street i obejrzała wystawy sklepów. Wszędzie wisiały bożonarodzeniowe dekoracje i w każdym ze sklepów, do których zaglądała, kłębiły się tłumy klientów. Zakupy świąteczne były już w pełnym toku. Ale ona nie miała dla kogo kupować prezentów. Parę dni temu wysłała Paulowi z Nowego Jorku oprawioną w ramy fotografię, a Markowi Webberowi skrzynkę dobrego francuskiego wina. Ze spaceru wróciła około szóstej i ledwie weszła do swojego apartamentu, zadzwonił Finn O'Neill. Miał głęboki męski głos z wyraźną chrypką. Przywitał się i natychmiast dostał okropnego ataku kaszlu. Wyglądało na to, że jest bardzo przeziębiony.

- Przeziębiony? Umierający! - powiedział. - Nie mogę się z panią jutro spotkać. Poza wszystkim innym, nie chciałbym pani zarazić.

To nawet miło z jego strony, że się o nią troszczył. Nie miałyby ochoty rozchorować się tak jak on. Ale szkoda jej było całego dnia. Poza tą sesją zdjęciową nie miała w Londynie nic innego do roboty. Chyba że spotkałaby się z Paulem.

- Pański głos rzeczywiście nie brzmi zbyt zdrowo - powiedziała współczująco. - Wezwał pan lekarza?

- Lekarz obiecał, że przyjdzie, ale jeszcze się nie pokazał. Naprawdę bardzo mi przykro. Jeśli jutro będę leżał w łóżku przez cały dzień, to mam nadzieję, że pojutrze stanę na nogi. Czy bardzo się pani śpieszy?

Znowu się o nią troszczył. Uśmiechnęła się.

- W porządku, to żaden kłopot - odrzekła spokojnie. - Mogę przedłużyć swój pobyt w Londynie, jeśli to będzie konieczne.

- Mam nadzieję, że retusz coś pomoże. Bo wyglądam paskudnie - powiedział z dziecięcym rozżaleniem w głosie, i widać było, że jednak trochę się nad sobą lituje.

- Na zdjęciach będzie pan wyglądał bardzo dobrze. Obiecuję. Wszystko zależy od oświetlenia. Tylko proszę się kurować. Polecam gorący rosół.

Roześmiał się.

- Nie chciałbym na okładce wyglądać jak mój własny dziadek.

- Nie grozi to panu.

Wiedziała już mniej więcej, z kim ma do czynienia. Wpisała jego nazwisko do wyszukiwarki internetowej. Dowiedziała się, że ma czterdzieści sześć lat. Widziała też jego zdjęcia. Był przystojnym mężczyzną. A jego głos nawet teraz, zachrypnięty z powodu choroby, brzmiał dość młodo i energicznie.

- Jak się pani mieszka w hotelu?

- Doskonale - zapewniła go.

- Jestem pani naprawdę bardzo wdzięczny, że zgodziła się pani tu przyjechać w takiej podbramkowej sytuacji. Nie wiem, o czym myśleli ci zajęci ludzie z wydawnictwa, że nie załatwili wszystkiego w porę. Przypomniało im się dopiero w tym tygodniu, że będą potrzebowali nowego zdjęcia na skrzydełko. Teraz to nikomu nie jest na rękę, bo zbliżają się święta. Prosiłem, żeby się z panią koniecznie skontaktowali, ale właściwie nie liczyłem na to, że się pani zgodzi przyjechać.

- Nie miałam innych planów. Wybierałam się do swojego domu na Cape Cod, ale teraz myślę, że lepiej było przyjechać do Londynu.

- Tak, z pewnością - zgodził się skwapliwie. - Na stałe mieszkam w Irlandii, ale o tej porze roku panują tam raczej depresyjne klimaty. Mam tam dom, w którym siedzę zawsze wtedy, kiedy piszę. Była pani kiedyś w Irlandii? -zainteresował się nagle, po czym chwycił go nowy atak kaszlu.

- Nigdy przez dłuższy czas - odpowiedziała. - To piękny kraj. Ale jakoś się nie złożyło. W lecie jest tam o wiele ładniej.

- Ja też tak uważam. - Roześmiał się. - I przyjemnie płaci się podatki. Bo w Irlandii pisarze są praktycznie zwolnieni z podatku dochodowego. Dlatego dwa lata temu przyjąłem irlandzkie obywatelstwo. I to jak na razie świetnie się sprawdza.

Ona też się roześmiała.

- To brzmi fantastycznie. Ma pan w Irlandii rodzinę? Nazwisko świadczyło o jego irlandzkim pochodzeniu.

Była zadowolona, że może z nim porozmawiać choćby przez telefon. To okazja, żeby poznać go trochę lepiej, nim jeszcze spotkają się osobiście. Im dłużej będzie z nim rozmawiać, tym łatwiej pójdzie jej sesja zdjęciowa.

- Moi rodzice byli Irlandczykami. Oboje tam się urodzili. Ale ja urodziłem się w Nowym Jorku. To, że pochodzili z Irlandii, pomogło mi załatwić sprawy związane z obywatelstwem. Teraz mam dwa paszporty, bo nie zrzekłem się obywatelstwa amerykańskiego. Tak jest dla mnie najlepiej, jeśli zamierzam mieszkać tutaj. W Irlandii można kupować wspaniałe domy, a krajobraz jest przepiękny nawet w najgorszą pogodę. Kiedyś powinna mnie pani tam odwiedzić.

Wszystko to były rzeczy, jakie mówi się zazwyczaj przy podobnych okazjach. Oczywiście nie zamierzała składać mu wizyty w Irlandii. I wydawało jej się mało prawdopodobne, by po zakończeniu sesji zdjęciowej kiedykolwiek się jeszcze spotkali. Co najwyżej podczas jakiejś kolejnej sesji zdjęciowej.

Rozmawiali jeszcze przez dłuższą chwilę. Opowiedział jej w paru zdaniach, o czym jest jego nowa książka. Była to historia o seryjnym mordercy. Akcja została umieszczona w Szkocji. Wszystko to brzmiało dla niej dość ponuro, ale doceniła kilka zaskakujących zwrotów akcji, a on obiecał, że prześle jej egzemplarz z dedykacją. Powiedział, że nanosi właśnie ostatnie poprawki. Życzyła mu zdrowia i umówili się na spotkanie pojutrze, aby zdążył się wykurować.

Po tej rozmowie Hope postanowiła zadzwonić do Paula. Nie miała pojęcia, czy go zastanie, ale uznała, że w takiej sytuacji warto przynajmniej spróbować. Po drugim dzwonku podniósł słuchawkę. Wydawał się przyjemnie zaskoczony jej telefonem. Usłyszała dobrze sobie znaną wibrację w jego głosie. Ale sam głos brzmiał już inaczej niż przed laty. Chwilami nawet bełkotliwie.

- Co za miła niespodzianka - powiedział. - Jesteś w Nowym Jorku?

- Nie - powiedziała spokojnie, uśmiechając się do siebie. - Jestem w Londynie. Przyjechałam, bo mam tu sesję zdjęciową. Zostanę tylko kilka dni. Muszę zrobić znanemu pisarzowi zdjęcie na okładkę jego książki.

- Nie sądziłem, że zajmujesz się jeszcze takimi rzeczami, po twojej ostatniej wielkiej wystawie - powiedział przyjaźnie. Zawsze był bardzo dumny z jej sukcesów.

- Od czasu do czasu zdarza mi się zrobić coś na zamówienie, po prostu, żeby nie wyjść z wprawy. Nie sposób zawsze być artystą. Z przyjemnością biorę się czasem do czegoś innego. No i będę robić zdjęcia Finnowi CNeillovi.

- Lubię jego książki.

- Ja też. Ale jest przeziębiony, więc odłożyliśmy tę sesję o jeden dzień. Może spotkalibyśmy się jutro i zjedli razem obiad?

- Z największą ochotą - odpowiedział szybko. - Pojutrze wyjeżdżam. Na wyspy Bahama. Tutaj zrobiło się dla mnie za zimno.

Paul miał piękny jacht, który zimą stał w jakimś porcie na Karaibach. Co roku spędzał na nim bardzo dużo czasu. Ten jacht był jego ucieczką od świata.

- Cieszę się, że jeszcze cię zastałam.

- Ja też się cieszę.

Umówili się nazajutrz w hotelu. Miała nadzieję, że kiedy go zobaczy, sama się zorientuje, w jakim Paul jest stanie. Bo bardzo nie lubił pytań o swoje zdrowie.

Tej jesieni Paul skończył sześćdziesiąt lat. Od dziesięciu lat walczył z chorobą Parkinsona. Drżenie rąk zaczęło się zaraz po pięćdziesiątce. Z początku nie

dopuszczał do świadomości objawów choroby, ale jako kardiochirurg nie mógł tego długo ukrywać. Nie było wyboru: w ciągu pół roku przestał operować. I wtedy świat się dla niego zawalił. Dla niej także. Przez następne pięć lat prowadził jeszcze wykłady na Harvardzie, ale potem to również zaczęło przekraczać jego możliwości. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat musiał całkowicie wycofać się z pracy zawodowej. I wtedy zaczął pić. Przez dwa lata ukrywał to przed wszystkimi, których znał. Przed nią także.

Jedyna rzecz, jaka mu się naprawdę udało w tym czasie, to świetnie trafione inwestycje finansowe. Zainwestował w dwie spółki produkujące sprzęt medyczny. Jedną z nich dość dobrze znał, bo doradzał jej szefom. Na tych inwestycjach zarobił więcej niż przedtem przez całe życie. Jedna ze spółek została upaństwowiona. Po dwóch latach, będąc już na emeryturze, odsprzedał państwu jej akcje i nagle stał się bardzo bogatym człowiekiem. Wtedy kupił swój pierwszy jacht. Ale pijąc, szkodził sobie, jego choroba robiła szybkie postępy. Nie mógł już normalnie funkcjonować. Albo źle się czuł, albo był pijany, a często źle się czuł i był pijany jednocześnie. W końcu poddał się terapii antyalkoholowej w ośrodku, który polecił mu któryś z jego kolegów lekarzy z Harvardu. W jakimś momencie ich wspólny świat rozpadł się na dwie osobne części. Nie pozostała już ani jedna przyczyna, dla której mieliby być razem. To Paul podjął decyzję o rozwodzie. Zostałaby z nim do końca, ale on tego nie chciał.

Jako lekarz wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, co go czeka w przyszłości. Nie chciał, by mu w tym towarzyszyła. Tak więc wniósł pozew rozwodowy i nie dał jej żadnej szansy na ocalenie małżeństwa. Rozwód doszedł do skutku przed dwoma laty, gdy tylko wróciła ze swojej wyprawy do Indii. Starali się nigdy nie wracać do tematu małżeństwa i rozwodu. Wszystko to było zbyt bolesne dla obojga. Wciąż jeszcze się kochali i byli sobie bliscy, ale on nie chciał, by Hope pozostała ważną częścią jego życia. Wiedziała, że nie jest mu obojętna, że Paul wciąż ją kocha. Ale postanowił, że będzie umierał w spokoju i samotności. I tak oto, za sprawą jego pozornie wielkodusznego gestu, została zupełnie sama, smutna i przybita.

Martwiła się o niego, ale wiedziała, że Paul znajduje się w rękach najlepszych lekarzy. Bardzo dużo czasu spędzał na jachcie, a w pozostałych miesiącach mieszkał w Londynie. Od czasu do czasu wracał do Bostonu na badania, które regularnie przechodził na wydziale medycznym Harvardu. Co prawda koledzy lekarze niewiele mogli mu pomóc. Choroba z wolna postępowała, czyniąc spustoszenie w jego organizmie. Jak dotąd wciąż jeszcze sobie radził, ale normalne życie stopniowo stawało się dla niego prawdziwym wyzwaniem.

Najbezpieczniej czuł się na morzu, bo tam miał wokół siebie załogę i nigdy nie był sam.

Pobrali się, kiedy Hope miała dwadzieścia jeden lat i świeży dyplom uczelni artystycznej. On w tym czasie był już chirurgiem i profesorem Harvardu. Miał trzydzieści siedem lat. Poznali się, gdy, Paul wziął na Harvardzie urlop naukowy i przez dwa semestry wykładał na Uniwersytecie Rhode Island. Hope była wtedy na pierwszym roku studiów. Paul zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Ich romans był najbardziej namiętą i burzliwą miłością w jej życiu. I nawet w ciągu dwóch lat, jakie upłynęły od czasu rozvodu, nigdy nie spojrzała na innego mężczyznę. Z Paulem Forrestem mało kto mógł się równać. Wciąż była do niego głęboko przywiązana, rozwód tego nie zmienił. Paul mógł się z nią rozstać, ale nie potrafił sprawić, by przestała go kochać. Hope pogodziła się z tym, że będą odtąd żyli osobno, i tyle. I nawet kiedy Paul bardzo się zmienił pod wpływem choroby, ona wciąż jeszcze widziała w nim tego samego wspaniałego, błyskotliwego mężczyznę, jakim był w przeszłości.

Utrata możliwości wykonywania zawodu była dla niego absolutną klęską. Owszem, Paul wielu rzeczy nie potrafił już zrobić, ale to mu niczego nie ujmowało w oczach jego byłej żony. Zauważała, co prawda, drżenie jego rąk i niepewny chód, ale mimo to podziwiała go tak samo jak dawniej.

Hope spędziła spokojną noc w pokoju hotelowym, czytając książkę O'Neilla, a potem rozmyślając o Paulu i o ich dawnym wspólnym życiu. Żadne z nich nie sądziło, że powrót do niego byłby jeszcze możliwy. Wspomnienia wpływały na nich zbyt przygnębiająco, dlatego starali się poruszać wyłącznie bieżące tematy. Ale twarz jej się rozjaśniła na jego widok, kiedy zjawił się w hotelu. Czekwała w holu. Paul nadchodził powoli, powłócząc nogami i podpierając się laską, ale wciąż jeszcze był wysokim i przystojnym mężczyzną. Trzymał się prosto i mimo widocznego drżenia rąk wzrok miał bystry i uważny. Wyglądał bardzo dobrze.

Wydał jej się zadowolony z życia. Uściskał ją mocno, a potem pocałował w policzek.

- Wciąż tak samo piękna - powiedział z uśmiechem.

Ubrana była w czarne spodnie, pantofle na wysokich obcasach i ciemnoczerwony żakiet, z którym kontrastowały czarne włosy ściągnięte w kok. Kiedy się z nim witała, jej fiołkowe oczy były pełne życia. Według jej rozeznania - a zdążyła już nabrać trochę doświadczenia w ocenie jego stanu - nie było z nim gorzej niż przy poprzednim spotkaniu, może nawet nieco lepiej. Najwyraźniej eksperymentalna terapia okazała się skuteczna. Nadal jednak miał wyraźne zaburzenia równowagi i musiał oprzeć się na jej ramieniu, kiedy przechodzili

przez hol do hotelowej restauracji. Czowała wtedy, że Paul drży na całym ciele. Choroba Parkinsona jest jednakowo okrutna wobec każdego.

Maitre d'hotel zaprowadził ich do najlepszego stolika. Wybierając potrawy z karty, rozmawiali ze sobą tak swobodnie, jakby się nigdy nie rozstawali. Zawsze czowała się przy nim bezpiecznie. Byli bardzo zżyci ze sobą, znali się doskonale. Poznali się przecież, gdy była młodą dziewczyną. Teraz wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do tego, że przestali być małżeństwem. Ale on dążył do rozwodu uparcie i bezkompromisowo, bo nie chciał, żeby pozostawała w związku z beznadziejnie chorym, trzęsącym się człowiekiem. Był od niej starszy o szesnaście lat, co dla nich obojga nie miało żadnego znaczenia, póki nie zachorował. I wtedy w jego oczach ta różnica wieku zaczęła się powiększać, zamieniała się w nieprzebytą przepaść. Wycofał się z jej życia, ale kiedy się spotykali, zawsze tak samo dobrze się bawił w jej towarzystwie. W ciągu paru minut zdążył ją kilka razy rozśmieszyć. Zaczęła mu opowiadać o swoich ostatnich wystawach i podróżach, o tym, jakie zdjęcia zrobiła. Nie widzieli się od sześciu tygodni, ale w tym czasie kilka razy rozmawiali przez telefon. Choć nie byli już małżeństwem, nie umiałyby sobie wyobrazić życia bez niego.

- Wczoraj wieczorem obejrzałem w Internecie stronę twojego modelu - powiedział Paul, sięgając po sztucę. Zaczął jeść trzęsącymi się rękami. Widać było, że sprawia mu to ogromną trudność. Ale był zdecydowany radzić sobie sam. Milczała, kiedy kęsy jedzenia spadały mu z widelca, nie próbowała mu pomagać. Miał ambicje nie rezygnować z jądania w restauracjach. Jak zawsze była z niego dumna. Bardzo cierpiał z powodu każdego przejawu choroby, nie mówiąc już o przerwanej karierze zawodowej, która była dla niego wszystkim. To na niej opierało się jego poczucie własnej wartości. Teraz oprócz żeglarstwa nic mu już nie pozostało i czuł, że powoli zmierza ku ostatecznemu upadkowi. Nawet Hope musiała zauważyć, że Paul jest już tylko cieniem człowieka, którym był kiedyś, choć duma kazała mu to ukrywać. W wieku sześćdziesięciu lat mógł być jeszcze mężczyzną w pełni sił, w kwiecie wieku i w najlepszym okresie swojej kariery. Ale dla niego był to już schyłek życia. I był z tym cierpieniem sam. Tak jak ona. Życia zostawało w nim z roku na rok coraz mniej, a ona załamywała się, kiedy na to patrzyła. Udawał przed nią, że wszystko jest w porządku. Rzeczywistość była jednak tragiczna.

- O'Neill to ciekawy facet - ciągnął Paul. - Zdaje się, że urodził się w Stanach, w dobrej irlandzkiej rodzinie. A w dojrzałym wieku wrócił do ojczyzny przodków. Widziałem zdjęcie jego domu w Internecie. Bardzo okazały. Piękny, choć trochę podupadły. Wygląda jak stary pałac. W Irlandii jest sporo takich domów. Ich umeblowanie trafia często do domu aukcyjnego Sotheby and Christie, tam je

widuję. Te meble wyglądają jak najprawdziwsze francuskie antyki i bardzo często rzeczywiście nimi są. W każdym razie facet mieszka pięknie i jest rodowitym irlandzkim arystokratą. Wcześniej o tym nie wiedziałem. Ukończył którąś z nowojorskich uczelni, ale doktorat zrobił w Oksfordzie. I dostał od królowej brytyjskiej tytuł szlachecki, kiedy w Stanach za którąś z powieści przyznano mu National Book Award. Więc teraz nazywa się sir Finn O'Neill.

Hope także o tym słyszała, ale wyleciało jej to z pamięci. Wiedza Paula była zawsze solidniejsza. Zmieszała się, słysząc o tym tytule.

- Pewnie powinnam była mówić do niego „sir Finn”, kiedy do mnie zadzwonił. Ale zdaje się, że on nie przywiązuje do tego wielkiej wagi.

- Sprawia wrażenie faceta, który do niczego nie przywiązuje wagi i chadza własnymi drogami. - Paul odsunął talerz. W niektóre dni wszystko stawało się dla niego szczególnie trudne, jeszcze trudniejsze niż na co dzień. Ciężar wstydu, jaki godził się znieść w miejscu publicznym, miał swoje granice. - O'Neill romansował z niezliczoną liczbą sławnych kobiet. Były wśród nich księżniczki, aktorki i modelki. I spadkobierczynie wielkich przemysłowców. To trochę playboy, ale bez wątplenia utalentowany. Na pewno interesujący. Sprawia wrażenie szalonego ekscentryka. Przynajmniej nie jest nudny. Myślę, że będzie próbował cię uwieść.

Już dawno zostawił jej w życiu uczuciowym wolną rękę, oczekiwał jedynie przyjaźni. I nigdy nie zadawał pytań. Nie chciał wiedzieć, czy miewa romanse. A ona nie zamierzała go dręczyć, więc wołała nie wspominać o tym, że nadal kocha tylko jego. Był to jeden z wielu tematów, których nigdy nie poruszali. Ani teraz, ani w przeszłości. A skoro spotykali się tylko z rzadka, na jakimś obiedzie albo kolacji, powściągliwość była najrozsądniejszym podejściem. I tej przyjaźni, która została im po latach wspólnego życia, oboje trzymali się ze wszystkich sił.

- Nie sądzę, żeby zamierzał mnie uwodzić. Prawdopodobnie jestem ze dwa razy starsza od kobiet, którymi się interesuje, jeśli jest taki szalony, jak mówisz.

Nie wydawała się ani specjalnie przejęta, ani nawet zainteresowana tym tematem. Była z O'Neillem umówiona na sesję zdjęciową, nie na randkę.

- Nie bądź taka pewna - powiedział Paul z miną mędrca.

- Przyłożę mu statywem, gdyby sobie za dużo pozwalał - oświadczyła stanowczo. Oboje się roześmieli. - Zresztą jutro będę pracowała z asystentką. Może to ona mu się spodoba. Poza tym O'Neill jest przeziębiony, to go osłabi. Będzie mi łatwiej dać mu odpór.

Po obiedzie jeszcze przez jakiś czas przedłużali rozmowę, siedząc nad deserem. Paul dwa razy przymierzył się do wypicia herbaty, którą zamówił, ale nic z tego nie wyszło, a Hope nie ośmieliła się zaoferować mu pomocy, choć bardzo chciała.

Po obiedzie odprowadziła go do wyjścia i poczekała z nim, aż podjedzie wezwana przez portiera taksówka.

- Nie wybierasz się w najbliższym czasie do Nowego Jorku? - spytała.

Wynajmował na stałe apartament w hotelu Carlyle, ale korzystał z niego rzadko. I odkąd musiał się leczyć, przyjeżdżał do Bostonu tylko w sprawach medycznych, poza tym omijał to miejsce z daleka. Spotkania z dawnymi kolegami nastrajały go zbyt depresyjnie. Oni wciąż jeszcze liczyli się w świecie medycznym i naukowym, a on definitywnie wycofał się z zawodu, o wiele wcześniej, niż można się było spodziewać.

- Zimą zamierzam spędzić na Karaibach. A wiosną prawdopodobnie wrócę prosto do Londynu - powiedział.

Lubił anonimowość Londynu, podobało mu się, że w tym mieście nikt go nie znał. Nikt nie musiał się nad nim litować, tak jak Hope. Smutek w jej oczach sprawiał mu ból. To była jedna z przyczyn, dla których postanowił rozwiązać ich małżeństwo. Nie chciał współczucia. I nic go nie mogło powstrzymać. Hope próbowała do tego nie dopuścić, ale w końcu zrozumiała, że powinna pozwolić mu przeżyć ostatnie lata życia tak, jak chciał. Cokolwiek zamierzał zrobić, nie mogła się wtrącać.

- Daj mi znać, jak ci poszło z O'Neillem - dodał, gdy portier otwierał już drzwi taksówki. Popatrzył na nią z uśmiechem i wziął ją w ramiona. Kiedy go uścisnęła, przymknął oczy.

- Uważaj na siebie, Hope - powiedział, odchrząkując, jakby coś utknęło mu w krtani.

Kiwnęła głową. Czasem miała wrażenie, że ją odtrąca. Czuł się winny, ale był święcie przekonany, że wszystko to robi dla jej dobra. I nie zmieniał zdania. Uważał, że nie ma prawa zniszczyć życia tej kobiety tylko po to, żeby zapewnić sobie opiekę w chorobie.

- Ty też uważaj na siebie.

Pocałowała go w policzek i podtrzymała za łokieć, kiedy wsiadał do taksówki. Po chwili szofer ruszył z piskiem opon, a Hope została na podjeździe przed hotelem Claridge i machała dłonią, póki taksówka nie zniknęła jej z oczu. Po spotkaniach z Paulem zawsze ogarniał ją smutek. Oprócz byłego męża nie miała nikogo na świecie. Kiedy wracała do hotelowego holu, uprzytomniła sobie, że zapomniała złożyć mu świąteczne życzenia. Ale może to i lepiej. Po co przywoływać wspomnienia, zbyt bolesne dla nich obojga. Weszła do swojego pokoju. Zdjęła szpilki, włożyła buty na płaskim obcasie i ciepłą kurtkę. I wybrała się na bardzo długi, samotny spacer.

Rozdział trzeci

Fiona Casey, asystentka, którą w Londynie znalazł dla Hope Mark Webber, zjawiała się w pokoju hotelowym nazajutrz o dziewiątej rano. Była bystrą i wesołą rudowłosą dziewczyną, wobec Hope pełną bałwochwalczego podziwu. Skończyła wydział fotografii w Royal Academy of Arts i pracowała jako wolny strzelec. Była niesłychanie przejęta, kiedy się dowiedziała, że ma wziąć udział w sesji zdjęciowej z Finnem O'Neillem. Z wrażenia plątały jej się nogi, gdy wносиła sprzęt do wynajętej furgonetki. Były umówione z O'Neillem w jego domu o dziesiątej. Nie zadzwonił po raz drugi. A skoro nie odwołał spotkania, założyła, że poczuł się już na tyle dobrze, by pozwolić się sfotografować.

Hotelowy kierowca, który prowadził furgonetkę, zawiózł je do eleganckiego domu pod doskonałym adresem. Był to osiemnastowieczny budynek, w którym kiedyś, przed gruntowną przebudową, znajdowały się stajnie. Dom nie był duży i stał przy bocznej ulicy. Ledwie zastukały do drzwi mosiężną kołatką, otworzyła im pokojówka w fartuszkach i wpuściła do wnętrza. Zaprowadziła je do miniaturowego saloniku, zastawionego antycznymi meblami angielskimi. Biblioteczka była zapchana książkami ponad wszelką miarę. Kiedy przyjrzała się tym książkom, zauważyła, że wiele z nich to stare wydania oprawne w półskórek, niewykluczone, że białe kruki. Gospodarz był najwyraźniej bibliofilem. Obite skórą fotele były bardzo wygodne, a na kominku buzował ogień. Wydawał się jedynym źródłem ciepła w tym pomieszczeniu, więc było raczej chłodno, i żeby się ogrzać, trzeba było siedzieć tuż przy nim. W bezpośrednim sąsiedztwie saloniku znajdowała się jadalnia o ścianach pomalowanych na kolor ciemnozielony, w głębi zaś widać było wejście do niewielkiej kuchni. Każde z tych pomieszczeń wydawało się dość ciasne, ale wszystkie miały w sobie dużo wdzięku.

Hope wraz z asystentką czekały w saloniku na Finna O'Neilla prawie pół godziny. Rozmawiały cicho, prawie szeptem. Dom był tak mały, że odruchowo ściszały głos, jakby sądziły, że gospodarz musi znajdować się w zasięgu głosu. I właśnie kiedy Hope zaczęła się zastanawiać, co też się z nim stało, nagle pojawił się w saloniku. Był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną o intensywnie niebieskich oczach. Umiarkowane rozmiary pomieszczeń wydawały się wręcz humorystycznie małe przy jego rosłej postaci. Gdyby wyciągnął ramiona, mógłby je zapewne oprzeć o dwie przeciwległe ściany. Nie do wiary, że mógł się pomieścić w tej ciasnocie. Zwłaszcza jeśli się wiedziało, że w Irlandii ma ogromny dom, który należał do jego przodków.

- Przepraszam, że kazałem paniom na siebie czekać -powiedział z akcentem amerykańskim. Hope była tym zaskoczona. Nie wiedzieć czemu, odkąd przeczytała o jego żywych związkach z Irlandią, spodziewała się, że przemówi do niej irlandzkim dialektem, i to mimo że już rozmawiała z nim przez telefon i słyszała, że wyrażał się jak przeciętny wykształcony nowojorczyk. Ubrany był raczej w stylu europejskim. Kimkolwiek jednak byli jego przodkowie, pozostawał przecież Amerykaninem, takim samym jak Hope. A jeśli chodzi o jego chrypkę, chyba od przedwczoraj się zmniejszyła. Kilka razy zakaszał, ale to już nie brzmiało tak przerażająco jak przez telefon. Właściwie wyglądał zaskakująco zdrowo i wydawał się pełen energii. Poza tym miał miły uśmiech, dzięki któremu Fiona nie wzięła mu za złe, że polecił pokojówce, żeby podała jej herbatę, podczas gdy Hope zaprosił do swojego gabinetu na piętrze. Przepraszał, tłumacząc się, że przed sesją zawsze musi porozmawiać sam na sam z fotografem.

Hope ruszyła za nim po wąskich, krętych schodach i znalazła się w kolejnym salonie, pełnym książek, antyków, bibelotów, wiekowych skórzanych foteli i kanap. Tu także na kominku płonął ogień. Był to jeden z tych pokoiów, jakich ludzie poszukują najbardziej, jeśli mają ochotę zaszyć się gdzieś na dłuższy czas. Każdy przedmiot miał w sobie coś intrygującego. Niektóre przywieziono z dalekich podróży, inne były po prostu bardzo stare. W tym pokoju wyczuwało się osobowość gospodarza. Gabinet był ciepły, przytulny, i choć niewiele większy od poprzedniego, w zupełności pasował do okazałej postaci gospodarza. O'Neill z uśmiechem wskazał Hope miękki fotel, sam zaś zapadł się w drugi i wyciągnął długie nogi w stronę kominka. Zwróciła uwagę na jego piękne buty do konnej jazdy z lśniącej czarnej skóry.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłem przykrości asystentce -powiedział przepaszającym tonem. - Pomyślałem, że będzie dobrze trochę się nawzajem poznać, zanim przystąpi pani do pracy. Pozowanie zawsze przychodzi mi z trudem. Jako pisarz przyzwyczałem się, że to ja obserwuję innych, i czuję się dziwnie, kiedy role się odwracają. Nie bardzo lubię, kiedy uwaga skupia się na mnie.

Miał nieśmiały, chłopięcy uśmiech, którym od razu wzbudził w niej ciepłe uczucia. Był naprawdę uroczym człowiekiem.

- Bardzo dobrze pana rozumiem - odparła. - Znam to, bo też nie lubię, kiedy ktoś robi mi zdjęcia. Za bardzo jestem przyzwyczajona robić je innym.

Myślała już o tym, na jakim tle najlepiej będzie go sfotografować. Zdecydowała, że powinien pozostać tam, gdzie usiadł, przed kominkiem, w tej samej pozycji, z nogami wyciągniętymi przed siebie, z głową lekko odchylną do tyłu.

- Dziś czuje się pan lepiej? - spytała.

Był tak pełen życia, że trudno jej było uwierzyć, że jeszcze przedwczoraj chorował. Chrypka nie zniknęła całkiem, ale oczy mu się śmiały, kiedy żartował. Przypominał jej postać z bajek, które znała z dzieciństwa. Wyglądał, wypisz, wymaluj, jak ich bohater, przystojny księżę, który przybywa na białym koniu.

- Tak, czuję się doskonale - powiedział beztrąsko, ale odkaslnął. - To bardzo mały dom i zawsze wydaje mi się, że dla mnie za ciasny. Ale mieszka się w nim tak wygodnie i przyjemnie, że jakoś nie mogę się z nim rozstać. Tutaj napisałem swoje najlepsze książki.

I odwrócił się, wskazując biurko, które stało za nim. Był to przepiękny stary mebel. Jak twierdził O'Neill, w przeszłości był częścią umeblowania pasażerskiego liniowca. Zajmował najdalszy róg pokoju i stał na nim komputer, który zresztą zupełnie nie pasował do tego otoczenia.

- Jeszcze raz dziękuję, że zechciała pani do mnie przyjechać. - Wydawało się, że te wyrazy wdzięczności są całkowicie szczerze. Po chwili do pokoju weszła pokojówka, niosąc na srebrnej tacy dwie filiżanki herbaty. - Wiem, że to było niehumanitarne, wzywać tu panią przed samymi świętami. Jak pani pewnie wie, wydawca musiał mieć to zdjęcie niezwłocznie, bo książka za chwilę idzie do druku. I natychmiast zaczynam pisać następną. Ale wtedy będę już w Irlandii, koło Dublina. Pomyślałem, że lepiej spotkać się tu, w Londynie.

- Tak, pewnie miał pan rację. - Hope wzięła z tacy filiżankę. O'Neill wziął drugą i pokojówka błyskawicznie zniknęła za drzwiami. - Nie miałam teraz nic pilnego do roboty.

Przyglądał się jej uważnie. Była znacznie młodsza, niż się spodziewał... i znacznie ładniejsza. Zrobiła na nim wrażenie swoją filigranową budową, fiołkowymi oczyma. Ona tymczasem obserwowała światłocień na jego twarzy. Uznała, że będzie wdzięcznym modelem. Wszystko w nim było pełne wyrazu. I był uderzająco przystojny.

- Lubię Londyn o tej porze roku - dorzuciła z uśmiechem, stawiając filiżankę na wojskowym werblu, który był tu używany w charakterze stolika do herbaty. Obok kominka piętrzył się stos pięknych walizek z krokodylowej skóry. Gdziekolwiek spoczęło oko, natrafiało na wyjątkowe przedmioty. - Święta nie są dla mnie tak bardzo ważne, więc przyjechałam dość chętnie. To zlecenie, choć nieplanowane, przyszło w najlepszym momencie. A pan? Woli pan spędzać święta w Londynie czy w Irlandii?

Zawsze prowadziła z modelami rozluźniające rozmówki przed rozpoczęciem sesji, a O'Neill wydawał się łatwym modelem i chyba chętnym do współpracy. Nie wyglądał na człowieka o skomplikowanej psychice, raczej na kogoś otwartego

i przystępnego, kiedy uśmiechał się do niej znad filiżanki herbaty. Był naprawdę czarujący.

- Zamierzam zostać tutaj i wyjechać po świętach - powiedział. - Zaraz po Bożym Narodzeniu przybędzie tu mój syn. Jest studentem Massachusetts Institute of Technology. To bardzo zdolny chłopak. O komputerach wie chyba wszystko. Jego matka umarła, kiedy miał siedem lat. Wychowywałem go sam. I teraz, kiedy wyjechał na studia do Bostonu, bardzo mi go brakuje. Ale on woli Londyn od Dublina. Poza tym wybiera się z kolegami na narty. Żyjemy w wielkiej przyjaźni.

Powiedział to z dumą. A potem z zainteresowaniem spojrzał jej w oczy.

- Ma pani dzieci?

- Nie - odpowiedziała cicho. - Nie mam.

Był zaskoczony, na oko nie wyglądała na osobę bezdzietną. Na jedną z tych kobiet, które, zajęte karierą zawodową, zdecydowały się nigdy ich nie urodzić. W jej spojrzeniu było sporo macierzyńskiego ciepła i miękkości. Była spokojna, opiekuńcza i łagodna.

- Jest pani zameżna? - Rzucił okiem na jej lewą dłoń: nie nosiła obrączki.

- Nie - odpowiedziała. - Ale byłam. Mój mąż był kardiochirurgiem, wykładał na Harvardzie. Zajmował się transplantacjami serca. Dziesięć lat temu wycofał się z zawodu. Od dwóch lat jesteśmy rozwiedzeni.

- Emerytura jest tym, co zabija w ludziach wolę życia. Będę pisał, póki będę miał czytelników i wydawców. Zresztą, gdybym nie pisał, nie wiedziałbym, co zrobić z czasem. Jak pani mąż to zniósł? Pewnie było mu ciężko. Wszyscy kardiochirurdzy chcą być głównymi bohaterami, prawda? Zwłaszcza ci z Harvardu.

- Nie miał wyboru - odpowiedziała krótko. - Zachorował.

- To jeszcze gorzej. Wyobrażam sobie, co przeżył. Nowotwór?

O'Neill był ciekawy wszystkiego. Teraz, kiedy się ożywił, obserwowała światło i cień na jego twarzy, w której błękitnym blaskiem jaśniały oczy. Była zadowolona, że wydawca zamówił fotografie w kolorze. Szkoda byłoby stracić ten piękny naturalny błękit. Tak intensywnie niebieskich oczu nigdy jeszcze nie widziała.

- Nie. Choroba Parkinsona. Przestał operować, kiedy tylko zdiagnozowano chorobę. Potem jeszcze przez kilka lat prowadził wykłady dla studentów. Ale w końcu i z tego musiał zrezygnować. Zniósł to bardzo źle.

- Jestem pewien, że pani też nie było lekko. Trudno o bardziej niemiłą niespodziankę dla mężczyzny w kwiecie wieku, odnoszącego sukcesy. Rozwód był związany z jego chorobą?

- Tak, ale nie tylko - odpowiedziała niejasno.

Rozejrzała się po pokoju. Zobaczyła zdjęcie Finna z jasnowłosym młodym człowiekiem. Prawdopodobnie był to jego syn. Gospodarz zauważył, że przyglądała się temu zdjęciu.

- Tak, to mój syn Michael. Tęsknię za nim. Trudno mi przywyknąć do jego nieobecności.

- Dorastał w Irlandii? - Uśmiechnęła się, patrząc na zdjęcie. Chłopak był równie przystojny jak jego ojciec.

- Kiedy był mały, mieszkaliśmy trochę w Nowym Jorku, trochę w Londynie. Do Irlandii przeprowadziłem się dwa lata po tym, jak opuścił dom. To typowy amerykański dzieciak. Bardziej amerykański, niż ja byłem kiedykolwiek. Zawsze czułem się w Stanach trochę obcy. Pewnie dlatego, że byłem synem imigrantów. Rodzice przez całe życie rozważali kwestię powrotu. Ale to ja wróciłem.

- I w Irlandii czuje się pan jak w domu? - spytała, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

- Teraz już tak. Odzyskałem dom, który kiedyś należał do naszej rodziny. Zacząłem go odnawiać i przebudowywać, ale to zajmie mi chyba ze sto lat. Ten dom rozlatuje się na kawałki. Na szczęście żadnego kawałka nie brakuje. To ogromny budynek zbudowany w szesnastym wieku przez sir Edwarda Lovetta Pearce'a w stylu wzorowanym na projektach włoskiego architekta Palladia. Niestety, kiedy go odzyskałem, rodzice już nie żyli. A Michael uważa, że brać sobie na głowę taki kłopot to z mojej strony szaleństwo.

Na półce nad kominkiem stała fotografia tego domu.

Sięgnął po nią i podał Hope. Był to ogromny budynek z szerokimi schodami od frontu, z dwoma skrzydłami i kolumnadą. Na fotografii zmieścił się także Finn na czarnym koniu. Wyglądał jak rasowy właściciel ziemski, jak pan tej posiadłości od pokoleń.

- Piękny dom - pochwaliła Hope. - Ale wyobrażam sobie, jakie to wielkie przedsięwzięcie doprowadzić go do porządku.

- Owszem, ale zajmowanie się tym sprawia mi przyjemność. A kiedyś, w przyszłości, odziedziczy go Michael. Do tego czasu zdążę przywrócić mu dawną świetność... Oczywiście przy założeniu, że będę żył jeszcze sto lat.

Roześmiał się, a Hope znowu spojrzała na fotografię. Teraz żałowała, że to nie tam umówili się na zdjęcia. W porównaniu z tym wspaniałym zabytkowym pałacem jego londyńskie domostwo było aż do śmieszności ciasne. Ale wydawca chciał dostać zdjęcie portretowe, a tło, jakim dysponowali, było do tego celu zupełnie wystarczające.

- Powinam poprosić asystentkę, żeby zaczęła już montować sprzęt - powiedziała Hope, wstając z fotela. - Przygotowania zajmą nam trochę czasu. Gdzie chciałby pan pozować?

Rozejrzała się znowu. Podobałoby jej się ujęcie - on siedzi w fotelu tak jak teraz, odprężony, zajęty rozmową o swojej irlandzkiej posiadłości. Mogłaby potem jeszcze sfotografować go przy biurku. I warto mieć też kilka ujęć na tle półek z książkami. Nie sposób było przewidzieć, które zdjęcie okaże się najlepsze. Wszystko to zależało od czegoś magicznego, co działo się między modelem a fotografem. Ale nie spodziewała się żadnych trudności. Patrząc mu w oczy, utwierdzała się w przekonaniu, że należy do ludzi, którym można zaufać. Miał w sobie dużo ciepła i humoru, a przy tym rozumiał ludzi i wiedział, że życie jest nieprzewidywalne. W jego oczach zawsze pozostawał cień uśmiechu. I był przy tym bardzo pociągający, ale w sposób powściągliwy, arystokratyczny. Nie dostrzegała w nim nic z donzuana, choć jej agent uprzedzał ją, że to znany kobieciarz. Patrząc na niego, rozumiała, skąd biorą się takie opinie. Po prostu był tak przystojny i miły, że wiele kobiet musiało się w nim kochać. Przypuszczała, że gdyby świadomie użył osobistego uroku, żeby zrobić na niej wrażenie, trudno by jej było się oprzeć. Była zadowolona, że nic takiego nie miało miejsca i że chodziło tylko o sprawy zawodowe. Finn miał o zdjęciach Hope bardzo pochlebne zdanie. Dowodziły tego pytania, jakie zadawał jej w trakcie sesji, a ze sposobu, w jaki komentował odpowiedzi, zrozumiała, że sporo przeczytał o niej w Internecie. Potrafił wymienić prawie wszystkie muzea, które wystawiały jej prace, choć o niektórych sama nie pamiętała. Był naprawdę dobrze poinformowany.

Hope zeszła na parter i pomogła Fionie rozpakować sprzęt. Wyjaśniła jej, w jaki sposób zamierza go użyć, po czym weszły razem do pokoju na piętrze, bo musiała jej pokazać, jak należy rozmieścić lampy. A więc najpierw trochę zdjęć w fotelu, a potem przy biurku. Podczas gdy Fiona zajmowała się przygotowaniami, O'Neill zniknął w swojej sypialni, piętro wyżej. Pojawił się znowu po godzinie, gdy Hope dała mu znać, że wszystko jest gotowe. Miał na sobie ciemnoniebieski kaszmirowy sweter, dokładnie w kolorze oczu. Patrzyła na niego z przyjemnością. Sprawiał bardzo miłe wrażenie, zwłaszcza w tym swetrze wydawał się męski i atrakcyjny. Zauważyła, że jest świeżo ogolony, a włosy miał starannie uczesane, choć nie przylizane.

- Jest pan gotowy?

Uśmiechnęła się do niego i sięgnęła po aparat Mamiya. Pokazała mu, gdzie powinien usiąść, Fiona włączyła lampy i chwilowo zasłoniła je parasolami, po czym Hope odłożyła mamię i sięgnęła po polaroida, żeby zrobić błyskawiczną fotografię, na której mógłby obejrzeć ujęcie. Chwilę później zaczęła robić zdjęcia,

i po pewnym czasie zamieniła mamię na leicę, wreszcie na hasselblada, którego używała do portretów czarno-białych. Zrobiła bardzo dużo kolorowych zdjęć, a czarno-białych tylko dwie rolki. Czarno-białe portrety zawsze wyglądały bardziej interesująco. Wydawca jednak zdecydowanie życzył sobie koloru, a Finn przyznał, że on także woli mieć kolorowe zdjęcia. W kolorze, jak twierdził, będzie dla swoich czytelników człowiekiem z krwi i kości. Takie zdjęcia wydadzą im się bardziej komunikatywne niż czarno-białe, wysmakowane, artystyczne.

- Pan jest tu szefem - powiedziała Hope z uśmiechem, zaglądając w wizjer aparatu.

- Ale to pani jest artystką - odparł i znowu się roześmiał.

Siedział przed obiektywem całkowicie rozluźniony, na życzenie zmieniając ustawienie głowy i wyraz twarzy, jakby robił to już setki razy - i Hope wiedziała, że tak właśnie było. Ta fotografia miała ozdobić okładkę jego jedenastej powieści. Od dwudziestu lat wszystkie jego powieści okazywały się bestsellerami. W wieku czterdziestu sześciu lat stał się we współczesnej literaturze amerykańskiej niemal instytucją, tak jak ona w amerykańskiej fotografii. Można powiedzieć, że choć w różnych dziedzinach, oboje reprezentowali tę samą, najwyższą klasę.

Sesja zdjęciowa trwała już od godziny, przy czym Hope wciąż prosiła go, by ustawiał głowę pod różnymi kątami, choć była prawie pewna, że właściwe ujęcie miała już po dwudziestu minutach. Była jednak zbyt ostrożna, by od razu przerwać sesję. Poprosiła Fionę o przestawienie lamp, by oświetliły biurko, po czym zaproponowała mu półgodzinną przerwę i zasugerowała, by przebrał się dla odmiany w białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Zapytał, czy nie byłoby lepiej, gdyby zjedli obiad przed następną serią ujęć, ale Hope wolała kontynuować pracę. Nie lubiła robić przerw na jedzenie, bo po nich pryskał nastrój, a ludzie stawali się ospali i rozleniwieni. Dlatego zazwyczaj pracowała tak długo, póki jej model miał jeszcze siłę pozować. Długa przerwa na obiad, do którego wypiliby pewnie po kieliszku wina, mogła odebrać energię im obojgu, a tego wolała uniknąć. Była zresztą zachwycona ujęciami, które udało jej się zrobić do tej pory. Finn O'Neill był modelem wprost wymarzoną. Robić mu zdjęcia to sama przyjemność. Czas mijał niepostrzeżenie.

Pół godziny później O'Neill zszedł do pokoju na pierwszym piętrze. Włożył białą koszulę, tak jak prosiła, i usiadł przy swoim antycznym biurku. Hope usunęła z biurka komputer, bo zbyt kontrastował z całością. Finn uśmiechał się, żartował i opowiadał historyjki o różnych sławnych ludziach - artystach i pisarzach. Mówił o swoim irlandzkim domu, a także o głupich wyskokach, jakie zdarzały mu się na spotkaniach promocyjnych, kiedy był młodszy. W pewnej chwili ze łzami wzruszenia w oczach wspomniął o synu, który wychowywał się

bez przedwcześnie zmarłej matki. Było w rozmowach z Finnem tyle poruszających momentów, że Hope dysponowała ogromną liczbą wspaniałych zdjęć, z których jedno było lepsze od drugiego.

I wreszcie, po kilku ujęciach przy starej drabince bibliotecznej, na tle regału, uznała, że wystarczy. Powiedziała mu o tym, a on wybuchnął śmiechem, w którym była radość i ulga, że mają to już za sobą. Ukradkiem zrobiła mu starą leicą jeszcze jedno, ostatnie zdjęcie, o którym pomyślała, że może okazać się z nich wszystkich najlepsze. Czasem tak bywa. Gdy Hope podała leicę Fionie, ta z czcią odłożyła aparat na stół, na którym leżały już wszystkie pozostałe aparaty. Finn zbliżył się i uścisnął Hope serdecznie.

Fiona wyłączyła lampy i wyjęła wtyczki z gniazdek. Zaczęła rozmontowywać sprzęt, Hope i Finn zeszli tymczasem na dół do kuchni.

- Ale się napracowaliśmy! Umieram z głodu! - powiedział, otwierając lodówkę.
- Możemy mieć makaron z jakimś dobrym sosem. Albo sałatkę i omlet. Z głodu zaraz zemdleję i przewrócę się. Ale pani chyba nigdy nic nie je, sądząc z tego, jak pani wygląda.

- Nie jem, kiedy pracuję - przyznała z półśmiechem. - Zawsze angażuję się w to, co robię. Lubię robić zdjęcia. Tak dobrze się przy tym bawię, że zapominam o jedzeniu.

Finn śmiał się na cały głos.

- Ja czuję się tak samo, kiedy piszę. Ale czasami bywa tak, że mam dość pisania. Zwłaszcza nie lubię robić poprawek. Mój wydawca to paskudny pedant. Kochamy się i nienawidzimy na przemian. Ale zna się na wydawaniu książek. Cóż, wydawca to zło konieczne. Pani ma szczęście, nie musi pani współpracować z wydawcami.

- Właściwie sama jestem dla siebie wydawcą. Ale za to muszę współpracować z klientami, co czasem też bywa trudne. Choć to zupełnie co innego niż robienie poprawek na życzenie wydawcy. Zawsze żałowałam, że nie umiem pisać - wyznała. - Ale nawet napisanie paru zdań na pocztówce nie przychodzi mi łatwo. Jestem wzrokowcem. Oglądam świat przez obiektyw. I widzę przez niego ludzkie dusze.

- Wiem o tym. To mi się właśnie najbardziej podoba w pani pracach. To ja prosiłem wydawcę, żeby zwrócił się do pani. Chciałem, żeby to pani zrobiła mi zdjęcie na okładkę.

Mówiąc to, chichotał i jednocześnie z wprawą smażył omlety dla nich obojga. W malutkiej kuchni poruszał się bardzo energicznie. Był szybki jak tornado. Podczas tej rozmowy zdążył już przyrządzić sałatkę.

- Mam nadzieję, że zdjęcia, które mi pani zrobiła, nie odsłonią mojej czarnej duszy - dodał z udawaną obawą.

Spojrzała na niego uważnie.

- Dlaczego pana dusza miałaby być czarna? Nie widzę w panu niczego, co by na to wskazywało. Czyżbym przeoczyła coś ważnego?

- Może drobną dziedziczną przypadłość, pewien rodzaj nieszkodliwego szaleństwa. Czytałem coś niecoś o moich irlandzkich przodkach. Niektórzy z nich byli prawdziwymi wariatami. Ale nie zagrażali otoczeniu. To byli raczej dziwacy.

- Uśmiechnął się.

- Jeśli tak, to przecież nic strasznego. Każdy z nas jest odrobinę szalony. Po rozstaniu z mężem spędziłam parę miesięcy w Indiach, starając się zrozumieć to, co się stało. Mógłby pan powiedzieć, że taki wyjazd to też coś szalonego.

Usiedli przy mahoniowym stole w ciasnej ciemnozielonej jadalni. Na ścianach wisiały obrazy o tematyce myśliwskiej. Między innymi martwa natura z ustrzelonymi ptakami pędzla jednego ze sławnych malarzy niemieckich, prawdopodobnie oryginał.

- Jak tam było? - zainteresował się Finn. - Nigdy nie byłem w Indiach. Chociaż zawsze chciałem pojechać.

- Indie są fantastyczne. - Hope się rozpromieniła. - To był najlepszy, najciekawszy czas w całym moim życiu. Po tej podróży nic już nie wyglądało tak jak przedtem. Zmienił się mój sposób myślenia o całym świecie, nie wyłączając mnie samej. Poza tym są tam naprawdę piękne miejsca, może najpiękniejsze na świecie. Przywiozłam stamtąd zdjęcia, po powrocie pokazałam je na wystawie.

- Niektóre z nich widziałem w jakimś czasopiśmie. - Finn skończył jeść omlet i nałożył sobie na talerz sałatkę. - To były zdjęcia dzieci i żebraków. Pamiętam też jeden niesamowity zachód słońca nad Tadź Mahal.

- Widziałam też wspaniałe jeziora. Oglądałam najbardziej romantyczne miejsca, o jakich wszyscy marzymy przez całe życie, ale także miejsca najsmutniejsze i najbardziej ponure. Przez miesiąc pracowałam w szpitalu Matki Teresy w Kalkucie. Potem mieszkałam w tybetańskim klasztorze, a potem w aśramie w Indiach. I tam odnalazłam siebie. Myślę, że mogłabym zostać tam do końca życia.

Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich głębię i spokój, ale kiedy wpatrzył się jeszcze uważniej, nie uszedł jego uwagi skrywany ból. I wiedział już, że Hope jest kobietą, która poznała cierpienie. Nie przypuszczał, by przyczyną była tylko choroba męża i rozwód. Ale cokolwiek to było, wiedział, że dotknęła samego dna smutku i wróciła z powrotem do życia. Teraz jednak robiła wrażenie osoby

wyjątkowo zrównoważonej, kiedy z miłym uśmiechem patrzyła na niego ponad stołem.

- Zawsze marzyłem o tym, żeby znaleźć się w podobnym miejscu - powiedział - ale nie wystarczyło mi odwagi. Myślę, że bałem się spotkać tam samego siebie. Pewnie wolałbym ujrzeć tysiąc diabłów.

Miał odwagę powiedzieć to otwarcie.

- Panował tam niewyobrażalny spokój - opowiadała. -W klasztorze nie wolno było rozmawiać. W tych warunkach umysł odpoczywał i oczyszczał się. Jestem pewna, że jeszcze kiedyś tam wrócę.

- Może lepiej zamiast tego przeżyć coś naprawdę porywającego? - Nagle w oczach Finna zapaliły się figlarne ogniki. - Jak długo zostanie pani w Londynie?

Rozparty na krześle, uśmiechał się do niej.

- Jutro zamierzam wrócić do Nowego Jorku. - Ona też się do niego uśmiechnęła.^,

- Na tak krótko nie przyjeżdża się do Londynu. Co będzie pani robić dziś wieczorem?

- Prawdopodobnie zamówię zupę do pokoju, a potem położę się spać. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- To nie do przyjęcia - odparł surowo. - Powinna pani umówić się ze mną na kolację.

Przez chwilę się wahała, zanim przyjęła zaproszenie. Ale i tak nie miała nic innego do roboty, a on był interesującym rozmówcą.

- Ale nie mam ze sobą olśniewających toalet - powiedziała przeproszającym tonem.

- Nie potrzebuje ich pani. Nawet w tych spodniach i swetrze będzie pani świetnie wyglądać. Komuś, kto nazywa się Hope Dunne, wolno chodzić, w czym chce. Mogę panią zabrać do Harry's Bar? Wydaje mi się, że to w tej chwili najlepsza włoska restauracja na świecie.

Znała ją, ale nieczęsto tam bywała. Był to jeden z najelegantszych lokali w Londynie. Zawsze można tam było spotkać wielu sławnych ludzi. Kobiety przychodziły w bardzo eleganckich sukienkach koktajlowych, a mężczyźni w ciemnych garniturach. A co do jedzenia, przyznawała Finnowi rację - tam było najlepsze na świecie.

- Bardzo chętnie, jeśli nie przeszkadza panu, że nie bardzo mam w co się ubrać.

Czuła się z tym trochę niezręcznie, lecz mimo to pomyśli, by zjeść z nim kolację, wydawał się pociągający. Oprócz innych zalet był inteligentny i miał refleks. Wiedziała, że nie będzie się z nim nudziła nawet przez minutę. Nie brakowało mu wiedzy w wielu różnych dziedzinach, był odczytany, dobrze

wychowany, dowcipny. Trudno się było oprzeć okazji, żeby spędzić z nim jeszcze kilka godzin i poznać go lepiej. W końcu przecież przyjechała do Londynu ze względu na niego. A Paul dziś właśnie odleciał na Karaiby.

- To będzie dla mnie wielki honor, Hope - powiedział Finn z ręką na sercu. I nie udawał. Była najbardziej interesującą kobietą, jaką spotkał od wielu lat. - Opowie mi pani więcej o Indiach, a ja opowiem pani o Irlandii. I o tym, jak się przywraca do życia trzystuletni dom.

Zapowiedział, że przyjedzie po nią do hotelu o wpół do dziewiątej. Fiona spokojnie czytała książkę w małym saloniku na parterze, gdzie pokojówka podała jej sandwicza. A kilka minut później razem z Fioną odjechały furgonetką, do której hotelowy kierowca wniósł już cały sprzęt. Po powrocie do hotelu Hope wyciągnęła się na łóżku, wspominając rozmowę z Finnem i myśląc o dzisiejszym wieczornym spotkaniu. Była to rzecz, która często wiązała się z robieniem ludziom zdjęć portretowych. Bardzo to lubiła. Bo robienie zdjęć samo w sobie nie było frapującym zajęciem. Ale kontakt z ludźmi - owszem. Był człowiekiem niezwykle utalentowanym, zresztą jak większość jej modeli. Kochała swoją pracę, a odkrywanie czyjegoś wnętrza uważała za najciekawszą stronę fotografii portretowej. Ceniła jego książki, więc poznawanie go jako człowieka było tym bardziej interesujące. Te książki mają w sobie coś posepnego, nawet przerażającego, postanowiła zapytać go dziś wieczorem dlaczego. Wydawało jej się zresztą, że on też jest bardzo zainteresowany jej pracami.

Zdrzemnęła się na dwie godziny i obudziła się w samą porę, żeby wziąć prysznic i przebrać się na wieczór. Tak jak zapowiedziała, włożyła czarne spodnie i sweter. I jedyną parę pantofli na szpilkach, jaką ze sobą przywiozła. Była zadowolona, że przywiozła też futro. Przynajmniej nie zrobi mu wstydu w Harry's Bar. Nie mogła współzawodniczyć z najelegantszymi kobietami, ale jej strój był w dobrym guście, pełen wysmakowanej prostoty. I świetnie w nim wyglądała. Ściągnęła włosy w kok, zrobiła bardzo dyskretny makijaż i umalowała usta ciemnoczerwoną szminką. Po czym opuściła pokój, by poczekać w holu na Finna.

Siedziała już w holu na kanapie, kiedy nadszedł Finn, spóźniony o pięć minut. Ubrany był w ciemnogranatowy garnitur i przepięknie skrojony czarny kaszmirowy płaszcz.

Ledwie wszedł, przyciągnął wszystkie spojrzenia. Przywitał się z nią i wzięwszy ją pod rękę, zaprowadził do swojego jaguara, pozostawionego na podjeździe. Gdy jechała do Londynu, nie miała w planie takiego spotkania, ale nie żałowała, że do niego doszło. I siedząc obok niego w samochodzie, uśmiechała się przez cały czas.

- To wspaniale, że mogliśmy się spotkać. Dziękuję, Finn. Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Ja też się cieszę. I muszę przyznać, że wyglądasz wspaniale. Naprawdę bardzo elegancko. Nie mam pojęcia, dlaczego się o to niepokoiłaś.

Od dość dawna z nikim nie umawiała się na taką kolację. Na ogół unikała życia towarzyskiego. Jeśli wychodziła wieczorem, to zwykle na otwarcie jakiejś wystawy - najczęściej własnej. Ta restauracja należała raczej do świata Paula niż do jej świata. Wspólnego świata nie mieli. Ona należała do środowiska nowojorskich artystów, co wiązało się z jej sprawami zawodowymi. Ludzie, wśród których się obracała, omijali prawdziwie eleganckie lokale. Chodzili do małych restauracyjek w Chelsea albo w SoHo.

Restauracja była oddalona od hotelu zaledwie o kilka przecznic. Maitre powitał Firmę bardzo uprzejmie i nie bez sympatii. Widać było, że zna go nie od dzisiaj. Zaprowadził ich do stolika stojącego w spokojnym kącie. W sali było pełno gości z najróżniejszych krajów. Słyszało się tu i ówdzie język włoski, arabski, hiszpański, rosyjski, niemiecki i francuski. Oczywiście także angielski. Gdy tylko usiedli, Finn zamówił martini. Hope wołała kieliszek szampana. Rozejrzała się. Od jej ostatniej wizyty nic się tu nie zmieniło. Na ścianach wisiały te same grafiki, które widziała, kiedy bywała tu z Paulem. A od tamtej pory minęło przecież dobrych kilka lat.

- Kiedy zaczęłaś zajmować się fotografią? - spytał Finn, gdy przyniesiono im drinki.

Hope pociągnęła łyk szampana i uśmiechnęła się.

- Kiedy miałam dziewięć lat, zakochałam się w aparatach fotograficznych. Mój ojciec był profesorem Uniwersytetu Dartmouth. Moja matka była artystką. Dziadek podarował mi aparat fotograficzny na urodziny. Jako jedynaczka umiałam bawić się sama. A życie w New Hampshire, gdzie mieszkaliśmy, toczyło się bardzo monotonnie, kiedy byłam dzieckiem. Odkąd zajęłam się fotografowaniem, nigdy się nie nudziłam. A ty? Kiedy zacząłeś pisać?

- Ze mną było tak jak z tobą. Zaczęłam jako chłopiec. Ja też byłem jedynakiem. Bez przerwy czytałem. Czytanie było moją ucieczką.

- Ucieczką od czego? - spytała, zaintrygowana.

Ona zajmowała się fotografią, on literaturą, jedno i drugie było twórczością, i to ich łączyło.

- Od samotności. Moi rodzice byli ze sobą bardzo związani. Przez znaczną część czasu czułem się przez nich pozostawiony samemu sobie. W ich życiu nie było chyba zbyt wiele miejsca dla dziecka. Ojciec był lekarzem, matka w młodości bardzo piękną kobietą, słynną w Irlandii ze swojej urody. Towarzyszyła

ojcu w jego pracy, którą była zafascynowana. Mną interesowała się znacznie mniej. Rozwinąłem więc wyobraźnię, czytając książki. Zawsze chciałem pisać. Pierwszą książkę napisałem jako osiemnastolatek.

- Została opublikowana? Roześmiał się i potrząsnął głową.

- Nie. Potem napisałem jeszcze dwie, które też nie ujrzały światła dziennego. I dopiero czwartą udało mi się wydać. Zaraz po dyplomie uniwersyteckim. - Wiedziała, że studiował na Uniwersytecie Columbia, a potem w Oksfordzie zrobił doktorat. - Ale prawdziwy sukces przyszedł o wiele później.

- Czym więc się zajmowałeś, zanim zacząłeś wydawać książki?

- Studiowałem, czytałem. I nie przestawałem pisać. Dużo piłem. - Zaśmiał się. - Ożeniłem się bardzo młodo. Pracowałem też jako kelner, jako stolarz. Matka Michaela była modelką w Nowym Jorku. Zawsze miałem słabość do pięknych kobiet. A ona była wyjątkowo piękna. Miała trudny charakter, była kapryśna, zapatrzona w siebie, ale była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Była równie młoda jak ja. I wszystko zaczęło nam się sypać, kiedy urodził się Michael. Myślę, że żadne z nas nie było wystarczająco dojrzałe, żeby wychowywać dziecko. Nie mogła już pracować jako modelka, ale nadal prowadziliśmy imprezowy tryb życia. Nie zarabiałem dużo i żyliśmy w biedzie.

- Dlaczego umarła? - To, co opisywał, wyglądało raczej jak wstęp do historii o rozwodzie niż jak tragedia związana ze stratą najbliższej osoby. Tak pomyślała i nie była daleka od prawdy.

- Wpadł na nią pijany kierowca, kiedy wracała późną nocą z przyjęcia na Long Island. Rozstawaliśmy się i schodziliśmy wiele razy, ale, dzięki Bogu, zawsze kiedy się wybierała na taką imprezę, Michaela zostawiała u mnie. Miała wtedy dwadzieścia osiem lat, a ja dwadzieścia dziewięć. Nasz związek na pewno zakończyłby się rozwodem. Ale kiedy zginęła, czułem się z tym okropnie przez długi czas. I nagle zostałem sam z małym dzieckiem. Nie były to dla mnie łatwe lata. Na szczęście Michael był wspaniałym dzieciakiem. I jakoś wybaczył mi moje błędy, których nie było wcale tak mało. W tamtym czasie już nie miałem rodziców, więc nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Mimo wszystko jakoś daliśmy sobie radę. Zajmowałem się nim najlepiej jak umiałem. Wychowałem go i sam wydorosłałem dzięki tej sytuacji.

Uśmiechnął się trochę jak mały chłopiec, a trochę jak piękny książę z bajki, za którym szaleją kobiety. Można je było zrozumieć. Miał w sobie coś wzruszająco szczerego i niewinnego. Nie starał się ukrywać swoich wad, porażek i obaw.

- I nigdy się znowu nie ożeniłeś? - spytała Hope, poruszona tą historią.

- Byłem za bardzo zajęty wychowywaniem syna, żeby uganiać się za kobietami. A teraz jest już chyba za późno. Jestem zbyt samolubny, mam za dużo

różnych dziwactw. Odkąd Michael wyjechał na studia, po raz pierwszy w życiu mieszkam sam. Rozkoszuję się samotnością. A małżeństwo z pisarzem to żadna atrakcja. Całe dni spędzam przy biurku. Czasem przez długie tygodnie w ogóle nie wychodzę z domu. Nie mogę od nikogo żądać, żeby to znosił. Taki jest mój ulubiony sposób życia.

- Pracuję w podobny sposób. Praca wypełnia mi cały czas. Mój mąż znosił to bardzo dobrze. I zawsze mnie wspierał. Ale on też był stałe zajęty. Bardzo, bardzo zajęty. Zwłaszcza u szczytu kariery. Żony lekarzy zwykle narzekają na samotność. Ale ja nie narzekałam. - Zawahała się i uśmiechnęła się do Finna trochę smutno. - Miałam co innego do roboty.

Miała zapewne na myśli swoją pracę, i wiedział, że pracowała bardzo dużo. Przez te lata zrobiła dziesiątki tysięcy fotografii.

- A czym się zajął, kiedy wycofał się z zawodu?

- Z początku miał wykłady na Harvardzie. Znałam dobrze świat akademicki, bo mój ojciec też był profesorem. Ale na Harvardzie było o wiele więcej rywalizacji niż w Dartmouth. Stosunki też były znacznie gorsze, ludzie gotowi byli podkładać sobie świnie. Prowadzenie wykładów nie wystarczało Paulowi. Wtedy zaczął doradzać dwóm spółkom produkującym sprzęt medyczny. Bardzo się w to zaangażował i świetnie sobie radził. Może właśnie to zajęcie ratowało go przed poczuciem beznadziejności przez pierwsze lata choroby, kiedy nie mógł już operować. Było mu trochę łatwiej chorować, kiedy zaczął odnosić sukcesy w innej dziedzinie. Ale potem nastąpiło gwałtowne pogorszenie. I wszystko się zmieniło. Taka utrata sprawności u człowieka w jego wieku to przykry widok. Bo przecież jeszcze jest stosunkowo młody.

Mówiąc to, posmutniała. Miała znowu przed oczyma wysiłki Paula, by utrzymać sztukę w drżących rękach. Widziała, z jakim trudem się poruszał, jak wiele było siły i godności w jego cierpieniu.

- A co robi teraz? Tęsknisz za nim?

- Tak. Ale on nie potrzebuje moich uczuć. Nie życzy sobie, żebym się nim opiekowała. Jest na to zbyt dumny. Wszystko się zmieniło w związku z jego chorobą... i nie tylko z nią. Życie potrafi czasem rozdzielić ludzi, którzy się kochają, tak że nie mogą już znaleźć do siebie drogi. Trzy lata temu kupił jacht i teraz spędza na nim najwięcej czasu. Kiedy nie pływa, mieszka w Londynie. Od czasu do czasu zjawia się w Bostonie, bo tam go leczą. I wtedy zwykle zagląda do Nowego Jorku na parę dni. Ale coraz trudniej mu podróżować w pojedynkę. Pływanie na jachcie jest łatwiejsze. Może tam zawsze liczyć na pomoc kogoś z załogi. Teraz wybrał się na Karaiby.

- Jakie to wszystko smutne - powiedział Finn w zamyśleniu. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Paul rozstał się z Hope. Bo ze sposobu, w jaki o nim opowiadała, rozumiał, że wciąż jeszcze kochała byłego męża i nie było jej obojętne, co się z nim dzieje. - Człowiek zdrowy byłby szczęśliwy, gdyby prowadził takie życie jak on. Ale kiedy jesteśmy chorzy, nic nam nie przynosi prawdziwej radości.

- I tak właśnie jest, nic mu nie sprawia radości. Poddał się eksperymentalnemu programowi leczenia choroby Parkinsona na Harvardzie. Dotąd dzięki tej terapii jakoś się trzymał.

- A teraz?

- Jest nie najlepiej.

Nie opisywała szczegółów. Finn kiwnął głową.

- A ty? Jak żyjesz, kiedy nie jesteś w Tybecie i nie mieszkasz w klasztorach? '

Uśmiechnął się. Oboje opróżnili już swoje kieliszki.

- Na stałe mieszkam w Nowym Jorku. Dużo podróżuję w sprawach zawodowych. A kiedy mam kilka wolnych dni, co nie zdarza się tak często, wyjeżdżam na Cape Cod. Często muszę gdzieś lecieć samolotem, żeby robić zdjęcia, albo przygotowuję jakąś wystawę swoich prac.

- Ale dlaczego akurat Cape Cod?

- Moi rodzice zostawili mi letni dom. Jako dziecko spędzałam tam z nimi wszystkie wakacje. Bardzo lubiłam to miejsce. Dom stoi w Wellfleet. To urocza, senna miejscina. Nie ma tam żadnych atrakcji. Warunki życia w domu są dość surowe, ale to mi nie przeszkadza, jest mi wygodnie. Z okien mam piękny widok na ocean. Latem jeździliśmy tam z Paulem, odkąd wyszłam za niego za mąż. Na stałe mieszkaliśmy wtedy w Bostonie. Do Nowego Jorku przeniosłam się dopiero dwa lata temu. Znalazłam bardzo ładny loft. W SoHo.

- I mieszkasz w nim sama? Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Tak jest mi najwygodniej. Moja sytuacja jest nieco podobna do twojej. Kto zechce się związać z artystką, której nigdy nie ma w domu? Poza tym mogę teraz robić rzeczy, na które w czasach małżeństwa nigdy sobie nie pozwalałam. Nosi mnie po całym świecie, żyję na walizkach. To właściwie przeciwieństwo twojego sposobu życia, bo ty zamykasz się w domu i piszesz. Ale dla kogoś, z kim bylibyśmy związani, nie ma takiej wielkiej różnicy między twoją pracą przy biurku a moimi ciągłymi wyjazdami. Nigdy nie myślałam o tym jak o przejawie egoizmu - powiedziała, nawiązując do jego oceny samego siebie - ale może masz słuszość. Z nikim nie muszę teraz uzgadniać swoich planów. I nie mam żadnych zobowiązań oprócz zawodowych.

Słuchał i od czasu do czasu kiwał głową. Po chwili złożyli zamówienie. Oboje zamówili makaron, rezygnując z przystawek. Finn zaczął opowiadać o swoim domu pod Dublinem. Widziała, jak bardzo kochał ten dom i jaką wagę do niego przywiązywał. Był częścią historii jego życia, a jednocześnie ulubionym tłem i czymś bardzo drogim sercu.

- Powinnaś kiedyś przyjechać i zobaczyć ten dom - powiedział.

Pojechałaby chętnie, była zadowolona.

- Jakiej specjalności lekarzem był twój ojciec? - zapytała, kiedy jedli makaron.

- Internistą. Dziadek był właścicielem ziemskim w Irlandii i nie zajmował się w życiu niczym innym. Ale ojciec był znacznie bardziej pracowity. Wyjechał na studia do Stanów. Potem wrócił do Irlandii, żeby ożenić się z moją matką, i zabrał ją do siebie. Ale ona nigdy nie nauczyła się żyć w obcym kraju. Umarła dość młodo. A on niedługo po niej. Byłem wtedy w college'u. Irlandia fascynowała mnie ze względu na nich. To, że byli Irlandczykami, pomogło mi potem w uzyskaniu obywatelstwa. A z podatkowego punktu widzenia zmiana obywatelstwa była bardzo korzystna, bo, jak już mówiłem, w Irlandii pisarze nie płacą podatków od dochodu. Tego nic nie przebije. Bardzo mnie to pociągało, tym bardziej że książki świetnie się sprzedawały, przynosiły niemałe pieniądze. I odzyskałem dom po przodkach, w którym, jak sądzę, zostanę do końca życia. Choć nie wiem, czy zdołam namówić Michaela, żeby wrócił do Europy. Po studiach zamierza rozpocząć karierę zawodową w Dolinie Krzemowej albo w Bostonie. Jest Amerykaninem z krwi i kości. I musi sam odnaleźć własną drogę. Nie zamierzam go do niczego nakłaniać, chociaż tęsknię za nim jak potępieniec.

Skończył mówić i uśmiechnął się smutno. Hope milczała, zasłuchana.

- Ale może przeprowadzi się do Irlandii, kiedy będzie trochę starszy - dodał. - Ja też tak zrobiłem. Takie rzeczy ma się we krwi. Bardzo bym chciał, żeby tak się stało. Choć na razie, niestety, nic na to nie wskazuje.

Zastanawiał się, jak to się stało, że nie miała dzieci, ale nie ośmielił się zapytać. Może nie chciał ich jej mąż, zbyt zajęty lekarsko-akademicką karierą. A ona go posłuchała. Była taka łagodna, ciepła, wydawała się po prostu stworzona do macierzyństwa. Ale teraz, po rozwodzie, rzuciła się w wir pracy. Wiedział od niej, że była żoną Paula przez dwadzieścia jeden lat.

Tak oto, opowiadając nawzajem swoje historie i rozmawiając o swoich twórczych pasjach, spędzili razem ten wieczór. Czas szybko mijał. Oboje żalowali, gdy po doskonałej kolacji opuszczali Harry's Bar. Hope uraczyła się nawet czekoladą, z której słynął ten lokal. A Finn wyznał, że zawsze odczuwa przemożną pokusę, by ukraść jedną z kolorowych popielniczek ze szkła weneckiego, które stały na stołach, kiedy jeszcze wolno było palić. Śmiał się,

wyobrażając sobie, jak wpycha ją po kryjomu do kieszeni swojej świetnie skrojonej ciemnogramatowej marynarki. Hope by to raczej nie odpowiadało, choć musiała przyznać, że rozumie tę pokusę. Jej także podobały się tutejsze popielniczki. Były zresztą cenione przez kolekcjonerów.

Po kolacji ruszył w stronę hotelu Claridge, ale zatrzymał samochód w połowie drogi.

- Może wstąpilibyśmy jeszcze gdzieś na drinka? Nie powinienem pozwolić, żebyś opuściła Londyn, nim nie odwiedzisz klubu Annabel's. Już prawie święta, więc będzie tam wesoło - powiedział zachęcająco.

Była już tak zmęczona, że ledwie trzymała się na nogach, ale nie chciała sprawić mu zawodu. Pomyślała, że chętnie wypije jeszcze jeden kieliszek szampana. Rozmowa z Finnem sprawiała jej ogromną przyjemność. Od lat nie przeżyła już takiego wieczoru jak dziś i nie sądziła, by prędko zdarzyło się znowu coś podobnego. Jej życie w Nowym Jorku było ciche i spokojne. Nie było w nim kolacji we dwoje ani nocnych klubów. Ani przystojnych mężczyzn, takich jak Finn.

- Dobrze, ale tylko jeden kieliszek - zgodziła się.

W Annabel's było już tłoczno, kiedy weszli na salę. I gwarno, a nastrój rzeczywiście był prawie świąteczny. Usiedli przy barze, każde z nich wypilo po dwa kieliszki szampana, zatańczyli na parkiecie i dopiero wtedy odwiózł ją do hotelu. Dla obojga był to cudowny wieczór. Lubili ze sobą rozmawiać, polubili swoje towarzystwo.

- Po takim wieczorze zaczynam się zastanawiać, czy słusznie zrobiłem, kiedy zamieszkałem samotnie pod Dublinem. Przez ciebie znowu zatęskniłem za światowym życiem. - Finn zatrzymał samochód przed hotelem. Wyłączył silnik i popatrzył na nią. - Dziś wieczorem zrozumiałem, że potrzebuję do szczęścia także Londynu. Niedługo wyjeżdżam. Ale nawet gdybym tu został, ciebie już nie będzie, więc nic by mi z tego nie przyszło.

Rozśmieszyło ją to, co powiedział. Chłopięca strona jego osobowości wzruszała ją i bawiła, ta druga, wyrafinowana, wprawiała w lekkie oszołomienie. Ta mieszanka uderzała jej do głowy. On miał podobne odczucia, jeśli o nią chodzi. Podobała mu się w niej łagodność, inteligencja, subtelne, ale żywe poczucie humoru. Bawił się z nią świetnie, lepiej niż z kimkolwiek od wielu lat. Tak przynajmniej twierdził. Jednak lubił czarować i nie była do końca pewna, czy naprawdę tak myśli. Ale to właściwie nie miało żadnego znaczenia. Tak czy inaczej, oboje spędzili przyjemnie czas.

- Było cudownie, Finn. Dziękuję ci.

- Dla mnie to także był wyjątkowy wieczór. Żałuję, że już jutro wyjeżdżasz - powiedział ze smutkiem.

- Ja też żałuję. Zawsze zapominam, że tak bardzo lubię Londyn.

Żadne miasto nie mogło się równać z Londynem, jeśli chodzi o nocne życie. Poza tym lubiła londyńskie muzea, których tym razem nie miała czasu odwiedzić.

- Może spróbuję namówić cię, żebyś została o dzień dłużej? - spytał z nadzieją. Zawahała się, ale potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Naprawdę powinnam wracać. Muszę przecież wywołać twoje zdjęcia. Wydawca bardzo się śpieszy.

- No tak. Wzywają cię obowiązki. Jeśli o mnie chodzi, to nie znoszę pośpiechu - powiedział z wyrazem rozczarowania w oczach. - Ale zadzwonię do ciebie, kiedy będę w Nowym Jorku. Nie wiem jeszcze, kiedy to będzie. Ale przylecę na pewno. Prędzej czy później.

- Miejsca, do których zabrałabym cię w Nowym Jorku, pewnie nie mogą się równać z tymi, w których byliśmy dzisiaj.

- W Nowym Jorku też jest trochę ciekawych miejsc. Mam swoje ulubione.

Była pewna, że ma. W Dublinie też. I zapewne we wszystkich miastach, w których zdarzało mu się bywać. Nie wyglądał na człowieka, który wieczorami siedzi w domu - chyba tylko wtedy, kiedy pisze.

- Dziękuję ci, Hope, że zechciałaś zjeść ze mną kolację -powtórzył, kiedy wysiedli z samochodu. Chwytał lekki mróz, więc gdy szli do hotelu, przytrzymał na jej ramionach futro, którego połami targał lodowaty wiatr. - Będziemy w kontakcie. Szczęśliwej podróży.

- Szczęśliwego spotkania z Michaeliem. - Uśmiechnęła się do niego.

- Nie zostanie długo. Leci z kolegami na narty do Szwajcarii. Ze mną spędzi pewnie nie więcej niż pięć minut dziennie. Jestem dla niego za stary.

- Ciesz się tym, co ci przypadnie w udziale. - Pocałowała go w policzek.

- Uważaj na siebie, Hope.

- Dziękuję, Finn. To był piękny dzień. Wyślę ci zdjęcia, kiedy tylko będą gotowe.

Machał jej na pożegnanie, kiedy weszła do hotelowego holu, zamyślona. Było naprawdę wspaniale, o wiele lepiej, niż się spodziewała. Wsiadła do windy i wjechała na swoje piętro. Szczerze żałowała, że nazajutrz musi wracać. I teraz, po kilku dniach spędzonych w Londynie, pomyślałaby, że to był głupi pomysł, żeby jechać na święta na Cape Cod.

Rozdział czwarty

Kiedy Hope wróciła do Nowego Jorku, znowu padał śnieg. Następnego dnia popatrzyła przez okno na dwudziestocentymetrową warstwę śniegu przykrywającą chodniki Prince Street i zdecydowała, że na razie nie pojedzie na Cape Cod. Pobyt w Londynie przypomniał jej, że wielkie miasto też ma swoje uroki. A kiedy wszyscy ruszyli na zakupy dzień przed Wigilią, Hope wybrała się do Metropolitan Museum, żeby obejrzeć nową wystawę sztuki średniowiecznej, po czym wracała do SoHo pieszo, wśród wirujących płatków śniegu. Opady się nasilały i wkrótce przeszły w zadymkę.

Miasto ucichło i znieruchomiało. Nie było już ruchu ulicznego, nie przejeżdżała ani jedna taksówka, Hope minęła zaledwie kilku przechodniów, brnących przed siebie w ten śnieżny wieczór. Urzędy i biura były już zamknięte, a szkoły miały ferie. Hope miała zaczerwienione policzki i łzawiły jej oczy, a ręce drżały z zimna, gdy wreszcie wróciła do swego loftu i nastawiła imbryk, żeby zaparzyć herbatę. W muzeum spędziła urocze popołudnie, a spacer dodał jej energii. I właśnie zasiadła w fotelu z filiżanką gorącej herbaty, kiedy zadzwonił Mark Webber. Jego biuro miało przerwę świąteczną aż do Nowego Roku. Między świętami a sylwestrem nigdy nie ma nowych zleceń. Dzwonił więc z domu.

- Jak ci poszło z O'Neillem? - spytał.

- To wspaniały człowiek. Inteligentny, dowcipny. Bardzo interesujący. Łatwy we współpracy. Nie ma w nim nic mrocznego i powikłanego, czego byś mógł się spodziewać po ciężkiej atmosferze jego książek. Jeszcze nie zdążyłam zrobić odbitek, ale jestem pewna, że zdjęcia będą fantastyczne.

- A nie próbował cię zgwałcić? - zażartował Mark.

- Ani trochę. Zaprosił mnie bardzo kulturalnie na kolację w Harry's Bar, a potem do Annabel's na drinka. Traktował mnie jak koronowaną głowę. Albo jak stuletnią ciotkę, której należy się szacunek.

- Nie sądzę. Najmodniejsza restauracja i nocny klub to nie są miejsca, do których prowadzi się stuletnią ciotkę.

- Zachowywał się bez zarzutu - zapewniła go Hope. - I jest cudownym rozmówcą. Zna się dobrze na wielu rzeczach. Naprawdę żałowałam, że nie mogłam zrobić mu tych zdjęć w Dublinie, gdzie czuje się u siebie, ale jestem pewna, że i tak mamy ujęcia, które spodobają się wydawcy. Być może jest ich więcej, niż oczekiwali, będą mieli kłopot z wyborem. Pracować z nim to sama przyjemność. - Nie dodała, że O'Neill wygląda jak gwiazdor filmowy. - Jego dom w Londynie jest wielkości znaczka pocztowego, więc trudno było nawet

rozmieścić sprzęt, ale daliśmy sobie radę. A ten drugi, w Irlandii, to chyba coś w rodzaju pałacu Buckingham. Chętnie bym go kiedyś zobaczyła.

- Dziękuję ci za to krótkie sprawozdanie. Jestem pewien, że jego wydawca nie będzie się posiadał ze szczęścia. A co robisz w weekend, Hope? Wciąż się wybierasz na Cape Cod?

W taką pogodę byłoby to niemądre i niebezpieczne. Więc miał nadzieję, że zmieniła zamiar.

Uśmiechnęła się do siebie i wyjrzała przez okno. Śnieg nie przestawał padać. Na chodnikach zalegał już przynajmniej czterdziestocentymetrową warstwą, a wiatr gwizdał między murami, nawiewając wysokie zasy. Prognozy głosiły, że opady nie ustaną aż do rana.

- W taką pogodę raczej nie - odparła. - Nie jestem szalona. Chociaż na pewno byłoby tam pięknie, gdybym szczęśliwie dotarła na miejsce. Nie, na razie zostanę w domu.

Wiele dróg zamknięto już po południu. Podróż na Cape Cod musiała być prawdziwym koszmarem.

Od Firma dostała jego ostatnią książkę i zamierzała ją przeczytać w ciągu weekendu. I przygotować trochę zdjęć dla pewnej galerii w San Francisco, która planowała wystawę jej prac. No i musiała zrobić odbitki zdjęć Finna.

- Zadzwoń, jeśli poczujesz się samotna.

Nie spodziewał się raczej, żeby zadzwoniła. Była bardzo niezależna, a samotne życie prowadziła już od kilku lat. Po prostu chciał dać jej do zrozumienia, że nie jest zupełnie sama, jest ktoś, kto się o nią troszczy. Czasem się o nią niepokoił, chociaż wiedział, że dobrze sobie radzi i zawsze ma zajęcie. Nie zdziwiłby się, gdyby w Wigilię wybrała się robić zdjęcia w Harlemie albo w barze dla kierowców ciężarówek w okolicach Dziesiątej Alei, na przykład o czwartej nad ranem. Właśnie tak lubiła spędzać czas. Podziwiał ją za to. I pamiętał, że to właśnie prace, które powstawały w podobny sposób, przyniosły jej sławę.

- Na pewno będę się dobrze bawić - zapewniła go z przekonaniem.

Kiedy się rozłączyli, zapaliła świece i wyłączyła elektryczne oświetlenie. Usiadła na kanapie i przez ogromne, nieosłonięte okno przyglądała się płatkom śniegu. Kochała światło, dlatego nie zawracała sobie głowy wieszaniem zasłon. Światło lamp ulicznych mieszało się w jej pokoju ze światłem świec, gdy siedziała na wygodnej kanapie, obserwując zimowy pejzaż. Właśnie wtedy znowu zadzwonił telefon. Nie miała pojęcia, kto by to mógł być - dzień przed Wigilią. Telefon dzwonił głównie w godzinach pracy biur i instytucji, a rozmowy prawie zawsze dotyczyły spraw zawodowych. Kiedy odebrała telefon, głos w słuchawce wydał jej się w pierwszej chwili nieznamy.

- Hope?

- Tak - odpowiedziała i spokojnie czekała na dalsze słowa, które wyjaśnią coś więcej.

- Tu Finn. Zadzwoń, żeby się upewnić, czy wróciłaś cała do domu. Słyszałem, że w Nowym Jorku jest zamieć.

Jego głęboki głos brzmiał przyjaźnie i ciepło. Ten telefon był dla niej przyjemną niespodzianką.

- Tak, to prawda - potwierdziła, mając na myśli zamieć. - Przeszłam spacerkiem całą drogę z Metropolitan Museum do SoHo. Było cudownie.

- Twarda z ciebie sztuka. - Roześmiał się. - Wzgórza pod Dublinem, na których stoi mój dom, są jakby stworzone dla ciebie. Mogłabyś wędrować całymi dniami z jednej wioski do następnej. Ja tak często robię. Ale zamieć w Nowym Jorku to co innego. Dzwoniłem dziś do mojego wydawcy. Jego biuro jest zamknięte.

- O tej porze roku wszyscy wyjeżdżają na święta. Biura zamykają niezależnie od zamieci.

- Co będziesz robiła w czasie świąt? - Dla niego było oczywiste, że Hope nie pojedzie na Cape Cod, kiedy szaleją zamiecie.

- Będę się pewnie wałęsać po mieście, zrobię trochę zdjęć. Mam kilka nowych pomysłów. I zajmę się odbitkami z naszej sesji zdjęciowej.

- Nie ma nikogo, z kim chciałabyś spędzić święta? - zapytał z lekkim smutkiem w głosie.

- Nie. Lubię być sama. - Nie było to prawdą w stu procentach, ale i tak czuła się skazana na samotność. Pogodziła się z tym i nauczyła się akceptować życie, jakie przypadło jej w udziale.

- Dziś chyba miał przyjechać do ciebie syn - przypomniała sobie. - Jak się ma?

- Doskonale. Wyszedł na kolację z przyjaciółmi. - Spojrzała na zegarek i uprzytomniła sobie, że w Londynie jest już jedenasta. To przypomniało jej o uroczym wieczorze, jaki spędzili razem. - A jutro wyjeżdża na dwa dni do Szwajcarii. Tym razem w ogóle nie ma dla mnie czasu. Ale nie mogę go o to obwiniać. Za młodu byłem taki sam. Za żadne pieniądze nie zgodziłbym się spędzić weekendu z rodzicami. Muszę przyznać, że byłem chyba gorszy od niego. Jutro przylatuje do nas jego dziewczyna. Więc część świąt spędzę razem z nimi, zanim wyjadą.

- I co będziesz robił, kiedy zostaniesz sam? - spytała z ciekawością.

Był w pewnym sensie równie samotny jak ona, choć obracał się wśród ludzi o wiele częściej i miał syna. Ale kiedy mieszkał w domu pod Dublinem, a zwłaszcza gdy pisał, wówczas żył samotnie, jak ona w swoim lofcie w SoHo albo w domu na Cape Cod. Choć każde z nich miało własny styl, łączyło ich bardzo wiele.

- Myślałem o tym, żeby w Boże Narodzenie pojechać do Dublina. Muszę dokończyć pracę nad książką, a poza tym zacząłem robić wstępny szkic nowej powieści. Wszyscy teraz uciekają z Londynu do swoich wiejskich domów niczym szczury z okrętu, który ma zatonać. Dlatego i ja powinienem chyba przenieść się do Russborough. - Russborough było małym miasteczkiem nieopodal Dublina, położonym najbliżej jego irlandzkiego domu. Opowiadał jej trochę o tych okolicach podczas wspólnej kolacji. Jego rezydencja leżała nieco na północ od Russborough, gdzie znajdowała się jeszcze inna, podobna budowla wzniesiona przez tego samego architekta, ale znacznie lepiej zachowana, jak twierdził. Była przekonana, że jego dom jest wyjątkowo piękny, choć zniszczony. - A co zrobisz, kiedy zamieć ustanie? Pojedziesz na Cape Cod?

- Być może. Za parę dni. Chociaż nad oceanem będzie teraz bardzo zimno, jeśli dotrze sztorm, który zapowiadają w prognozach pogody. W każdym razie muszę poczekać, aż drogi zostaną odsnieżone. Ale kiedy już dotrę na miejsce, na pewno będzie wspaniale. To bardzo przytulny dom.

- Zatem życzę ci wesołych świąt, Hope - powiedział z nutą smutku albo tęsknoty.

Wciąż wspominał ich spotkanie i nie miał właściwie żadnego powodu, żeby zadzwonić, zanim dostał od niej zdjęcia. Czekał na nie z niecierpliwością, bo wtedy będzie mógł zadzwonić jeszcze raz. Czuł się z nią w jakiś dziwny sposób związany, nie umiałby wyjaśnić dlaczego. Była miła i miała piękne, głębokie spojrzenie. Chciał poznać ją bliżej. Wiele już mu o sobie opowiedziała, na przykład o małżeństwie z Paulem i o rozwodzie, ale jednak czuł, że wciąż dzieli ich niewidoczny mur, którym odgradziła się od świata zewnętrznego i nikogo nie zapraszała do środka. Była bardzo ostrożna. A mimo to ciepła i pełna współczucia. Była w jego oczach kobietą pełną tajemnic. Ale i on wydawał jej się człowiekiem tajemniczym. Pytania, które pozostały bez odpowiedzi, intrygowały ich oboje. Byli ludźmi nawykłymi, z racji zawodu, do zagładania w głąb ludzkich serc i dusz, choć dla siebie nadal pozostawali nie-przeniknieni.

- I ja ci życzę wesołych świąt z synem - powiedziała.

Rozłączyli się. Wciąż jeszcze siedziała nieruchomo, wpatrując się w telefon, trochę zaskoczona, że zadzwonił. To nie był telefon służbowy i sprawił jej przyjemność. Wspominała wieczór spędzony z nim w Londynie dwa dni temu. Teraz, po powrocie do Nowego Jorku, miała wrażenie, że od tego spotkania minęły tysiące lat świetlnych. Londyn wydawał jej się tak daleki, jakby leżał na innej planecie.

Jeszcze bardziej zaskoczył ją e-mail, który przyszedł tego samego wieczoru.

„Rozmowa z tobą sprawiła mi wielką przyjemność. Jestem zauroczony twoim spojrzeniem, ciekaw tajemnic, które ono skrywa. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Dbaj o siebie. Finn”.

Ale nie wiedziała, jak ma ten e-mail rozumieć. Czuła się trochę niepewnie. Przypomniało jej się, że przestrzegał ją przed nim agent, Mark Webber. O'Neill miał być według niego kobieciarzem. Czyżby próbował ją usidlić? Dołączyć do listy swoich podbojów? Jeśli tak, to trzeba przyznać, że w Londynie zachował się w sposób wyjątkowo powściągliwy. Ale jakie tajemnice miał na myśli? Co takiego dostrzegł w jej oczach? Może to była tylko gra? Ale przecież przedtem w tonie jego głosu, a teraz w treści tego e-maila wyczuwała coś prawdziwego. Może i uwodził kobiety, ale nie odniosła wrażenia, że ją także zamierzał tylko uwieść. Zwróciło jej uwagę słowo „zauroczony”. Odpowiedziała dopiero nazajutrz. Nie chciała, by pomyślał, że czegoś oczekuje - bo niczego nie oczekiwała. Miała nadzieję, że zostaną po prostu przyjaciółmi. Czasami zaprzyjaźniała się z kimś spośród swoich modeli. W ciągu lat zdobyła w ten sposób kilku przyjaciół, nawet jeśli nieczęsto się z nimi spotykała.

Tak więc rankiem w wigilię Bożego Narodzenia usiadła przy biurku z filiżanką herbaty i odpowiedziała na e-mail Finna. Na zewnątrz było białe i cicho. Ulice przykrył czysty, nietknięty ludzką stopą śnieg. A w Londynie było już popołudnie.

„Dziękuję za twój e-mail. Mnie również sprawiło przyjemność nasze spotkanie. Mamy tu dzisiaj piękny śnieżny dzień, jak z zimowej baśni. Wybieram się do Central Parku. Będę robić zdjęcia dzieciom zjeżdżającym na sankach.

To banalny temat, ale dla mnie pociągający. Nie ma żadnych tajemnic, są tylko pytania, na które nie znamy odpowiedzi. Pamiętamy ludzi, którzy pojawili się w naszym życiu, byli z nami przez jakiś czas, a potem z niego odeszli. Nie mamy wpływu na to, co się nam przydarza, możemy się temu jedynie przyglądać. I pozwalać innym ludziom przychodzić i odchodzić. Życzę ci szczęścia. Hope”.

Ku jej zaskoczeniu odpowiedział w ciągu godziny. Wychodziła już z domu w zimowym rynsztunku, z aparatem przewieszonym przez ramię, gdy usłyszała z komputera sygnał przychodzącego e-maila, wróciła więc, by zobaczyć, kto do niej napisał. Zdjęła rękawiczki i wzięła do ręki myszkę. E-mail był od Finna.

„Jesteś najbardziej uroczą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Żałuję, że nie ma cię tutaj ze mną dzisiaj. I że nie będzie mnie wśród tych dzieci jeżdżących na sankach w Central Parku. Powinnaś zabrać mnie tam ze sobą. Finn”.

Uśmiechnęła się, czytając tę odpowiedź. Znowu pokazał jej swoją chłopięcą stronę. Ale nie odpisała, włożyła rękawiczki i wyszła z domu. Nie bardzo wiedziała, co miałaby mu napisać, a przede wszystkim nie była zdecydowana na

rozpoczęcie z nim regularnej korespondencji. Nie zamierzała podjąć tej gry, nie chciała go zwodzić.

Przed potężnym budynkiem Mercer Hotel na rogu Prince Street złapała taksówkę. Przejazd do Central Parku zajął jej pół godziny. Niektóre ulice zostały już odśnieżone, choć nie wszystkie, więc jechali powoli. Kierowca zatrzymał się przy południowym krańcu parku i tam wysiadła, po czym ruszyła przed siebie, mijając teren zoo. W końcu doszła do pagórka, z którego dzieci zjeżdżały na sankach. Niektóre miały sanki drewniane, inne zjeżdżały na specjalnych tarczach z tworzywa sztucznego, a niektóre po prostu na plastikowych torbach, przywiązanych do pupy przez rodziców. Matki stały nieopodal, przyglądając się, i przytupywały dla rozgrzewki, a ojcowie podbiegali i podnosili dzieci po wywrotkach. Dzieci śmiały się i wrzeszczały z radości. Hope ukradkiem robiła zdjęcia, używając teleobiektywu i starając się uchwycić wyraz zachwyty i szczęścia w ich oczach. I zupełnie niespodziewanie sceny, które chciała uwiecznić, boleśnie ugodziły ją w samo serce. Nie mogła opanować tego bólu w żaden inny sposób, niż tylko odwracając się od hałasujących dzieci. Miała w oczach łzy, tym razem nie z powodu zimna. Zrobiła kilka zdjęć oszronionym drzewom, żeby na chwilę oderwać uwagę od rozbawionych dzieci, ale to nie pomogło. Stała więc na śniegu z bolącym sercem, bez tchu, a łzy paliły jej twarz. Wreszcie przewiesiła aparat przez ramię, odwróciła się i oddaliła od pagórka. Szybkim krokiem opuściła park, wstrząśnięta, jakby zobaczyła zjawę, i nie zwolniła, póki nie znalazła się na Piątej Alei. Ruszyła nią w stronę południowej części Manhattanu, do domu. Taka rzecz nie zdarzyła jej się już od lat. Nawet kiedy znalazła się już w swoim lotcie, nadal nie mogła przyjść do siebie.

Zdjęła kurtkę i stała przy oknie przez długą chwilę. A kiedy się odwróciła, zobaczyła na ekranie komputera e-mail od Finna, ten, który przyszedł rano. Przeczytała go ponownie. Nie miała jednak dość energii, żeby odpowiedzieć. Czuła się wewnętrznie pusta i osłabiona po emocjach, jakie dopadły ją w parku. A kiedy wstała od komputera, uprzytomniła sobie, że to właśnie dziś jest wigilia Bożego Narodzenia, i przez to poczuła się jeszcze gorzej. Zawsze starała się unikać wspomnień związanych ze świętami, zwłaszcza po rozwodzie. W parku, gdzie patrzyła na rozdokazywane dzieci, wróciło wszystko to, co zazwyczaj udawało jej się odsunąć od siebie, i rozłożyło ją na łopatki. Włączyła telewizor, żeby zająć czymś uwagę, ale natrafiła akurat na chór dziecięcy śpiewający kolędy. Z gorzkim uśmiechem wyłączyła telewizor. Wróciła do komputera w nadziei, że jeśli zacznie pisać do Finna, poczuje się lepiej. Nie miała zresztą nic innego do roboty. Zbliżała się noc, która, dobrze o tym wiedziała, będzie długa i smutna. Czekala ją męcząca droga przez tę noc.

„Witam cię. To Wigilia, a ja nie mogę się pozbierać - zaczęła pisać szybko. - Nienawidzę tych świąt. Dziś dopadły mnie widma przeszłości. Czuję się wykończona. Mam nadzieję, że dobrze się bawisz w towarzystwie Michaela. Hope”.

W Londynie była już północ, więc nie spodziewała się żadnego więcej listu. Jeśli w ogóle, to nazajutrz. Tym bardziej zdumiała się, gdy znowu usłyszała sygnał przychodzącego e-maila. To była odpowiedź Finna. Wysłana błyskawicznie.

„Wyślij widma przeszłości do wszystkich diabłów. Zamknij się przed nimi na klucz, żeby nie mogły cię dosięgnąć. W życiu ważna jest przyszłość, nie przeszłość. Ale ja też nie lubię tych świąt. Chciałbym się z tobą spotkać. Jak najprędzej. Finn”.

List był krótki, utrzymany w rzeczowym tonie. Trochę ją przestraszył. Dlaczego Finn chciał się z nią znowu zobaczyć? Dlaczego zaczęli do siebie pisać? A co jeszcze bardziej istotne - dlaczego ona pisała do niego? Na to pytanie nie znalazła odpowiedzi. I nie miała pojęcia, czego od niego oczekuje.

Ona mieszkała w Nowym Jorku, on pod Dublinem. Prowadzili osobne życie, mieli odmienne zainteresowania. Zrobiła z nim sesję zdjęciową na życzenie jego wydawcy, i nic więcej ich nie łączyło. A mimo to wciąż myślała o tym, co usłyszała od niego podczas wspólnej kolacji, wciąż wspominała jego oczy, kiedy na nią patrzył. Czuła, że jest pod jego urokiem, ale przecież i on w swoim pierwszym e-mailu napisał, że jest nią zauroczony. To znowu wytrąciło ją z równowagi, ale mimo wszystko odpowiedziała mu, upominając samą siebie, żeby to, co pisze, było bardziej optymistyczne i mniej osobiste. Nie miała ochoty rozpoczynać z nim jakiegoś dziecinnego, korespondencyjnego romansu tylko dlatego, że to był czas Bożego Narodzenia i czuła się samotna. Wiedziała przecież, że byłby to wielki błąd. Nie był dla niej odpowiednim partnerem, zresztą z pewnością otaczał go wianuszek kobiet. Nie zamierzała zostać jedną z wielu kobiet, nie miała też ochoty z nikim rywalizować o jego względy.

„Dzięki. Wybacz mi ten emocjonalny e-mail. Już wszystko w porządku. Ciepła kąpiel i mocny sen pomagają na smutki. Wszystkiego dobrego. Hope”.

Kiedy wysłała ten e-mail, poczuła się trochę lepiej. Odpowiedź znowu nadeszła błyskawicznie. Czuło się w niej rozdrażnienie.

„Świąteczne smutki są czymś normalnym u ludzi, którzy mają powyżej dwunastu lat. Czemu napisałaś «Wszystkiego dobrego»? To miało być pożegnanie? Nie bądź taka tchórzliwa. Przecież cię nie zjem. Nie jestem widmem przeszłości. Zostaw te brednie. Wypij kieliszek szampana. To zawsze pomaga. Całuję. Finn”.

- Ładny pasztet! - powiedziała do siebie, kiedy to przeczytała. - „Całuję"! Co ja narobiłam!

I zdenerwowała się jeszcze bardziej. Postanowiła nie odpowiadać. Ale skorzystała z jego rady i napełniła kieliszek winem. Jego e-mail tkwił na ekranie monitora przez cały wieczór, ale nie zwracała na niego uwagi. Przeczytała go jeszcze raz dopiero przed snem. I uznała, że to nic nie znaczy. Ale na wszelki wypadek lepiej zostawić go bez odpowiedzi. Gdy wdrapała się na antresolę, na której sypiała, była pewna, że nazajutrz poczuje się lepiej. Kiedy odwróciła się, żeby wyłączyć światło, jej wzrok padł na fotografię młodziutkiej tancerki. Patrzyła na nie przez dłuższą chwilę, po czym nakryła się kołdrą aż po uszy.

Rozdział piąty

Zgodnie z własnymi przewidywaniami, nazajutrz rano Hope poczuła się lepiej. Było to w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, ale nie miała żadnego powodu, by spędzić go inaczej niż każdy dzień powszedni. Zadzwoiła do Paula, który pływał na jachcie, i to było z jej strony jedyne ustępstwo na rzecz święta. Odniosła wrażenie, że Paul czuje się nieźle, choć przeziębził się na pokładzie samolotu, kiedy opuszczał Londyn, a każde przeziębienie było dla niego niebezpieczne. Złożyli sobie życzenia świąteczne, starannie unikając drażliwych tematów, i rozłączyli się po trzech minutach. Potem wyjęła pudło z fotografiami, które miała przygotować na wystawę, i oglądając jedną po drugiej, spędziła nad nimi parę godzin. Kiedy podniosła głowę znad fotografii, była już druga po południu. Postanowiła pójść na spacer. Rzuciła okiem na ostatni, wczorajszy e-mail od Finna, po czym wyłączyła komputer. Nie powinna robić mu nadziei, nie powinna zaczynać czegoś, czego nie będzie umiała ani zakończyć, ani pociągnąć dalej.

Ubrała się i wyszła na ulicę. Powietrze było chłodne i rześkie. Mijała ludzi, którzy szli złożyć komuś świąteczną wizytę, i tych, którzy wychodzili z restauracji hotelu Mercer. Szła ulicami SoHo, a potem East Village. Popołudnie było słoneczne i śnieg, który spadł poprzedniego dnia, zaczynał topnieć. Po jakimś czasie, czując się już całkiem dobrze, wróciła do swojego loftu i jeszcze trochę pracowała. O ósmej wieczorem zorientowała się, że nie ma w domu nic do jedzenia. Pomyślała, że wobec tego pójdzie spać bez kolacji. Ale czuła głód. Zdecydowała się więc wyjść i kupić coś w najbliższym sklepie z jedzeniem na wynos, na przykład kanapkę i porcję zupy. Ten dzień okazał się dla niej mniej trudny od poprzedniego, a nazajutrz zamierzała pojechać do galerii w północno-wschodniej części Manhattanu, gdzie była umówiona w sprawie wystawy swoich prac. Kiedy wkładała płaszcz, pomyślała, że tak oto przebrnęła szczęśliwie przez kolejne Boże Narodzenie, i ta myśl podniosła ją na duchu. Obawiała się świąt, ale tym razem, jeśli pominąć załamanie, które przeżyła w Central Parku, nie było wcale tak źle. Uśmiechnęła się na widok pieczonych indyków leżących rzędem w oszklonym bufecie sklepu, gotowych wjechać na stół, gdyby ktoś w ostatniej chwili zapragnął jeszcze świątecznej kolacji.

Zamówiła kanapkę z indykiem i galaretką żurawinową oraz porcję rosółu. Sprzedawca znał ją z widzenia, więc spytał, jak spędziła świąteczny dzień.

- Dobrze się bawiłam - odpowiedziała i uśmiechnęła się, kiedy zajrzał w jej ciemnofioletkowe oczy. Z tego, co kupowała i w jakich ilościach, mógł łatwo

odgadnąć, że żyje samotnie. A wystarczyło na nią spojrzeć, by zgadnąć, że jada niewiele. Była szczupła i bardzo delikatna.

- Mogę pani polecić ciastka z nadzieniem. - Wydawało mu się, że powinna lepiej się odżywiać. - Jabłecznym albo dyniowym. Mam też paszteciki...

Potrząsnęła głową, ale sięgnęła po pojemnik lodów ja-jeczno-rumowych, które zawsze lubiła. Zapłaciła i podziękowała, życząc mu wesołych świąt, po czym zapakowała zakupy do brązowej papierowej torby. Miała nadzieję, że po drodze nie rozleje zupy, a lody nie zdążą się rozpuścić. Kiedy wchodziła po schodkach prowadzących do frontowych drzwi, skoncentrowana na tym, żeby nie zawadzić torbą o stopień, nie od razu zauważyła odwróconego plecami mężczyznę, który uważnie czytał nazwiska na dzwonekch domofonu. Pochylał się przy tym, bo w słabym świetle napisy były ledwie widoczne. Stała za nim, zamierzając otworzyć drzwi kluczem, gdy nagle się odwrócił. Spojrzała na niego i z wrażenia aż się zachłysnęła. To był Finn. Miał czarną wełnianą czapkę, dzinsy i grubą tweedową kurtkę. Na jej widok uśmiechnął się szeroko, promiennie.

- No proszę. Jesteś. To mi ułatwi życie. Bo omal nie oślepiłem, próbując znaleźć tu twoje nazwisko. Okulary zostawiłem w samolocie.

- Ale co ty tu robisz? - zapytała, bezgranicznie zdumiona.

- Pomyślałem, że mógłbym wpaść do ciebie i spytać, dlaczego nie odpowiedziałaś na mojego e-maila.

Był odprężony i w dobrym humorze. Stali wciąż na stopniach. Finn wyjął jej z rąk torbę z brązowego papieru. Nie miała pojęcia, dlaczego przyleciał do niej z Londynu, i była tym trochę przerażona. Wydawało jej się to stanowczo za śmiałe. Czowała się zbita z tropu.

- Uważaj, nie rozlej. Tam jest zupa - odezwała się, i zupełnie nie miała pomysłu, co jeszcze mogłaby powiedzieć. - Wejdiesz na górę?

I nic więcej naprawdę nie przyszło jej do głowy. Przecież nie mogła ominąć go i zostawić samego na tych schodkach.

- Bardzo chętnie - powiedział z uśmiechem.

Ale Hope się nie uśmiechnęła. Wpadła w lekką panikę. Wkroczył do jej świata bez zaproszenia, nawet bez uprzedzenia. A teraz patrzył na nią tak łagodnie. Zauważył jej przestach.

- Jesteś na mnie zła za mój przyjazd?

Miał zatroskaną minę. Wiatr rozwiewał jej włosy.

- Nie. Tylko zastanawiam się, dlaczego to zrobiłeś.

- I tak musiałem spotkać się z agentem. I z wydawcą. Ale prawdę mówiąc, bardzo chciałem zobaczyć się z tobą. Odkąd wyjechałaś, myślałem tylko o tobie. Nie wiem dlaczego, ale jakoś nie mogę o tobie zapomnieć.

Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi, zastanawiając się, czy nie powinna raczej wrócić do sklepu i dokupić trochę jedzenia. Nie była pewna, czy należy gniewać się na niego za to, co zrobił, bez pytania jej o zgodę. Wiedziała, że jest impulsywny, choć przy tym pełen wdzięku. Wiedziała to już wtedy, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Trudno było długo się na niego gniewać. A jej przestkach zaczął się rozwiewać już na schodach.

Bez dalszych komentarzy otworzyła drzwi mieszkania. Jedzenie zaniósła do kuchni, lody wstawiła do lodówki, ratując je przed roztopieniem, i dopiero potem przeniosła na niego wzrok. Oglądał zdjęcia rozwieszane na ścianach.

- To najpiękniejsza baletnica, jaką kiedykolwiek widziałem - powiedział, oglądając zdjęcie z wielką uwagą. - Jest taka podobna do ciebie. Czy to jest twoje zdjęcie z młodości?

Potrząsnęła głową i zaprosiła go do stołu. Zaproponowała mu kieliszek wina, ale odmówił. Rozglądał się po tym pełnym spokoju i prostoty pomieszczeniu, podczas gdy ona zapalała świece. Wreszcie usiadła naprzeciw niego na kanapie. .

- Mam nadzieję, że to, co ci napisałam, nie było przyczyną twojego przyjazdu - powiedziała cicho, wciąż jeszcze nie mogąc się przyzwyczaić do jego obecności. Z początku obwiniła siebie, że może mimo woli go do tego zachęciła, ale potem uznała, że nic takiego nie miało miejsca.

- Wydawało mi się, że jesteś bardzo smutna. I tęskniłem za tobą, chociaż nie wiem dlaczego. Prędzej czy później i tak musiałbym przylecieć do Nowego Jorku. Więc pomyślałem, że mogę to zrobić teraz, zanim skończę książkę i zacznę następną. Za parę miesięcy już by mi się nie chciało. A poza tym ja też byłem smutny, bo z rana wyjechał Michael, wcześniej, niż pierwotnie zamierzał. Nie martw się. Nie przyjechałem po to, żeby cię zmuszać do czegokolwiek.

Wiedziała, że w kobietach mógł wybierać i przebierać, gdyby tylko chciał. Nie potrafiła tylko odgadnąć, czego oczekiwał od niej. Chciała się z nim podzielić swoją kanapką z indykiem, ale uśmiechnął się i potrząsnął głową. Ten przyjazd był z jego strony czymś zupełnie szalonym. Nie wiedziała, czy bardziej ją to przeraża, czy bardziej jej schlebia. Może jedno i drugie w równej mierze.

- Nic mi nie potrzeba. Jadłem w samolocie. Ale dotrzymam ci towarzystwa.

Czuła się głupio, że je kanapkę w jego towarzystwie, gdy on tylko patrzy, więc ją odsunęła. Zgodził się zjeść z nią do spółki zupę i lody. Ale zanim doszli do lodów, rozśmieszył ją wiele razy, opowiadając różne historyjki, i zaczęła się z wolna odprężyć, mimo że przyjmowała właśnie niezapowiedzianą wizytę człowieka, którego prawie nie знаła. Do jego widoku w tym pomieszczeniu nie mogła się przyzwyczaić. Choć on najwyraźniej czuł się w jej łofcie jak u siebie w domu.

Właśnie kończyli lody, kiedy zapytał o baletnicę.

- Dlaczego pomyślałem, że to ty?

Było to dla niego tym dziwniejsze, że baletnica z fotografii w przeciwieństwie do Hope miała jasne włosy. Ale dostrzegał jakieś podobieństwo między nimi, coś w rysach twarzy i w spojrzeniu. Wzięła głęboki oddech i powiedziała coś, czym przedtem w ogóle nie zamierzała się z nim dzielić.

- To moja córka, Camille. Był wyraźnie zaskoczony.

- Więc skłamałaś - powiedział urażony. - Mówiłaś, że nie masz dzieci.

- Nie mam dzieci - odpowiedziała spokojnie. - Camille umarła trzy lata temu.

Miała dziewiętnaście lat.

Oboje milczeli przez długi czas.

- Przepraszam - odezwał się wreszcie.

Wydawał się wstrząśnięty. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej dłoni, i spojrzał jej w oczy.

W porządku, pomyślała. Kiedyś było kiedyś, a teraz jest teraz. To powiedzonko znała od tybetańskich mnichów.

- Można nauczyć się żyć ze wszystkim, co nas spotkało.

- Była piękną dziewczyną - powiedział, spojrzawszy znowu na fotografię. I przeniósł wzrok na Hope. - Co się z nią stało?

- Studiowała w Dartmouth. Na tej samej uczelni, na której wykładał mój ojciec, kiedy byłem dzieckiem. W tamtym czasie ojciec już nie żył. Pewnego razu zadzwoniła do mnie z rana. Po głosie poznałam, że jest bardzo przeziębiona. Jej koleżanka z pokoju zaprowadziła ją do izby chorych. Zadzwonili do mnie pół godziny później. To było zapalenie płuc. Wtedy rozmawiałam z nią znowu, jej głos brzmiał coraz bardziej niepokojąco. Wsiadłam do samochodu i z Bostonu pojechałam prosto do niej. Paul zabrał się razem ze mną. Umarła godzinę przed naszym przyjazdem. Nic się nie dało zrobić, żeby ją uratować. Tak to było.

Dwie łzy stoczyły się po jej policzkach, ale wzrok miała spokojny. Finn patrzył na nią uważnie. Wydawał się bardzo przejęty jej opowieścią.

- W lecie występowała z zespołem New York City Ballet. Miała nawet taki pomysł, żeby nie iść na studia i zająć się tylko tańcem. Była zdolna, okazało się, że potrafiła to połączyć. Mieli przyjąć ją na stałe do zespołu zaraz po dyplomie. A nawet wcześniej, gdyby tylko chciała. Była świetną tancerką. Nazywaliśmy ją Mimi.

Głos Hope był cichy jak szept, kiedy po chwili dodała:

- Bardzo za nią tęsknię. A Paul po jej śmierci nigdy już nie przyszedł do siebie. To była ta ostatnia kropla, która przelała dzban. Chorował wtedy już od wielu lat, i pił w tajemnicy. Kiedy umarła, nie trzeźwiał przez trzy miesiące. Jeden z jego

kolegów, lekarzy z Harvardu, zrobił mu operację. Paul leżał potem w szpitalu i stopniowo tracił kontakt ze światem. Wtedy postanowił, że się ze mną rozwiedzie. Zresztą może byłam za bardzo podobna do Mimi. I mój widok przypominał mu o stracie. Sprzedał swoje papiery wartościowe, kupił jacht i zostawił mnie. Powiedział, że nie życzy sobie, żebym siedziała przy nim, póki nie umrze, twierdził, że nie zasłużyłam na taki los. Ale prawda była trochę inna. Straciliśmy Mimi. Oboje byliśmy załamani, i dlatego rozpadło się nasze małżeństwo. Nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. On wystąpił o rozwód, a ja wyjechałam do Indii. Kochamy się jeszcze teraz, ale wydaje mi się, że ją kochaliśmy bardziej. Po jej śmierci niewiele zostało z naszego związku. Wraz ze śmiercią Mimi w nas także coś umarło. On nie jest już tym człowiekiem, którym był wcześniej. Ja też się chyba zmieniłam. Trudno jest znieść coś takiego i nie rozsypać się na kawałki. I tak to wygląda. Nie chciałam o tym powiedzieć, kiedy spotkaliśmy się w Londynie. Nie opowiadam o tym prawie nikomu. To zbyt smutna historia. Bez Mimi moje życie się zmieniło. Teraz wypełnia je tylko praca. Nie zajmuję się niczym innym. Lubie pracować. To mi pomaga przetrwać.

- O mój Boże - powiedział Finn ze łzami w oczach.

Hope odgadła, że pomyślał o swoim synu. - Nie umiem sobie nawet wyobrazić takiego cierpienia. Pewnie by mnie od razu zabiło.

- Mnie też omal nie zabiło - powiedziała, gdy usiadł na kanapie obok niej i objął ją ramieniem. Nie zaprotestowała. Czowała się lepiej, kiedy był przy niej. Nie lubiła opowiadać tej historii i prawie nigdy tego nie robiła, ale co wieczór patrzyła na fotografię wiszącą na ścianie i nigdy ani na chwilę nie przestawała o tym myśleć. - Pomogła mi podróż do Indii. I do Tybetu. Znalazłam wspaniały klasztor w Gan-den i miałam tam wyjątkowego nauczyciela. To on pomógł mi pogodzić się z tym wszystkim. Bo przecież trzeba się z tym pogodzić. Nie ma wyboru.

- A twój były mąż? Jak sobie z tym radzi? Wrócił do picia?

- Nie. Teraz jest zawsze trzeźwy. Bardzo się posunął w ciągu ostatnich trzech lat, jego choroba jest coraz bardziej zaawansowana. Trudno powiedzieć, czy to z powodu Mimi, czy stało się tak naturalną kolejną rzeczą. Bez Mimi nasze życie straciło sens. To ona była w centrum naszej uwagi. Kiedy odeszła, zagubiliśmy się.

Przeżyty ból odcisnął swoje piętno na jej pracach. Rozumiała bardzo dobrze, czym jest ludzkie cierpienie, i to było widać na fotografiach, które robiła.

- Mogłabyś jeszcze wyjść za mąż i mieć dziecko - powiedział miękko, nie wiedząc, jak ją pocieszyć.

Bo czy można pocieszyć kobietę, która straciła córkę? To, co mu opowiedziała, wydawało się okropne, i nie można jej było pomóc. Był wstrząśnięty. Hope otarła oczy i uśmiechnęła się.

- Technicznie to byłoby możliwe. Ale nie ma pewności, czyby się udało. I nie widzę w tym sensu. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym teraz wyjść za mąż. Nie spotykałam się z żadnym mężczyzną po rozwodzie z Paulem.

Po prostu nie poznałam nikogo, z kim miałabym ochotę się umówić. Me jestem na to gotowa. Rozwiedliśmy się dwa lata temu. Trzy lata temu umarła Mimi. Straciłam bardzo dużo w bardzo krótkim czasie. Zanim poznam kogoś odpowiedniego, jeśli to kiedykolwiek nastąpi, minie znowu parę lat. Wtedy już będę za stara. Mam czterdzieści cztery lata. I właściwy czas już minął, w każdym razie minie lada chwila. A poza tym to by już nie było to samo.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale masz jeszcze przed sobą wiele lat życia. Nie możesz przeżyć ich całkiem samotnie. Nie powinnaś. Jesteś piękną kobietą, Hope. Masz w sobie tyle ciepła. Nie wolno ci zamykać się w sobie.

- Prawdę mówiąc, nie myślę o tym za dużo. A przynajmniej staram się za dużo nie myśleć. Rano wstaję i zajmuję się tym, co dzień przynosi. To przecież niemało. Wszystkie siły inwestuję w to, co mam do zrobienia.

Był o tym przekonany.

Bez słowa mocno ją przytulił. Pewnie chciałby osłonić ją przed całym tym bólem. W jego objęciach poczuła się zdumiewająco dobrze. Nikt jej nie objął od wielu lat. Nawet nie pamiętała, kiedy zdarzyło się to po raz ostatni. I teraz nagle poczuła radość, że przyjechał, że z nią jest. Ledwie go знаła, ale jego obecność wydała się darem losu.

Finn siedział przy niej bez ruchu przez długi czas. Uśmiechnęła się do niego. Tak dobrze było siedzieć razem w milczeniu. Wreszcie rozluźnił uścisk. Hope wstała, żeby zaparzyć sobie herbatę, a jemu nalać kieliszek wina. Poszedł za nią do kuchni i nałożył sobie jeszcze jedną porcję lodów. Chciał nałożyć i dla niej, ale potrząsnęła głową. Pomyślała, że może jest jeszcze głodny. Dla niego była to już późna noc. W Londynie dochodziła czwarta nad ranem.

- Może chcesz jajecznicę? Nie mam w domu nic oprócz jajek.

- Wiem, że to zabrzmiało dziwnie - powiedział, zawstydzony - ale zjadłbym coś chińskiego. Umieram z głodu. Macie tu w okolicy jakieś miejsce w tym guście?

W Boże Narodzenie prawie wszystko było pozamykane, ale, owszem, niedaleko znajdowała się chińska restauracja, która zawsze była otwarta do późnej nocy. Hope zadzwoniła tam i okazało się, że jest otwarta także w święto. Ale nie można było dostać nic na wynos.

- Idziemy? - spytała. Kiwnął głową.

- Masz ochotę iść ze mną? Jeśli jesteś zmęczona, pójdę sam. Ale byłoby miło wybrać się razem.

Uśmiechnęła się, a on znów otoczył ją ramieniem. Wydawało mu się, że coś ważnego wydarzyło się między nimi tego wieczoru. I ona też tak pomyślała.

Ubrali się i wyszli. Była już prawie jedenasta i trzymał mróz. Szli szybkim krokiem w stronę chińskiej restauracji. Rzeczywiście, była jeszcze otwarta i ku ich zaskoczeniu wcale nie pusta. Wewnątrz było dość gwarno, zapachy buchały aż na ulicę, a z kuchni dochodziły pokrzykiwania chińskich kucharzy. Kiedy siadali przy stoliku, Finn uśmiechnął się szeroko.

- Właśnie tego mi było trzeba.

Wydawał się zadowolony i rozluźniony. I ona poczuła się tak samo.

Złożyła zamówienie, bo dobrze знаła to miejsce i jego kuchnię. Szybko przyniesiono im jedzenie, więc oboje pochylili się nad talerzami. Nie miała pojęcia, że jest taka wygłodzona. Jak dwa głodomory, zjedli wszystko do czysta, rozmawiając o sprawach dużo lżejszych i przyjemniejszych niż dotąd przez cały wieczór. Nie wspomnieli już ani razu o Mimi, choć oboje o niej myśleli. Po kolacji siedzieli jeszcze chwilę przy stole, rozmawiając. Wszyscy wokół byli w dobrych humorach. Dla niektórych to było najlepsze zakończenie świątecznego dnia.

- Wolę to, niż wcinać indyka. - Hope się zaśmiała. Finn też się uśmiechnął.

- Tak, ja też wolę. Dobrze, że tu ze mną przyszłaś.

Zatrzymał na niej wzrok na dłużej. Był bardzo poruszony jej historią. Teraz już wiedział, przez co musiała przejść. Wydawała się taka bezbronna i samotna.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała od niechcienia.

- Zwykle zatrzymuję się w hotelu Pierre - powiedział, wygodnie rozparty na krześle. Był najedzony do syta i szczęśliwy. Uśmiechnął się do niej. - Ale tym razem wzięłem pokój w Mercerze, bo stamtąd mam blisko do ciebie.

Tak naprawdę przyjechał do Nowego Jorku tylko po to, żeby się z nią zobaczyć. To ją z początku przerażyło, ale teraz nie miała już nic przeciwko tej wizycie. W jego towarzystwie czuła się bardzo dobrze. I wydawało jej się, że przy nim wszystko jest na swoim miejscu. Ledwie się znali, ale jej opowieść o śmierci Mimi związała ich ze sobą.

- To całkiem niezły hotel - powiedziała, starając się ukryć zaskoczenie, że zamieszkał tak blisko. Bo wciąż jeszcze nie otrząsnęła się całkiem z zaskoczenia.

- Wszystko mi jedno, czy jest dobry, czy byle jaki - odparł. - Bo chodziło mi tylko o to, żeby się z tobą spotkać. I dziękuję ci, że nie rozgniewałaś się na mój widok.

- Muszę przyznać, że było to niekonwencjonalne posunięcie. - Nie mogła zapomnieć własnego zdumienia, kiedy go zobaczyła na schodkach przed frontowymi drzwiami. - Ale także miła niespodzianka. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek przyleciał kiedyś z daleka tylko po to, żeby mnie zobaczyć.

Kelner przyniósł im ciasteczka z wróżbą i rachunek. Hope parsknęła śmiechem, kiedy przeczytała swoją wróżbę, i podsunęła mu karteczkę.

„Spodziewaj się wizyty przyjaciela”.

Finn roześmiał się na cały głos i podsunął jej swoją karteczkę.

„Niebawem usłyszysz dobrą wiadomość”.

- Podoba mi się to - powiedział. - Zazwyczaj dostawałem sentencje w rodzaju: „Nauczyciel to skarbnica rozumu”. Albo: „Nie zapomnij rozwiesić prania”.

- Ja też.

Wrócili powoli do niej i pożegnali się przed frontowymi drzwiami. Zanim do niej przyszedł, zostawił torbę podróżną w hotelu. Była już prawie pierwsza w nocy. W Londynie szósta rano. Finn był wykończony.

- Cieszę się, że przyjechałeś, Finn - powiedziała cicho. Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

- Ja też się cieszę, że to zrobiłem. I bardzo mi smakowała nasza świąteczna kolacja. Powinniśmy odtąd zawsze w święta zamiast indyka jeść coś chińskiego. Zadzwoń do ciebie jutro rano - obiecał i pomachał jej, kiedy wchodziła do budynku.

Odszedł w stronę hotelu. A ona, idąc po schodach, myślała o Finnie. To było takie niespodziewane, ale w sumie przyjemne. Nieczęsto jej się zdarzały podobne spotkania.

Właśnie się rozbierała, kiedy komputer zasygnalizował, że przyszła poczta. E-mail był od Finna.

„Dzięki za cudowny wieczór. To było najlepsze Boże Narodzenie w moim życiu. I nasze pierwsze wspólne święto. Spij dobrze”.

Tym razem zamierzała odpowiedzieć. Przez chwilę jeszcze siedziała przy biurku, zastanawiając się. To wszystko było jednak troszkę przytłaczające. I nie wiedziała, co o tym myśleć. .

„Ja też ci dziękuję. Do zobaczenia jutro”.

Popatrzyła na zdjęcia Mimi i wstała od biurka. Była nawet zadowolona, że opowiedziała Firmowi tę historię. Dzięki temu w jakiś dziwny sposób wspomnienia odżyły. Mimi miałyby teraz dwadzieścia dwa lata. Wciąż tak trudno uwierzyć w to, że jej nie ma. To zdumiewające, że można pojawić się w czyimś życiu, być, a potem nagle zniknąć. A znów inni przychodzą wtedy, kiedy najmniej się ich spodziewamy. I Finn, w tym momencie, kiedy się zjawił, był dla niej

błogosławieństwem. Była mu wdzięczna, że spędził z nią ten świąteczny wieczór. Postanowiła nie niepokoić się, co będzie dalej, tylko cieszyć się każdą wspólnie spędzoną chwilą.

Rozdział szósty

Finn zadzwonił nazajutrz i zaprosił ją na śniadanie w hotelowej restauracji. Nie miała nic pilnego do roboty, więc chętnie się do niego przyłączyła. Czekał na nią w holu. Wyglądał równie przystojnie jak w Londynie, ubrany w czarny sweter z golfem i dzinsy. Jego ciemne włosy wydawały się świeżo wyszczotkowane. Był wyspany, choć przyznał, że jest już na nogach od paru godzin. Spacerował po okolicy, oglądał wschód słońca. Najwyraźniej żył nadal według czasu londyńskiego.

Hope zamówiła jajka sadzone z szynką i sosem holenderskim, a Finn - gofry. Powiedział, że odkąd zamieszkał w Europie, tęskni za goframi, bo, co prawda, i tam można je dostać, ale to nie to samo. Ciasto robią tam według innych przepisów, a we Francji, jak zauważył z oburzeniem, dodają do niego cukier. Po czym wyjątkowo obficie poleił swoje gofry syropem klonowym. Hope się śmiała. Zasłodził je na amen, ale minę miał wniebowziętą, gdy wziął do ust pierwszy kęs.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytał, kiedy wypili kawę.

- Jadę do galerii, która wystawia niektóre moje zdjęcia z Indii. Chcesz ze mną jechać?

- Bardzo chętnie. Przy okazji obejrzę wystawę.

Po śniadaniu wzięli taksówkę. Finn był pod wielkim wrażeniem zdjęć, które zobaczył. Galeria była prestiżowa, a wystawa została urządzona bardzo ładnie. Potem spacerowali wzdłuż Madison Avenue, aż zaszli do Central Parku, gdzie wciąż jeszcze leżało dużo czystego śniegu. Na ulicach już topniał i zamieniał się w błoto, ale w parku pozostał nieskazitelnie biały.

Podczas spaceru wypytywał ją o Indie, Tybet i Nepal. Po drodze zatrzymali się przy wózku sprzedawcy używanych książek i znaleźli jedną z jego pierwszych powieści. Hope chciała ją kupić, ale Finn ją od tego odwoził, bo akurat tej książki nie lubił. Zaczęli rozmawiać o jego książkach i o agentach, z których usług korzystał. On był pełen podziwu dla jej sukcesów, a ona z respektem odnosiła się do National Book Award, nagrody literackiej, która przypadła mu w udziale. Doceniali nawzajem swoją pracę i mieli podobne poglądy na wiele spraw. Kiedy wychodzili z parku, Finn zaproponował jej przejażdżkę konnym powozem. Jechali nim, owinięci jednym pledem, chichocząc jak dzieci.

Kiedy przejażdżka dobiegła końca, była już pora posiłku. Zaprosił ją do La Grenouille, gdzie było bardzo elegancko. Zjedli doskonały obiad. Finn lubił dobrze zjeść, natomiast Hope często rezygnowała z obiadu albo z kolacji. To ich różniło. Potem przeszli pieszo Piątą Aleję, jak to często robiła, i doszli aż do SoHo. Po spacerze oboje byli zmęczeni. Ale spędzili razem bardzo przyjemny

dzień. Odprowadził ją do domu i pożegnał się, mówiąc, że wraca do hotelu, żeby się zdrzemnąć.

- Ale możemy zjeść razem kolację, chyba że masz coś lepszego do roboty? Bo nie chciałbym zająć ci całego wolnego czasu - powiedział z wahaniem. Choć przecież właśnie po to przyleciał do Nowego Jorku.

- Bardzo chętnie, jeśli tylko nie jesteś mną znudzony - odpowiedziała z powściągliwym uśmiechem. - Lubisz kuchnię tajską?

Potwierdził z entuzjazmem. Zaproponowała restaurację w East Village.

- Przyjdę po ciebie o ósmej - zapowiedział i pocałował ją w czoło.

Wróciła do swojego loftu, a on poszedł spacerkiem do hotelu. I chociaż starała się o nim nie myśleć, myślała prawie bez przerwy przez kilka następnych godzin. Lubiła spędzać z nim czas, był ciekawym rozmówcą, charyzmatyczną osobowością. I sama nie wiedziała, co ma o tym myśleć.

Kiedy przyszedł po nią wieczorem, miała na sobie szare spodnie i różowy sweter. Przed wyjściem wypili po kieliszku wina. Tym razem nie powiedział już ani słowa na temat fotografii Mimi, podziwiał za to inne fotografie wiszące na ścianach loftu. Powiedział, że nazajutrz chciałby się wybrać do Museum of Modern Art, żeby zobaczyć kilka jej dawniejszych prac.

- Nie znam innego fotografa, którego prace wisiałyby w muzeach - powiedział z nieskrywanym podziwem.

- Z pisarzy, których znam, nikt oprócz ciebie nie dostał National Book Award ani tytułu lordowskiego - odpląciła mu tą samą monetą. - To mi przypomina, że podobno powinnam mówić do ciebie „sir”, czy to prawda?

- Jasne, zwłaszcza jeśli chcesz mnie rozśmieszyć. Zawsze czuję się dziwnie, kiedy przychodzi mi użyć tytułu. Ale sama ceremonia bardzo mi się podobała, bo poznałem królową.

- Z pewnością było wspaniale. - Uśmiechnęła się szeroko i zdjęła z półki pudło z tybetańskimi zdjęciami, które obiecała mu pokazać.

Fotografie zapierały dech z wrażenia. Wskazała mu kilka zdjęć mnichów, które szczególnie lubiła.

- Ale nie mogę pojąć, jak udało ci się nie odzywać przez cały miesiąc. Ja bym tak nie mógł. Nawet przez jeden dzień.

- To była fantastyczna rzecz. A potem, kiedy stamtąd wyjechałam, trudno mi było znowu zacząć mówić. Wszystko, co miałam do powiedzenia, wydawało mi się takie nieważne i zbędne. Marzę o tym, żeby kiedyś tam wrócić. W klasztorze zapowiedziałam, że wrócę na pewno.

- Chciałbym tam kiedyś pojechać. Ale pod warunkiem, że nie każą mi milczeć. Może pozwoliliby mi chociaż pisać?

- Kiedy tam byłam, prowadziłam dziennik. Kiedy nie mówisz, masz więcej czasu, żeby myśleć.

- Wyobrażam sobie - odpowiedział.

Spytała go, w której dzielnicy Nowego Jorku mieszkał jako dziecko.

- Upper East Side. Mojego domu już nie ma. Został rozebrany wiele lat temu. A mieszkanie, w którym urodził się Michael, znajdowało się przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Wschodniej. To była mała klitka. I zrobiła się o połowę mniejsza, gdy wstawiłem półki z książkami. Przeżyliśmy tam kilka prawdziwie chudych lat - powiedział z widocznym zażenowaniem. - Kiedy zmarli moi rodzice, okazało się, że nie zostały po nich żadne pieniądze. Oboje byli trochę rozrzutni. Zwłaszcza matka. To do jej rodziny należał dom w Irlandii. A ponieważ nie było męskich spadkobierców, po śmierci dziadków został sprzedany. Cieszę się, że zdołałem go odzyskać. Może Michael osiadzie w nim w przyszłości, choć obawiam się, że nie zechce mieszkać w Irlandii. Chyba że i on zostanie pisarzem.

Finn uśmiechnął się do swoich myśli. A Hope uśmiechnęła się do niego. Irlandia słynęła ze swojego zerowego podatku dla pisarzy. Sama знаła paru, którzy przeprowadzili się tam właśnie z tego powodu. Trudno się było oprzeć takiej pokusie.

Wyruszyli do tajskiej restauracji, w której zjedli doskonały obiad. A kiedy kończyli, Finn spytał, co zamierza robić w sylwestra.

- To samo, co robię każdego roku. - Uśmiechnęła się. - Położę się o dziesiątej wieczorem i będę spała. Nie znoszę świętowania na ulicy. Wszyscy wtedy są podpici i hałaśliwi. To świetna okazja, żeby siedzieć w domu.

- W tym roku moglibyśmy zrobić coś innego - powiedział. - Ja właściwie nie jestem wielkim entuzjastą takich rzeczy, ale trzeba przynajmniej raz spróbować. Czemu nie mielibyśmy pojechać na Times Square, żeby popatrzeć, jak opada świecąca noworoczna bomba? Widziałem to tylko w telewizji. Chociaż zgadzam się z tobą, że tłum nie jest zbyt przyjemny.

- Może warto będzie zrobić parę zdjęć - powiedziała po chwili wahania.

- Zatem spróbujmy. Jeśli nam się tam nie spodoba, zawsze można wrócić do domu.

Zastanowiła się i zaakceptowała jego pomysł.

- Jesteśmy umówieni. - Był wyraźnie zadowolony.

- Jak długo tu zostaniesz? - zapytała po deserze.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Mógłbym tu dokończyć poprawki, których oczekuje ode mnie wydawca. - Spojrzał na nią uważnie. - Reszta zależy od ciebie.

Poczuła, że ciarki chodzą jej po krzyżu. Nie miała pojęcia, co odpowiadać, kiedy zaskakiwał ją w taki sposób. Zdarzyło się to nie pierwszy raz. Domyślała się już, że przyleciał do Nowego Jorku wyłącznie ze względu na nią. Był to dla niej dar od losu, ale ciążyła jej związana z tym odpowiedzialność. Popatrzył na nią ponad stołem i wziął głęboki oddech, zanim wypowiedział następne zdanie.

- Wydaje mi się, że się w tobie zakochałem, Hope. Wolałaby, żeby te słowa nie padły. Nie wiedziała, jak powinna się zachować. „Daj mi znać, kiedy już będziesz pewny”. „Nie wygłupiaj się”. „Mnie też się wydaje, że cię kocham”. Jeszcze nie wiedziała, co czuje. Ale bardzo go lubiła. Tego była całkiem pewna. Любиła go jako przyjaciela czy jako mężczyznę? Było za wcześnie, żeby to wiedzieć.

- Nie musisz nic mówić - odezwał się, czytając w jej myślach. - Po prostu chciałem, żebyś wiedziała.

- Jak to możliwe, że już wiesz? Tak szybko? - spytała zmieszana.

Ale odkąd się pojawił, wszystko działo się bardzo szybko. Miała wątpliwości, czy w ich wieku tak może wyglądać miłość.

- Po prostu wiem - odparł. - Nigdy wcześniej nie przeżyłem czegoś takiego. Rozumiem, że dla ciebie to za szybkie tempo. Ale może czasami właśnie tak się to zaczyna. Mam swoje lata, wiem, kim jestem, co czuję i czego chcę. Wiem, że spotkałem właściwą osobę. Jesteśmy dorośli, wszystkie możliwe błędy popełniliśmy już lata temu. Czasy niewinności dawno się dla nas skończyły.

Sądziła, że on ma za sobą w tych sprawach nieporównanie więcej doświadczeń niż ona, ale nie miała ochoty o tym wspominać. Zresztą on to wiedział. Był uważnym obserwatorem. A ona przez blisko połowę życia trwała w jednym związku, w małżeństwie z Paulem. I dopiero od dwóch lat żyła samotnie.

- Nie chciałbym, żebyś się czuła do czegokolwiek zobowiązana ze względu na moje uczucia, Hope - powiedział. - Mamy mnóstwo czasu, żeby wszystko to poukładać sobie w głowach. Nie śpiesz się.

Musiała przyznać, że to, co powiedział, spadło na nią jak grom z jasnego nieba. I było zupełnie niepodobne do stylu Paula. Finn był nieprzewidywalny, zaskakujący, działał ze swobodą człowieka wolnego. A Paul, także w przeszłości, był pod każdym względem umiarkowany, poza tym skoncentrowany przede wszystkim na swojej pracy. Finn wydawał się bardziej zainteresowany życiem i światem. Jego świat był naprawdę rozległy, i to jej się w nim podobało. Dlatego, że ona także poszerzyła granice swojego świata w ciągu ostatnich paru lat. Była otwarta na nowe miejsca, nowych ludzi, nowe pomysły. W tym jej poszerzonym świecie znalazło się miejsce dla hinduskiej aśramy i tybetańskiego klasztoru. Nigdy by tam nie trafiła, dopóki nie straciła Mimi i nie rozstała się z Paulem.

Po kolacji odprowadził ją do domu i tym razem wszedł do niej na górę na drinka. Obawiała się, że będzie chciał ją pocałować, na co nie czuła się jeszcze przygotowana. Tymczasem on zachowywał się swobodnie, ale po dżentelmeńsku. Szanował jej granice. Mógł bez trudu wyczuć, że nie była jeszcze gotowa na nic więcej niż to, co zdarzyło się między nimi od jego przybycia do Nowego Jorku. Rozmawiali, spacerowali, chodzili do restauracji, poznawali się nawzajem. Właśnie po to przyjechał. I było tak, jak chciał. A ona zauważała, że nikt nigdy nie był jej tak oddany już po tak krótkiej znajomości. Na pewno nie Paul. W początkowym okresie ich romansu nie miał dla niej wiele czasu. Był od niej starszy o szesnaście lat, a to ogromna różnica. Hope i Finn byli mniej więcej w tym samym wieku, należeli do tego samego pokolenia i łączyło ich wiele wspólnych zainteresowań. Gdyby sporządziła listę wszystkich cech, jakie ceniła w mężczyznach, okazałoby się, że Finn posiadał je wszystkie. Po rozwodzie z Pauliem nie chciała się wiązać z nikim innym. A teraz Finn był w Nowym Jorku, prawdziwy, żywy. Znała go zaledwie od tygodnia. Lecz był to wyjątkowy tydzień. I spędzili go w znacznej części razem.

Tak jak chciał, wybrali się nazajutrz do Museum of Modern Art, a następnego dnia do Muzeum Sztuki Amerykańskiej. Jedli w jej i w jego ulubionych restauracjach. Umówił się ze swoim agentem, żeby porozmawiać o kontrakcie na nową książkę. Ku jej zdumieniu, brakowało jej Firma przez te kilka godzin, kiedy miał spotkanie z agentem. Poza tym spotkaniem spędzał z nią każdą chwilę. Rozstawali się dopiero wieczorem, kiedy odprowadzał ją do mieszkania i wracał do hotelu. Wciąż jeszcze jej nie pocałował, ale powtarzał, że ją kocha. Przyglądała mu się z niepokojem w oczach. Czy to możliwe, żeby prowadził z nią jakąś grę? Ale jeszcze bardziej się obawiała innej możliwości - że to nie jest gra. Bo jeśli to wszystko dzieje się na serio - co wtedy? On mieszkał w Irlandii, a ona w Nowym Jorku. Teraz nie chciała o tym nawet myśleć. Było na to za wcześnie. Ta cała historia nie miała sensu. Tylko że Hope w głębi duszy wiedziała, że jest inaczej. To miało sens z punktu widzenia każdego z nich dwojga. Każde z nich miało swoje miejsce na tym świecie. Żadnemu z nich nie brakowało gruntu pod nogami. To była sytuacja idealna. A oni, jak można było sądzić, byłiby idealną parą.

Kiedy znowu zadzwonił Mark Webber, Hope nie wspomniała o wizycie Finna. I nie było nikogo innego, komu mogłaby o niej opowiedzieć. Mark był jej najbliższym przyjacielem. Lubiała go bardzo. Przyjaźniła się również z jego żoną. Chcieli zaprosić ją do siebie na kolację, ale się wymówiła. Bo musiałaby powiedzieć im, że Finn jest w Nowym Jorku. Wiedziała, że Mark byłby tym poruszony, w każdym razie zdziwiony. Na pewno odniósłby się do tego podejrzyliwie. Próbowaliby ochronić ją przed Finnem. Woląла więc spędzić ten

wieczór w towarzystwie Finna. Powiedziała, że jest zavalona robotą, a Mark obiecał, że zadzwoni do niej w przyszłym tygodniu, i wyraził nadzieję, że nie będzie się przepracowywała.

W sylwestrowy wieczór, tak jak się wcześniej umówili, pojechali na Times Scjuare. Zabrała ze sobą jeden ze starych aparatów fotograficznych, zamierzając zrobić czarno-białe zdjęcia. Dotarli na miejsce około jedenastej i zręcznie lawirując, przedzierali się przez gęsty tłum, który stał tam już od kilku godzin. Widzieli wokół siebie niezwykle postacie. Finn rozglądał się z przyjemnością, zwracając uwagę na to, na czym ona zatrzymała wzrok. Bawili się świetnie.

O północy, gdy opalizująca noworoczna bomba zaczęła opadać, tłum wrzeszczał radośnie. Stały tam i prostytutki, i dilerzy narkotykowi, i turyści, i młodzież szkolna z zielonych podmiejskich osiedli. Reprezentowane były wszystkie klasy i warstwy społeczne. Hope była tak zajęta fotografowaniem, że wydawała się zaskoczona, kiedy o północy Finn wyjął jej aparat z rąk i porwał ją w ramiona. I zanim się połapała, co się dzieje, już ją całował. I zapomnieli o wszystkim, co działo się wokół nich. Potem z całego tego wieczoru pamiętała tylko pocałunki Firma. I to, jak bezpiecznie czuła się w jego ramionach, jak pragnęła, by pocałunek nigdy się nie skończył. Popatrzyła w jego oczy, zdumiona i szczęśliwa, i wiedziała już, że ona także go kocha. Był to doskonały początek nowego roku. A także - być może - nowego życia.

Rozdział siódmy

Finn mieszkał w hotelu Mercer przez dwa tygodnie. Spotykał się z agentem i z wydawcą, dał dwa wywiady do prasy, a poza tym widywał się z Hope, kiedy tylko mógł. Zawsze był do jej dyspozycji, zawsze gotów zmienić plany na jej życzenie. Szkoda mu było każdej chwili, którą mogliby spędzić razem. I stawał jej się coraz bliższy. Była wciąż zadziwiona, jak szybko rozwijała się ta znajomość. Lecz sypiali osobno. Była nadal rozdarta między wyobrażeniem, że to dla niego tylko chwilowa miłość, a tęsknotą za czymś prawdziwym i trwałym. I stawała się wobec niego coraz bardziej bezbronna. Był tak miły, otwarty, kochający i tak dobrze im było razem, że nie mogła się oprzeć jego miłości. Robił wszystko co w jego mocy, żeby jej sprawić przyjemność. Przynosił kwiaty, czekoladki, książki. Starał się dla niej coraz bardziej, a ona pozwoliła, by uniosły ją przelewające się fale jego emocji. Po trzech tygodniach ciągłego przebywania razem, pewnego popołudnia na środku Washington Scjuare Park, kiedy wracali pieszo do jej dzielnicy, powiedział coś, co sprawiło, że stanęła jak wryta.

- Przecież wiesz, co się z nami dzieje, prawda? - powiedział, kiedy wzięła go pod rękę.

Przed chwilą rozmawiali o sztuce renesansu, o cudach Galerii Uffizi we Florencji, którą oboje znali i lubili, a Finn sporo wiedział na ten temat. Miał bardzo szerokie zainteresowania i wiele różnych uzdolnień, tak samo zresztą jak Hope. Więc wydawali się stworzeni dla siebie. A on był bez wątpienia najbardziej interesującym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. I najbardziej jej oddanym. Był przystojnym księciem z bajki, o jakim marzy każda kobieta. A oprócz tego kochał ją. Wciąż zadawał mnóstwo pytań o to, co było dla niej ważne, i oboje nie mogli się nadziwić, jak wiele mają ze sobą wspólnego. Finn był niemalże lustrem jej duszy.

- A co się dzieje? - zapytała, uśmiechając się do niego z czułością w oczach. Naprawdę się w nim zakochała, choć znali się od niedawna. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło. Nawet z Paulem. Jej romans z Finnem pędził do przodu z szybkością światła. - Cokolwiek by to było, jest cudownie. Nie trzeba pytać, co to jest.

Czuła, że gdyby spróbowała komuś opowiedzieć o tym budzącym w niej tyle nadziei związku, nikt by jej nie zrozumiał. Przyjaciele by ją namawiali, żeby się dobrze zastanowiła, zanim się zaangażuje. Owszem, zastanawiała się, ale miała wrażenie, że temu mężczyźnie i tej sytuacji można zaufać. Nie chciała już podawać tego w wątpliwość. Zresztą nie było powodu. Wiedziała dobrze, kim jest

Finn, i знаła ukrytą, łagodną stronę jego osobowości, która budziła w niej głębokie wzruszenie.

- To komunia dusz - powiedział cicho. - To, co się dzieje wtedy, kiedy dwoje ludzi staje się jedną osobą.

Popatrzyła na niego pytająco. Zaskoczył ją tym sformułowaniem, więc chciała się dowiedzieć, co miał na myśli.

- Czasami, kiedy ludzie się w sobie zakochują - wyjaśnił - stają się sobie tak bliscy, tak idealnie dopasowani, że ich osobowości stapiają się w jedno i już nie ma między nimi żadnej granicy. I kiedy to się stanie, nie mogą już żyć jedno bez drugiego.

Trochę się przestraszyła, kiedy to usłyszała. Z Paulem byli dobrym małżeństwem, dopóki nie zachorował i dopóki nie stracili Mimi. Ale nigdy nie „stapili się w jedno”, nigdy nie stali się jedną osobą. Zawsze byli dwojgiem całkowicie różnych ludzi, mieli inne charaktery, inne potrzeby i inne poglądy. I nigdy im to nie przeszkadzało.

- Chyba nie mogę się z tobą zgodzić - odpowiedziała spokojnie. - Moim zdaniem jesteśmy zdolni do miłości tylko wtedy, kiedy pozostajemy dwojgiem ludzi żyjących obok siebie, może uzupełniających się, ale oddzielonych od siebie wyraźną granicą. „Stapianie się” mnie przestrasza, czuję w tym coś... niezdrowego. Ja tego nie chcę. Chcę być kimś osobnym i kochać osobnego człowieka, którym jesteś. To dobrze, że mamy swoje granice. Gdybyśmy je zatarli, każde z nas utraciłoby jakąś ważną część samego siebie, właśnie tę, która czyni z nas to, kim jesteśmy.

Finn wydawał się zawiedziony tym, co mu powiedziała. I był to pierwszy raz, kiedy się ze sobą nie zgadzali.

- Co do mnie, chciałbym stać się częścią ciebie - powiedział smutno. - Potrzebuję cię, Hope. Znamy się od niedawna, ale czuję się tak, jakbyśmy byli jednością od zawsze.

Nadal niepokoiło ją to, co mówił, choć i pochlebiało, bo brała to za wyraz jego miłości. Ale zarazem wyczuwała w tym coś skrajnego i niemal klaustrofobicznego, tym bardziej że od początku ich znajomości minęły zaledwie trzy tygodnie. Właściwie nie zdążyli się jeszcze dobrze poznać. Jak mieliby „stopić się w jedno”? I po co mieliby to zrobić? Oboje ciężko zapracowali na swoje sukcesy. Nie chciała teraz rezygnować z tego, kim była. Zakochała się w nim, w Finnie O'Neillu, i nie chciała, żeby się okazało, że Finn już nie istnieje, bo stał się nią samą. To byłoby dla niej nie do przyjęcia.

- Być może nie kochasz mnie tak bardzo, jak ja ciebie - powiedział, smutny i urażony.

- Kocham cię - odpowiedziała, podnosząc na niego ciemnofioletkowe spojrzenie.
- I na pewno poznamy się o wiele lepiej. Będę się rozkoszowała poznawaniem ciebie. Bo jesteś naprawdę wyjątkowym człowiekiem.

- Ty też. Oboje jesteśmy wyjątkowi. Z dwóch połówek może powstać wspaniała całość.

- Być może. Ale pod warunkiem, że żadne z nas nie zapomni, gdzie są jego granice. Pracowaliśmy zbyt ciężko, by stać się tym, kim dziś jesteśmy, żeby to teraz utracić. Chciałabym być przy tobie, Finn. Ale nie chciałabym stać się tobą. I dlaczego miałbyś tego pragnąć?

- Dlatego, że cię kocham - odpowiedział, przytulając ją mocno, gdy już przestał całować. - Kocham cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

To, co powiedział, wzruszyło ją, a nie przestraszyło. Ale czuła, że to trochę na wyrost jak na trzy tygodnie znajomości.

- Być może tak już zostanie - dodał w zamyśleniu, gdy ruszyli dalej - i nigdy się nie dowiesz, jak bardzo cię kocham. Może w związkach zawsze tak jest, że jedna osoba kocha mocniej niż druga. Jeśli tak, to chcę być tą osobą, która kocha mocniej.

Słyszając to, nagle poczuła się winna. Kochała go naprawdę, ale jej związek z Paulem trwał tak długo, że potrzebowała więcej czasu, żeby przyzwycząić się do Finna i zrobić dla niego dość miejsca w swoim sercu. Naprawdę chciała poznać go trochę lepiej, przecież mieli na to czasu pod dostatkiem. Byli razem przez całe dni. Tylko noce spędzali osobno. W końcu zmienił temat i to przyniosło jej ulgę. Jeszcze nie całkiem przyzwycząła się do tego, że go kocha, a słyszając jego uwagi o „stapianiu się w jedno”, czuła się nieswojo. Nie tego spodziewała się po miłości.

- Co będziemy robili w weekend? - zapytał. Zawahała się, zanim odpowiedziała.

- Pomyślałam, że może pojedę na Cape Cod. Chciałabym zobaczyć, co się dzieje z domem. To nieduży dom. Pamiątka. Przypomina mi dzieciństwo. Jest dla mnie bardzo ważny.

Uśmiechnął się, kiedy to usłyszał.

- Mam nadzieję, że mnie zaprosisz. - Otoczył ją ramieniem. - Może moglibyśmy zostać tam dłużej? Pewnie dobrze by to zrobiło nam obojgu.

Nie śpieszyło mu się do Irlandii. Oboje byli niezależni, mogli robić ze swoim czasem, co chcieli. I jak twierdził, nie musiał śpieszyć się z rozpoczęciem nowej książki. Ona znaczyła dla niego więcej.

- Moglibyśmy pojechać na cztery, pięć dni. Może nawet na tydzień. W zimie bywa tam trochę ponuro. I mroźno. Zanim wyruszymy, warto zapoznać się z prognozą pogody.

Kiwnął głową, zgadzał się z nią.

- Kiedy chcesz jechać? - spytał z przejęciem. Chwilowo nie miała żadnych pilnych zobowiązań. Jej grafik zajęć świecił pustkami. On także nie miał nic pilnego do zrobienia, jeśli pominąć ostatnie poprawki, których oczekiwał od niego wydawca. Wieczorem wybierali się na wernisaż, a w następnym tygodniu miał mieć spotkanie z publicznością. Każde z nich zajęte było odkrywaniem świata tego drugiego i zamiast samemu stanąć w światłach rampy, wołało zasiąść w tylnych rzędach. Sprawiało to wrażenie doskonałej harmonii w relacji dwojga osób znanych, twórczych i odnoszących sukcesy, które ceniły się nawzajem. Ale wszystko, co wykraczało poza to wyobrażenie o ich związku, wydawało jej się niewłaściwe.

- Jedźmy jutro - zaproponowała. - I zabierz ze sobą górę ciepłych ubrań.

Zawahała się, bo nie wiedziała, jak mu to powiedzieć.

- Nie będziemy spali razem, Finn. Oddam ci pokój gościnny. Zgadzasz się?

Minęło wiele czasu, odkąd rozstała się z Paulem. Chciała być pewna, że wie, co robi. Do tej pory w jej życiu nie było nikogo oprócz męża. Może ten związek był czymś trwałym, może przelotnym, ale ona czuła, że musi najpierw wiedzieć, na czym stoi, zanim zdecyduje się na ten krok.

- W porządku - odpowiedział, rzucając jej spojrzenie pełne zrozumienia.

Wydawało się, że jest w nim bezgraniczna gotowość do rezygnacji z własnych pragnień, by zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa. Pozwalał, by to ona nadawała tempo ich sprawom, by sama określiła taki dystans (albo też taki stopień bliskości), przy którym w danym momencie mogła czuć się spokojna i szczęśliwa. Był najcierpliwszym, najbardziej kochającym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. To wszystko było piękne jak marzenie. I gdyby pragnęła, by w jej życiu pojawił się mężczyzna (choć w rzeczywistości dotąd wcale o tym nie myślała), to on byłby spełnieniem jej pragnień. Nie było w nim nic, co by ją mogło niepokoić, jeśli pominąć te jego dziwne pomysły na temat „stapiania się w jedno”. Lecz była przekonana, że w ten sposób wyrażał tylko swoje lęki i swoją potrzebę miłości. Pokochała go. Za to, jaki był. Nie za to, że był gotów stać się z nią „jednym”. Hope była bardzo niezależną kobietą i myśl, że miałyby stać się częścią innej osoby, była dla niej absolutnie nie do przyjęcia. Również w tym wypadku. Była poza tym przekonana, że jej nauczyciel z aśra-my nie pochwalałby takiego pomysłu.

Na wieczorny wernisaż przyszedł tłum. Było to ważne wydarzenie kulturalne i towarzyskie - otwarcie wielkiej wystawy. Główny kurator muzeum podszedł do Hope, żeby zamienić z nią parę słów, i wtedy przedstawiła mu Firma. Rozmawiali przez chwilę i kilku fotografów prasowych zdążyło zrobić im zdjęcia. Razem

wyglądali dość zaskakująco. W tym środowisku to Hope była gwiazdą, większości obecnych Finn znany był co najwyżej z nazwiska. Ale to, że znalazł się w jej cieniu, najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzało. Wobec wszystkich jej znajomych był ciepły, przyjacielski, czarujący i skromny, choć przecież był sławnym pisarzem, sir Finnem O'Neillem. Nikt, kto się z nim zetknął, nie miał wrażenia, że to pozer albo arogant. I wydawało się, że hołdy, które przyjmuje Hope, uszczęśliwiają go. Bawił się świetnie, rozmawiając z ludźmi i podziwiając dzieła sztuki. Byli w znakomitych humorach, kiedy po wernisażu wsiedli do taksówki. Nazajutrz rano mieli wyjechać na Cape Cod.

- Tęskniłem za tobą w tym tłumie, który cię otaczał - wyznał, kiedy taksówka ruszyła.

Hope świetnie się bawiła, a jego towarzystwo napełniało ją dumą. Tak przyjemnie było znowu mieć kogoś do pary. Czuła się spełniona i bez tego, ale jego obecność dodawała barw całemu przyjęciu, a teraz w dodatku mogli je omówić. Tego brakowało jej po rozwodzie. Przyjęcia zawsze wydają się o wiele ciekawsze, jeśli można potem wymienić z kimś obserwacje i domysły.

- Wyglądałaś cudownie - powiedział, choć mówił jej to już kilka razy tego wieczoru. - I byłem z ciebie taki dumny. Naprawdę się cieszyłem, że tam jestem, ale muszę przyznać, że wolę mieć cię tylko dla siebie. Już się nie mogę doczekać naszej samotności we dwoje na Cape Cod.

- Dobrze jest mieć w życiu obie te rzeczy - powiedziała spokojnie, opierając głowę na jego ramieniu. - Wspaniale jest wyjść i spotykać się z ludźmi, a potem zostać tylko we dwoje.

- Ale trudno mi dzielić się tobą z ludźmi, którzy też cię uwielbiają. Kiedy jesteśmy tylko my dwoje, jest o wiele milej. Nasz związek jest jeszcze taki nieokrzesły i świeży, że każdy, kto kręci się obok nas, wydaje mi się intruzem.

Powiedział to w taki sposób, że zrobiło jej się przyjemnie. Był zazdrosny o czas, który poświęciła innym, ale przecież chwilami świetnie mu się rozmawiało z jej kolegami po fachu i widziała, że spotykał się z podziwem i sympatią. Wernisaże były częścią jej życia zawodowego, odkąd wróciła do fotografii, choć ceniła także samotność. Finn wzruszał ją swoim pragnieniem, by nie odstępować jej nawet o krok i nie marnować ani jednej chwili, którą mogliby spędzić wspólnie. Od jutra mieli takich chwil mieć pod dostatkiem w jej domu na Cape Cod.

- Ty też byłeś otoczony zachwyconymi rozmówcami - przypomniała mu.

Zwiesił głowę jakby z zażenowaniem i z pokorą, której nikt by od niego nie oczekiwał. Czasem ją to zaskakiwało, że człowiek tak sławny jak on i tak zabójczo przystojny nie ma w sobie ani odrobiny narcyzmu. Nie był ani

samolubny, ani skoncentrowany na sobie. Wydawało się, że jest dumny z jej sukcesów i zapomniał o własnych, a w każdym razie nie zależało mu, żeby się znaleźć w centrum uwagi. I jeśli miał jakieś wady - a ona jak dotąd nie dopatrzyła się żadnych - to wyniosłość i samouwielbienie do nich nie należały. Finn był jak rzadki klejnot.

Wyruszyli w drogę na Cape Cod około dziewiątej rano chevroletem, który Finn wynajął na tydzień, bo Hope pozbyła się samochodu, przeprowadzając się z Bostonu do Nowego Jorku. Kiedy potrzebowała samochodu, wynajmowała go. W zatłoczonym mieście, gdzie brakowało miejsc do parkowania, miało to najwięcej sensu, a do domu na Cape Cod nie jeździła już teraz zbyt często. Ostatnio we wrześniu, cztery miesiące temu. Była przejęta, że jedzie tam razem z Finnem, że będzie mogła pokazać mu dom.

Dla człowieka, który lubił spędzać z nią czas sam na sam i kochał przyrodę, nie mogło być lepszego miejsca.

Postanowiła, że nie będą spali razem w ten weekend, i wiedziała już, w którym z gościnnych pokoi go umieści. Był to pokój, w którym mieszkała jako dziecko, kiedy z rodzicami przyjeżdżała na letnie wakacje. Przez ścianę z dawnym pokojem jej rodziców. Teraz od wielu lat - jej pokojem.

Razem z Paulem spędzali tam wakacje prawie przez cały czas trwania ich małżeństwa. Wtedy jego prostota bardzo im odpowiadała. Ale odkąd los się do niego uśmiechnął i akcje przyniosły mu fortunę, Paul nie zadowoliliby się już takim domem. A upodobania Hope stały się przez te lata jeszcze prostsze. Nie potrzebowała żadnych luksusów, nadzwyczajnych wygód, żadnej przesady. Była osobą niewiele wymagającą od życia i umiała docenić zalety tego co proste i bliskie natury. A Finn zapewnił ją, że on także lubi takie domy.

Na lunch zatrzymali się w Griswold Inn, w Essex w stanie Connecticut, a gdy potem zjechali na drogę prowadzącą do Bostonu, Finn przypomniał jej, że jego syn Michael jest studentem Massachusetts Institute of Technology.

- Może moglibyśmy zatrzymać się tam, żeby go odwiedzić? - spytała z uśmiechem. Odkąd po raz pierwszy o nim usłyszała, miała ochotę go poznać. Finn się roześmiał.

- Na pewno by się przewrócił z wrażenia, gdyby mnie zobaczył. Ale teraz go tu nie ma. Jeszcze nie wrócił ze swoją dziewczyną z zimowych wakacji. Po nartach w Szwajcarii mieli zamiar wpaść do Paryża, a teraz pewnie są już z powrotem w moim londyńskim domu. Może będzie okazja odwiedzić go kiedy indziej. Chciałbym, żebyś go poznała.

- Ja też bym chciała - powiedziała Hope z entuzjazmem. Za Providence skręcili na Wellfleet i do domu Hope dojechali o czwartej po południu, kiedy już zapadał

zmrok. Na drogach nie było śniegu, ale niebo wyglądało tak, jakby szykowały się nowe opady. Było bardzo zimno i wiał mroźny wiatr. Wskazała Finnowi podjazd, nieco zarośnięty. Dom stał na uboczu, wśród wysokich trzcin zarastających wydmy. O tej porze roku z zewnątrz wyglądał raczej ponuro. Jak zauważył Finn, przypominał pewne płótno Wyetha, które widzieli w muzeum. Jego słowa wywołały uśmiech na twarzy Hope. Nigdy w ten sposób nie myślała o swoim domu, ale miał rację, rzeczywiście tak było. Była to typowa dla Nowej Anglii budowla ze spadzistym dachem i białymi okiennicami, otynkowana na szaro. W lecie na klombach przed wejściem kwitły kwiaty. Płaciła ogrodnikowi, żeby przychodził raz w miesiącu i doglądał ogrodu, ale teraz miał się pojawić dopiero na wiosnę. Zimą nie było tu dla niego nic do roboty. Z zamkniętymi okiennicami dom wydawał się opuszczony. Ale z wydm było widać ocean i plażę ciągnącą się kilometrami. Hope stała obok Finna i patrzyła na morze. Kiedy tu przyjeżdżała, zawsze udzielał jej się spokojny nastrój okolicy.

Objęła go w pasie, a on pochylił się, żeby ją pocałować. Potem wyciągnęła z torebki klucze, otworzyła drzwi, wyłączyła urządzenie alarmowe i weszła do środka. Finn nie odstępował jej nawet na krok. W domu było ciemno, więc zapalili światło. Zresztą i tak robiło się już ciemno.

W świetle lamp oczom Finna ukazało się śliczne wnętrze z drewnianymi boazeriami. Drewno było pomalowane na biało, podłogi również. Meble były proste i mocne. Kilka lat temu zamówiła nowe obicia na kanapy, bo stare były już zbyt zużyte. Tkanina miała barwę letniego nieba. Firanki zrobiono ze zwyczajnego perkalu, na ścianach wisiały haftowane makatki, jak to w Nowej Anglii, oraz zdjęcia. Kominek był kamienny. Bezpretensjonalny wystrój czynił wnętrze sympatycznym i sprawiał, że przyjemnie było spędzać tu czas, zwłaszcza latem, kiedy przez otwarte okna wpadała lekka bryza znad oceanu i wszyscy chodzili boso, wnosząc do domu na stopach piasek z plaży. Finn uśmiechnął się błogo. Był to typowy nadmorski dom, w jakim każde dziecko chętnie spędziłoby lato. W dzieciństwie Hope go uwielbiała. I jej córka także. W ogromnej wiejskiej kuchni stał wiekowy, okrągły stół, a ściany wyłożone były biało-niebieskimi kaflami, równie starymi jak mury. Kuchnia robiła takie wrażenie, jakby była w ciągłym użyciu. Dom był dobrze utrzymany i co ważniejsze, czuło się w nim atmosferę miłości.

- Przepiękny dom. - Finn objął ją i pocałował.

- Cieszę się, że ci się podoba - odrzekła uszczęśliwiona. - Byłoby mi smutno, gdybyś go nie polubił.

Wyszli na zewnątrz, żeby otworzyć okiennice, a kiedy wrócili, zobaczyli przez okno wspaniałą zachód słońca nad zatoką. Finn chciał się wybrać na spacer po plaży. Ale na to było zbyt późno i zimno.

Przywieźli ze sobą prowiant, zakupiony w sklepiku w Wellfleet, i razem go rozpakowali. To było trochę jak dziecięca zabawa w dom. Hope czuła, że bardzo jej się to podoba. Nie bawiła się w to od lat. A teraz, w obecności Finna, wydawało się to czymś cudownym. Potem Finn wyszedł jeszcze raz, żeby przynieść z samochodu walizki. Zaniósł je na górę i rozejrzał się po pokojach. Tu także wszędzie wisiały zdjęcia. Były to stare zdjęcia, widział na nich Hope, jej rodziców, Mimi i Paula. Ten dom służył kolejnym trzem pokoleniom. Dawał schronienie i ogrzewał serca.

- Żałuję, że w dzieciństwie nie miałem takiego miejsca - powiedział, kiedy wrócił do kuchni z włosami potarganymi przez wiatr, co czyniło go jeszcze przystojniejszym. - Moi rodzice mieli tylko duszny, niewygodny dom w Southampton, którego nigdy nie lubiłem. Było tam pełno antyków i różnych przedmiotów, nie było mi wolno ich dotykać. Brakowało tam takiej atmosfery. Tutaj... jest inny świat.

- Tak, to sprawa atmosfery. - Uśmiechnęła się do niego. - I za nią kocham to miejsce. Dlatego nie chcę się pozbywać tego domu. Teraz już nie mogę często przyjeżdżać, bo z Nowego Jorku to kawał drogi. Ale kiedy już przyjadę, jestem szczęśliwa.

Dom był tak pełen wspomnień i przyjaznych duchów przeszłości, że nie mogłaby go sprzedać.

- Nie ma tu luksusów, ale to też w nim lubię - dodała. - Cudownie jest być tu w lecie. Jako dziecko bez przerwy bawiłam się na plaży. Mimi zachowywała się tak samo.

Robiła właśnie sałatkę, do której zamierzali usmażyć befsztyki na grillowej patelni. Wyposażenie kuchni było nowoczesne i funkcjonalne. W lecie Hope często grillowała z Paulem w ogrodzie. Ale teraz było na to za zimno. Finn nakrył do stołu i napalił w kominku. Chwilę później przygotowywał już befsztyki, a Hope odgrzewała zupę. Ułożyli na tacy francuskie sery i kiedy już zasiedli do stołu, Finn otworzył butelkę czerwonego wina, którą przywiózł ze sobą, i każde z nich wypilo po kieliszku. Po doskonałym obiedzie, zjedzonym w przytulnym otoczeniu, usiedli przed kominkiem, opowiadając sobie historie z dzieciństwa.

Dzieciństwo Hope upłynęło szczęśliwie i zdrowo w New Hampshire, nieopodal campusu Uniwersytetu Dartmouth, gdzie jej ojciec wykładał literaturę angielską. Matka była utalentowaną artystką. Hope miała szczęśliwe dzieciństwo, mimo że była jedynaczką. Nigdy nie cierpiała z powodu braku rodzeństwa. Lubiła spędzać

czas z rodzicami i ich przyjaciółmi, wolno jej było, uczestniczyć we wszystkim, co robili. Wiele czasu spędziła na uczelni, towarzysząc ojcu. Był załamany, kiedy dowiedział się, że złożyła papiery na Uniwersytet Long Island, a nie do Dartmouth. W wieku siedemnastu lat rozpoczęła tam studia na wydziale fotografii, bo jeśli chodzi o fotografię, Uniwersytet Long Island miał najwyższy poziom. I to właśnie tam poznała Paula. Miała wtedy dziewiętnaście lat, a on trzydzieści siedem. W ciągu pierwszych pięciu lat małżeństwa straciła oboje rodziców. To była dla niej katastrofa. Ojciec zmarł na atak serca, a matka niespełna rok później na raka. Wydawało jej się wtedy, że bez nich nie potrafi żyć.

- Teraz wiesz, o co mi chodziło - odezwał się Finn. - Właśnie to miałem na myśli, kiedy mówiłem o stapianiu się w jedno. Tym właśnie powinien być prawdziwy związek. To bywa czasem niebezpieczne, jeśli związek funkcjonuje w sposób niewłaściwy albo jeśli jedna z osób umiera. Tacy ludzie, jak syjamskie bliźnięta, nie mogą przeżyć bez drugiej osoby.

Ale dla Hope to wciąż brzmiało bardzo niepokojąco. Tym bardziej że użył przykładu przedwczesnej śmierci jej matki. Hope nie chciała żyć zrośnięta z kimkolwiek. Ale nic już nie powiedziała. Dla niej był to ciężki cios, utracić oboje rodziców, jedno po drugim. Odziedziczyła po nich ten dom na Cape Cod i drugi, stary, w stylu wiktoriańskim, w pobliżu uniwersytetu. Ale ten drugi sprzedała. Powiedziała mu, że wciąż jeszcze przechowuje w wynajętym magazynie obrazy matki. Były bardzo dobre, ale nie w stylu Hope. Matka była zdolną malarką i od czasu do czasu prowadziła zajęcia w Dartmouth, ale nie bardzo lubiła uczyć, w przeciwieństwie do ojca, który umiał to robić, kochał swoją pracę i cieszył się wielkim szacunkiem wśród studentów przez wszystkie lata spędzone na uczelni.

Dzieciństwo Finna było o wiele mniej typowe. Już wcześniej dowiedziała się od niego, że jego ojciec był lekarzem, a matka wyjątkowo piękną kobietą.

- Moja matka nigdy nie zapomniała, że popełniła megalomanię. Zanim poznała mojego ojca, miała za sobą zaręczyny z pewnym irlandzkim księciem. Ślub nie doszedł do skutku, bo narzeczony spadł z konia na polowaniu i zabił się. Dlatego wyszła za mojego ojca i wyjechała z nim do Ameryki. On miał tam bardzo lukratywną praktykę lekarską. Ale jej rodzina stała na drabinie społecznej znacznie wyżej niż jego i dlatego matka zawsze chciała rządzić ojcem. Na pewno żałowała, że ojciec nie pochodzi z arystokracji, bo sama była hrabianką i zostałaby księżną, gdyby jej narzeczony nie zginął.

Uśmiechnął się smutno.

- Miała słabe zdrowie. Kiedy byłem dzieckiem, z tego powodu rzadko ją widywałem. Zawsze była w domu jakaś młoda dziewczyna, przyjęta do opieki nade mną. Sprowadzali te dziewczęta prosto z Irlandii. Moja matka tymczasem

zajmowała się sobą - cierpiała na wapory i chodziła na przyjęcia. I uskarżała się na ojca. Mój irlandzki dom był kiedyś własnością jej pradziadka. Myślę, że byłaby szczęśliwa, gdyby się dowiedziała, że powrócił do naszej rodziny. Właśnie dlatego ten dom tyle dla mnie znaczy. A ojciec był zawiedziony, że nie chcę iść w jego ślady i zostać lekarzem. Ale ja się do tego zawodu nie nadawałem. Ojciec świetnie zarabiał i dzięki temu matka mogła prowadzić dom na wysokiej stopie, ale jej to i tak nie wystarczało. Po pierwsze, ojciec nie miał arystokratycznego tytułu, po drugie, przywiózł ją do Nowego Jorku, którego nie znosiła. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek byli ze sobą szczęśliwi, bo nigdy o tym nie mówili. Nigdy też się nie kłócili. Nasze mieszkanie przy Park Avenue, którego matka nienawidziła, bo nie znajdowało się w Irlandii, było bardzo zimne, choć piękne i gustownie umeblowane. Nie, nie była szczęśliwa. I teraz, kiedy sam zamieszkałem w Irlandii, zaczynam ją rozumieć. Irlandczycy to szczególny gatunek. Kochają swój pagórkowaty krajobraz, swoje domy, swoją historię i nawet swoje puby. Wątpię, czy potrafią być szczęśliwi na obczyźnie. Usychają z tęsknoty za krajem. Muszą mieć to w genach. Kiedy po raz pierwszy wszedłem do domu mojego prapradziadka, z miejsca poczułem, że to jest mój dom. Tak jakbym czekał na tę chwilę przez całe życie. I w jednej chwili już wiedziałem, że się doczekałem.

Rodzice Finna też umarli wcześniej. Oboje zginęli w wypadku samochodowym. Finn sądził, że gdyby zginął tylko ojciec, matka wróciłaby do Irlandii. Przecież przez wszystkie lata ich wspólnego życia w Nowym Jorku marzyła o powrocie. Sądził, że kochała jego ojca na swój sposób, ale nie chciała mieszkać w Ameryce. Więc Finn zrobił to za nią - wrócił.

- Myślę, że mogłabyś tam do mnie przyjechać, Hope - powiedział. - To jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Można godzinami wędrować po pagórkach, wśród polnych kwiatów, i nie spotkać żywej duszy. Narodowy charakter Irlandczyków to mieszanina melancholii, wyobcowania i szalonego upodobania do stadnego życia, które toczy się w pubach. I ja też taki jestem. Czasem szukam samotności, kiedy indziej potrzebuję zabawy i towarzystwa. Kiedy jestem u siebie, to albo zamykam się w domu i piszę, albo idę do miejscowego pubu.

- Nieźle ci się tam żyje - zauważyła, przytulając się do niego na kanapie, podczas gdy ogień na kominku z wolna dogasał. Spędzili przy tym ogniu uroczy wieczór. Czowała się zdumiewająco bezpiecznie, mając go obok siebie. Tak jakby znali się od niepamiętnych czasów. Chętnie słuchała opowieści o jego dzieciństwie, o jego rodzicach, chociaż było w nich dużo smutku. Matka była zbyt nieszczęśliwa, a ojciec zbyt zajęty, żeby znaleźć dla syna trochę czasu. Finn twierdził, że to właśnie dlatego zaczął pisać. Jako dziecko i jako młody człowiek był nienasyconym amatorem książek. Czytanie, a potem także pisanie, było dla

niego sposobem ucieczki od samotności, którą przeniknięte było całe jego dzieciństwo, mimo że mieszkał w wygodnym mieszkaniu w dobrej dzielnicy. Życie Hope z rodzicami w New Hampshire i na Cape Cod było mniej komfortowe, ale przyjemniejsze.

Oboje wcześniej wstąpili w związki małżeńskie. Łączyły ich także uzdolnienia artystyczne, choć każde z nich realizowało się na innym polu. Oboje byli jedynakami, oboje mieli po jednym dziecku i mniej więcej w tym samym czasie zostali rodzicami. I choć z różnych powodów, obojgu rozpadło się małżeństwo. Jej małżeństwo zakończyło się rozwodem z bardzo złożonych powodów, jego małżeństwo przestało istnieć z chwilą śmierci żony, choć jak sam przyznawał, nie był to udany związek i gdyby nie ten wypadek, najprawdopodobniej szybko doszłoby do rozwodu. Finn twierdził, że jego żona była skoncentrowana wyłącznie na sobie. Była piękna i kapryśna, a przede wszystkim niewłaściwie wychowana. Zakochał się w jej urodzie jako bardzo młody człowiek, ale przytłoczyła go proza życia. Znajdowali wiele zbieżności w swoich historiach, choć ich małżeństwa były do siebie niepodobne i tylko Hope przeszła przez doświadczenie utraty dziecka. Byli nawet mniej więcej w tym samym wieku: Finn był od niej starszy tylko o dwa lata.

Kiedy ogień całkiem wygasł, Hope zgasła światło i oboje weszli na piętro. Finn znalazł już swoją sypialnię, kiedy wnosił bagaże. I przy okazji obejrzał także tę drugą.

W sypialni, która należała niegdyś do jej rodziców, stało niewielkie, zgrabne małżeńskie łóżko. Teraz, kiedy Paul już z nią tu nie przyjeżdżał, zawsze wydawało jej się za duże. A to, które znajdowało się w pokoju Finna, było tak małe, że poczuła się zakłopotana i zaproponowała, by w takim razie zamienili się pokojami.

- W porządku, dam sobie radę - zapewnił ją i ucałował na dobranoc. Potem zniknęli w swoich pokojach. Pięć minut później Hope leżała już w łóżku w ciepłej, kaszmirowej nocnej koszuli i skarpetkach. Roześmiała się, kiedy Finn zawołał przez ścianę „Dobranoc!”.

- Spij dobrze! - odkrzyknęła i odwróciła się na bok w ciemności, nie przestając o nim myśleć. Znali się tak krótko, a ona miała wrażenie, że nigdy w życiu nikt nie był jej bliższy niż on. Przez chwilę nawet rozważała, czy w jego teorii „stapiania się w jedno” nie ma ziarnka prawdy. Wołała jednak wierzyć, że będą mogli kochać się nawzajem, pozostając sobą i żyjąc własnym życiem. Realizując własne zamierzenia, nie rezygnując z własnej osobowości. Tylko to wydawało jej się normalne. Myśląc o Finnie, długo nie mogła zasnąć. Wspominała, co opowiadał jej o swoim dzieciństwie. Był wtedy tak bardzo samotny. Może to

dlatego gotów był stać się częścią innej osoby? Pomyślała, że jego matka nie była dla niego dobra. A co ciekawe, była piękna i skoncentrowana na sobie tak samo jak jego późniejsza żona. Ona także nie była dobrą matką dla ich syna. Hope zdumiewała się powtarzalnością pewnych sekwencji w tej historii. Finn pakował się w sytuacje prowadzące do takiego samego nieszczęścia jak to, które przeżywał, będąc chłopcem. I przyszło jej nawet do głowy, że może chciał, jako młody człowiek, dopisać pozytywne zakończenie do historii swojego dzieciństwa, ale mu się to nie udało.

Kiedy się nad tym wszystkim zastanawiała, usłyszała taki odgłos, jakby coś bardzo ciężkiego zważyło się na podłogę. Czyżby to Finn spadł z łóżka? Hałas został spuentowany głośnym okrzykiem:

- O kurczę!

To ją rozśmieszyło. Wstała, żeby zobaczyć, co się dzieje, i wyszła do przedpokoju, w kaszmirowej koszuli nocnej i skarpetkach.

- Nic ci się nie stało? - spytała w ciemności. Usłyszała jego śmiech.

- Bieliźniarka na mnie napadła, kiedy wracałem z łazienki.

- Nabiłeś sobie guza? - zaniepokoiła się. Czowała się trochę winna, że umieściła go w tym malutkim pokoiku.

- Jestem śmiertelnie ranny - powiedział z udawaną udręką w głosie. - Przydałaby mi się siostra miłosierdzia.

- Mam wezwać pogotowie? - Roześmiała się.

- Nie, wystarczy, jeśli odpowiednio przeszkolona osoba zrobi mi sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Mogę cię pocałować?

Weszła do jego pokoju i usiadła na wąskim łóżku, na którym sypiała w dawnych czasach. Finn wziął ją w ramiona i pocałował.

- Tęsknię za tobą - szepnął.

- Ja też za tobą tęsknię. - I po chwili dorzuciła z wahaniem: - Chcesz, żebym tu spała?

Roześmiał się głośno.

- W tym łóżeczku? Będzie to prawdziwie akrobatyczny wyczyn. Chciałbym zobaczyć, czy ci się uda. Nie, nie to miałem na myśli.

Zapadło długie milczenie. Nie nalegał. Wyraził zgodę, kiedy go uprzedziła, że będą spali w osobnych pokojach i nie będzie mowy o seksie. Był zdecydowany nie wyłamywać się z tej umowy, chociaż wolałby, żeby postanowiła inaczej. Ona zaś poczuła się głupio.

- Może to nie ma sensu. Przecież się kochamy. I nikt nas tu nie pilnuje.

- Tak mi się wydaje - odpowiedział uprzejmie. - Ale decyzja należy do ciebie. Śpię tutaj i jestem zadowolony, jeśli tego sobie życzyłaś. Ale zawieź mnie jutro do kregarza, bo będą mnie bolały plecy.

Znowu się roześmiała i bezceremonialnie ściągnęła z niego kołdrę. Usiadł na łóżku.

- No to chodź. Zaczniemy się zachowywać jak dorośli ludzie.

Chwyliła go za rękę i zaprowadziła do swojego pokoju. Nie opierał się. Położyli się w podwójnym łóżku i przez chwilę leżeli obok siebie. Wziął ją w ramiona.

- Kocham cię, Hope - szepnął.

- Ja też cię kocham, Finn.

I wtedy, nie wspominając już ani słowem o stapianiu się w jedno, zaczęli się kochać i było to coś takiego, czego nie przeżyła jeszcze nigdy w życiu.

Rozdział ósmy

Dni, które Finn i Hope spędzili w domu na Cape Cod, miały w sobie coś magicznego. Budzili się późnym rankiem i kochali się, zanim wstali z łóżka. Potem on przygotowywał śniadanie. Zjadali je w łóżku, później wstawali i wychodzili na długi spacer po plaży. Kiedy wracali, Finn rozpałał ogień w kominku. Spędzał długie godziny w fotelu, czytając, a ona robiła mu wtedy zdjęcia. Po południu znowu się kochali. Razem gotowali, razem sypiali, rozmawiali godzinami o wszystkim, co było dla nich ważne. Nigdy w życiu z nikim nie spędziła tyle czasu.

Znalazła stare pudełka ze zdjęciami Mimi i rodziców i oglądała je razem z nim. Byli w miejscowej restauracji i zamówili homara. Roztopione masło ściekało im po podbródkach, a na szyjach mieli zawiązane śmieszne, wielkie papierowe serwetki. Nie przepuściła okazji, żeby znowu zrobić mu zdjęcie. Po czym poprosiła kelnera, żeby zrobił zdjęcie obojgu. Finn wydawał się urażony i zapytał, czy miała w planie mały flirt z kelnerem, ona udawała, że nie wie, o co mu chodzi.

To, co przeżywali, przypominało miodowy miesiąc. Ale trwało tylko tydzień. W końcu z żalem spakowali się, zamknęli dom na klucz i wrócili do Nowego Jorku. Tym razem Finn nie zameldował się w hotelu Mercer, tylko wprowadził się do jej loftu. To wydawało się całkowicie naturalne. Jego obecność nie krępowała jej w najmniejszym stopniu.

W dniu powrotu z Cape Cod poszli razem na jego wieczór autorski. Tym razem to on był w centrum zainteresowania. Hope dyskretnie robiła mu zdjęcia, używając teleobiektywu, od czasu do czasu ich spojrzenia się spotykały ponad głowami publiczności i wtedy uśmiechała się do niego. Była z niego dumna. Ale on także był dumny z tego, że Hope z nim przyszła. Jedyne, co psuło im humor, to perspektywa jego bliskiego wyjazdu do Irlandii.

Rozmawiali o tym do późna po powrocie do domu. Finn sprawiał wrażenie nieszczęśliwego, choć miał za sobą udany wieczór.

- Kiedy do mnie przyjedziesz? - spytał z miną dziecka porzuconego przez matkę albo wysyłanego przez nią do internatu.

- Nie wiem. Przyjęłam zamówienie na portret pewnego aktora i muszę w związku z tym pojechać do Los Angeles w pierwszym tygodniu lutego. Potem będę wolna.

- To dopiero za dwa tygodnie - powiedział żałośnie i od razu zadał następne pytanie. - Co to za aktor?

- Rod Beames - odpowiedziała, jakby nigdy nic. Zrobiła z nim już kiedyś sesję zdjęciową. Tym razem miał dostać Nagrodę Akademii dla aktora roku.

- Cholera - zaklął Finn i rzucił jej gniewne spojrzenie. - Romansowałaś z nim wtedy?

- Jasne, że nie! - Była zdumiona i pytaniem, i gwałtownością jego reakcji. - Jest moim modelem. Nie kochankiem. Nie romansuję z ludźmi, którym robię zdjęcia.

Po czym się roześmiała, bo przecież właśnie romansowała z jednym z nich.

- Ty jesteś pierwszy - zapewniła go. - I ostatni.

Pochyliła się ku niemu i pocałowała go.

- Skąd mam wiedzieć, czy to prawda? - Wydał jej się rozgniewany i zaniepokojony. To ją poruszyło. Paul nigdy nie był zazdrosny. Finn najwyraźniej tak. Wcześniej zrobił ten dziwaczny komentarz na temat kelnera z restauracji na Cape Cod. Oskarżył ją na wpół żartem, że z nim flirtowała, choć nie przeszło jej to nawet przez myśl.

Zaczęła się śmiać i to go otrzeźwiło. Tłumaczył się przed nią, a ona znowu poczuła się bardzo młoda, bardzo atrakcyjna, skoro trapiły go takie niepokoje. Przecież nie interesował jej nikt oprócz Finna.

- Stąd, że ci powiedziałam, głuptasie - powiedziała i pocałowała go znowu. - Po tej sesji zdjęciowej mogę polecieć do Dublina bezpośrednio z Los Angeles. Myślisz, że są połączenia bezpośrednie czy będzie trzeba przesiadać się w Londynie?

- Sprawdzę i powiem ci. Więc co cię łączyło z tym Beamesem? - Trzymał się swojego pytania jak pijany płotu.

- To samo, co ciebie z królową Elżbietą. Ja nie robię wielkiej sprawy z tego, że miałeś z nią do czynienia. Więc ty daj spokój Beamesowi.

- Na pewno?

- Absolutnie. - Uśmiechnęła się do niego i miała wrażenie, że trochę się uspokoił.

- A jeśli tym razem będzie się do ciebie przystawiał?

- Powiem mu, że mam w Irlandii narzeczonego, w którym kocham się do szaleństwa. Beames nie ma u mnie szans.

Uśmiechała się, rozbawiona, ale Finn raz po raz obrzucał ją niespokojnym spojrzeniem. Kiedy zaczęli ze sobą sypiać, pozbyła się ostatnich zastrzeżeń, przestała zadawać sobie niepokojące pytania i zaufała mu bezgranicznie. Jej serce należało tylko do niego. Rozmawiali czasem o tym, jak szybko to się wszystko stało i jak bardzo się kochają.

Przeżyli to, na co Francuzi mówią coup de foudre. To naprawdę było jak nagle uderzenie pioruna. Finn wciąż powtarzał, że teraz już nie ma powrotu do tego, co było przedtem. Mówił, że jego miłość jest faktem nieodwracalnym. A ona kochała go z taką samą mocą.

Hope zaczęła myśleć, że w ich wieku, skoro mają doświadczenie życiowe, znają własne błędy popełnione w przeszłości, wiedzą już, kim są i czego im potrzeba. Oboje więc byli przekonani, że ten związek będzie trwał do końca ich życia, choć Hope uważała, że jest jeszcze za wcześnie, żeby mu o tym powiedzieć. Poznali się zaledwie przed miesiącem. A mimo to czuła się tak pewna tej miłości jak dotąd niczego w swoim życiu. Finn chyba odczuwał to samo. Oboje wiedzieli, że to coś poważnego, i zgadzali się, że było to najlepsze, co mogło ich spotkać.

Finn obiecał, że nazajutrz sprawdzi dla niej loty do Dublina z Los Angeles. Miał zostać w Nowym Jorku jeszcze tydzień. Zastanawiała się nawet, czy nie przedstawić go Markowi Webberowi, ale uznała, że byłoby to przedwczesne. Nikt obcy nie zrozumie, że zaufali sobie całkowicie po tak krótkiej znajomości. Przeczuwała, że będzie musiała bronić Finna przed Markiem, więc wołała tego uniknąć i po prostu cieszyć się, że są razem. Finn także wołał spędzać z nią czas tylko we dwoje, tym bardziej że zbliżał się dzień jego wyjazdu. Powiedział, że nie życzy sobie, żeby ktoś obcy zabierał ich wspólny czas, który był dla niego bezcenny.

Tego ranka, kiedy pomagała mu się spakować, wydawał się bardzo zmartwiony. Był smutny z powodu wyjazdu, lecz także na nowo wyprowadzony z równowagi jej sesją zdjęciową z Rodem Beamesem. Próbował jakoś to znieść, a Hope zaczęła już czuć się głupio, że stale musi go pocieszać. Ale skoro poznali się, gdy przyjechała do niego na sesję zdjęciową, miał prawo się martwić jej kolejną sesją. Dlatego uspokajała go wciąż od nowa. A przed samym wyjazdem na lotnisko jeszcze raz się kochali. Nigdy dotąd jej życie seksualne nie kwitło tak jak przez ostatnie tygodnie.

Czasami rozmawiali o ewentualnym małżeństwie, ale niezobowiązująco i nie wymieniając żadnych terminów. Na to było jeszcze za wcześnie. Oboje jednak przyznali, że ten pomysł im odpowiada. Finn nie martwił się, jak rozwiązać problemy, których nie unikną, decydując się na wspólne życie. Po prostu chciał spędzić resztę życia u jej boku. Hope zaczynała już myśleć o tym samym. Choć nie była przekonana, czy koniecznie potrzeba im ślubu, żeby żyć razem. Przecież już żyli razem, przynajmniej w pewnym stopniu. I nic się nie zmieni, kiedy poleci do niego, do Irlandii.

Była wstrząśnięta, kiedy zaczął mówić o dziecku. Powiedział, że chciałby mieć z nią dziecko, że trzeba przynajmniej spróbować. Usiłowała mu wytłumaczyć, że to może się nie udać bez pomocy medycyny i że w tej chwili nie czuje się jeszcze na to gotowa. Zamierzała wrócić do tej sprawy później, kiedy bardziej oswoją się z perspektywą wspólnego życia. Ale gdzieś w głębi duszy czuła, że ten szalony pomysł ma w sobie coś bardzo atrakcyjnego. Zwłaszcza kiedy oglądała stare

fotografie Mimi i przypominała sobie, jaka urocza była jej córka jako małe dziecko. Pomysł, by mieć dziecko z Finnem, jednocześnie przestraszał ją i pociągał. I rozmyślenia o dziecku sprawiły, że wewnętrznie odmłodziła. On był przekonany, że w ich wieku na nic nie jest jeszcze za późno, i podawał przykłady swoich znajomych, którym się to udało. Bardzo mu na tym zależało, ale zgodził się odłożyć tę sprawę na przyszłość i wrócić do niej za kilka miesięcy.

W drodze na lotnisko wynajętą przez niego limuzyną był milczący i przez cały czas trzymał ją w ramionach.

Całowali się i szeptali do siebie. Obiecywał, że zadzwoni do niej, kiedy tylko wyląduje. Miał lecieć wieczorem i lądować późną nocą, ale w Dublinie będzie wtedy przedpołudnie.

- Przygotuję dom na twoje przyjęcie - obiecał.

Powiedział, że będzie dużo sprzątanina i musi też sprowadzić zduna, by w tej części domu, w której Hope ma z nim zamieszkać, nie było zimno jak w lodowni. Nakazał jej zabrać ze sobą dużo ciepłych swetrów, a także mocne buty do spacerów po wzgórzach. Miała do niego przyjechać na początku lutego, kiedy jest jeszcze deszczowo i chłodno. Obiecała, że zostanie na cały miesiąc. I nie mogła się już tego doczekać. Ale w marcu Finn miał zacząć pisać nową książkę, a na nią czekały w Nowym Jorku kolejne zlecenia, więc dłuższy pobyt nie wchodził w grę. Przecież miesiąc to wcale nie tak mało na początek. Dość czasu, żeby przyzwyczaiła się do nowego miejsca. W Nowym Jorku też spędzili razem cztery tygodnie.

Pożegnanie było trudne i bolesne dla obojga - jak amputacja jakiejś części ciała. Nigdy do nikogo nie była tak przywiązana jak do niego. I nigdy do nikogo nie przywiązała się tak szybko, oczywiście jeśli nie liczyć Mimi. Nawet do Paula. Kiedy poznała Paula, był człowiekiem bardzo solidnym, bardzo rozważnym, a ich romans rozkręcał się powoli. Tym ostrożniej, że ona była wtedy jego studentką. A on był od niej o wiele starszy. I Paul się nie śpieszył. Nie chciał, żeby cokolwiek wydarzyło się między nimi przedwcześnie. Tymczasem Finn w ogóle o to nie dbał. Wskoczył w ten związek natychmiast, obiema nogami. Choć trzeba znowu przyznać, że w ich wieku pośpiech ma swój sens. Oboje znali ludzi, którzy zakochali się i związali ze sobą po czterdziestce. Nagle dotarło do nich, że spotkali właściwą osobę, pobrali się w ciągu paru miesięcy i odtąd żyli szczęśliwie. A Hope i Finn pokochali się i postanowili spędzić razem całe życie w ciągu jednego miesiąca. Wiedzieli, że trudno to będzie komukolwiek wytłumaczyć.

Hope postanowiła, że na razie nic nie powie Paulowi. Nie chciała go niepokoić. I nie miała pojęcia, jak Paul przyjmie tę wiadomość. Tak długo żyła samotnie, zawsze gotowa spotykać się z nim, kiedy tylko tego chciał, choć musiała

przyznać, że nie prosił o to zbyt często. Obawiała się, że będzie jednak zaskoczony, kiedy się dowie o jej związku z innym mężczyzną. Ale miała też nadzieję, że kiedy Paul pozna Finna, staną się przyjaciółmi.

Jak dotąd Finn nie był zazdrosny o Paula. Uznała to za dobry znak. Gdyby było inaczej, zmartwiłoby ją to i zaniepokoiło. Paul był dla niej bardzo ważną osobą, kochała go czystą miłością i wiedziała, że nigdy nie przestanie kochać do końca jego dni, a ten koniec, miała nadzieję, nie nastąpi szybko. Raz rozmawiała z nim w styczniu. Paul był jeszcze wciąż na swoim jachcie. Wziął właśnie kurs na St. Barthélémy. O Firmie nie wspomniała ani słowem. Paul mógł zresztą zadzwonić do niej zawsze, niezależnie od tego, gdzie się znajdowała, więc również wtedy, kiedy będzie w Irlandii. I nie musi mu wyjaśniać, gdzie się znajduje, chyba że sama zechce to uczynić. Ale - przynajmniej na razie - nie chciała.

Pocałowali się z Finnem po raz ostatni, pomachała mu jeszcze, kiedy przechodził przez bramkę, a potem zniknął jej z oczu. Wróciła do miasta tą samą limuzyną. Po raz pierwszy od miesiąca była znowu sama. Czuła się z tym nieswojo. Niewielkim pocieszeniem było to, że odzyskała w całości swoje wąskie łóżko. Naprawdę było im na nim za ciasno, ale chciał spać obok niej każdej nocy i upierał się przy tym. Obiecała, że wymieni łóżko na szersze, zanim znowu do niej przyjedzie. Ale ze względu na rozmiary antresoli łóżko mogło być tylko niewiele szersze.

Po wyjeździe Finna mieszkanie wydawało jej się puste. Przez chwilę kręciła się po nim bez celu. Potem odpowiedziała na kilka e-maili i spisała uwagi dla swojego retuszera, w końcu wykapała się i położyła z książką do łóżka. Tęskniła za Finnem, ale musiała przyznać, że mieć trochę czasu tylko dla siebie też było całkiem przyjemnie. Finn potrzebował mnóstwo uwagi, wciągał ją w różne intrygujące rozmowy i nie zostawiał jej samej ani na chwilę. Więc kiedy została znowu sama, odmiana nie była nieprzyjemna, choć nigdy by mu tego nie powiedziała. Nie przyjąłby tego dobrze.

Telefon obudził ją o trzeciej nad ranem. Dzwonił Finn. Właśnie wylądował. Chciał powiedzieć jej, że ją kocha i bardzo za nią tęskni. Powiedziała, że ona też go kocha i że całuje go na odległość, po czym znowu zasnęła. Po raz kolejny zadzwonił około dziewiątej. Opowiedział jej o wszystkim, co przedsięwziął w swoim domu, żeby przygotować go na jej przybycie. Uśmiechała się, słuchając go. Zawsze było w nim coś z małego chłopca. I za to także go kochała. Zachwycała ją ta dziecięca łagodność i niewinność. Kiedy byli razem, łatwo zapominała o tym, że jest sławnym pisarzem odnoszącym sukcesy na całym świecie. Nie to było dla niej ważne.

Dzwonił do niej po trzy razy dziennie, a i ona do niego dzwoniła dość często, między spotkaniami, wizytami w galeriach i u kuratorów wystaw. Finn miał się znakomicie aż do dnia, kiedy zamierzała lecieć do Los Angeles. Wtedy zaczął znowu mówić o Rodzie Beamesie. Przestrzegając ją, by w żadnym wypadku nie pozwoliła mu się uwieść, jakby na serio brał to pod uwagę. Nie życzył sobie, żeby umawiała się na kolację z Rodem Beamesem, bo pamiętał, że spotkała się w ten sposób z nim, i wiedział, co z tego dalej wynikło. Jeszcze raz zapewniła go, że nie zamierza spotykać się z Rodem Beamesem poza sesją zdjęciową, i przypomniała mu, że Rod ma dwudziestopięcioletnią żonę, która teraz właśnie jest w ciąży, więc mogą oboje być pewni, że Rod Beames nie będzie próbował uwieść Hope.

- Nigdy nie wiadomo - odrzekł Finn, nadal pełen niepokoju. - Ja na jego miejscu wolałbym ciebie.

- I właśnie dlatego cię kocham - powiedziała ze śmiechem.

Musiała jechać na lotnisko, więc się pożegnała i rozłączyła.

Kiedy znalazła się w Los Angeles, Finn dzwonił do niej bez przerwy. W końcu musiała wyłączyć telefon, żeby nie przeszkadzał jej podczas sesji zdjęciowej. Kiedy go z powrotem włączyła, od razu zadzwonił Finn, rozżalony.

- Co tam robiliście? - spytał gniewnie.

- Zdjęcia, głuptasie - odpowiedziała Hope, siłąc się na spokój. Nigdy przedtem nie zetknęła się z zazdrością w takim nasileniu. Paul był od niej wolny, ona także. - Jestem wykończona. Wróciłam do hotelu. Jutro mam spotkanie w Los Angeles County Museum w związku z wystawą, którą chcą zorganizować w przyszłym roku. A potem jestem już wolna. Wsiadam do samolotu i lecę do ciebie. Proszę, przestań się martwić. Nie umówiłam się z Rodem Beamesem.

Prawda była taka, że Rod Beames i jego żona zapraszali ją na kolację, ale się wymówiła, bo Finn zrobił już wcześniej tyle zamieszania, że nie chciała go denerwować. Wszystko to wydawało się jej nieco żenujące. Właściwie lubiła spotykać się z modelami przed sesją zdjęciową albo po niej. Tym razem nie zdecydowała się na to ze względu na Finna, który byłby wściekły z zazdrości. Miała jednak nadzieję, że z czasem pozbędzie się tej przywary. Było to męczące, choć trzeba też przyznać, że jego zazdrość trochę jej schlebiała. Zachowywał się, jakby była piękną młodą dziewczyną, której zapragnie każdy bez wyjątku mężczyzna, zaledwie na nią spojrzy. Próbowiła wyjaśnić Finnowi, że nie jest to jej przypadek. Ale żadne tłumaczenia nie pomagały.

Zamówiła kolację do swojego pokoju w hotelu Beverly Hills. Kolejny raz zadzwonił, kiedy już kładła się do łóżka. Był uszczęśliwiony, kiedy się dowiedział, że w ogóle nie wychodziła. Zapewniał ją o swojej miłości i wyraźnie nie mógł się doczekać jej wizyty.

Hope poleciała do Dublina zaraz po spotkaniu w Los Angeles County Museum, które potoczyło się zgodnie z jej przewidywaniami. Lot był bardzo długi i zanim wylądowali, czuła się tak zmęczona, jakby trwał od paru dni. Pomyślała, że kolejne, przyszłe loty będą krótsze, bo z Nowego Jorku jest do Dublina o wiele bliżej.

Szybko przeszła odprawę. Finn już na nią czekał. Od razu rzuciła się w jego ramiona. Jeśli ktokolwiek się im przyglądał, musiał pomyśleć, że nie widzieli się od wielu lat. Przyniósł jej ogromny bukiet kwiatów, czerwonych, żółtych, pomarańczowych i różowych. Był to najpiękniejszy bukiet, jaki kiedykolwiek widziała. Rozmawiali z ożywieniem, wracając po bagaże, a potem wsiedli do jego samochodu. Lubiła słuchać irlandzkiego dialektu, który rozbrzmiewał dookoła, a Finn potrafił świetnie go naśladować. Ukłonił się zamasyście, otwierając przed nią drzwi swojego jaguara. Usiadła z bukietem na kolanach. Nie chciała o tym mówić, ale z tym bukietem czuła się jak panna młoda.

Podróż zajęła im ponad godzinę. Kierowali się na południowy zachód od Dublina, potem wjechali do miasteczka noszącego nazwę Blessington i wyjechali z drugiej strony lokalną drogą na Russborough. Finn z wprawą prowadził samochód, przywykł już do kierownicy po lewej stronie. W końcu skręcili w wiejską drogę. Wokół ciągnęły się pagórki, o których tylekroć jej opowiadał. Należały do rezerwatu przyrody Wicklow Mountains. Porastały je lasy, między którymi rozpościerały się łąki. Pod lutowym deszczem zaczynały budzić się do życia polne kwiaty. Nie było ciepło, ale nie aż tak zimno jak na Cape Cod. Raczej mokro i pochmurno. Deszcz padał przez całą drogę z lotniska do domu. W pewnej chwili Finn nagle zatrzymał samochód, wziął ją w ramiona i nie przestawał całować. Prawie nie mogła zaczerpnąć powietrza.

- Mój Boże! Bałem się, że nie przylecisz. Nigdy nie powinienem pozwalać, żebyś zniknęła mi z oczu.

A przecież rozstali się raptem na tydzień.

- Ja też tęskniłam za tobą - powiedziała z uśmiechem, szczęśliwa, że dotarła na miejsce.

Jaguar znowu ruszył. Było to ciemnozielone auto z jasnobrązową skórzaną tapicerką, bardzo eleganckie i w zdecydowanie męskim stylu. Pasowało do Finna. Powiedział, że będzie mogła go używać, kiedy zechce, ale ona obawiała się, że nie poradzi sobie z ruchem lewostronnym. Obiecał więc, że będzie jej szoferem, kiedy tylko sobie tego zażyczy. Uważała, że to jej w zupełności wystarczy. Naprawdę nie zamierzała wybierać się nigdzie bez niego. Przecież to do niego przyjechała.

Jechali wiejską drogą, a krajobraz był taki jak wszędzie: wzgórza pokryte lasem w oddali i szpalery drzew z obu stron. Potem Finn zniemacka wziął ostry zakręt i

nagle Hope zobaczyła dom. Z wrażenia zaparło jej dech. Zaniemówiła na chwilę. Uśmiechnął się. Na nim ten dom także robił wrażenie. Zwłaszcza kiedy wracał po dłuższej nieobecności.

- Wielkie nieba! - zawołała Hope, spoglądając na niego z szerokim uśmiechem.
- To przecież nie jest dom, tylko pałac!

Widok był niezwykły. Dom był naprawdę ogromny i chociaż wyglądał mniej więcej tak jak na fotografiach, które Finn pokazywał jej w Londynie, w rzeczywistości okazał się o wiele, wiele większy, i właśnie to ją zaskoczyło.

- Ładny, prawda? - powiedział skromnie, kiedy zaparkował. Cały dom wyglądał majestatycznie, ale schody w jego głównym holu zdawały się prowadzić prosto do nieba. Kolumny miały w sobie coś uroczystego, a jednocześnie dodawały uroku temu wnętrzu. - Witam w Blaxton House, moja najdroższa.

Wspominał już wcześniej, że nazwa tego domu brzmiała tak samo jak panińskie nazwisko jego matki. Ta nazwa, jak twierdził, nie zmieniła się od stuleci.

Otoczył ją ramieniem i poprowadził po szerokich kamiennych schodach. Na ich powitanie wyszedł skądś starszy mężczyzna w czarnym ubraniu, a chwilę później pojawiła się niemłoda pokojówka z włosami ściągniętymi w kok, która pod obowiązkowym fartuszkim na szelkach nosiła czarny sweter. Oboje uśmiechali się przyjaźnie, kiedy Finn przedstawiał ich Hope. Nazywali się Winfred i Katherine. Potem wyjaśnił jej, że służyli tu, zanim kupił posiadłość, i dorzucił, że są prawie tak starzy jak ten dom.

Hope ujrzała długą galerię z ciemnymi tapetami i meblami, pełną zakurzonych portretów przodków, która wyglądała dość ponuro. Oświetlenie było zbyt słabe, żeby mogła się przyjrzeć obrazom, kiedy je mijali. Winfred wyszedł do samochodu po jej bagaże, a Katherine zniknęła w kuchni, żeby zaparzyć dla nich herbatę. Po obu stronach ciemnej galerii otwierały się ogromne salony, skąpo umeblowane podniszczonymi antykami. Zauważyła kątem oka kilka pięknych dywanów w spokojnych barwach, rozpaczliwie dopraszających się o reperację, bardzo cennych, jeśli wykonano je, tak jak sądziła, w tkalniach Aubusson. Okna były ogromne i wpadało przez nie bardzo dużo światła. Zastłony były stare i piękne, z efektownymi frędzlami, ale miejscami w strzępach, trzymające się na jednej nitce.

Jadalnia miała wygląd królewski. Przy stole mogłoby zasiąść czterdzieści osób, jak powiedział Finn. Wisiał w niej ogromny srebrny kandelabr. Ktoś zadał sobie trud, żeby go wypolerować, więc lśnił jak nowy. Obok jadalni znajdowała się biblioteka, mieszcząca niewyobrażalną liczbę książek. Finn poprowadził Hope dalej, po takich samych kamiennych schodach, na piętro, na którym znajdowały

się sypialnie, garderoby i buduary. Wszędzie stały antyczne meble, a zasłony w oknach były zaciągnięte. Wreszcie innymi wąskimi schodami doszli do tej części domu, w której mieszkał Finn. Było tam o wiele przytulniej. Pokoiki były mniejsze, a meble i dywany w znacznie lepszym stanie. Tutaj w oknach wcale nie było zasłon i chociaż dzień był pochmurny, we wszystkich pomieszczeniach światła było pod dostatkiem. W kominku buzował ogień, rozpalony ze względu na jej przyjazd, i w każdym pokoju stały wazony z kwiatami. W ogromnej sypialni stało łóżko z baldachimem i od razu się domyśliła, że w tym łóżku sypia Finn. I tak jak w jego londyńskim domu, wszędzie leżały sterty książek, zwłaszcza w sypialni i w pokoju do pracy.

Katherine pojawiła się znowu, gdy Hope zdejmowała płaszcz. Zostawiła im srebrną tacę w małym saloniku. Na tacy stał srebrny imbryk, kilka drożdżowych bułeczek i śmietanka. Dygnęła przed nimi z nieśmiałym uśmiechem i odeszła.

- I jak? - zapytał niespokojnie. Przez całe rano gryzł się myślą, że dom się nie spodoba i Hope ucieknie. Pomyślała, że kochał swój dom, ale przywykł już do tego stanu ruiny, w której dawało się żyć na tyle wygodnie, że przestał zwracać uwagę na szczegóły. Obawiał się, że dom będzie dla niej zbyt ponury i depresyjny i nie zechce w nim mieszkać. Z uśmiechem wyciągnęła do niego ramiona.

- To najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam - oświadczyła. - A poza tym Kocham cię nad życie.

Słyszając to, poczuł, jak otula go ciepły obłok jej akceptacji i miłości, i łzy wzruszenia stanęły mu w oczach.

- Trzeba w niego włożyć jeszcze sporo pracy - powiedział nieśmiało.

Hope się roześmiała.

- Tak, oczywiście. Ale bez pośpiechu. Dom jest wystarczająco wygodny, żeby w nim mieszkać. Mógłbyś mnie później po nim oprowadzić. Bo pierwsze wrażenie trochę mnie przytłoczyło.

To, co dotąd zobaczyła, wzbudziło w niej respekt. Ale chciała poznać dom w całości i zrobić, co w jej mocy, żeby mu pomóc.

- Na pewno go polubisz. Przekonasz się.

Usiadł i nalał herbatę do filiżanek, a ona sięgnęła po bułeczkę i podsunęła mu drugą.

- Poczekaaj, pokażę ci jeszcze łazienki. W jednej wanna jest tak duża, że możemy się w niej zmieścić oboje. A po południu zamierzam zabrać cię na spacer. Na tyłach domu są piękne stare stajnie, ale nie miałem dotąd czasu, żeby się nimi zająć. Tu jest tyle roboty, że nie wiadomo, do czego brać się najpierw. Pakuję w to wszystkie swoje honoraria. I toną bez śladu. W najbliższych dniach zajmę się

meblami. Każda kanapa, każdy fotel potrzebuje naprawy. Wszystko, co stoi w tych wnętrzach, przeszło na moją własność razem z domem.

Przede wszystkim, jak zauważyła Hope, potrzebne było sprzątanie i czyszczenie, przydałaby się również świeża farba. Ale nietrudno było się domyślić, że odnowienie takiego domu musi kosztować majątek. I zajmie mu długie lata. Naraz poczuła, że koniecznie chce w tym uczestniczyć. To może być ekscytujące zajęcie dla nich obojga.

Ale zanim skończyła jeść bułeczkę, zanim dopiła herbatę, pociągnął ją za sobą do wielkiego łóża z baldachimem. Zamknął drzwi na klucz, rozebrał ją w ciągu minuty i kochali się do utraty tchu. Intensywność ich życia seksualnego była godna pary nastolatków, co nie przestawało jej zadziwiać.

- Było cudownie! - Uśmiechnęła się, zdumiona, jak mogła znieść tygodniową rozłakę. Zdażyła się do niego bardzo przyzwyczać, a namiętność uzależniała ich oboje jak narkotyk. Przeżywała z nim rozkosz, o jakiej wcześniej nawet nie śniła.

- Nigdy więcej nie powinienem wypuścić cię samej w świat - powiedział i pokazał w uśmiechu wszystkie zęby, leżąc nago w poprzek łóża, które odtąd miało być ich wspólnym. - Właściwie powinienem przykuć cię łańcuchami do tego łóża. Jestem przekonany, że moich przodków wcale by to nie zdziwiło. Pewnie niejeden z nich sam wpadł na podobny pomysł. To jest doskonałe rozwiązanie. Albo zrobię inaczej: przykuję cię łańcuchem do siebie samego.

Roześmiała się. Potem pokazywał jej wielką łazienkę z tą gigantyczną wanną, o której wcześniej wspomniał. Sam przygotował dla niej kąpiel. Była zadowolona, że przespała się trochę w samolocie. Tutaj już nie byłoby to możliwe. Zanurzyła się w wannie pełnej ciepłej wody, a Finn wyszedł na chwilę i wrócił z jej filiżanką herbaty. Była to piękna, złocona porcelana z Limoges. Siedziała więc w wannie, popijając herbatę, i czuła się rozpieszczana. To, co jej zaoferował, było bardzo dalekie od prostych radości jej domu na Cape Cod, a nawet od loftu w Nowym Jorku. Blaxton House było miejscem niezwykłym. I równie niezwykły był Finn.

Finn po chwili także wszedł do wanny i kochali się znowu, tym razem w ciepłej wodzie. Jak nieraz zdarzało jej się na Cape Cod, a potem w Nowym Jorku, zaczęła się niepokoić, czy w ogóle kiedyś wyjdą z domu. Finn się upierał, że w całym jego życiu żadna kobieta nie podniecała go tak jak ona, w co trudno jej było uwierzyć, ale przyjemnie usłyszeć, zwłaszcza po tych kilku ostatnich latach, które przeżyła jak zakonnica. Finn pojawił się w jej życiu niczym eksplozja radosnej zmysłowości, coś, czego już nie oczekiwała.

Wreszcie pozwolił jej się ubrać. Włożyła džinsy, sweter i buty na płaskim obcasie i razem zeszli po schodach na dół. Tym razem zwiedzali dokładniej pomieszczenia, przez które przechodzili. Podnosiła żaluzje, z których wiele było

w opłakanym stanie, a niektóre urywały się, kiedy ich tylko dotknęła. Rozsuwała zasłony, żeby wpuścić do wnętrza więcej światła. Oglądała przepiękne drewniane boazerie i stiuki na sufitach. Meble rzeczywiście wyglądały fatalnie. Stuletnie dywany wymagały konserwacji, a jeśli chodzi o kotary - dla nich było już za późno na ratunek.

- A gdybyś tak od razu pozbył się tego wszystkiego, czego już nie da się zreperować, zarządził sprzątanie i sala po sali, pokój po pokoju, pomalował ściany? To by ci dodało energii do kolejnych działań. Choć pewnie z początku dom zionąłby pustką.

Próbowała się zastanowić, w czym ona mogłaby pomóc podczas swojego pobytu w tym domu. Byłoby przyjemnie razem z nim podjąć to wyzwanie albo nawet zająć się pracami remontowymi, kiedy on będzie pisał.

- Byłoby gorzej niż pusto. - Finn się roześmiał. - Byłoby całkiem goło. Nie sądzę, żeby wiele z tych rzeczy dało się uratować.

Rzeczywiście, meble przeważnie wyglądały okropnie. Tapicerka w dziennym świetle robiła przygnębiające wrażenie, niektórym krzesłom brakowało jednej nogi, stoły stały oparte o ściany, bo inaczej mogłyby się przewrócić, tkaniny były brudne i dziurawe, wszędzie unosił się zapach kurzu. Winfred i Katherine byli już za starzy, żeby utrzymać cały dom w czystości. Dbali jako tako o jego pokoje na górze, całą resztę pozostawiając na łasce losu. Dom wyglądał tak, jakby od lat nie był sprzątny, i Hope szukała słów, żeby powiedzieć mu to w sposób możliwie delikatny.

- Nie ściągnąłem cię tutaj do prac domowych - powiedział z przeproszącą miną, wyraźnie zażenowany.

Nie zamierzała krytykować jego domu, nie chciała zrobić mu przykrości. Wiedziała przecież od niego, że ten dom to jego największy skarb.

- Zajmę się tym z wielką ochotą. To będzie świetna zabawa. Czemu nie mielibyśmy tego zrobić, kiedy jestem u ciebie? Przejrzemy razem to wszystko, pokój po pokoju, i zorientujemy się, co z tego chciałbyś zachować.

- Być może nic. To wygląda trochę jak w Zagładzie domu Usherów Poego - powiedział, rozglądając się, jakby widział to wszystko po raz pierwszy, bo po raz pierwszy patrzył na swój dom jej oczyma. - Obawiam się, że nie dałbym rady zrobić nawet tego, co jest najbardziej konieczne.

Był zmartwiony. Pewnie chciał, żeby doceniła to, co już zrobił.

- Po wysprzątaniu będziemy wiedzieli, czego potrzeba naprawdę. To będzie dobry początek. Może potem kupimy tkaniny na pokrycie jednej czy drugiej sofy. Umiem to zrobić ręcznie, całkiem nieźle - powiedziała i zaczerwieniła się pod jego zmysłowym spojrzeniem.

- Bez wątpienia! - zawołał i roześmieli się oboje. Kiedy obejrżeli dom, wyszli, bo chciał ją oprowadzić po gruntach. Dał jej swoją starą kurtkę, która była na nią o wiele za duża, i poszli obejrzyć stajnie, ogrody, teren zwany parkiem, a potem przespacerowali się aż do najbliższego lasu. Tymczasem zrobiła się gęsta mgła, więc Finn nie upierał się przy wycieczce na wzgórze, o której przedtem wspominał z taką niecierpliwością. Zamiast tego zawiózł ją samochodem do miasteczka i pokazał co ciekawsze miejscowe sklepy. Weszli na chwilę do pubu i Finn wypił ciemne piwo, a Hope herbatę. Rozmawiali ze wszystkimi dookoła i Hope była szczęśliwa, że może poznać ludzi, którzy wchodzili i wychodzili z pubu: babcie z wnuczkami, starych mężczyzn i młode kobiety. Pub w niczym nie przypominał amerykańskich barów. Był raczej czymś pośrednim między kawiarnią i piwiarnią. I wszyscy odnosili się do nich niezwykle przyjaźnie. Jedyne, co przeszkadzało Finnowi, to dwaj mężczyźni, którzy z kąta gapili się na Hope - ale ona nawet ich nie zauważyła. Finn zachowywał się w stosunku do niej niesłychanie zaborczo, choć nie należała do kobiet, które mogłyby dawać jakiegokolwiek powody do niepokoju.

Potem wrócili do domu na posiłek zwany przez miejscowych podwieczorkiem, który w rzeczywistości był lekką kolacją. Na stole pojawiły się kanapki, wędliny, sery, kartofle i solidna irlandzka zupa z mięsem. Oboje najedli się do syta. Potem usiedli przy kominku w jednym z małych pokoików na górze. Położyli się wcześniej. Hope owinęła się kołdrą i tym razem się nie kochali, bo od razu zasnęła.

Rozdział dziewiąty

Nazajutrz po przyjeździe do Blaxton House Hope z pomocą Winfreda, Katherine i Firma rozsunała kotary, pozdejnowała zasłony i pootwierała okiennice, żeby w dobrym oświetleniu dokładnie obejrzeć wnętrza razem z ich wyposażeniem. Finn upoważnił ją, by robiła wszystko, co uważa za słuszne, i począwszy od tego popołudnia, cały dom był pełen dziennego światła. Rozsypane się firanki zdjęto, podarte zasłony kazała rozłożyć na podłogach, by można było im się przyjrzeć. W jednym kącie głównego salonu zgromadziła wszystkie uszkodzone meble, po czym spisała długą listę niezbędnych napraw. Gdyby nie padało, kazałaby wynieść na zewnątrz dywany, żeby je wytrzepać, ale na razie ze względu na pogodę nie było to możliwe, bo lało jak z cebra przez całe dni. Dom był tak pełen kurzu, że zanim zakończyła obchód pierwszego piętra, dostała ataku kaszlu. Ale znalazła kilka sztuk mebli w zupełnie dobrym stanie. Inne wymagały wzmocnienia nóg albo oparć. Wiele było takich, na których obicia wisiały w strzępach. Postanowiła poszukać w miasteczku stolarza i tapicera. Była przekonana, że skoro w okolicy jest tyle starych rezydencji, to na pewno jest też ktoś, kto konserwuje meble. Na liście miała już szesnaście sztuk mebli do renowacji i tylko siedem tak zniszczonych, że nic już nie mogło im pomóc. Tego samego popołudnia pojechała z Finnem do miasteczka po воск, bo chciała spróbować własnymi siłami odświeżyć podłogi i boazerie. Ale to była ogromna robota. Winfred i Katherine byli zaskoczeni tym wszystkim, co robiła, a Finn nie posiadał się z podziwu. Nazajutrz taką samą akcją przeprowadziła na drugim piętrze. Przetrzęsła sypialnie i buduary i pod perkalowymi pokrowcami znalazła sporo pięknych mebli w doskonałym stanie. Bawiła się świetnie. A Finn był zachwycony.

- Wielkie nieba! - zawołał z uśmiechem. - Nigdy bym nie przypuszczał, że sama jedna poradysz sobie z całym domem.

Był wzruszony tym wszystkim, co dla niego robiła. Umiała ciężko pracować i znała się na rzeczy. Na jej prośbę zawiózł ją do Blessington, bo chciała tam poszukać konserwatora antyków. I rzeczywiście znalazła. Umówiła się z nim na następny dzień. Wszystkie meble, co do których zgadzali się z Finnem, że należy je naprawić, zabrano do warsztatu. Nazajutrz pojechali do Dublina, gdzie nakupiła tkanin obiciowych niemal w hurtowych ilościach i trochę atłasu w pastelowych kolorach, potrzebnego do pomieszczeń na drugim piętrze. Za każdym razem się upewniała, czy Firmowi podobają się wybrane przez nią wzory. I zapłaciła za to wszystko z własnej kieszeni. To był prezent.

Przez kilka następnych dni razem z Winfredem i Katherine sprzątała pokoje, usuwając z nich kurz i pajęczyny. Niektóre z zasłon zostawiła, inne, które nie nadawały się do naprawy, kazała wyrzucić. Gołe okna wyglądały znacznie lepiej niż z firankami wiszącymi w strzępach. Dom zaczął wyglądać czystiej i weselej. Rozsunęła także ciemnozielone kotary wiszące w galerii, by nie było tam tak ponuro. Wnętrza z dnia na dzień robiły coraz lepsze wrażenie. A Hope twierdziła, że praca sprawia jej wielką przyjemność.

- Zostaw to na chwilę - powiedział Finn pewnego dnia. - Wyjdźmy na świeże powietrze. Oprowadzę cię po okolicy.

Zabrał ją na spacer i pokazał inne stare rezydencje, z których najładniejsza i najbardziej podobna do Blaxton House mieściła się w Russborough. Ale Hope zapewniła go, że żadna z nich nie mogła się równać z jego domem. Teraz jej celem było przywrócić temu domowi dawną świetność. Dla niego samego byłoby to zbyt trudne i wyczuwała, że ta trudność ma związek z pieniędzmi. Płaciła więc za różne rzeczy, starając się załatwiać to delikatnie, żeby go nie urazić. Finnowi podobało się wszystko, co robiła. Był świadomy, że robiła to tylko z miłości do niego. A na rezultaty nie trzeba było długo czekać.

Zawsze kiedy pracował, spędzała czas na woskowaniu i polerowaniu podłóg albo boazerii, i metr po metrze drewno odzyskiwało połysk. Miejscowy tapicer zabrał kanapy, żeby dać im nowe obicia. W głównej sypialni po odsłonięciu ścian odkryła piękne freski na ścianach, jej zdaniem podobne do tych z Wersalu.

- Jesteś zdumiewającą kobietą - powiedział Finn z podziwem.

Kiedy nie była zajęta woskowaniem, froterowaniem i przenoszeniem mebli, fotografowała wnętrza albo grzebała w miejscowych antykwariatach, szukając skarbów, którymi można by ozdobić pokoje. Pewnego deszczowego ranka razem z Katherine wyczyściła wszystkie srebra. Tego wieczoru zjedli kolację przy długim stole w wielkiej jadalni, zamiast, jak dotąd, przy małym stoliku na górze. Do pracy wkładała dzinsy i znoszony sweter Finna, strój, który nadawał jej wygląd młodej dziewczyny. W domu nadal było bardzo zimno.

- Czuję się jak postać z rysunków humorystycznych w „New Yorkerze” - powiedział ze śmiechem Finn, kiedy Winfred podawał do stołu w wielkiej jadalni.

Pomieszczenia kuchenne były na parterze, bardzo staromodne, ale wszystko działało w nich całkiem nieźle. Tam również Hope zastosowała swoje magiczne sztuczki. Nim minęły dwa tygodnie od jej przyjazdu, dom wyglądał o niebo lepiej, jakby prace w nim trwały już od miesięcy.

Po kolacji poszła sfotografować freski na suficie w głównym salonie. Finn zastał ją przy tej robocie i uśmiechnął się. Za każdym razem, kiedy na nią spojrzał, wyglądał, jakby chciało mu się śmiać i płakać ze szczęścia.

- Myślisz, że dalibyśmy radę sami pomalować te pokoje? - spytała z nieprzytomnym spojrzeniem, kiedy wziął ją w ramiona i pocałował.

- Jesteś szalona. Kocham cię. Nie wiem, jak mogłem przeżyć tyle lat bez ciebie. Mój dom był zapuszczony, moje życie było ruiną. A ja nie wiedziałem, czego mi brakuje. Ale teraz już wiem. Wątpię, czy wypuszczę cię stąd z powrotem do Stanów.

Kiedy to mówił, miał zupełnie poważną minę. Roześmiała się. Obojgu podobały się zmiany, które widać było w jego domu w miarę postępu prac. Hope wiedziała, że jest zachwycony, i to było dla niej największą zachętą do działania.

- Czemu nie mielibyśmy zaprosić czasem na kolację kogoś z twoich sąsiadów? - spytała kiedyś. - Na pewno w tych wielkich rezydencjach mieszka sporo ciekawych osób. Znasz kogoś z nich?

Byłoby wspaniale, gdyby przy długim stole w jadalni zasiedli żywi ludzie. Bardzo chciała ich poznać.

- Nie, nikogo - odpowiedział Finn. - Kiedy tu przyjeżdżam, zawsze pracuję. Nie mam czasu na wizyty. Życie towarzyskie prowadzę w Londynie.

- Byłoby uprzejmie z twojej strony, gdybyś zaprosił czasem sąsiadów. Może pomyślimy o tym, kiedy meble wrócą z naprawy.

- Wolę raczej być tu z tobą sam na sam - przyznał szczerze. - Przyjechałaś na tak krótko i nie chciałbym się tobą z nikim dzielić. We dwójkę jest o wiele bardziej romantycznie.

Tak, chciał jej tylko dla siebie, ale ją trochę ciągnęło do ludzi.

- Przecież jedno nie przeszkadza drugiemu - zauważyła rozsądnie. - Możemy spotykać się z ludźmi i mnóstwo czasu spędzać sami.

Zdumiewało ją, że od dwóch lat, odkąd wprowadził się do tego domu, nie zawarł w okolicy żadnych znajomości.

- No dobrze, kiedyś się ich zaprosi - obiecał niezobowiązująco.

W tej samej chwili zadzwonił dzwonek jej komórki. To był Paul. Odebrała telefon i usiadła w małej alkwie na tyłach salonu. Nie rozmawiali ze sobą od tygodni. Wciąż jeszcze pływał na jachcie. Czuł się dobrze. Ona powiedziała, że jest w Irlandii, w bajecznie pięknym starym domu. W jego głosie wyczuła zmęczenie, ale o nic nie wypytywała. I po paru minutach, kiedy Finn przyszedł za nią do alkwii, pożegnała się.

- Kto to był? - zapytał, zaniepokojony, siadając obok niej.

Hope uśmiechnęła się do niego.

- Paul. Opowiadałam mu o twoim domu.

- To miło. Ale czy on cię jeszcze wciąż kocha? Hope potrząsnęła głową.

- Jest zbyt chory, żeby myśleć o kimkolwiek oprócz siebie. Poza tym nie zapominaj, że rozwiódł się ze mną. Teraz jesteśmy tylko przyjaciółmi. Paul to moja rodzina. Przecież byliśmy małżeństwem przez ponad dwadzieścia lat.

Finn skinął głową i nie drażył już więcej tego tematu. Wyglądało na to, że jej słowa go uspokoiły.

Potem wybrali się na spacer po wzgórzach, z którego Hope przyniosła dwa kosze polnych kwiatów i po powrocie wstawiła kwiaty do wazonów. Finn przyglądał jej się, uśmiechnięty i szczęśliwy. Tego wieczoru znowu zaczął mówić o tym, że mogliby mieć dziecko, choć przedtem zgodził się odłożyć tę kwestię na później. Mówił, że tak bardzo ją kocha, że po prostu nie może się powstrzymać. I nalegał. Ona się upierała, że jest jeszcze za wcześnie, żeby o tym rozmawiać. Nie powiedziała mu, że nie chciałyby urodzić dziecka, zanim się pobiorą. A ich ślub też nie był jeszcze rzeczą pewną, chociaż stawał się coraz bardziej prawdopodobny.

- Chciałbym mieć małą dziewczynkę, podobną do ciebie - powiedział z tęskną miną, trzymając ją w ramionach wieczorem w łóżku. - Chcę mieć z tobą dziecko, Hope.

- Tak... - mruknęła sennie. - Ja też bym chciała. Ale w moim wieku to już nie zawsze jest możliwe...

- W naszych czasach wszystko jest możliwe. Możemy skorzystać z pomocy medycyny. W Wielkiej Brytanii ten dział stoi na wysokim poziomie.

Z uporem domagał się, by urodziła mu dziecko, lecz na razie używali środków antykoncepcyjnych, więc było to tym bardziej niemożliwe. Jej zdaniem sytuacja jeszcze do tego nie dojrzała. Byłaby to jedna z najważniejszych życiowych decyzji, więc należało ją podjąć w sposób odpowiedzialny. Czym innym było odnawianie jego domu, czym innym urodzenie dziecka.

- Zobaczymy - powiedziała i przytuliła się do niego z wyrazem szczęścia w oczach. Myślała o tym, że to najlepsze dni w jej życiu od bardzo, bardzo dawna.

W trzecim tygodniu pobytu w Irlandii Finn zaskoczył ją pomysłem, by we dwójkę spędzili weekend w Paryżu. Nie przyszło jej nawet do głowy, że mogłaby, korzystając z okazji, podróżować po Europie. Ale pomysł bardzo jej się spodobał. Finn zarezerwował dla nich pokój w Ritzu, który był jego ulubionym hotelem, i na weekend polecili do Paryża. W drodze powrotnej zamierzali zatrzymać się w Londynie, na czym zależało Hope, bo miała się spotkać tam z kuratorem działu fotografii w galerii Tate Modern, i dzień przed wylotem do Paryża zadzwoniła, żeby ustalić termin. Kurator był z możliwości takiego spotkania niesłychanie zadowolony.

Ich pobyt w Paryżu był tym wszystkim, co tylko mogli sobie wymarzyć. Dostali w Ritzu nieduży, ale bardzo elegancki pokój. Godzinami spacerowali po mieście i jadali w pięknych starych bistrach na lewym brzegu Sekwany. Zwiedzili Notre Dame i Sacre Coeur. Szperali w sklepikach z antykami, szukając rzeczy, które mieliby ochotę zabrać do Blaxton House. Był to cudowny czas, jak zresztą zawsze, gdy byli razem. Ale Paryż wydawał im się jeszcze bardziej romantyczny i naprawdę niezwykły. To miasto było po prostu stworzone dla miłości.

- W całym moim życiu nigdy przez nikogo nie byłam tak rozpieszczana - powiedziała Hope.

Chciała płacić za posiłki w restauracjach na zmianę z Fin-nem, ale się na to nie zgadzał. Na ten temat miał zupełnie staromodne wyobrażenia, choć pozwalał czasem, żeby kupiła coś do jego domu. Ale ona uważała, że powinien zdobyć się na więcej elastyczności. Wiedziała, że książka dobrze się sprzedaje, ale przecież miał syna na utrzymaniu i musiał opłacać czesne na uczelni. Studia Michaela i utrzymanie domu wielkości Blaxton House było dla niego wielkim wyzwaniem nawet przy całkowitym zwolnieniu z podatku dochodowego, które oferowała Irlandia. Wydatki były przecież równie duże jak wszędzie. Po rozwodzie dostała od Paula tyle pieniędzy, że czuła się winna, kiedy nadużywała wielkoduszności Firma. Próbowała mu to wytłumaczyć po każdym obiedzie.

- Wiem, że to drażliwy temat - powiedziała łagodnie - ale mam pieniądze, bo Paul zadbał o mnie po rozwodzie. Sprzedał część swoich akcji. Mimi już wtedy nie żyła, więc żadne z nas nie wiedziało, co zrobić z pieniędzmi. Paul wydaje dużo na utrzymanie jachtu i na podróże. Ale ja nie mam prawie żadnych wydatków. Naprawdę byłoby sprawiedliwie, gdybyś pozwolił mi płacić co drugi rachunek.

- To nie w moim stylu - odparł stanowczo. I zaczął się nad czymś zastanawiać.
- Mimi nie żyje. Kto zatem odziedziczy po tobie te pieniądze, kiedy umrzesz?

Bardzo dziwne pytanie. Ale między nimi nie było tematów tabu. Mogli rozmawiać o wszystkim. To pytanie sama sobie zresztą nieraz zadawała. Oprócz Paula nie miała nikogo. Żadnych krewnych. A on był od niej starszy o szesnaście lat i bardzo chory. Więc było mało prawdopodobne, że Paul ją przeżyje i będzie po niej dziedziczył. Myśl o tych pieniądzach zawsze ją zasmucała. Wszystko, co miała, dostała od niego. Podczas rozwodu dokonał bardzo korzystnego dla niej podziału majątku, nie zważając na jej protesty. Poza tym uparł się, żeby się ubezpieczyć na życie. I wszystkie pieniądze, które zostaną wypłacone jako odszkodowanie po jego śmierci, także przypadną jej.

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze, zastanawiając się znowu, komu powinna zostawić pieniądze. - Może powinnam zapisać je Uniwersytetowi Dartmouth, gdzie wykładał mój ojciec i gdzie studiowała Mimi. Albo wydziałowi medycyny

na Harvardzie. Bo naprawdę nie mam komu ich zostawić. Dziwna sytuacja, prawda? Co roku trochę rozdaję na cele dobroczynne organizacjom, do których mam zaufanie. Ustanowiłam stypendium imienia Mimi w Dartmouth i jeszcze jedno w New York City Ballet.

- Powinnaś zacząć używać tych pieniędzy dla własnej przyjemności.

- Wiem. Ale przez ostatnie dwa lata musiałam się przyzwyczajać do tego, że je mam. Ale tak naprawdę to nie bardzo ich potrzebuję. Powiedziałam to nawet Paulowi, kiedy się rozwodziliśmy. Nie mam kosztownych upodobań.

Po rodzicach zostało jej dość, by utrzymać dom na Cape Cod.

- Czasami czuję się winna, że je mam - dodała po chwili. - Tak jakby marnowały się w moich rękach.

Pokiwał głową, roześmiał się i powiedział, że chciałby zamienić się z nią na zmartwienia.

- Zawsze chcę odłożyć trochę na prace remontowe, ale to nie takie proste, kiedy masz dzieciaka na uczelni i kilka domów. A w każdym razie dwa, bo tyle ich właśnie mam.

Bardzo chciała mu pomóc, ale to także byłby z jej strony przedwczesny ruch. Znali się od dwóch miesięcy, a w prawdziwym świecie dwa miesiące to bardzo krótko. Może za kilka miesięcy, jeśli wszystko będzie dobrze szło, Finn pozwoli, by pomogła mu finansowo w remoncie domu. Właśnie w taki sposób mogłaby użyć tych pieniędzy dla własnej przyjemności.

Po tej rozmowie spacerowali po ogrodach Tuileries, zajrzeli do Luwru i wrócili do hotelu. Nazajutrz wyjeżdżali. Podczas tego wspólnego weekendu czuli się jak w niebie, jak zawsze, kiedy robili coś razem. Zamówili kolację do pokoju i cały wieczór spędzili w wygodnym łóżku, w luksusowej hotelowej pościeli. Rankiem wsiedli do pociągu i w południe byli już w jego malutkim londyńskim domku. Zrobiło jej się przyjemnie, kiedy znowu zobaczyła te wnętrza i przypomniała sobie sesję zdjęciową, od której wszystko się zaczęło. Wśród zdjęć, które zrobiła, kilka było absolutnie rewelacyjnych. Finn wybrał na skrzydełko książki jedno z tych, które najbardziej jej się podobały. Kilka innych oprawiła w ramki, dla niego i dla siebie.

Tego popołudnia miała spotkanie w Tate Modern Museum. Niezadowolenie Finna zupełnie ją zaskoczyło. Nie mogła tego zrozumieć.

- Ale o co ci chodzi? - spytała, kiedy jedli w kuchni usmażony przez niego wspaniały omlet. Finn podczas obiadu był tak nadąsany, że nie mogła tego nie zauważyć. - Co cię tak rozgniewało?

- Nic. Tylko nie rozumiem, dlaczego koniecznie musisz się dzisiaj spotkać z tym kuratorem z muzeum.

- Dlatego, że planują wystawę moich prac w przyszłym roku - wyjaśniła spokojnie. - To dla mnie bardzo ważna sprawa, Finn.

- Mogę iść z tobą? - spytał z nadzieją, ale potrząsnęła przecząco głową, pełna poczucia winy.

- To by wyglądało dziwnie, gdybym kogoś ze sobą przyprowadziła.

- Powiesz, że jestem twoim asystentem.

- Nie zabiera się asystentów na takie rozmowy. Są potrzebni tylko podczas sesji zdjęciowych.

W odpowiedzi wzruszył ramionami i nie odezwał się więcej ani razu aż do jej wyjścia. Zadzwoiła po taksówkę.

- Kiedy wracasz? - spytał lodowatym tonem.

- Natychmiast po spotkaniu, obiecuję. Jeśli chcesz w tym czasie zwiedzić muzeum, możesz jechać ze mną, będzie wspaniale. Poczekasz na mnie na miejscu.

Nie odpowiedział, tylko pokręcił przecząco głową. Wyszła po chwili, znękana myślą, że go porzuca, choć dobrze wiedziała, że to po prostu śmieszne. To on wpędzał ją w poczucie winy. I udawało mu się. Skutek był taki, że śpieszyła się podczas tego spotkania, wyleciało jej z głowy parę ważnych pytań, jakie chciała zadać, i w ciągu dwóch godzin była z powrotem w domu. Finn siedział na kanapie. Czytał książkę, obrażony. Kiedy weszła do pokoju, podniósł na nią ponury wzrok.

- Mam nadzieję, że wróciłam wystarczająco szybko? - spytała z udręką w głosie.

Teraz ona była niezadowolona, bo przecież tak się śpieszyła podczas rozmowy w muzeum, żeby nie zostawiać go samego zbyt długo. Ale on tylko wzruszył ramionami.

- Nie bądź taki. Przecież nie masz czterech lat. Czasami muszę wychodzić i zajmować się swoimi sprawami. To moja praca. Ty też masz swoją pracę i swoje spotkania. Kiedy wychodzę, nie przestaję cię kochać.

- To dlaczego nie możesz mnie ze sobą zabierać? - Rzucił jej zranione spojrzenie.

- Dlatego, że nie jesteśmy jedną osobą. Jesteśmy dwojgiem ludzi, każde z nas ma własne sprawy, każde zajmuje się czym innym. Ty też nie możesz zabierać mnie ze sobą na rozmowy z wydawcą.

- Ale ja chciałbym cię zabierać. Nie mam absolutnie nic przeciwko temu, żebyś mi towarzyszyła.

- Ja też lubię chodzić w różne miejsca razem z tobą, przeważnie nie widzę żadnych przeszkód. Ale tego człowieka wcześniej nie znałam, nie chciałam zrobić

złego wrażenia, wyjść na kogoś, kto miesza romanse ze sprawami zawodowymi. To by wyglądało niepoważnie, Finn.

- Przecież jesteśmy parą. Tak czy nie? - spytał z udręką w oku, co sprawiło jej jeszcze większy ból.

Nie było powodu, by czuła się winna, on, zachowując się w ten sposób, zrobił jej wielką przykrość. Udało mu się popsuć jej humor. To nie było w porządku z jego strony. Kochała go naprawdę, ale teraz była wstrząśnięta, bo zachowywał się jak małe dziecko.

- Tak, jesteśmy parą. Ale nie parą bliźniąt syjamskich. Znowu ta jego teoria „stapiania się w jedno”, z którą od początku nie mogła się zgodzić. Nie będzie go zabierała na sesje zdjęciowe ani nie będzie pisała z nim książek. I choćby pragnął tego ze wszystkich sił, nie mogli stać się jedną osobą. Byli dwojgiem ludzi. Kiedy o tym rozmawiali, zawsze wyrażała się jasno. W przeciwieństwie do niego.

- To nie znaczy, że cię nie kocham - powiedziała spokojnie i nic już nie dodała, kiedy bez słowa wrócił do lektury.

Nie odzywał się do niej przez bardzo długi czas, po czym znowu ją zaskoczył. Podniósł wzrok i zamknął książkę.

- Umówiłem cię na jutro na spotkanie. To znaczy, umówiłem nas oboje.

- Jakie spotkanie, z kim?

- Z lekarką. Ze specjalistką od spraw płodności. Zajmuje się ludźmi w naszym wieku, którzy pragną mieć dziecko.

Oboje wiedzieli, że jego wiek nie był ru żadną przeszkodą. Problem dotyczył wyłącznie jej. Finn sformułował to bardzo uprzejmie. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Dlaczego nie porozmawiałeś ze mną, zanim nas umówiłeś na tę wizytę?

Sposób, w jaki to załatwił, wydał jej się nieco despotyczny. Mówiła mu przecież, że woli z tym jeszcze poczekać, choćby parę tygodni.

- Udało mi się znaleźć tę lekarzkę i chciałem załatwić sprawę, póki jesteśmy w Londynie. Przynajmniej posłuchasz, co ma nam do powiedzenia. Może od razu dostaniemy jakieś zalecenie. Sądzę, że trzeba zacząć się przygotowywać do tej ciąży już teraz, jeśli masz w nią zająć za parę miesięcy.

Wszystko u niego następowało błyskawicznie. Tak samo szybko zawiązał się ich romans. Ale urodzenie dziecka to znacznie większa odpowiedzialność niż rozpoczęcie romansu. Urodzenie dziecka to zobowiązanie, które nigdy nie wygasa.

- Finn, nie możemy jeszcze wiedzieć na pewno, czy chcemy tego dziecka. Jesteśmy razem dopiero od dwóch miesięcy. To zbyt poważna decyzja. Wielka

decyzja życiowa. Powinniśmy podjąć ją razem. Nie możesz decydować o tym sam.

- Ale czy nie możesz po prostu do niej pójść i wysłuchać jej zaleceń? - Wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać. Przez chwilę czuła się potworem. Ale naprawdę nie była jeszcze zdecydowana na rozmowę z lekarzem o dziecku. - To jak? Pójdiesz tam ze mną?

Zwrócił na nią błagalne spojrzenie. Nie chciała go zranić, nie mogła odrzucić tej prośby.

Powoli pokiwała głową twierdząco, chociaż nie miała na to ochoty.

- Dobrze. Ale nie chcę, żebyś mnie popędzał. Potrzebuję czasu, zanim się zdecyduję na taką rzecz. Powinniśmy najpierw nacieszyć się sobą.

Kiedy to usłyszał, wreszcie się uśmiechnął i pochylił ku niej, żeby ją pocałować.

- Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy. Nie chciałbym, żebyśmy stracili szansę na dziecko z powodu zwłoki.

Sposób, w jaki to powiedział, wzruszył Hope. Ale nie mogła zapomnieć, że załatwił to w takim pośpiechu, nie oglądając się na nią. Zaczęła się zastanawiać, czy w ten sposób wziął na niej odwet za to, że nie chciała go zabrać na rozmowę z kuratorem wystawy. Z drugiej strony, wiedziała przecież, jak bardzo zależało mu na dziecku. Problem był tylko w tym, że nie czuła się gotowa, żeby się tym zająć, i mówiła mu o tym wystarczająco jasno, odkąd po raz pierwszy poruszył tę kwestię. Kiedy nabił sobie czymś głowę, potrafił być strasznie uparty. Jakby nie rozumiał znaczenia słowa „nie”.

Wieczorem poszli na kolację do Harry's Bar. Tym razem Hope nie była zbyt rozmowna. Potem wrócili do domu i kochali się. Ale po raz pierwszy poczuła, że coś ich dzieli. Nie życzyła sobie, żeby podejmował za nią decyzje, zwłaszcza te najważniejsze. Paul nie zrobił tego nigdy, aż do postanowienia o rozwodzie. Póki chciał z nią być, wszystkie ważne decyzje podejmował razem z nią, po długich wspólnych naradach. I właśnie tego Hope oczekiwała od Finna. Ale on był nastawiony raczej na przeforsowanie własnych pomysłów. Pod tym względem bardzo różnił się od Paula.

Nazajutrz, kiedy stawili się w gabinecie lekarskim na umówioną przez Finna wizytę, Hope poczuła się z tym jeszcze gorzej. Okazało się bowiem, że wcale nie przyszli po wstępną poradę. Finn umówił się na gruntowne badania płodności, na wiele testów medycznych. Niektóre bardzo nieprzyjemne. I nie była na to przygotowana w najmniejszym stopniu. Kiedy wyszło na jaw, co naprawdę miał w planie, z początku próbowała odmówić i nawet wspomniała lekarce o swoich

wątpliwościach. Gdy ta się dowiedziała, że Hope w zasadzie nie wie, jaki jest cel tej wizyty, zaniepokoiła się jeszcze bardziej od niej.

- Posłałam państwu folder informacyjny - powiedziała, patrząc na nich z wyraźnym zmieszaniem.

Była miła i robiła dobre wrażenie, ale Hope nie mogła jakoś pogodzić się z wizją tego, co czekało ją w ramach umówionej wizyty.

- Nie widziałam tego folderu - odpowiedziała krótko Hope i zawiesiła spojrzenie na Finnie. Była zażenowana. Bez wątpienia miał w rękach ten folder, zanim umówił wizytę, ale nie podzielił się z nią tym, co w nim wyczytał. Jak na razie załatwiał wszystko tak, jakby to była wyłącznie jego sprawa. - Nawet o dzisiejszej wizycie dowiedziałam się dopiero wczoraj wieczorem.

- Chce pani mieć dzisiaj te badania? - zapytała lekarka prosto z mostu. I Hope poczuła się przyparta do muru. Jeśli wrócą do domu z niczym, Finn będzie się czuł zraniony, ale jeśli się zgodzi, to ona poczuje się fatalnie. A badania nie zapowiadały się zbyt zachęcająco. Zastanawiała się nad tym przez długą chwilę, po czym miłość wzięła górę nad niezadowoleniem i postanowiła, że tym razem się dla niego poświęci.

- Tak, chcę. Ale nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji co do dziecka.

- Ja już podjąłem - odezwał się szybko Finn. Roześmiały się obie.

- W takim razie musisz sam je urodzić - odpowiedziała Hope.

- Była pani już kiedyś w ciąży? - spytała lekarka, wręczając jej plik kwestionariuszy do wypełnienia i dwie broszurki o zapłodnieniu in vitro oraz o możliwości użycia jajeczka innej kobiety.

- Tak, raz - odpowiedziała Hope. - To było dwadzieścia trzy lata temu.

Przejrzała broszurkę, którą trzymała w ręce.

- Czy będziemy musieli skorzystać z jajeczka innej kobiety?

Ten pomysł nie podobał jej się ani trochę. Gdyby tak się stało, byłoby to w sensie genetycznym dziecko Finna. Ale nie jej. Nie była przekonana do tego rozwiązania.

- Mamy nadzieję, że nie, ale to też jest jakieś wyjście. Najpierw musimy zrobić wszystkie badania. Należy zbadać żywotność pani jajeczek. Sukces jest tym pewniejszy, im młodsze jest jajeczko, to oczywiste. Ale nie jest wykluczone, że z pani jajeczka wciąż jeszcze, z niewielką pomocą medycyny, może powstać zarodek.

Uśmiechnęła się, a Hope poczuła nagle, że robi jej się trochę słabo. Nie była zdecydowana na takie metody, nie wiedziała, czy w ogóle kiedykolwiek się na to zdecyduje.

Finn tak bardzo chciał mieć dziecko, że w ogóle nie brał pod uwagę jej zdania. Wiedziała, że miłość była przyczyną i uzasadnieniem jego postępowania. Ale nie mogła się z tym pogodzić.

- Czy dzisiaj przejdę test żywotności jajeczek? - Wiedziała, że to badanie nie jest drobnostką, jeśli już ktoś się na nie zdecydował.

- Nie, następnym razem. Jeśli będziemy musieli je zrobić. Dziś zbadamy u pani poziom hormonu folikulotropowego. Proszę spojrzeć na spis badań.

Podsunała Hope kolejną kartkę. Na liście była ultrasonografia, badanie palpacyjne i wiele testów mierzących poziom hormonów we krwi. Potrzebna była też próbka spermy Finna.

Przez następne dwie godziny wykonane zostały wszystkie niezbędne badania. Hope miała pomóc Firmowi w uzyskaniu próbki spermy, a on pozwolił sobie nawet na jakieś zabawne i nieprzyzwoite uwagi. Ale Hope nie była w odpowiednim nastroju i nie miała ochoty uczestniczyć w tej procedurze. Poprosiła go więc, żeby radził sobie sam. Owszem, poradził sobie i wszedł w trakcie ultrasonografii, z dumą pokazując probówkę.

Lekarka z zadowoleniem oznajmiła, że Hope dziś właśnie przechodzi owulację.

- Najlepiej będzie, jeśli po powrocie do domu spróbujecie państwo spółdzić dziecko w sposób naturalny, choć mogę od razu dokonać sztucznego zapłodnienia, używając spermy pana O'Neill. Może pani przyjść na ten zabieg po południu, jeśli pani woli - zaproponowała po chwili i spojrzała na Hope przyjaźnie.

- Nie chcę - odpowiedziała Hope ze ściśniętym gardłem.

Czuła się, jakby inni ludzie wkroczyli z butami w jej życie. Zwłaszcza Firm. Finn siedział obok i był bardzo rozczarowany tym, co przed chwilą usłyszał.

- Możemy też spróbować za cztery tygodnie - powiedziała łagodnie lekarka, odłączając aparat do ultrasonografii i ścierając żel ze skóry Hope. Badanie było zakończone, Hope mogła już wstać. Ale była zupełnie wykończona. Czuła się, jakby Finn wciągnął ją do superekspresu, gdy w kieszeni miała bilet na pociąg osobowy. Nie chciała z nim jechać tym pociągiem, a już na pewno nie do stacji, którą wybrał jako cel podróży. Zaczynała dopiero przeglądać ulotki na temat tej podróży, a Finn już zdążył za nią postanowić, kiedy wyruszają i dokąd pojadą.

Po badaniach znowu spotkali się z lekarką w jej gabinecie. Powiedziała im, że wyniki wyglądają optymistycznie. Ale poziom hormonu folikulotropowego u Hope nie został jeszcze przeliczony, podobnie jak zawartość estrogenów we krwi. Na ekranie jajeczka wyglądały bardzo dobrze. Sperma Finna zawierała wysoki procent zdrowych plemników. Lekarka sądziła, że jeśli Hope podda się sztuczemu zapłodnieniu, to prawdopodobieństwo sukcesu jest ogromne. Jeśli ta metoda nie zadziała przez kolejne dwa miesiące, to można będzie podać Clomid,

żeby sprowokować uwolnienie większej liczby jajeczek. Co prawda może to zaowocować ciążą mnogą, uprzedziła lekarka. A jeśli Clomid także nie pomoże przez cztery kolejne miesiące, to wówczas będzie trzeba podjąć próbę zapłodnienia in vitro. I jeśli to okaże się konieczne, użyć do tego celu jajeczek innej kobiety. Lekarka wręczyła Hope tubkę maści zawierającej progesteron i wyjaśniła, jak jej używać w końcowej części cyklu, to znaczy między owulacją i menstruacją, by ułatwić ewentualnemu zarodkowi zagnieżdzenie się w śluzówce macicy i zapobiec samorzutnemu poronieniu. Po czym zapowiedziała, że pielęgniarka nauczy Hope korzystać z zestawu do oznaczania dnia owulacji. Zanim opuścili gabinet, Hope czuła się, jakby ją wystrzelono z armaty na księżyc.

- No i co? Nie było tak strasznie - powiedział Finn, gdy tylko wyszli na ulicę, z szerokim uśmiechem, zadowolony z siebie.

Hope zamiast odpowiedzi rozpląkała się.

- W ogóle cię nie obchodzi, co ja czuję? - spytała, łkając. Miała wrażenie, że wszystko to będzie zdradą wobec Mimi. Tak jakby jakieś inne dziecko miało teraz zająć jej miejsce. Na to także nie była przygotowana. Nie mogła przestać płakać nawet wtedy, kiedy wsiedli do taksówki i Finn podał kierowcy adres.

- Przykro mi - powiedział. - Myślałem, że po tej wizycie będziesz szczęśliwa.

On także wydawał się załamany.

- Nie wiem nawet, czy chcę dziecka, Finn. Straciłam dziecko, które bardzo kochałam. Do tej pory nie podniosłam się po tej stracie i wątpię, czy kiedykolwiek się podniosę. Poza tym uważam, że w naszym związku na dziecko jest jeszcze za wcześnie.

- Nie mamy dość czasu, żeby wydziwiać - powiedział błagalnie.

Nie chciał być nieprzyjemny, ale mógłby jeszcze dodać, że Hope ma czterdzieści cztery lata i jej zegar biologiczny odmierza ostatnie chwile, jakie jeszcze pozostały.

- Jeśli tak, to może powinniśmy zostać tylko we dwoje. Nie jestem jeszcze na to zdecydowana po dwumiesięcznym romansie.

Ona także nie chciała go urazić, ale musiała wyrażać się jasno. Ślub to jedno, a dziecko coś zupełnie innego.

- Musisz uzgadniać ze mną takie rzeczy, Finn. To zbyt poważna sprawa - dodała.

- Dla mnie też jest bardzo poważna. Chciałbym mieć dziecko, zanim stracimy taką szansę.

- Jeśli tak, to powinieneś poszukać jakiejś dwudziesto-pięciolatki. A nie wiązać się z kobietą w moim wieku. Nie będę ścigała się z czasem. To decyzja o poważnych konsekwencjach, więc potrzebujemy spokoju, żeby się z nią zmierzyć.

- Ja nie potrzebuję spokoju - odparł z uporem.

- No dobrze. Tylko ja go potrzebuję - powiedziała, coraz bardziej zdesperowana.

Czuła się zapędzona w kozi róg i usiłowała zmusić go do odwrotu. Wiedziała, jak bardzo była przez niego kochana. Ona kochała go także, ale nie życzyła sobie, żeby ją do czegokolwiek zmuszał.

- Nigdy dotąd nie chciałem zostać ojcem. Narodziny Michaela to był wypadek przy pracy. Gdyby nie on, na pewno nie ożeniłbym się z jego matką. Z tobą jedną chciałbym mieć dziecko. - Popatrzył na nią ze łzami w oczach.

- Musisz dać mi więcej czasu. Pozwól mi oswoić się z tą perspektywą. U lekarki czułam się, jakbyś mnie uwiązał za samochodem i docisnął gaz. Gdybym jej na to pozwoliła, byłabym pewnie w ciąży już od dzisiaj.

- Z mojego punktu widzenia to by nie było źle - zauważył.

Taksówka właśnie zatrzymała się przed jego domem. Chwilę później weszli do środka. Hope była wstrząśnięta i nieszczęśliwa, zupełnie wyczerpana po tylu trudnych emocjach, jakie dziś przeżyła. Finn nic już więcej nie mówił na ten temat. Wyjął kieliszek i napełnił go winem. Śledziła ruchy jego rąk, jakby właśnie najbardziej ze wszystkiego potrzebowała kieliszka wina. Powinna była teraz przestać myśleć o tej sprawie i wrócić do niej kiedy indziej. Opróżniła kieliszek w mgnieniu oka. Napełnił go jeszcze raz. I sobie też nalał. ^

- Przepraszam, kochanie. Nie powinienem na ciebie naciskać. To dlatego, że myśl o dziecku tak bardzo mnie pociąga. Wybacz mi - powiedział miękko i pocałował ją. - Nie będziesz się na mnie gniewała?

- Chyba nie - odrzekła ze smutnym uśmiechem. | Prawdę mówiąc, wszystko to było dla niej wyjątkowo nieprzyjemnym przeżyciem. Nalał jej jeszcze wina. I znowu wypila. Czuła się okropnie, ale po trzecim kieliszku gniew jej przeszedł i znowu zaczęła płakać. Finn wziął ją w ramiona i zaprowadził na górę. Przygotował dla niej kąpiel, co przyjęła z wdzięcznością. Zanurzyła się w ciepłej wodzie i przymknęła oczy. Leżała w wannie, przychodząc powoli do siebie i starając się odepchnąć wspomnienie tej nieprzyjemnej wizyty u lekarki. Ciepła kąpiel pomagała jej się odprężyć. A kiedy znowu otworzyła oczy, zobaczyła Finna. Podał jej kieliszek szampana, w którym pływała wielka truskawka, i wszedł do wanny. Hope zachichotała, kiedy Finn próbował ulokować swoją wielką postać w wannie obok niej, nie rozlewając szampana z kieliszka, który przyniósł dla siebie.

- Ale co my właściwie świętujemy? - spytała z uśmiechem.

Była trochę oszołomiona, ale, jak sądziła, na pewno nie pijana. Potrzebowała wina, żeby jakoś przetrwać popołudnie. Dopila szampana. Zabrał z jej rąk wysoki

kieliszek i odstawił go. Swój, pusty, także. I jak to zwykle bywało, kiedy kapali się razem, rozpoczął grę, której żadne z nich nie mogło się oprzeć. I zanim sobie to uprzytomniła, zanim zdążyła pomyśleć, zaczęli się kochać w wannie, a skończyli na podłodze, na łazienkowym dywanie - namiętnie, z pasją i jakby ze skrajną desperacją po całym bólu i zamęcie, który Hope przeżyła przed południem. Wiedziała tylko jedno, że go pragnie. I on jej pragnął. W tym pragnieniu oboje byli nienasyчени. Poruszał się ciężko, gwałtownie i szybko, a potem leżał na niej jeszcze przez długą chwilę. Wreszcie się podniósł i na rękach zaniósł ją do łóżka, jakby była lalką. Delikatnie wytarł ją ręcznikiem i przykrył kołdrą. Uśmiechała się do niego jak ktoś, kto wypił trochę za dużo wina. Ale było w tym uśmiechu nie tylko wino, lecz także miłość i czułość.

- Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie - szepnął jej do ucha.

- Ja też cię kocham, Finn - mruknęła i zasnęła w jego objęciach.

Wciąż jeszcze trzymał ją w objęciach, kiedy obudzili się nazajutrz rano. Spojrzała na niego z ukosa.

- Chyba upiłam się wczoraj wieczorem - powiedziała, trochę zawstydzona.

Pamiętała, co wydarzyło się w wannie i potem na podłodze, pamiętała, że było to wspaniałe i porywające. Z nim nigdy nie było inaczej. I nagle aż podskoczyła, gwałtownie przytomniejąc. Przypomniało się jej, co mówiła lekarka. Hope była w trakcie owulacji, a oni się nie zabezpieczyli. Z jękiem opadła z powrotem na poduszkę.

- Zrobiłeś to naumyślnie? - spytała.

Była wściekła na niego, ale jeszcze bardziej na siebie. Jak mogła być taka głupia? Choć najprawdopodobniej nic z tego nie wyniknie. W jej wieku nie zachodzi się w ciążę tak łatwo, to wymaga specjalnych zabiegów i czasu. Nie wystarczy chwila młodszej namiętności w wannie.

- Ale co? - spytał niewinnie.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. - Chciała, żeby zabrzmiało to lodowato, ale nie wyszło. Za bardzo go kochała. I przyszło jej do głowy, że może ona także tego chciała, tylko bez brania odpowiedzialności za decyzję. Dlatego upiła się i pozwoliła mu to zrobić. Zatem ona także nie była bez winy. Była przecież dorosłą kobietą, potrafiła o siebie zadbać, jeśli chciała. Poczwała się zupełnie zagubiona.

- Wczoraj przechodziłam owulację. Lekarka mówiła o tym w twojej obecności. Proponowała nawet zabieg sztucznego zapłodnienia.

- Ale zrobiliśmy to w o wiele zabawniejszy sposób.

I cała rzecz jest teraz w rękach boskich, nie w naszych. Najprawdopodobniej zresztą i tak nic z tego nie będzie - odparł dobrodusznie.

Miała nadzieję, że stanie się tak, jak powiedział. Usiadła i oparła się o poduszki.

- A co będzie, jeśli zajdę w ciążę? Co wtedy zrobimy? Czy damy sobie z tym radę? W naszym wieku? To przecież jest, niezależnie od wieku, ogromne zobowiązanie. Potrafimy to udźwignąć?

- Będę najszcześliwszym człowiekiem na świecie, jeśli tak się stanie - powiedział z dumą. - A ty?

- Ja będę przerażona. Będę myśleć o wszystkich rodzajach niebezpieczeństw, o obowiązkach, o ryzyku genetycznym... I o... - Urwała, bo nie chciała mu powiedzieć, o czym jeszcze. Bała się, że utraci jeszcze jedno dziecko, które pokocha. Tego po raz drugi nie zniesie.

- Będziemy sobie z tym radzić, kiedy się to okaże rzeczywistością. Obiecuję. - Pocałował ją, biorąc w ramiona tak delikatnie, jakby była kruchym przedmiotem z cennego szkła. - Jak szybko się dowiemy?

- Pewnie w ciągu dwóch tygodni. Nie byłam w ciąży od lat. Teraz łatwo to sprawdzić. W każdej aptece są zestawy z testem ciążowym. Wtedy będę już z powrotem w Nowym Jorku. Jeśli okaże się, że jestem w ciąży, dam ci znać.

Ta myśl zmroziła jej krew w żyłach. Jakaś maleńka cząstka jej woli pragnęła, by tak się stało. Dlatego, że go kochała. Ale rozsądek tego nie chciał. Tylko serce. To naprawdę nie miało sensu. Zupełnie nie wiedziała, co myśleć.

- Może w tej sytuacji nie powinnaś tam wracać - powiedział zatroskany. - Może nie byłoby dobrze latać samolotem, gdybyś była w ciąży.

- Muszę. Mam trzy ważne sesje zdjęciowe.

- Jeśli jesteś w ciąży, to ciąża jest ważniejsza.

Hope poczuła nagle, że to całkiem szalone. Już teraz myśleli o wszystkim w taki sposób, jakby naprawdę była w ciąży. Zaplanowali to dziecko. Choć tak naprawdę zaplanował je tylko Finn. A ona pozwoliła mu działać.

- Proszę, nie opowiadaj głupstw. W moim wieku ciąża zdarza się równie często jak przelot komety. Słyszałaś, co nam powiedziała lekarka. Jeśli w ogóle się zdecydujemy na dziecko, zapewne nie obejdziemy się bez procedur medycznych.

- Nie była tego wcale taka pewna. Może więc się obejdziemy. Zdaje się, że to zależy od poziomu hormonu folikulotropowego.

- Miejmy nadzieję, że jest wystarczająco wysoki albo niski, żeby z tej ciąży nic nie wyszło.

Wstała z łóżka. Czowała się tak połamana, jakby potracił ją autobus. Albo jakby między trudnymi emocjami wczorajszego przedpołudnia a kilkoma kieliszkami wypitego wina spędziła dwa tygodnie na ujeżdżaniu dzikich koni podczas rodeo.

- Czuję się paskudnie. Uśmiechnął się do niej z uwielbieniem.

- Może jesteś w ciąży - powiedział z nadzieją.
- Przestań, Finn! - zawołała i trzasnęła drzwiami.

Nie rozmawiali już więcej na ten temat ani w drodze do Irlandii, ani potem przez kilka następnych dni. Wróciła do woskowania i froterowania podłóg w całym domu, a on wciąż przypominał jej, że nie powinna się przemęczać, co z kolei bardzo ją złościło. W ogóle nie brała pod uwagę ewentualności, że urodzi dziecko. Była szczęśliwa z Fin-nem w Paryżu, ale nie mogła wybaczyć mu tego, co zrobił w Londynie. Ani tej wizyty lekarskiej, na którą zapisał ją bez uprzedzenia, ani tego szaleństwa w łazience. Dzień przed jej wyjazdem zadzwoniła lekarka.

- Doskonałe wiadomości - oznajmiła. - Ma pani idealny poziom hormonu folikulotropowego, jak dwudziestolatka. I bardzo dużo estrogenów.

- Co z tego wynika? - spytała Hope, czując, że żołądek podchodzi jej do gardła. Przeczuywała, że nie spodoba jej się to, co zaraz usłyszy.

- To znaczy, że nie jest pani potrzebna pomoc medycyny, żeby zajść w ciążę.

Podziękowała, rozłączyła się, ale Firmowi nie powiedziała ani słowa. I bez tego był aż nadto dobrej myśli. Gdyby powiedziała mu o poważnej szansie, że zaszła w ciążę, nie puściłby jej do Nowego Jorku. Już i tak godził się z jej wyjazdem bardzo niechętnie i chciał od razu wiedzieć, kiedy do niego wróci. Jechała do Nowego Jorku tylko do pracy, która tam na nią czekała. Obiecywała, że wróci za trzy tygodnie. I jak zawsze ich pożegnanie wyglądało tak, jakby mieli po dwadzieścia lat.

W przeddzień jej powrotu do Stanów kochali się dwa razy. W drodze na lotnisko Finn był milczący i posępny. Hope zrozumiała, że on nie mógł znieść tego, że ona go opuszcza. Był z tego powodu naprawdę przygnębiony.

Na lotnisku pocałował ją na pożegnanie i obiecał, że zadzwoni, kiedy tylko jej samolot wyląduje w Nowym Jorku. Uśmiechnęła się i pocałowała go. To było miłe, chociaż w jego wieku trochę śmieszne, żeby tak źle znosić perspektywę kilkutygodniowej rozłąki. Miał tymczasem dokończyć pisanie książki, a ona po powrocie do Irlandii zamierzała kontynuować prace remontowe, które rozpoczęła w jego domu. Przypomniała mu, że powinien zadzwonić do stolarza i tapicera, żeby się dowiedzieć, kiedy meble będą gotowe. Przed samym wyjazdem wręczył jej małe, ładnie zapakowane pudełeczko. Niespodzianka ją wzruszyła.

- Otworzysz w samolocie - powiedział. Pocałował ją po raz ostatni i nie przestawał machać na pożegnanie, póki nie zniknęła za bramką.

Zgodnie z jego życzeniem otworzyła pudełeczko dopiero w samolocie, gdy samolot wziął kurs na Nowy Jork. Trzymała pudełeczko na dłoni z niepewną miną. To był test ciążowy. Miała nadzieję, że wynik będzie negatywny. Ale

wiedziała, że musi poczekać z tym jeszcze tydzień. Schowała pudełeczko i postarała się zapomnieć o nim tak skutecznie, jak to tylko możliwe.

Rozdział dziesiąty

W Nowym Jorku Hope nie miała ani jednej wolnej chwili. Zrobiła wkładkę z pokazu mody dla „Vogue”, przeprowadziła sesję zdjęciową z pewnym gubernatorem i pomagała w przygotowaniach do swojej wystawy w znanej galerii. Raz zjadła lunch z Markiem Webberem i powiedziała mu o swoim romansie z Finnem. Był zdumiony i nie omieszkał znowu ją ostrzec, że to znany kobieciarz. W Nowym Jorku za takiego uchodził, o czym już wiedziała. Ale była przekonana, że jest jej wierny. Sam niechętnie spuszczał ją z oka. Wspomniała Markowi o tym, że wciąż wracał do swojej teorii „stapiania się w jedno” i był bardzo zazdrosny o innych mężczyzn. Nie podobało mu się nawet to, że umówiła się na lunch ze swoim agentem. To były dwie rzeczy, które ją najbardziej niepokoiły. Nigdy nie miała do czynienia z zazdrosnym mężczyzną. Finn był niesłychanie zaborczy. Nie pozwalał jej spędzić ani chwili w samotności. Praca, która czekała na nią w Nowym Jorku, poprawiła jej nastrój i dodała sił. Zaczęła tęsknić za Finnem. Ale nie chciała znowu poczuć się przytłoczona jego miłością ani przykuta do niego łańcuchem, choć jemu najbardziej by to odpowiadało. W ciągu tych kilku tygodni osobnego życia odzyskała wcześniejszą niezależność, a to było dla niej bardzo ważne. Finn nadal zachowywał się tak, jakby zagrażała mu każda jej znajomość, nawet przelotna. I ilekroć do niej dzwonił, dopytywał się, kiedy do niego wróci. Tłumaczyła mu, jak matka dziecku, że wróci za dwa tygodnie.

- Uważaj na zazdrośników - powiedział Mark. - Często okazują się nieźrównoważeni psychicznie. Kiedyś miałem dziewczynę, która była zazdrosna. Zaatakowała mnie nożem, kiedy zerwałem z nią i związałem się z inną, poznaną na dorocznym balu studentów. Od tamtej pory spieprzam przed zazdrośnikami.

Hope się roześmiała.

- Jestem przekonana, że Finn jest przy zdrowych zmysłach. Ale potrzebuje bardzo dużo uwagi. Nie lubi zostawać sam. Wracam do niego za dwa tygodnie.

W Nowym Jorku była już od tygodnia, a Finn codziennie użalał się przez telefon na jej nieobecność. Za każdym razem, kiedy rozmawiali, wydawał jej się przybity i smutny.

- Myślisz, że z tego coś będzie? - spytał Mark, spojrzawszy na nią z troską.

- Tak. Tak myślę - odpowiedziała spokojnie. Coś z tego będzie na pewno. Ale nie chciała, żeby Mark martwił się o nią albo o jej pracę.

- Mogę przylecieć z Dublina za każdym razem, kiedy będę tu miała coś do roboty - zapewniła go. - Z Dublina mogę zresztą polecieć wszędzie, gdzie będzie trzeba. To wcale nie jest aż tak daleko. Finn mieszka w pięknym domu. To właściwie pałac. Tyle że trzeba go będzie odnowić.

Mark był kompletnie zaskoczony tym wszystkim, co od niej usłyszał, ale cieszył się, że jest szczęśliwa.

- Paul już o tym wie?

- Na to jeszcze za wcześnie - powiedziała z namysłem. Owszem, zamierzała powiedzieć Paulowi, ale jeszcze nie teraz. Nie umiała przewidzieć, jak on zareaguje na tę wiadomość. Rozmawiała z nim przez telefon poprzedniego dnia. Był akurat na Harvardzie w związku ze swoją kuraką. Zapewniał ją, że świetnie się czuje, chociaż jego głos wcale o tym nie świadczył. To ją zasmuciło i znowu zaczęła się o niego martwić. Miała wrażenie, że staje się coraz słabszy.

Pożegnała się z Markiem i poszła załatwić kilka spraw na mieście. Wiedziała, co to za dzień, i Finn też wiedział. Zdążył ją spytać już dwa razy o wynik testu. Tak, to był ten dzień. Od dziś test ciążowy mógł rozstrzygnąć, czy Hope jest w ciąży, czy nie. Po powrocie do domu wzięła głęboki oddech i poszła do łazienki z testem, który od niego dostała. Była prawie pewna, że wszystko dobrze się skończy, ale jednak trochę się obawiała. Przeczytała instrukcję z ulotki, zostawiła szkiełko na umywalce i wyszła. Musiała teraz odczekać pięć minut, które wydawały jej się długie jak wieczność. Podeszła do okna i popatrzyła na ulicę. W końcu ruszyła w stronę łazienki, drżąc ze strachu przed tym, co zobaczy, i przekonując samą siebie, że na pewno nie jest w ciąży, bo to by było bez sensu. Wydawało jej się niedorzeczne, że w tym wieku ma podobne problemy. Nie przeżywała takich lęków od niepamiętnych czasów. Od czasu, kiedy miała dwadzieścia parę lat. Bo wtedy także nie chciała zajść w ciążę. Paul postanowił mieć tylko jedno dziecko, a jej także wystarczała Mimi. Ale kiedy okazało się, że nie jest w ciąży, zamiast ulgi poczuła rozczarowanie. I nigdy później to się już nie zdarzyło. Byli z Paulem ostrożni, nie poddawali się falom namiętności, tak jak Finn. Zanim urodziła się Mimi, oboje z Paulem podjęli spokojną, świadomą decyzję, że będą mieli dziecko. I nie doszło do tego na podłodze w łazience.

Wróciła do łazienki na miękkich nogach, jakby czekał tam na nią jadowity wąż. Ulotka z instrukcją wyjaśniała dokładnie, jak należy rozumieć wyniki testu. Jedna kreska - nie jesteś w ciąży, dwie kreski - jesteś. Z daleka zobaczyła jedną kreskę i wyrwało jej się westchnienie ulgi. Z bliska przyjrzała się jeszcze raz, żeby się upewnić. Była już gotowa wydać z siebie okrzyk radości, gdy zobaczyła... drugą kreskę. Dwie kreski, druga bledsza od pierwszej. W instrukcji taki wynik był określony jako pozytywny. Zaklęła po cichu.

Przez chwilę stała w łazience, wbijając przerażone spojrzenie w tę drugą kreskę. Odwróciła się, znowu spojrzała. Nadal dwie kreski. Test uczynił w plastikowym pojemniczku to, co do niego należało, i pokazał dwie kreski. Z niedowierzaniem spojrzała pod światło i zamarła w bezruchu, przerażona. Dwie

kreski, ani o jedną mniej. Miała czterdzieści cztery lata i była w ciąży. Drżąc, usiadła na brzegu wanny z tym plastikowym pudełeczkiem w ręce. A potem wyrzuciła je do kosza na śmieci. Pomyślała, że powinna kupić inny test i powtórzyć badanie. Ale po co? Wynik będzie taki sam. Dotąd nie zwracała na to uwagi, ale jej piersi były nabrzmiące i bolesne już od dwóch dni. Wmawiała sobie, że to oznaka zbliżającego się okresu. Ale tak nie było. I teraz musi powiedzieć o tym Firmowi. Wygrał, postawił na swoim. Upił ją i podstępnie nakłonił do seksu, a ona mu na to pozwoliła. Kiedy się nad tym zastanawiała, pomyślała, że gdzieś głęboko w podświadomości ona także pragnęła tego dziecka. Kochała Finna, po niespełna trzech miesiącach, odkąd się poznali, miała już w brzuchu jego dziecko. I nie mogła powiedzieć, że to się stało całkiem wbrew jej woli. A teraz była przerażona i nie miała pojęcia, co robić. Potrzebowała więcej czasu, żeby się z tym oswoić. Może później będzie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. ,

Wyszła z łazienki i usiadła na sofie, wpatrzona w przestrzeń. Nim minęło pięć minut, zadzwonił Finn. Nie czuła się całkiem w porządku, ale postanowiła, że na razie nic mu nie powie. Wiedziała doskonale, jaka byłaby jego reakcja, choć nie potrafiła jeszcze przewidzieć własnej. W Irlandii była teraz dziesiąta wieczorem. Hope wiedziała, że Finn pracuje nad książką. Powiedział, że czekał przez cały dzień, a teraz chce się dowiedzieć, czy zrobiła test. Czując się jak zdrajczyni, skłamała. Łzy napłynęły jej do oczu. Chciała tego dziecka i nie chciała jednocześnie. Bała się. To wszystko stało się zbyt rzeczywiste. Gdzieś w jej wnętrzu rozpoczęło się nowe życie.

- Ale dlaczego nie zrobiłaś tego do tej pory? - zapytał, najwyraźniej urażony, i umilkł.

Szybko znalazła dobrą wymówkę.

- Zapomniałam, gdzie go mam. Gdzieś go schowałam po powrocie i nie mogę znaleźć. Możliwe, że moja sprzątaczką gdzieś go przełożyła...

- No to kup inny, na miłość boską! - zawołał. Zabrzmiało to apodyktycznie i desperacko zarazem. Znowu przypierał ją do ściany. Była w potrzasku, oszukana przez niego i zdradzona przez własne ciało, przez własne sprzeczne emocje. - Zróbże to! - powtórzył, teraz błagalnie. - Wyjdź do apteki, kup test. Czekam. Kochanie, chcę wiedzieć. Jak to możliwe, że ty nie jesteś ciekawa?

Nie była ciekawa, bo już wiedziała. Wiedziała, chociaż wolałaby nie wiedzieć. Obiecała, że po południu kupi test i zadzwoni. zaproponował, żeby czekali razem na wynik przy telefonie, ona w Nowym Jorku, on w Blaxton House. Hope była szczęśliwa przynajmniej z tego powodu, że nie czekał przy telefonie, kiedy robiła test. Dwie godziny później zadzwonił jeszcze raz. Spojrzała na wyświetlacz, lecz nie odebrała. Wiedziała, że nie będzie mogła ukrywać tego przed nim zbyt długo,

ale potrzebowała paru godzin, żeby się pozbierać i dotrzeć do własnych emocji. Jak dotąd czuła tylko strach z domieszką czegoś innego, co było dla niej nieuchwytnie, i bardzo wierzyła, że tym czymś nieuchwytnym okaże się nadzieja.

Po raz kolejny zadzwonił o północy. U niego była piąta rano. Powiedział jej, że przez całą noc nie zmrużył oka. Pracował nad książką i niepokoił się o nią.

- Gdzie byłaś? Umierałem ze strachu.

- Musiałam wyjść po filmy do aparatu - odparła, grając na zwłokę. Ich życie miało się za chwilę zmienić w sposób dramatyczny. To dziecko zwiąże ich ze sobą na zawsze. Kochała Finna, ale zobowiązanie, które na nią spadło, przerastało ją. Nie czuła się na siłach stawić mu czoło, ani jeśli chodziło o Finna, ani w kwestii dziecka.

- Zrobiłaś test? - Trudno było nie usłyszeć, że traci cierpliwość.

Odpowiedziała słabym, ledwie słyszalnym głosem.

- Tak.

- Ico?

Na chwilę wstrzymała oddech, a potem wypuściła powietrze z płuc. Nie mogła już dłużej się wymigiwać.

- Wynik był pozytywny. Zrobiłam to przed chwilą - skłamała znowu. Byłby wściekły, gdyby się przyznała, że wiedziała od wielu godzin i nie zadzwoniła. - Pięć minut temu. Nie chciałam cię budzić.

Jej twarz była ściągnięta grymasem smutku i czuła ucisk w żołądku, ale starała się, żeby głos brzmiał w miarę normalnie.

- Mój Boże! - zawołał Finn na drugiej półkuli. - Mój Boże! Będziemy mieli dziecko!

Mimo woli się uśmiechnęła, słysząc ten wybuch bezgranicznej radości.

- Tak bardzo cię kocham! - dodał łamiącym się głosem. Był tak uszczęśliwiony i pełen dobrych myśli, że swoją radością pomału pomógł jej otrząsnąć się z przerażenia, poruszył głębokie pokłady jej uczuć i przypomniał, że przecież ona też go kocha. Pomyślała, że może to wszystko jeszcze się dobrze ułoży. Chciałaby mieć nadzieję, że tak będzie. Patrząc błagalnie na zdjęcie Mimi, podczas rozmowy z Finnem, zadawała sobie pytanie, czy jej córka by to zaakceptowała. Nagle znowu wpadła w panikę. Co się z nią stanie, jeśli to dziecko też umrze? Wiedziała, że nie przetrwałaby po raz drugi takiej rozpacz.

- Kiedy poród? - spytał Finn w podnieceniu.

- Mniej więcej na Święto Dziękczynienia. I chcę urodzić w Nowym Jorku - podkreśliła stanowczo, starając się pogodzić z faktami, o których mówiła.

Wszystko to nagle stało się dla niej całkiem realne. Będą mieli dziecko, więc musi podjąć pewne decyzje. W jej wnętrzu będzie się rozwijało nowe życie.

Małeńka istotka, której ojcem jest Finn. Człowiek, którego kochała, prawie go nie znając.

- Gdziekolwiek zechcesz. Uwielbiam cię, Hope. Proszę, dbaj o siebie. Kiedy będziesz mogła wrócić do domu?

Nie chciała odpowiedzieć mu, że właśnie jest w domu. On przecież uważał, że teraz jej domem jest Blaxton House.

- Za dwa tygodnie - odpowiedziała cicho. Dzięki jego miłości, dzięki swojej miłości do niego, stopniowo się uspokajała. Przerazenie, któremu uległa wczoraj, zaczęło powoli ustępować.

- Może powinnaś iść do lekarza?

- Później. Pozwól mi najpierw przyzwycząć się do tej sytuacji, bo sama dopiero się o niej dowiedziałam. Dla mnie to wielka zmiana, Finn. Wielka, ogromna zmiana.

- Chyba się nie martwisz? - zapytał, zaniepokojony i trochę dotknięty.

- Sama dobrze nie wiem, co czuję. Trochę się boję i chyba jestem jeszcze w szoku. Kompletnie zaskoczona. Ale... szczęśliwa.

Przymknęła oczy, kiedy usłyszała własne słowa, i ze zdumieniem uprzytomniła sobie, że to prawda. Była szczęśliwa. Chciała mieć dziecko. Nie chciała tylko mieć go tak szybko. Najpierw pragnęła poczuć się całkiem bezpiecznie. Ale stało się. Finn dopiął swego.

- No to się pośpiesz, wracaj do domu jak najprędzej - powiedział rwącym się głosem. - Kocham was oboje.

- Ja też kocham was oboje.

Rozłączyli się. Ale nadal była w szoku. Wciąż nie mogła uwierzyć, że naprawdę zaszła w ciążę. Może musiało tak się stać. Interwencja siły wyższej. Kochała go. Wiedziała, że wcześniej czy później się pobiorą. I tak by się pobrali, ale w tej sytuacji uczynią to raczej wcześniej. Będzie musiała powiedzieć o tym Paulowi. Była przekonana, że Paulowi też nie będzie łatwo się do tego przyzwycząć. Ale teraz to Finn był jej życiem. Tak wiele spraw będą musieli omówić. Podjąć tak wiele decyzji. Odtąd ich wspólne życie rozpocznie się na poważnie.

W nocy nie mogła zasnąć. Mnóstwo myśli przelatywało jej przez głowę, jedne na temat Finna, inne o dziecku. Kłębił się w niej lęk pomieszany z nadzieją. Czowała się całkowicie przytłoczona.

Kiedy obudziła się nazajutrz, pod drzwiami czekała przesyłka z kwiaciarni. Finn przysyłał jej dwa tuziny pięknych wysokich róż. Na bileciku przeczytała: „Uwielbiam cię. Możemy sobie pogratulować sukcesu. Wracaj jak najprędzej”. Patrzyła na bilecik i płakała. Walczyły w niej skrajne emocje. Chciała mieć

dziecko i nie chciała go mieć, kochała Finna i bała się przyszłości. Ale kto by się nie przestraszył na jej miejscu? A w Święto Dziękczynienia będzie już miała w ramionach niemowlę. Będzie jeszcze dość czasu, żeby się nad wszystkim zastanowić. Teraz chciała tylko czym prędzej wrócić do Irlandii i znaleźć się w objęciach Finna. Jego marzenie się spełniło. Nagle przypomniała jej się teoria Finna o „stapianiu się w jedno”. Kiedy urodzi się dziecko, ich związek stanie się nierozzerwalny.

Rozdział jedenasty

Hope wróciła do Irlandii, tak jak obiecała, po trzech tygodniach. Finn czekał na nią na lotnisku. Wziął ją w ramiona i podniósł wysoko. Przez całą drogę z lotniska do domu rozmawiali o dziecku. Tak, tym razem, gdy tylko zobaczyła Blaxton House, poczuła, że to jej dom. Zamierzała zostać tu przez cały miesiąc, może nawet dłużej. W Nowym Jorku nie miała żadnych zobowiązań aż do maja. A w maju będzie już w dziesiątym tygodniu ciąży. Wtedy należy być ostrożną, jeśli chodzi o długie podróże samolotem. Finn życzył sobie, żeby odwołała sesje zdjęciowe, na które była umówiona. Powiedziała mu, że się nad tym zastanowi. Przed opuszczeniem Nowego Jorku była u ginekologa. Jej lekarka zapewniła ją, że wszystko jest w porządku. Poziom gonadotropiny w normie, ciąża rozwijała się prawidłowo. Było za wcześnie, żeby stwierdzić coś więcej, powiedziała więc tylko, że Hope powinna przyjść na kolejne badanie po powrocie do Nowego Jorku. Zaleciła oszczędzający tryb życia. W jej wieku każda ciąża jest poważnie zagrożona poronieniem, dlatego Hope nie powinna się przesadnie przemęczać. Ale jak na razie wszystko wyglądało znakomicie. Wiedziała, że Finn się ucieszy, kiedy mu o tym powie. Tak bardzo pragnął tego dziecka, że spytał nawet, czy powinni powstrzymać się od seksu, i był gotów na to poświęcenie. Ale rozpromienił się na wieść, że nie ma przeciwwskazań. Była to przecież ważna część ich życia. Finn mógłby się kochać bez przerwy. Przynajmniej raz na dobę, niekiedy częściej. Hope nigdy nie prowadziła tak intensywnego życia seksualnego, jakie poznała dzięki Finnowi.

Gdy tylko weszli do domu, zauważyła, że wszędzie stoją kwiaty w wazonach. W domu było nieskazitelnie czysto, a Winfred i Katherine bardzo się na jej widok ucieszyli. Zaczęła czuć się w tym domu jak u siebie. Na drugim piętrze, w pokoju do pracy Finna, przekonała się, że przez cały ten czas ciężko pracował nad nową książką. Na biurku leżały grube pliki wydruków. Kiedy weszła do sypialni, znowu podniósł ją i okręcił wokół siebie, a potem zaczął całować jak wariat. W końcu weszła do wanny, on wszedł za nią i kapali się razem, tak jak zawsze. Rzadko kiedy pozwalał, żeby kąpała się sama. Mówił, że w wannie Hope wygląda nadzwyczaj seksownie i że nie chce tracić jej towarzystwa ani na chwilę. I tak jak zawsze, wylądowali potem w łóżku i kochali się, Finn był tym razem niezwykle delikatny. Był taki szczęśliwy, że spłodzili dziecko i że ten cud ich połączy jeszcze mocniej. Mówił, że to było jego największe marzenie.

Katherine przyniosła im lunch na tacy, a potem poszli na długi spacer do rezerwatu przyrody Wicklow Mountains. Wieczorem zjedli w ciszy lekką kolację, a nazajutrz Hope na nowo wzięła się do prac domowych. Meble wróciły od

tapicera i wyglądały fantastycznie. W obiciach z tkanin, które w swoim czasie kupowała w Dublinie, znalazły się z powrotem na swoich miejscach. Dom był jaśniejszy, czystszy i weselszy, a wszędzie tam, gdzie zdążyła nawoskować i wypolerować podłogi oraz boazerie, drewno lśniło efektownie. Miała kolejne pomysły dotyczące domu i nawet wspominała o tym Finnowi, ale on chciał rozmawiać tylko o dziecku. Rozpromieniony, powtarzał w kółko, że dziecko połączy ich na zawsze. To właśnie było jego marzenie.

I stopniowo Hope zaczynała przyjmować je za swoje. Ale wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do myśli o zmianach, które miały zajść w jej życiu. Była w ciąży już od wielu dni i otwierały się w jej pamięci pełne ciepłych uczuć wspomnienia z dawnych czasów. W skrytości ducha miała nadzieję, że urodzi się dziewczynka. Finn też wołał, żeby to była dziewczynka. Chciał mieć córeczkę podobną do Hope. W ciągu ostatnich miesięcy tyle się wydarzyło, tyle nowego miało się wydarzyć w najbliższych miesiącach, że Hope nie zdążyła tego wszystkiego przetrawić.

Dwa dni po przylocie ze Stanów oglądała właśnie piękne antyczne biurko, stojące w bibliotece, by zdecydować, czy odda je do konserwacji, czy zajmie się nim sama, z pomocą flanelowej szmatki i wosku. Otworzyła jedną z szuflad i jej wzrok padł na fotografię uderzająco pięknej kobiety stojącej obok Finna. Na tym zdjęciu oboje byli bardzo młodzi. On obejmował ją ramieniem i był w niej w sposób oczywisty zakochany. Hope od razu pomyślała, że to musi być matka Michaela. Nigdy dotąd nie widziała żadnego jej zdjęcia. Więcej zdjęć znalazła w innej szufladzie. Nie była pewna, czy powinna wspomnieć Finnowi o tym znalezisku. Ale była bardzo ciekawa. Oglądała właśnie fotografie, kiedy wszedł do pokoju. Uśmiechnął się do niej.

- Co tu robisz? Szukałem cię wszędzie. O! - westchnął, kiedy się do niej zbliżył i rzucił okiem na fotografię, którą oglądała. Wyjął jej z rąk zdjęcie, popatrzył na nie i oczy mu nagle posmutniały. Nigdy nie widziała u niego takiego spojrzenia, kiedy rozmawiali o jego nieżyjącej żonie. Była tym zaskoczona.

- To matka Michaela? - spytała cicho, ale Finn potrząsnął głową. Położył fotografię na biurku i spojrzał na Hope.

- Nie, to nie ona. To dziewczyna, w której kochałem się dawno temu. Miałem dwadzieścia dwa lata. Ona miała dwadzieścia jeden.

Choć trudno było w to uwierzyć, na tej nieco spłowiałej starej fotografii był jeszcze przystojniejszy. Dwoje wyjątkowo pięknych młodych ludzi uśmiechało się do niej z fotografii leżącej na blacie biurka.

- Piękna dziewczyna - przyznała Hope.

W przeciwieństwie do niego nie była zazdrosna ani trochę. A już na pewno nie o dziewczynę, w której kochał się dwadzieścia cztery lata temu.

- Tak, była piękna. - Znowu spojrzał na zdjęcie. Dziewczyna miała długie, jasne włosy. - Nazywała się Audra. Dwa tygodnie później już nie żyła.

Hope była wstrząśnięta, kiedy wypowiedział te słowa. Dziewczyna była bardzo młoda i na zdjęciu wyglądała zdrowo, więc raczej nie umarła śmiercią naturalną.

- Och... Co jej się stało?

Wszystko to przypominało jej nagle śmierć Mimi. To takie okrutne, kiedy młoda dziewczyna umiera, zanim zacznie naprawdę żyć. Nigdy nie wyjdzie za mąż, nie będzie miała dzieci, nie zacznie się starzeć, nie zostanie babcią. Nigdy nie doświadczy dobrych i złych rzeczy, jakie każdemu człowiekowi zdarzają się w ciągu jego życia.

- Popełniła samobójstwo - powiedział Finn z grymasem udręki na twarzy. - Przeze mnie. Strasznie się pokłóciliśmy. O jakieś głupstwo. Byłem o nią zazdrosny. Oskarżyłem ją, że przespała się z moim najlepszym przyjacielem. Powiedziałem, że nie chcę jej więcej widzieć. Przysięgała, że nic takiego nie miało miejsca, ale nie uwierzyłem. Potem dowiedziałem się od niego, że spotkali się tylko po to, żeby wybrać dla mnie prezent urodzinowy. Po jej śmierci mój przyjaciel zapewnił mnie, że kochała mnie do szaleństwa. Ja też kochałem ją jak szalony. Ale myśl o zdradzie rozwścieczyła mnie, dlatego powiedziałem, że z nią zrywam, i wyszedłem. Błagała mnie, żebym został. I dopiero później, od jej siostry dowiedziałem się, że była w ciąży. Była bardzo wrażliwa. O ciąży chciała powiedzieć mi po moich urodzinach, trochę się obawiała mojej reakcji. I prawdę mówiąc, tej nowiny nie przyjąłbym wtedy z radością. Bo chciałaby, żebym się z nią szybko ożenił. Nie wiem, jak bym wówczas postąpił. W każdym razie po tej okropnej kłótni powiedziałem, że nie chcę jej więcej widzieć, bo mnie oszukiwała. A cztery godziny później wróciłem, żeby ją przeprosić. Pukałem i pukałem do jej drzwi, nikt nie otwierał, więc wróciłem do domu. Nazajutrz zadzwoniła do mnie jej siostra. Audra podcięła sobie żyły. Kiedy ją znaleziono, była już martwa. Napisała do mnie list pożegnalny. A potem dowiedziałem się od jej siostry o dziecku. To był dla mnie okropny czas. Myślę, że dlatego ożeniłem się z matką Michaela od razu, kiedy powiedziała, że jest w ciąży. Ożeniłem się z nią, chociaż jej nie kochałem. Nie chciałem następnych ofiar. Już nigdy nie miałem czystego sumienia.

Kiedy skończył mówić, Hope pogłaskała go po ramieniu i jeszcze raz wzięła do ręki fotografię. Po prostu nie do wiary, że ta piękna, roześmiana dziewczyna ze zdjęcia miała wkrótce umrzeć. To straszna historia. I trzeba przyznać, że Finn zachował się nieodpowiedzialnie. Ale usprawiedliwiała go to, że był bardzo

młody. Choć ludzie postępują głupio w każdym wieku, raniąc uczucia innych, nie rozumiejąc cudzych przeżyć i emocji.

- Jej siostra powiedziała, że ich ojciec zabiłby ją za tę ciążę, zwłaszcza gdybym się z nią nie ożenił - ciągnął Finn. - Ten ojciec to był okropny facet, alkoholik. I wobec obu dziewczyn zachowywał się skandalicznie. Ich matka nie żyła. Więc ona poza mną nie miała na kogo liczyć. A ja ją opuściłem. Myślała, że na zawsze, bo tak jej powiedziałem. I dlatego umarła.

Wyglądał na nieszczęśliwego z powodu wyrzutów sumienia. I Hope się domyśliła, że nie dawały mu spokoju przez całe jego dorosłe życie.

- Tak mi przykro - powiedziała cicho.

- Jej siostra niedługo potem zginęła w zderzeniu dwóch żaglówek. Spotykałem się z nią przez krótki czas, bo tak bardzo przypominała mi Audrę. Ale przez to oboje czuliśmy się jeszcze gorzej. To był najbardziej nieszczęśliwy okres w moim życiu. - Westchnął i schował fotografię. Czuło się, że ta szczerość sprawia mu ból.

- Mam na sumieniu tę okropną rzecz. Nie wiem, dlaczego zachowałem się wobec niej jak łajdak. Byłem młody, głupi i zapatrzony w siebie. Ale to nie jest żadne usprawiedliwienie. Wcale nie zamierzałem z nią zrywać. Byłem tylko wściekły i chciałem dać jej nauczkę. A zamiast tego sam dostałem nauczkę, której nigdy nie zapomnę.

Teraz, kiedy poznała tę historię, Hope mimo woli przypomniła sobie różne sytuacje, kiedy bywał o nią zazdrosny. Gdy zadawał jej obsesyjne pytania o ludzi, z którymi miała sesje zdjęciowe, o jej agenta, o kelnera z restauracji na Cape Cod, o dwóch facetów w pubie w Blessington. Nadal był zazdrosny, ale widocznie nauczył się trzymać emocje na wodzy. Poza tym, jeśli chodzi o nią, nie miał naprawdę żadnego powodu do zazdrości. Ale Audra też nie dała mu takich powodów. Historia była wyjątkowo ponura i Hope współczuła Firmowi, że tak bardzo cierpiał z jej powodu przez te wszystkie lata.

- Może miała jakieś problemy emocjonalne, o których nie wiedziałeś - powiedziała, próbując go pocieszyć. - Bo w normalnych okolicznościach ludzie nie zabijają się w ten sposób. Nie robią tego, choćby byli nie wiem jak zrozpaczeni.

Nie mogła wyobrazić sobie, żeby Mimi zrobiła coś podobnego. Ani ona sama. Lecz jakakolwiek była tego przyczyna, dziewczyna z fotografii umarła.

- Niektóre dziewczyny reagują właśnie tak. A nawet niektóre kobiety. Właściwie nigdy nie byłem pewien, czy matka Michaela nie rzuciła się pod samochód umyślnie. Była pijana, a nasze życie okazało się jedną wielką pomyłką. Wiedziała, że jej nie kocham, i wątpię, czy ona mnie kochała. Była bardzo nieszczęśliwa. Tkwiliśmy w małżeństwie bez miłości jak w pułapce, nienawidząc

się wzajemnie. Nie miałem zamiaru się z nią rozwieść, na uwadze miałem dobro Michaela. Ale mogło się zdarzyć, że byłbym zmuszony. Czasami tak bywa, że wszystko ci się rozlatuje.

Uśmiechnął się blado. I przez chwilę Hope miała dziwne wrażenie, że mimo poczucia winy fakt, że te dwie kobiety umarły z jego powodu, łechtał jego dumę. Ta myśl ją zmroziła. I jakby potwierdzając ten szalony domysł, Finn spojrzął na nią i zadał zdumiewające pytanie.

- Byłabyś zdolna do tego, żeby się zabić, Hope? Powoli potrząsnęła głową - nie, nie byłaby do tego zdolna. Ale chciała być uczciwa.

- Myślałam o tym po śmierci Mimi. Niejeden raz. A potem wtedy, kiedy Paul odszedł ode mnie. Ale nie mogłabym tego zrobić. Niezależnie od tego, jak bardzo byłam nieszczęśliwa, jak bardzo utraciłam nadzieję. Nie potrafię sobie wyobrazić, że zrobiłabym coś podobnego. Zamiast tego wyruszyłam do Indii. I tam uczyniłam wszystko, co w mojej mocy, żeby odzyskać równowagę. To miało o wiele więcej sensu.

Ale ona miała zdrową psychikę, była mocno ugruntowana w życiu, a przy tym znacznie starsza. Do Indii wyjechała, przekroczywszy czterdziestkę. A te kobiety były bardzo młode. Dziewczyny w tym wieku często reagują bardzo dramatycznie, bardzo skrajnie. Choć była przekonana, że Mimi nie popełniłaby samobójstwa ani przez zerwany romans, ani z żadnego innego powodu. To były bez wątpienia nieco zaburzone osoby, które w dodatku znalazły się w wyjątkowo trudnych sytuacjach. Jedna w poza-małżeńskiej ciąży, we władzy ojca tyrana i alkoholika, gdy w dodatku rzucił ją chłopak, a druga uwikłana w związek bez miłości. Z mężem, którego, jak twierdził Finn, nienawidziła, z dzieckiem, którego nie chciała. O takich sytuacjach przykro było nawet myśleć. Finn umilkł i wyszedł z pokoju. Wrócił do swojego gabinetu na górze i zabrał się do pracy nad książką.

Hope odłożyła resztę fotografii do szuflady i zdecydowała nie oddawać biurka do renowacji. Potem wyszła na samotny spacer, podczas którego rozmyślała o Firmie. W jego życiu było dużo zamętu i cierpienia w związku z kobietami, a śmierć tej młodej dziewczyny obciążała jego sumienie już od dwudziestu lat z okładem. Na pewno ciężko było mu z tym żyć. Ale pytanie, które jej zadał, wydawało się dziwaczne. Choć może chciał się tylko upewnić, że cokolwiek się wydarzy, nie będzie już musiał po raz kolejny mierzyć się z podobną historią. Jeśli chodzi o nią, nie ponosił żadnego ryzyka. Dla niej samobójstwo w ogóle nie wchodziło w grę. Skoro nie zrobiła tego po śmierci własnej córki, to nic już nie mogłoby jej do tego popchnąć.

Był to smutny spacer, bo głowę miała pełną myśli o śmierci zamiast o narodzinach. Ale przypomniała sobie o dziecku, które w niej żyło. Po stronie

dziecka, które poczęli z Finnem, było życie i nadzieja. Dziecko było przeciwwagą dla wszystkich tragedii, jakie w przeszłości przeżyło każde z nich. Wiedziała teraz, lepiej niż wcześniej, jaki to cud, i zrozumiała, że to, co zrobił Finn, było próbą przewyciężenia ciężaru śmierci, który przygniatał go od tak dawna. Ta myśl ją poruszyła. Hope poczuła, że kocha go bardziej niż kiedykolwiek. Rozmyślała też na temat Audry, i choć jej nie знаła, opłakiwała jej śmierć. Była przejęta uczciwością, z jaką Finn opowiedział jej o swoim udziale w tej tragedii. Nie starał się niczego ukryć i niczemu nie zaprzeczał. To dobrze o nim świadczyło. Zawstydziała się swojego przypuszczenia, że samobójstwo popełnione przez kobietę z jego powodu napawa go dumą. Była przekonana, że to nieprawda, i zrobiło jej się przykro, że przez chwilę dopuszczała taką możliwość. Zobaczyła jakiś błysk w jego oczach, który w połączeniu z jego dziwnym pytaniem naprowadził ją na tę myśl. Była zadowolona, że Finn nigdy się o tym nie dowie. Byłby na pewno urażony, że podejrzewała go o coś podobnego.

Poczuła się lepiej, kiedy wróciła do domu, i postanowiła opróżnić dwa schowki, pełne zakurzonej, starej bielizny stołowej i pościelowej. Pracowała, stojąc na drabinie i kichając bez przerwy, i tak zastał ją Finn późnym popołudniem. Znalazł ją bez trudu, bo jej kichanie słychać było z daleka, i od razu ją zbeształ.

- Po co wlaźłaś na drabinę? - spytał niezadowolony. Wytarła nos po raz setny tego popołudnia i spojrzała na niego.

- Sprzątam. Zobacz, co się tu dzieje.

Z półek zdejmowała poźółkłe prześcieradła i zrzucała na podłogę. Za każdym razem podnosił się obłok kurzu, i wtedy zaczynała na nowo kichać.

- Te rzeczy leżą tu przynajmniej od stu lat. Ohyda.

- Zwariowałaś - odparł gniewnie. - Natychmiast złaż z drabiny. Jeśli sobie życzysz, zaraz to zrobię sam. Gdybyś spadła, zabiłabyś dziecko.

Spojrzała na niego zaskoczona, a potem się uśmiechnęła. Jego troska ją wzruszyła.

- Na pewno nie spadnę, Finn. To bardzo solidna drabina. To ta sama, którą znaleźliśmy w stajniach.

Tylko z tej jednej mogła dosięgnąć najwyższych półek, bo pomieszczenia były bardzo wysokie. Ale Finn nie żartował i przytrzymał drabinę, żeby mogła z niej zejść. Więc z ociąganiem zrobiła to, czego żądał.

- Na miłość boską, przecież nie jestem łamagą. I jestem w ciąży dopiero od paru tygodni, nie mam jeszcze nawet brzucha.

Mówiąc to, ściszyła głos, żeby nikt nie słyszał, choć Winfred i Katherine byli oboje przygłusi. Poza tym nie było ich w zasięgu głosu.

- Wszystko jedno. Teraz jesteś odpowiedzialna przed całą naszą trójką. Więc nie rób głupstw - powiedział i wszedł na drabinę.

Już po minucie tej pracy sam zaczął kichać. Chwilę później śmieli się oboje. Ten śmiech przyniósł jej ulgę po wszystkich ponurych rewelacjach przedpołudnia. Smutna historia Audry tkwiła w jej pamięci, ale Hope nie chciała do niej wracać. Wiedziała, że dla niego to musi być bardzo bolesne wspomnienie, i rozumiała go.

- Nie możemy tego wszystkiego po prostu wyrzucić? - spytał Finn, patrząc na stos pożółkłych sztuk płótna, piętrzący się na podłodze. Były tam obrusy nieużywane od dziesiątek lat i prześcieradła w rozmiarach, jakie dawno wyszły z użycia.

- Tak, ale najpierw trzeba opróżnić te schowki.

Hope weszła w rolę nieoficjalnej pani domu, a Finnowi sprawiało to przyjemność.

- Prawdziwa gospodyni - żartował dobrodusznie, uśmiechając się do niej z ostatniego szczebla drabiny. - Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy mieli tutaj małe dziecko. Dopiero wtedy poczuję, że mam własny dom. Dopóki ty się nie pojawiłaś, to był tylko dach nad głową.

Włożyła wiele serca, by ten dom wysprzątać i doprowadzić do porządku. Meble po renowacji wyglądały pięknie, choć było ich zdecydowanie za mało. Dom stał pustawy, a umeblowanie go kosztowałoby fortunę. Nie chciała przesadzać, więc zrobiła co mogła dla ratowania sprzętów, które były już na miejscu, dokupiła bardzo niewiele rzeczy - każda z nich była prezentem dla niego. Finn z góry akceptował wszystko, co robiła dla jego domu. A rezultaty były imponujące, choć rozumiał, że przywrócenie domowi prawdziwej świetności zajęłoby lata i kosztowało więcej, niż on kiedykolwiek zarobi. Tak czy inaczej, był to dom rodzinny jego matki, dom, w którym żyły pokolenia jego przodków. Hope rozumiała, ile to dla niego znaczy.

Jego miłość dla domu wydawała się równie wielka jak jego miłość dla niej. Wrócił do swoich korzeni, a nawet więcej, odzyskał rodowe gniazdo z rąk obcych ludzi. To był ogromny krok naprzód. Czuł się tak, jakby czekał na tę chwilę przez całe życie, sam to wciąż powtarzał. Wiedział, że jego matka byłaby z niego dumna, gdyby mogła to zobaczyć. Hope chętnie dzieliła z nim tę radość. Jej wysiłki, by poprawić stan domu, przywrócić mu blask, były prawdziwym dowodem miłości.

Przez kilka następnych tygodni Finn pisał książkę, a Hope od czasu do czasu wychodziła z aparatem fotograficznym. Niektóre zdjęcia zrobiła w pubie. Dyskretnie fotografowała jego bywalców, głównie starych ludzi, i nikomu to nie przeszkadzało. Niektórym nawet sprawiało przyjemność, czuli się dzięki temu

dowartościowani. Późnym popołudniem, kiedy Finn wstawał od biurka, wybierali się na długie, spokojne spacerunki po okolicznych wzgórzach. Rozmawiał z nią o swojej pracy, o tym, jak rozwija się akcja książki. Zawsze słuchała z uwagą. Fascynowało ją obserwowanie procesu twórczego, tak jak jego fascynowały fotografie Hope. Przecież podziwiał jej fotografie, jeszcze zanim ją poznał osobiście. Obserwował teraz, jak powstaje cykl zdjęć starych kobiet i mężczyzn z pubu w Blessington. Mieli ciekawe twarze i oczy pełne wyrazu. Obiektyw aparatu Hope wydobywał z nich całą kruchość i patos kondycji ludzkiej. Obydwoje cenili nawzajem swoją pracę. Dotąd nikt jeszcze nie był tak bardzo jak on zainteresowany wszystkim, co Hope robiła. I nikt z taką uwagą nie słuchał o tym, co pisze Finn.

Rozmawiali także o dziecku, choć Hope nie bardzo lubiła rozwódzić się nad tym tematem. Teraz, kiedy zaakceptowała pojawienie się dziecka w ich życiu, nie chciała przedwcześnie rozbudzać w sobie nadziei. Wiadomo, że w pierwszych trzech miesiącach wszystko jeszcze może się wydarzyć, zwłaszcza w jej wieku. Kiedy miną te pierwsze miesiące, będzie mogła pozwolić sobie na radość. Do tego czasu usiłowała ją powściągnąć, zachować spokój i realistyczne podejście do życia. Finn oddał już temu dziecku całe swoje serce, a ona dawno zapomniała mu okropną wizytę u londyńskiej lekarki i wybaczyła nawet to, że potem ją upił, żeby zrobić jej to dziecko. Wszystko bowiem zakończyło się czymś tak miłym jej sercu, że kochała go za to jeszcze bardziej. Zwłaszcza że teraz łączyło ich znacznie więcej. Była łagodna, szczęśliwa i bardzo zakochana.

Rozmawiali także o ślubie. Obojgu bardzo podobał się ten pomysł. Hope nie marzyła o niczym innym, jak tylko o tym, żeby spędzić z Finnem resztę życia. I on też tylko tego pragnął. Dzięki tym planom czuła się panią tego domu w jeszcze większym stopniu.

Pewnego dnia wysprzątała szuflady kredensów w jadalni. Był to kolejny krok w jej usiłowaniach usunięcia wszystkich starych, zbędnych przedmiotów, które zaśmiecały dom. Podczas pracy natknęła się na dokument umowy notarialnej. Papier nie był pożółkły. Zamierzała położyć dokument na biurku Finna, gdy nagle się zorientowała, co trzy-

ma w rękach. Umowa dotyczyła wynajmu Blaxton House na sześć lat. Finn podpisał ją dwa lata temu. I kiedy ją przeczytała, zrozumiała, że Finn nie kupił tego domu. Że go tylko wynajął. Zrobiło jej się słabo. Bo przecież mówił, że to jego dom.

Przez chwilę chciała wrzucić umowę z powrotem do szuflady i nie wspomnieć mu ani słowem, że ją widziała. Tak naprawdę to nie była jej sprawa, ale jednak przez całe popołudnie nie dawało jej to spokoju. Nie tylko dlatego, że ją okłamał.

To było takie dziwne i niezrozumiałe, że mówił o tym domu jako o swojej ukochanej własności, gdy tymczasem był tylko najemcą. Zapewniał ją kiedyś, że inwestuje w ten dom wszystkie swoje honoraria, a przecież nie miałyby to sensu, skoro kto inny jest właścicielem. W końcu nie mogła już dłużej tego znieść i postanowiła poprosić go o wyjaśnienie. Wydawało jej się to bardzo ważne, żeby usłyszeć od niego, jak sprawy mają się naprawdę. Uczciwość powinna być podstawą związku, który starała się z nim budować. Związku, który był zaplanowany na długie lata, może do końca życia. Nie chciała, żeby dzieliły ich tajemnice. Ona przecież nie miała przed nim tajemnic.

Poczekala z tym do podwieczorku. I zapytała go o to, kiedy jedli zupę i kanapki podane przez Katherine. Ciepły posiłek przynosiła im około południa: duże porcje mięsa z warzywami i miejscowymi, irlandzkimi ziemniakami. Finn jadł wtedy dużo, a Hope prawie nic. Wolałyby coś lżejszego. Czula się dobrze, ciąża rozwijała się prawidłowo. Nudności nie miała ani przez chwilę. Kiedy była w ciąży z Mimi, było podobnie. Widocznie w ciągu dwudziestu trzech lat, które upłynęły od tamtej ciąży, niewiele się zmieniło w jej organizmie. Czula się lepiej niż kiedykolwiek, i było to po niej widać. Jej oczy promieniały młodością i szczęściem macierzyństwa. Nagle zaczęła wyglądać młodziej niż dziesięć i piętnaście lat temu.

Kiedy kończyli podwieczorek, ostrożnie poruszyła niepokojący ją temat. Nie bardzo wiedziała, jak zacząć rozmowę. Nie chciała go zawstydzić ani dać mu do zrozumienia, że został przyłapany na kłamstwie. W końcu powiedziała po prostu to, co miała do powiedzenia.

- Wpadło mi dziś w ręce coś dziwnego, kiedy sprzątałam szuflady kredensów - powiedziała, odkładając serwetkę obok talerza.

Finn wziął potężny łyk wina. Kiedy pisał, więcej pił wieczorami. To pomagało mu odprężyć się po całym dniu kon-centracji. Hope dobrze wiedziała, że pisanie to wyczerpująca praca.

- Co takiego? - spytał z roztargnieniem. Tego dnia skończył bardzo trudny rozdział.

- Umowa dotycząca tego domu - powiedziała prosto z mostu, patrząc mu w oczy, ciekawa jego reakcji.

Przez chwilę nie było żadnej. Po czym odwrócił wzrok.

- Ach, to. - Spojrzał na nią. - Wstydzilem się powiedzieć ci, że ten dom nie należy do mnie. Czuję się jego właścicielem, uważam się za właściciela, ale nie mam dość pieniędzy, żeby za niego zapłacić. Więc go wynająłem. Miałem nadzieję, że w ciągu tych sześciu lat uciułam potrzebną sumę. A wynajem na razie mi wystarcza. Przykro mi, że nie powiedziałem ci prawdy, Hope. To takie

upokarzające, kiedy nie możesz odkupić domu swoich przodków, ale teraz mnie na to nie stać. I nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł sobie na to pozwolić.

Był zażenowany brakiem pieniędzy, ale nie kłamstwem, które odkryła. Kłamstwo zresztą nie było takie wielkie i może nawet nie powinna była nazywać tego kłamstwem. W duchu przyznała, że nie musiał się przed nią tłumaczyć ani ze spraw własności, ani ze swojej sytuacji finansowej, nawet jeśli był ojcem jej dziecka i człowiekiem, którego kochała. Jak na razie była finansowo samowystarczalna i sądziła, że nigdy nie będzie inaczej. Nie potrzebowała od niego pomocy. Myślała o tym przez całe popołudnie, odkąd znalazła tę umowę. Jedyne, co ją naprawdę niepokoiło, to to, że inwestowali pieniądze - a tak naprawdę to tylko ona je inwestowała - w dom, który do nich nie należał. To było niezbyt rozsądne. Była zdumiona, że jej przed tym nie powstrzymał. Że na to pozwolił, niczego nie wyjaśniając. Ale Finn tak bardzo kochał Blaxton House, niezależnie od tego, kto był właścicielem domu. Dom należał do jego przodków i z racji urodzenia był jego dziedzictwem. Nawet jeśli został tylko wynajęty.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć, Finn - powiedziała cicho. - Nie o to mi chodziło. Po prostu byłam ciekawa. Tak naprawdę to przecież nie moja sprawa.

Patrzył na nią i widać było, że czuje się niezręcznie.

- Chcę ci złożyć propozycję - ciągnęła dalej. - Miałam dużo szczęścia, dostałam pieniądze od Paula. I nie mam dzieci.

Uśmiechnęła się i miękko dotknęła jego ręki.

- A przynajmniej jeszcze przez chwilę nie będę miała. Potem to się zmieni. Paul był wobec mnie niesłychanie wielkoduszny. Poza tym pomógł mi zrobić odpowiednie inwestycje, które przyniosły spory dochód.

Nie zamierzała ukrywać przed nim tych okoliczności, nie miała powodu. Wiedziała przecież, że nie związał się z nią dla pieniędzy. I kochała go. Kochali się nawzajem, łączyło ich zaufanie i święta więź, odkąd spodziewali się dziecka. Wierzyła Finnowi bezgranicznie i była przekonana, że się nie myli. Był dobrym, odpowiedzialnym człowiekiem, nawet jeśli nie miał zbyt wielkich pieniędzy. Dla niej to nic nie znaczyło. Paul, kiedy za niego wychodziła, też nie był bogaty. Hope nie goniła za pieniędzmi. Dla niej wartością była miłość, która ich połączyła.

- Chciałam ci zaproponować, że kupię ten dom. Jeśli to by cię miało krępować, możesz płacić mi komorne, chociaż mnie się wydaje, że to by było bez sensu. Albo jakąś symboliczną sumę, na przykład dolara miesięcznie albo sto dolarów rocznie, żeby móc spisać umowę według wszelkich reguł. Nie przywiązuję do tego najmniejszej wagi. Możemy spytać prawnika, jak to powinno wyglądać. Jeśli się pobierzemy, przepiszę go na ciebie jako darowiznę albo ci go zapiszę w testamencie. Jeśli się nie pobierzemy, co bardzo mnie zasmuci - uśmiechnęła się

znowu, bo oboje wiedzieli, że nic nie zapowiada takiego obrotu spraw - sumę, którą wyłożę, uznamy za pożyczkę. Będziesz mógł mi ją spłacać, na przykład, przez trzydzieści lat. Albo przez pięćdziesiąt, jeśli wolisz. Ale domu ci nie odbiorę. Ten dom powinien należeć do ciebie. Tak jak przez trzysta lat należał do twoich przodków. Jeśli się zgodzisz, kupię go od razu, jeśli to możliwe. To będzie dom naszych dzieci. I żeby wyczerpać wszystkie ewentualności, gdybyśmy z jakiegoś powodu stracili dziecko, nie zmienię zdania. Nie potrzebuję tych pieniędzy. Nie wiem, ile żądają właściciele domu, ale ten wydatek nie uszczupli zbyt mocno rezerw, które mam dzięki Paulowi.

Nie kryła przed nim niczego, a Finn aż otworzył usta ze zdumienia. Była to największa przysługa, jaką ktokolwiek chciał mu wyświadczyć w całym jego życiu. I w dodatku niczego za to nie żądała. Była gotowa zrobić to ot, tak, z miłości.

- Mój Boże, ileż on ci dał? - wyrwało się Firmowi. Mówiła o tym tak beztrosko, jakby cena domu nie miała dla niej żadnego znaczenia.

Hope nawet się nie zawahała, czy odpowiedzieć mu na to pytanie. Nikomu innemu by tego nie wyjawiała. Ale jemu tak. Mogłaby mu powierzyć własne życie i życie ich dziecka, a cóż dopiero pieniądze. Zresztą nigdy nie uznała tych pieniędzy za swoją własność. Należały do Paula i naturalną kolejną rzeczą kiedyś przypadłyby w udziale Mimi. Teraz będą czekały na ich dziecko. A Blaxton House też będzie kiedyś należało do tego dziecka, ponieważ stanie się własnością Finna. Więc pomagała mu w przejęciu na własność tego, co miało stać się spuścizną ich syna albo córki. Nie mówiąc już o tym, że chciała sprawić mu radość.

- Po sprzedaży spółki dał mi pięćdziesiąt milionów dolarów. Sprzedał swoje udziały za dwieście milionów. Po jego śmierci mam dostać jeszcze pięćdziesiąt. Mam nadzieję, że to nie nastąpi prędko. Na razie pieniądze są bardzo dobrze zainwestowane. W zeszłym roku zarobiłam bardzo dużo. Tak to jest, że kiedy masz pieniądze, to będziesz ich miał coraz więcej. To trudna sytuacja dla kogoś takiego jak ja, kto nie ma żadnych potrzeb. Naprawdę stać mnie na ten dom. I chętnie zrobię to dla ciebie. Ile za niego chcą właściciele?

Nie miała bladego pojęcia o cenach nieruchomości w Irlandii.

Roześmiał się.

- Milion funtów. To trochę mniej niż dwa miliony dolarów. - Suma była śmieszna w porównaniu z fortuną, o której właśnie mu powiedziała, a która dla niego była wprost niewyobrażalna. Już wcześniej się domyślał, że Hope ma pieniądze, to było dla niego oczywiste. Mówiła mu, że po rozwodzie Paul obszedł się z nią wspaniałomyślnie. Ale nie wiedział, że chodziło o ten rząd wielkości. Z

takimi sumami nigdy się nie spotkał. - I bardzo możliwe, że jeszcze nam z tego opuszczają, jeśli zapłacimy gotówką. Dom jest w złym stanie, jak sama wiesz. Może uda nam się go kupić za siedemset albo osiemset tysięcy funtów. Dla nich to będzie manna z nieba, a dla nas dobra okazja. W dolarach półtora miliona. - I spojrzał na nią całkiem serio. - Hope, jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Znamy się dopiero od czterech miesięcy. To byłby królewski gest.

To, co mu proponowała, było prezentem, jakiego nigdy od nikogo nie dostał, jakiego nie śmiałyby sobie nawet wyobrazić.

- Chciałabym, żebyśmy szybko się co do tego umówili i załatwili konieczne formalności. Szkoda pozwolić, by dom popadał w ruinę, zwłaszcza jeśli i tak mamy go kupić prędzej czy później.

- Zastanowię się - odpowiedział.

Wydawał się przytłoczony tym, co właśnie usłyszał. Pochylił się ku niej i pocałował ją. Potem wypił kieliszek wina. Nappełnił go znowu i znowu wypił. I roześmiał się.

- Pewnie się dzisiaj upiję. To dla mnie trochę za dużo jak na jeden raz. Nawet nie wiem, co ci powiedzieć. Oprócz tego, że cię kocham. I że jesteś niezwykłą kobietą.

Wkrótce potem położyli się do łóżka. Oboje byli zmęczeni. Jemu ten wieczór przyniósł zbyt wiele emocji, poza tym był oszołomiony wypitym winem. Ale oboje obudzili się około północy. Na zewnątrz szalała ulewa. Finn odwrócił się do Hope w ciemnościach. Patrzył na nią, oparty na łokciu.

- Hope...

- Co? - Uśmiechnęła się do niego.

Była szczęśliwa, że złożyła mu tę propozycję. Wydawała jej się słuszna i właściwa. To niewielki wydatek w porównaniu z sumami, którymi mogła dysponować. I za te pieniądze wspaniały dom dla nich dwojga.

- Mogę od razu przyjąć twoją ofertę czy musimy z tym czekać do rana?

W ciemności wyglądał jak wyrośnięty chłopiec. Jego oczy promieniały radością. Był szczęśliwy. Chciała go obdarować jak nigdy nikt przed nią. Zaczął się nawet obawiać, żeby nie zmieniła zdania i nie wycofała się z tej propozycji. Ale jeśli pomyślał, że mogłaby się wycofać, to jej nie znał. Nie złamałaby obietnicy.

- Możesz ją przyjąć, kiedy tylko zechcesz - powiedziała, głaszcząc go po policzku. Za oknem wył wiatr i zacinał deszcz. Wiosna w Irlandii nie jest cicha ani nieśmiała. Hope nie mogła przyzwyczaić się do myśli, że tu będzie odtąd jej dom. Ale ona też pokochała Irlandię. I była dumna z tej kilkusetletniej rodowej

rezydencji. Chciała ją z nim dzielić. A potem także z dzieckiem... Może nawet z więcej niż jednym? Otwierała się przed nimi wspaniała przyszłość.

- Może lepiej poczekać. Zobaczymy, czy dom przetrwa do jutra. Bo zdaje się, że ta wichura zamierza go przewrócić. - Uśmiechnął się.

- Wszystko będzie dobrze. - Westchnęła, szczęśliwa.

- Zatem przyjmuję twoją wielkoduszną propozycję. Dziękuję ci za to, że oddajesz mi mój dom. I obiecuję, że kiedy się pobierzemy, stopniowo oddam ci dług. Mogę też wynajmować go od ciebie, płacąc tyle, co do tej pory. Będę oddawał ci pieniądze w ratach, kiedy tylko będę mógł. To potrwa, ale nie odstąpię od tego.

- Załatwimy to tak, jak zechcesz. I wreszcie będziesz wiedział, że jesteś prawowitym właścicielem. Nikt nie będzie mógł ci go odebrać.

Skinał głową, ze łzami w oczach i uśmiechem na ustach. Po raz kolejny wzbudziła w nim podziw.

- Dziękuję ci. Brak mi słów. Tak bardzo cię kocham, Hope.

- Ja też cię kocham, Finn.

Położył głowę na jej ramieniu i zasnął znowu, spokojny jak dziecko, które czuje się bezpiecznie. Delikatnie głaskała jego włosy, aż w końcu i ona usnęła. Na zewnątrz nie cichła ulewa.

Rozdział dwunasty

Następnego dnia po nocnej ulewie Hope zadzwoniła do banku i złożyła zlecenia, które były niezbędne do tego, żeby kupić dom. Finn był przy tym obecny. W nocy wiatr złamał jedno drzewo, ale nie przejęli się tym zbytnio. Drzewo upadło, nie powodując zniszczeń, i nikt nie ucierpiał. Właściciel, który kiedyś kupił nieruchomość w nadziei na wzrost cen, zgodził się sprzedać ją za siedemset osiemdziesiąt tysięcy funtów, czyli półtora miliona dolarów. To była bardzo dobra cena i Finn nie posiadał się ze szczęścia. Hope przelała pieniądze, a ponieważ umowa sprzedaży nie zawierała żadnych dodatkowych warunków, osiem dni później dom należał do nich. W sensie prawnym do Hope, ale od razu zrobiła zapis testamentowy na jego rzecz na wypadek swojej śmierci i wynajęła mu go za symboliczną opłatą. Kiedy się pobiorą, spadkobiercą zostanie ich dziecko. A jeśli z jakichkolwiek powodów się nie pobiorą albo dziecko nie będzie żyło, Finn będzie mógł odkupić od niej ten dom, spłacając go w ratach rozłożonych na długi czas.

Dla niego był to złoty interes. Inaczej nigdy chyba nie mógłby za niego zapłacić. A ona już myślała o tym, jak go wyremontować, by odzyskał dawną świetność. Była zachwycona, że ma wolną rękę do prac renowacyjnych. Dla niej wszystko to znaczyło tylko tyle, że mogła uszczęśliwić Finna, że dom, w którym mieszkają, jest ich wspólną własnością i że tu będzie dorastało ich dziecko. Umowa nie była jednak uzależniona od narodzin dziecka. Gdyby utraciła dziecko, w kwestiach własności nic by się nie zmieniło. A gdyby się z jakiegokolwiek przyczyny rozstali, będzie mógł tu mieszkać, spłacając dom ratami. Dla niego były to rozwiązania wymarzone. Oświadczył, że Hope jest najbardziej wielkoduszną kobietą świata, a ona, że to był dar od losu dla nich obojga. Nikogo nie prosiła o radę i nikogo nie musiała pytać o zgodę. Po prostu zadzwoniła do banku i zleciła przelew na rzecz poprzedniego właściciela. Wszyscy byli z tej transakcji niesłychanie zadowoleni. A najbardziej ze wszystkich Finn. Dzięki temu i Hope była szczęśliwa. Akt własności Finn włożył do szuflady swojego biurka z takim namaszczeniem, jakby był to arkusz szczerego złota. Po czym uklęknął przed Hope, patrząc jej prosto w oczy.

- Co ty wyprawiasz? - spytała ze śmiechem.

Ale Finn nie żartował. Dla niego to była bardzo ważna chwila.

- Oświadczam ci się. Formalnie proszę cię o rękę - powiedział uroczyście. Nie było nikogo innego, kogo o jej rękę mógłby poprosić. Oprócz Paula nie miała nikogo bliskiego, a przecież Paul nie był właściwą osobą. Choć Finn był mu

niezmiernie wdzięczny za fortunę, którą otrzymała od niego Hope. - Chcesz zostać moją żoną?

Miała łzy w oczach, kiedy przed nią klęczał. Skinęła głową. Była tak przejęta, że nie mogła dobyć głosu. Odkąd zaszła w ciążę, łatwo ulegała wzruszeniom.

- Tak, chcę - odpowiedziała ze ściśniętym gardłem, dławiąc szloch.

Finn wstał, wziął ją w ramiona i pocałował.

- Obiecuję, że będę się o ciebie troszczył do końca moich dni. Nigdy nie będziesz tego żałowała.

Nawet nie pomyślała, że mogłaby żałować.

- Gdy będziemy w Londynie, dostaniesz ode mnie pierścioneł zaręczynowy. Kiedy chciałabyś wziąć ślub?

Dziecko miało się urodzić w listopadzie, więc ślub powinni wziąć wcześniej, choćby po to, żeby miało odpowiednie wpisy w metryce. Ale nie chciała czekać tak długo. Oboje byli pewni swojej miłości.

- Może najpierw powinniśmy powiedzieć o tym Michaelowi. - Nie chciała, żeby jego syn poczuł się zlekceważony. - Może pobralibyśmy się tego lata na Cape Cod?

To by dla niej wiele znaczyło.

- Wolałbym ożenić się tutaj. To by wyglądało bardziej serio. Zrobimy to latem, kiedy przyjedzie Michael. Zawsze latem przyjeżdża, choćby na krótko.

- Chciałabym się z nim spotkać, zanim powiemy mu o ślubie - powiedziała Hope.

Zgadziali się oboje, że nie jest to rzecz, o której powinien dowiedzieć się przez telefon. Jak dotąd nie miał o niczym pojęcia. Jego ojciec nie może zadzwonić do niego zniemacka i oświadczyć, że się żeni z osobą, o której syn nigdy nie słyszał, i że będzie miał z nią dziecko. To za dużo, Michael tego nie przełknie za jednym razem. Dlatego Hope chciała go koniecznie poznać i pomалу przyzwyczaić do obecnego stanu rzeczy. Musiała też uprzedzić Paula. Wiedziała, że to będzie dla niego potężny cios. Hope nie tylko związała się z innym mężczyzną, ale w dodatku spodziewała się dziecka. Obaj, Michael i Paul, potrzebowali więcej czasu, żeby się z tym, wszystkim oswoić, nie należało ich zaskakiwać. Lato było według Hope najbardziej odpowiednią porą na ślub. W ostateczności mógłby się nawet odbyć jesienią. Mieliby dość czasu, żeby się do wszystkiego przygotować. Bardzo wiele zmieniło się w ich życiu w niesłychanie krótkim czasie. Najpierw miłość, potem ciąża, teraz jeszcze ślub. Szybkość, z jaką to wszystko się działo, wciąż jeszcze zapierała jej dech. W ciągu czterech miesięcy wylądowała w nowym i zupełnie innym życiu. Mężczyzna, dziecko, dom. Ale kochała Finna i była pewna swoich decyzji.

Kiedy dom stał się ich własnością, Hope była przy nim zajęta jeszcze bardziej niż przedtem. Zaczął się już kwiecień. Postanowiła odwołać swój majowy przylot do Nowego Jorku. Nie chciała podróżować samolotem przed końcem pierwszego trymestru ciąży. Poprosiła Marka, żeby przesunął te zlecenia na połowę czerwca. Nie powiedziała mu, dlaczego jej na tym zależy, choć z dokumentów bankowych wiedział, że kupiła nieruchomość.

- Teraz będziesz mieszkać w Irlandii? - zaczął, zaciekawiony. - Odwiedzę cię kiedyś i zobaczę, jak tam jest. Jak sobie radzisz z Finnem?

- Wszystko w porządku - odpowiedziała i w jej głosie zabrzmiała radość. - Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa.

Poznał to po jej głosie i ucieszył się. Wiedział, że przeżyła bardzo ciężkie chwile i zasłużyła na szczęście, które ją teraz spotkało.

- No to zobaczymy się w czerwcu. Wszystko załatwię. O nic się nie martw. Po prostu ciesz się swoim domem czy może zamkiem, cokolwiek to jest.

Opowiedziała mu trochę o domu, więc z grubsza wiedział. Podobała mu się nuta radości w jej głosie, nuta, która pojawiła się po raz pierwszy od bardzo wielu lat.

Przez następne dwa miesiące oboje z Finnem działali bez wytchnienia. Hope wynajęła przedsiębiorstwo budowlane, które zajęło się naprawą dachu i innymi reperacjami, których dom potrzebował najpilniej. Położono nowy dach. Kosztował fortunę, ale był jej wart. Uszczelniono okna, przez które wiało niemiłosiernie. Usunięto spróchniałe elementy stolarki i zastąpiono je nowymi, a latem, kiedy byli na Cape Cod, przystąpiono do malowania wnętrza. Poza tym kupowała meble w antykwariatach i na aukcjach, żeby urządzić dom tak, jak na to zasługiwał. Ilekroć Finn na nią spojrzał, zawsze coś niosła, ciągnęła za sobą albo wchodziła po coś na drabinę. Wszystkie książki przeniosła do biblioteki i ustawiła na półkach. Nigdy nie odpoczywała. Nieraz musiał jej przypominać, że jest w ciąży. Ale gdy była w ciąży z Mimi, też nie przestawała działać ani na chwilę. Kiedy mu o tym mówiła, dodawał, że nie ma już dwudziestu pięciu lat. Czasami sama o tym pamiętała i była wtedy ostrożniejsza. Kiedy indziej śmiała się z jego ostrzeżeń i przypominała mu, że ciąża nie jest chorobą. Nigdy w życiu nie czuła się lepiej i nigdy nie była szczęśliwsza. To, co przeżywała, wydawało jej się zadośćuczynieniem za wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na nią wcześniej. Wierzyła, że jej spotkanie z Finnem zaaranżowała ręka boska i był to cud. Powtarzała to często.

Pewnego popołudnia pracowała szczególnie ciężko, pakując do kartonów talerze, by można było odmalować wnętrze pokoju kredensowego, a potem narzekała, że boli ją kręgosłup. Weszła do wanny z ciepłą wodą i od razu poczuła

się lepiej. Finn znowu ją zbeształ za lekkomyślność, ale współczuł jej i nawet masował plecy.

- Jesteś szalona - gderał. - Jeśli coś ci się w końcu stanie, to będzie tylko twoja wina, i zobaczysz, jak się wścieknę. Nie dbasz o nasze dziecko. Pomyśl, jak ono się czuje, kiedy pracujesz jak wół.

Ale Finn był wzruszony że tak bardzo pokochała jego dom, i wiedział, że pracuje przede wszystkim ze względu na niego. Chciała, żeby dom wypiękniał i żeby Finn mógł być z niego dumny. Więc pracowała dla Finna. I dziecko musiało pracować razem z nią.

Tej nocy spała niespokojnie, a nazajutrz rano została w łóżku. Plecy nadal ją bolały, więc Finn zaproponował, że wezwie lekarza. Ale Hope się upierała, że lekarz nie jest potrzebny. Uwierzył jej, mimo że źle wyglądała: leżała blada, z grymasem bólu na twarzy. Godzinę później przyszedł spytać, jak się miewa, i zastał ją na podłodze w łazience w kałuży krwi. Prawie nie mogła się poruszyć. Popatrzyła na niego nieprzytomnie. Przeraził się i pobiegł do telefonu. Zadzwoił po pogotowie. Nalegał na operatorkę, żeby mu obiecała, że jak najszybciej wyśle do nich karetkę. Po czym wrócił do łazienki. Kiedy przyjechało pogotowie, siedział na podłodze, trzymając ją w ramionach, dzinsy miał poplamione krwią. Poroniła, a teraz się wykrwawiała. Kiedy sanitariusze podnieśli ją i położyli na noszach, straciła przytomność. Finn biegł obok noszy, modląc się, by nie umarła, a kiedy po niezbędnych zabiegach odzyskała w szpitalu przytomność, siedział obok łóżka i patrzył na nią ponuro. Wyciągnęła ku niemu rękę, ale odwrócił się i wstał. Kiedy płakała, długo patrzył w okno. Wreszcie przeniósł na nią wzrok. Był jednocześnie zrozpaczony i rozgniewany. On także miał łzy w oczach. Myślał o stracie, którą poniósł.

- Zabiłaś nasze dziecko - powiedział brutalnie. Zaszlochała i znowu wyciągnęła do niego rękę, ale nie podszedł. Chciała usiąść, lecz była na to za słaba. Straciła tyle krwi, że musieli jej zrobić transfuzję.

- To... to okropne - łkała.

- Zabiłaś je przez to idiotyczne dźwiganie. Patrz, co się stało. Wytrzymałaś w ciąży tylko trzy miesiące. I wszystko zmarnowałaś.

Nie zamierzał jej pocieszać ani uspokajać. Hope ze złamanym sercem patrzyła na jego gniew.

- Nie mogłaś zrobić temu dziecku gorszej krzywdy. I mnie też. Zabiłaś zdrowe dziecko, Hope.

Nie przyszło mu do głowy, że może dziecko nie było takie zdrowe, jeśli nie przeżyło pierwszego trymestru ciąży. Teraz już nie można się było o tym przekonać. Czowała się okropnie.

- Jak mogłaś być taka głupia i samolubna?

Płakała, słuchając, jak Finn na nią krzyczy. Chwilę później wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Leżała w szpitalnym łóżku, zrozpaczona, i myślała o tym wszystkim, co od niego usłyszała. Płakała tak bardzo, że w końcu pielęgniarka dała jej zastrzyk uspokajający. Kiedy się obudziła po wielu godzinach, Finn znowu siedział przy jej łóżku. Minę miał równie ponurą jak wcześniej, ale trzymał ją za rękę.

- Przepraszam cię za to, co powiedziałem - odezwał się dość szorstko. - Byłem tak bardzo zawiedziony. Tak bardzo czekałem na to dziecko.

Znowu się rozpłakała, ale tym razem przytulił ją i zaczął pocieszać.

- Będzie dobrze - powiedział. - Spróbujemy jeszcze raz. Kiwnęła tylko głową, szlochając w jego ramionach.

- Mimo że czasem zachowuję się jak gbur, kocham cię, Hope. - Po jego policzkach także potoczyły się łzy.

Rozdział trzynasty

Dwa tygodnie później Hope leciała do Nowego Jorku. Była blada i wychudzona. I wiedziała, że Finn jeszcze jej nie wybaczył. Obciążał ją całą winą za poronienie, upierał się, że jej nieostrożność była jedyną przyczyną. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że przyczyna mogła być inna i że do poronienia, być może, i tak by doszło. Nie przepuścił okazji, by wypomnieć, że to się stało z jej winy. Powtarzał jej, że oboje poczują się lepiej, jeśli znowu zajdzie w ciążę. Powinni postarać się o to jak najszybciej, najlepiej od razu. Takie rozmowy załamywały ją jeszcze bardziej. Przepraszała go setki razy. Finn zachowywał się, jakby to, co się stało, uważał za wynik jej złej woli w stosunku do niego i do dziecka, za coś w rodzaju zdrady. Za każdym razem, kiedy podniosła na niego wzrok, czuła się jak morderczyni i zaczynała wątpić, czy Finn kiedykolwiek jej daruje. Bo o tym nigdy nie mówił. Mówił tylko o następnej ciąży. Kiedy wsiadała do samolotu, poczuła ulgę na myśl, że rozstanie się z nim na jakiś czas. I wcale nie była gotowa spróbować jeszcze raz, a jeśli nawet, to na pewno nie od razu. Ale Finn zachowywał się tak, jakby była jego własnością. Tymczasem po stracie Mimi poronienie niespodziewanie wtrąciło ją w kolejną głęboką żałobę. I niełaska, w jakiej znalazła się u Finna, prawie złamała jej serce.

Szczęśliwie przeprowadziła w Nowym Jorku sesje zdjęciowe, na które była umówiona, a potem miała nadzieję spotkać się z Paulem, którego nie widziała od pół roku. To bardzo długo. Ale kiedy do niego zadzwoniła, okazało się, że właśnie jest w Niemczech. Pojechał tam, żeby spróbować nowego sposobu leczenia choroby Parkinsona. Zamierzał zostać jeszcze przez jakiś czas. Było jej przykro, że go nie zobaczy, ale obiecali sobie, że spotkają się jesienią. Umówiła się na obiad z Markiem Webberem, który spostrzegł, że ona źle wygląda, ale pomyślał, że może za dużo ostatnio pracowała. Zaprzeczała i upierała się, że ma się świetnie. Ale nie robiła wrażenia tak szczęśliwej jak wtedy, kiedy rozmawiali przez telefon. Wymówki, jakie wciąż słyszała od Finna, bardzo ją bolały. Było w nich tyle okrucieństwa, że nie potrafiła o tym zapomnieć. Nigdy wcześniej nie był dla niej niemiły, a ich romans trwał już pół roku. I po raz pierwszy coś się między nimi popsuło.

Mark miał dla niej kilka zamówień na jesień. Nie była jeszcze zdecydowana, czy je przyjmie. Wiedziała, że gdyby zaszła w ciążę, Finn nie puści jej do Nowego Jorku. Nagle coś, co zdarza się przypadkiem i jest darem losu, stało się dla Finna zadaniem, sprawą życia i śmierci, mającą pierwszeństwo przed wszystkim innym. Po raz pierwszy Hope straciła pewność siebie. Czuła się głęboko winna i przerażona, że może jej się znowu przytrafić to samo.

Poszła do swojej lekarki i dowiedziała się od niej, że powinna teraz odczekać przynajmniej trzy miesiące przed podjęciem następnej próby. Lekarka uważała, że poronienie mogło nastąpić niezależnie od wszystkiego, nawet gdyby Hope przez cały czas leżała w łóżku. Ale po wszystkim, czego się nasłuchiwała od Finna, czuła się odpowiedzialna za to, co się stało, i pogrążyła się w depresji. Była zdecydowana odłożyć ślub na grudzień, bo uznała, że teraz już nie ma pośpiechu. Była zbyt znękana, żeby myśleć o ceremonii ślubnej.

Finn zjawił się w Nowym Jorku, gdy tylko skończyła pracę. Był w lepszym nastroju niż wtedy, kiedy go opuszczała, znowu bardzo kochający. Hope starała się unikać drażliwego tematu poronienia, ale on kilka razy powracał do kwestii ponownej wizyty u londyńskiej lekarki. Chciał, żeby ta wizyta odbyła się natychmiast po powrocie do domu. Nie zamierzał tracić ani chwili i udało mu się przekonać Hope, że jest mu to winna. Wciąż jeszcze była zbyt osłabiona i przybita, żeby z nim dyskutować i upierać się przy swoim, więc w końcu się na to zgodziła, bo tak było łatwiej. Na lipiec i sierpień wybierali się na Cape Cod. W tym czasie w domu w Irlandii planowano malowanie wszystkich wnętrz od parteru po strych. Hope była przekonana, że po letnich wakacjach poczuje się lepiej i wtedy zobaczy wszystko w jaśniejszych barwach. Wciąż jeszcze przechodziła komplikacje hormonalne związane z utratą trzymiesięcznej ciąży i dużej ilości krwi. Jej organizm nie wyszedł jeszcze z szoku. Do tego grubiańskie zachowanie Finna i jego oskarżenia wstrząsnęły nią bardzo mocno. Po poronieniu jego zachowanie było zupełnie niepodobne do jego zwykłego stylu, do opiekuńczości i ciepła, jakiego doznawała w ciągu półrocza poprzedzającego wypadek. Chciała, żeby Finn także wrócił do siebie jak najprędzej. I miała nadzieję, że tak się stanie.

Najlepszą rzeczą, jaka wydarzyła im się w związku z obecnością Finna w Nowym Jorku, była wizyta jego syna Michaela, który przyjechał z Bostonu i spotkał się z nimi na kolacji. Hope musiała przyznać, że to zupełnie wyjątkowy chłopak. Bystry, otwarty, przyjazny, dobrze wychowany i w ogóle uroczy. Miał dwadzieścia dwa lata i był bardzo podobny do Finna. Lubił żartować sobie z ojca, chwilami bywał nawet trochę bezczelny, ale miała wrażenie, że świetnie się z Finnem rozumieją. Wszystko to dobrze świadczyło o Firmie, który samotnie wychował tego cudownego chłopaka i pozostał z nim w przyjacielskich stosunkach.

Hope zaprosiła Michaela na Cape Cod, ale powiedział, że jest umówiony na wizytę w Kalifornii u dziadków ze strony matki. Jeździł do nich każdego lata. Poza tym ma już załatwioną pracę na giełdzie w San Francisco, na cały lipiec i sierpień. Bardzo się cieszył z tej pracy i nie mógł się doczekać, kiedy ją zacznie. Siedząc z nim przy stole, Hope znowu gwałtownie zatęskniła za Mimi.

- Wspaniały chłopak - powiedziała, kiedy Michael się pożegnał i odszedł. - Odniosłeś ogromny sukces pedagogiczny.

Uśmiechnął się do niej. Tego wieczoru wyglądało na to, że po długim czasie sprawy między nimi zaczną się znowu układać. Utrata dziecka była ciężkim ciosem dla obojga. Nie chcieli mówić Michaelowi już przy pierwszym spotkaniu z Hope, że w planach jest ślub. Zgodziła się z Finnem, że powiedzą mu o tym, kiedy się z nim spotkają w Irlandii, we wrześniu. Nie mogła się doczekać tej chwili - chciała widzieć minę Michaela, kiedy zobaczy zmiany, jakie zaszły w Blaxton House. Ale i ze względu na niego samego chciała go znowu zobaczyć. Nie mogła się doczekać, kiedy Michael do nich przyjedzie. Miała nadzieję, że wtedy pozna go bliżej.

Kiedy pojechali z Finnem na Cape Cod, zachowywali się już znowu tak, jakby nic się nie wydarzyło. Finn przestał wspominać o poronieniu, które miała za sobą, przestał ją oskarżać i skończył z gorzkimi uwagami, pod którymi kuliła się, jakby ją smagał batem. Był znowu kochający, miły i uprzejmy, jak dawniej. Zaczęła się stopniowo odprężyć i na powrót poczuła się sobą. Trochę przybrała na wadze, wyglądała zdrowiej. Spędzali ze sobą każdą chwilę. Finn przywiózł rękopis książki. Twierdził, że praca idzie mu świetnie.

Było jej tylko przykro, że na Cape Cod nie chciał się spotykać z jej przyjaciółmi. Hope i Paul prowadzili dom otwarty, ich przyjaciele często do nich wpadali. Finn powiedział, że sobie tego nie życzy, bo mu to będzie przeszkadzało w pracy. Był nieszczęśliwy, kiedy musiał składać albo przyjmować wizyty. Przeszkadzało mu to o każdej porze. W Święto Niepodległości, czwartego lipca, zabrała go do ludzi, których znała od zawsze, ale on zachowywał się tam drętwo i nieprzyjaźnie. Niektórzy goście chcieli z nim rozmawiać o jego książkach, które uwielbiali, ale nawet im okazywał lodowaty chłód i zmusił Hope, by wyszła z nim bardzo wcześnie.

Kiedy nazajutrz go o to zapytała, oświadczył, że nie znosi atmosfery podmiejskich letnisk i życia towarzyskiego, jakie tam kwitnie. Że nie chce mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Zresztą po co miałby się spotykać z tymi ludźmi? Przecież wrócą do Irlandii, tam jest ich dom. I wtedy do Hope zaczęło docierać, do jakiego stopnia Finn pragnie zagarnąć ją tylko dla siebie. Złościł się, kiedy wychodziła bez niego choćby do sklepu spożywczego. Nie chciał się z nią rozstawać ani na chwilę. Owszem, sprawiało jej to przyjemność, czasem pochlebiało, ale coraz częściej czuła, że ją to ogranicza i męczy. Powiedział, że woli dom na Cape Cod w zimie niż w lecie, bo wtedy jest cicho i pusto. Odrzucił wszystkich jej dawnych przyjaciół, bez wyjątku. Odkąd nie mieszkała w Bostonie, widywała ich bardzo rzadko, ale atmosferę Cape Cod zawsze bardzo lubiła i ze

smutkiem przyjęła do wiadomości, że z tej części swojego życia musi zrezygnować ze względu na Finna. Mimo że w młodości chętnie udzielał się towarzysko i miewał mnóstwo romansów, teraz, związawszy się z nią, chciał prowadzić ciche, spokojne życie tylko we dwoje - bez żadnych jej przyjaciół i znajomych.

Czasami z trudem znosiła tę izolację. Upierał się, że samotność we dwoje jest bardziej romantyczna, poza tym nie chciał się nią z nikim dzielić. I kochał ją tak bardzo, że nie ośmieliłaby się narzekać. Rozdźwięk, jaki pojawił się między nimi po poronieniu, zniknął i został zapomniany jeszcze przed końcem lata. Finn znowu był przystojnym księciem z bajki i choć nie miał ochoty zadawać się z jej przyjaciółmi, pocieszała się tym, że są sobie znowu tak bliscy jak dawniej. I wydawało się, że w końcu właśnie to nieszczęście, które ich dotknęło, zbliżyło ich do siebie. Jeśli musiała na tym ołtarzu poświęcić spotkania z przyjaciółmi, była na to gotowa. Jej życie z Finnem, dobro ich relacji było ważniejsze.

Wrócili do Nowego Jorku w pierwszym tygodniu września. Finn miał ważne spotkanie ze swoim brytyjskim wydawcą i w związku z tym musiał wracać do Londynu. Hope została jeszcze w Nowym Jorku, żeby załatwić kilka spraw. Musiała zobaczyć się ze swoim doradcą bankowym i z prawnikiem. I zanim znowu wyjedzie, spotkać się z Markiem Webberem. Zamierzała wrócić do Irlandii w weekend i zostać tam przez cały wrzesień. Aż do listopada nie miała właściwie nic do roboty w Nowym Jorku. Starła się odsunąć myśl, że to właśnie w listopadzie miało się urodzić ich dziecko. Może Finn miał rację - może otrzymają następną szansę. Wola boska. Czuła się już zupełnie zdrowa i miała więcej dystansu do tego, co się stało. A Finn od lipca nie wspominał już o londyńskiej lekarce.

Spotkała się więc z Markiem, który miał dla niej bajeczne zlecenie. Wiązało się ono z wyjazdem do Ameryki Południowej w październiku. Musiała przyznać, że zaproponowano jej bardzo dobre warunki, lecz mimo to nie była zdecydowana. Wiedziała, że Finn będzie niezadowolony.

A jeśli ona znowu zajdzie w ciążę, to na pewno jej nie puści, chociaż jej lekarka uważała, że ciąża nie jest przeciwwskazaniem do podróży samolotem. Nie chciała ryzykować, że Finn znowu dostanie furii. Nie chciała więcej poronień. Spojrzała na Marka ze smutkiem i powiedziała, że nie jest pewna, czy będzie mogła to zrobić.

- Dlaczego? - zapytał zawiedziony.

- W moim związku to nie jest odpowiednia chwila na podróż po całym świecie. Remontujemy dom. A Finn jest niezadowolony, kiedy wyjeżdżam.

Nie chciała wspominać o utraconej ciąży ani o nadziejach na następną.

- Myślę, że popełniasz błąd, Hope. Ty przecież nie wtrącasz się w jego sprawy zawodowe i nie ma żadnego powodu, żeby on wtrącał się w twoje. To jakaś bzdura. Co by zrobił, gdybyś mu powiedziała, że nie życzysz sobie, żeby pisał następną książkę? Oboje jesteście bardzo utalentowani, oboje macie sukcesy. Powinien szanować to, co robisz. Nie może tobą manipulować, zmuszając cię, żebyś rezygnowała z pracy. A jeśli próbuje, nie pozwól mu na to.

- Masz rację. Co mam ci na to powiedzieć? On jest jak dziecko. Zamierzamy się pobrać pod koniec roku. Może po ślubie się uspokoi.

Miała taką nadzieję. Ale na razie wpędzał ją w poczucie winy za każdym razem, kiedy go opuszczała, nawet jeśli udawała się do pracy. Twierdził, że jest pod wrażeniem jej fotografii, a jej sukcesy napędzają go dumą. Ale te komunikaty Finna klóciły się z jego niechęcią do wypuszczania jej z domu. Ich niejednoznaczny sens sprawiał, że czuła się niepewnie i nie wiedziała, co ma robić.

- A jeśli wtedy też się nie uspokoi? - zapytał Mark zaniepokojony.

- Będziemy o tym rozmawiali. Jesteśmy razem dopiero od dziewięciu miesięcy.

- Właśnie o to chodzi. To trochę za wcześnie, żebyś przez niego zawałała swoje sprawy zawodowe. Właściwie w żadnym momencie nie miałby prawa się do nich mieszać.

- Wiem, Mark - odpowiedziała cicho. - On tak bardzo potrzebuje... ciepła, uwagi...

- To go zaadoptuj, zamiast wychodzić za niego za męża. Powinnaś czym prędzej to wszystko wyprostować, bo inaczej będziesz żałowała.

Kiwnęła głową. Wiedziała, że Mark ma słuszość. Ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. I nawet uwzględniając nieprzyjemne zachowanie Finna po poronieniu, nikt nigdy nie traktował jej lepiej niż on. A jego nieuprzejmości w tamtym czasie były przecież tylko jednorazową wpadką. Była o tym przekonana. Tego lata był dla niej lepszy niż kiedykolwiek. Próbowała tak ułożyć swój zawodowy kalendarz, by on także był zadowolony. Przyjęła już trzy zlecenia na listopad i nie potrzebowała kolejnego. Nie było warte zamętu, jaki wywoła. Dlatego odrzuciła je. W młodości robiła tak bardzo często ze względu na Mimi.

Ale Mimi była jej dzieckiem, a nie dorosłą osobą, partnerem w związku. Hope czuła, że w swoim życiu straciła już tyle osób, które kochała, że nie może pozwolić sobie na żadne ryzyko. A gdyby doprowadziła Finna do ostateczności, nie można wykluczyć, że opuściłby ją. Nie, nie chciała na to pozwolić.

W dniu wyjazdu spotkała się z Paulem i chciała mu opowiedzieć o Finnie i o ich zamiarze pobrania się w grudniu, ale wyglądał tak źle, że nie miała serca poruszać tego tematu. Nie mógł już jeść bez pomocy i ledwo chodził. W ciągu

ostatniego roku postarzał się o dwadzieścia lat. Kiedy nadszedł, jego widok ją przestraszył. Powiedział, że ta niemiecka kuracja nie przyniosła żadnych efektów. Po niej pojechał na jakieś zabiegi wodolecznicze i tam nabawił się infekcji, z którą wylądował w szpitalu. Był szczęśliwy, że jest już w domu, w Stanach. Wybierał się do Bostonu, do swoich kolegów z Harvardu, którzy go leczyli. Odprowadziła go na lotnisko. Kiedy minął bramkę, rozplakała się. Ciężko było patrzeć na to, co się z nim działo. Wydawał się taki słaby i kruchy. Odleciał do Bostonu, a ona wciąż nie mogła się pozbierać po tym spotkaniu.

Lot do Dublina przespała prawie w całości. Samolot wylądował wczesnym rankiem. Finn czekał na nią na lotnisku, z tym szerokim uśmiechem, który tak dobrze znała, który kochała z całego serca. Gdy tylko go zobaczyła, wiedziała już, że w ich świecie nie dzieje się nic złego. Zawiózł ją do Blaxton House, a dziesięć minut po przyjeździe leżeli w łóżku. Kochał się z nią czulej i namiętniej niż kiedykolwiek. Zostali w łóżku do południa, rozmawiając szeptem i przytulając się. Potem zaprowadził ją na dół i pokazał, jaki piękny jest ich dom po odmalowaniu. Włożyła w to majątek, ale oboje uważali, że było warto.

Poczuła się szczęśliwa, że wróciła do domu. Teraz naprawdę była panią tej rezydencji. Za kilka dni miał przyjechać Michael. Była zadowolona, że przedtem spędzi z Finnem sam na sam kilka dni. Pomyślała, że może ma słuszość - może naprawdę najlepiej im we dwoje. Każda chwila, którą spędzali razem, była pełna miłości. Nie miała powodu do narzekania. A późnym popołudniem, po obejrzeniu swoich włości, trzymając się za ręce, wrócili do sypialni i znowu poszli do łóżka.

Rozdział czternasty

Gdy Michael przyleciał, Finn pojechał po niego na lotnisko, a Hope postanowiła poczekać na nich w domu. Nie chciała im przeszkadzać, wiedząc, jak niewiele czasu będą mogli spędzić razem. I była bardzo szczęśliwa, że spotkają się w domu we trójkę. Przygotowała dla Michaela jeden z odnowionych pokoi gościnnych i ozdobiła go wielkim wazonem żółtych kwiatów. W miasteczku kupiła trochę czasopism, na wypadek gdyby się nudził. Próbowała zawczasu odgadnąć i spełnić jego życzenia. Wiedziała od Finna, jak mocno są związani emocjonalnie po wielu latach życia we dwojkę, gdy Michael dorastał. Nie mogła się doczekać sposobności, by poznać bliżej Michaela. Finn zamierzał zabrać syna na ryby nad jeziora w okolicach Blessington, oprócz tego załatwił w klubie lotniarskim loty z instruktorem i myślał o tym, żeby wynająć wierzchowce. Chciał, żeby Michael dobrze się bawił podczas wizyty w domu. A Hope robiła co w jej mocy, żeby w tym pomóc, nawet jeśli miałyby to oznaczać zmianę ich własnych planów. Ale Finn ją uspokoił - ich plany się nie zmieniają.

Tym razem zamierzali powiadomić Michaela o ślubie zaplanowanym na grudzień. Kiedy stanęło na tym, że wezmą ślub zimą, Hope się zgodziła, by ceremonia odbyła się w Irlandii, choć nie miałyby też nic przeciwko urządzeniu jej w Londynie, gdzie łatwiej było dotrzeć ludziom takim jak Mark Webber. Ale Finn miał wielką ochotę wziąć ślub w małym kościółku w Russborough, a małe przyjęcie urządzić w Blaxton House i zapowiedział, że nie będzie się martwił o to, czy ten i ów dojedzie. Nie był nawet pewien, czy Michael przyleci z Bostonu. Twierdził, że to nie ma dla niego żadnego znaczenia. Powtarzał, że jedyną osobą, której obecność będzie nieodzowna, jest Hope. Oprócz niej nie potrzebował absolutnie nikogo. To było zupełnie niepodobne do tamtego Finna, którego wyobrażała sobie kiedyś jako niezwykle towarzyskiego człowieka. Prawdziwy Finn prowadził raczej życie pustelnika. Ona była jedyną osobą, na której mu naprawdę zależało. Twierdził, że to dowód jego bezgranicznej miłości, a Hope w to chętnie wierzyła. I za przejaw tej miłości uważała jego upartą wolę spędzania z nią każdej chwili.

Kiedy Finn wrócił z lotniska razem z synem, Michael uścisnął Hope na powitanie i zachwyił się zmianami, które zaszły w domu podczas jego nieobecności. Był pod ich ogromnym wrażeniem.

- Ale co się właściwie stało? Wygrałeś na loterii, tato? - spytał na wpół żartem.

Komentarze Michaela często balansowały na granicy tego, co było dla Finna możliwe do przyjęcia, ale nie było w nich niechęci. Ot, po prostu żarciki, jakie często wymieniają między sobą mężczyźni. Jeden z nich dopiero wchodził w wiek

męski, drugi trzymał się wieku męskiego jak zbawienia. I kiedy Hope obserwowała ich razem, nagle zdziwiło ją desperackie pragnienie Finna, by mieć jeszcze jedno dziecko. Pomyślała, że może w ten sposób chciał potwierdzić swoją męskość. Pokazać sobie samemu i całemu światu, że jest wciąż jeszcze młody. Jeśli tak, to mogłaby mu wskazać wiele innych sposobów, żeby to udowodnić.

Finn oprowadził Michaela po całym domu, pokazując mu wszystkie miejsca, które zostały odnowione albo przebudowane. Malowanie, przeprowadzone w ciągu lata, odmieniło obskurne ściany. Usunięcie chodników odsłoniło piękne, odnowione podłogi. Dom był ten sam, ale wyglądał nieporównanie lepiej. I Michael chwalił Hope za te wszystkie zmiany.

Nazajutrz obaj wyruszyli nad jezioro. Mieli stamtąd wrócić po trzech dniach. Potem Michael chciał jechać razem z ojcem na dwa dni do Londynu, a Hope zamierzała zostać w domu, gdzie zawsze miała coś do zrobienia. Nie było okazji, by spędzić trochę czasu z Michaeliem. Okazja nadarzyła się dopiero w przeddzień jego wyjazdu. Michael śpieszył się do Bostonu na rozpoczęcie roku akademickiego w Massachusetts Institute of Technology. Hope spotkała się z nim sam na sam przy śniadaniu, gdy Finn pojechał do miasteczka po gazety. Katherine podała im jajka, gorące kielbaski i herbatę. Michael miał apetyt, wszystko mu smakowało. Po raz pierwszy siedzieli przy stole sami. Michael z początku był raczej milczący. Wiedziała od Finna, że jeszcze nie rozmawiali o zbliżającym się powoli terminie ślubu. Nie chciała mówić o tym z Michaeliem pod nieobecność ojca. To nie należało do niej. To było zadanie Finna. I nie miała pojęcia, kiedy Finn zamierza mu powiedzieć. Przecież to już prawie koniec wizyty Michaela.

- Ojciec zawsze bardzo za tobą tęskni - powiedziała, żeby przełamać ciszę.

Michael popatrzył na nią znad talerza, ale nic nie odpowiedział.

- Po tylu latach, które przeżyliście razem, we dwóch, na pewno jesteście ze sobą bardzo mocno związani.

Czuła się niezbyt zręcznie, kiedy próbowała w ten sposób wciągnąć go w rozmowę. Michael zachowywał się uprzejmie, ale nie był zbyt rozmowny. Przyszło jej do głowy, że może źle się czuje w towarzystwie kobiety, która mogłaby być jego matką, bo wychowywał się bez matki, czego mu szczerze współczuła.

- Słyszałam, że świetnie sobie radziliście, mieszkając na przemian w Londynie i Nowym Jorku.

Nie rezygnowała. Michael wyprostował się na swoim krześle i popatrzył jej prosto w oczy. Powiedział tylko jedno zdanie.

- To nie ojciec mnie wychowywał.

Nie zabrzmiało to ani gniewnie, ani żałośnie. Po prostu stwierdził fakt. A Hope była kompletnie dezorientowana.

- Nie on? Bo... Myślałam... Mówił mi... Przepraszam. Musiałam go źle zrozumieć.

Pomyślała, że wyrwała się jak głupia, i bardzo źle się z tym czuła. Ale Michael nie wydawał się ani trochę przejęty

- Ojciec opowiada różne rzeczy, jeśli mu się wydaje, że dobrze zabrzmiały. Przerabia swoją historię, jakby pisał o niej książkę. Czasem trudno mu odróżnić prawdę od fikcji. Po prostu taki jest.

Powiedział to bez przygany, ale w oczach Hope jego słowa poważnie obciążały Finna. Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nie wiedziała nawet, co ma o tym myśleć.

- Jeśli ktoś z nas dwojga jest teraz zbity z tropu, to na pewno ja - powiedziała, wycofując się pośpiesznie z tej rozmowy.

Oboje wiedzieli, że usiłuje pokryć zażenowanie i jednocześnie szuka usprawiedliwień dla Finna.

- Nie ma powodu, żebyś tak się czuła - powiedział Michael, kończąc kielbaskę.

- Wychowywałem się w domu moich dziadków w Kalifornii. Ojca prawie nie znałem. Zaczęliśmy się spotykać dopiero, gdy poszedłem do college'u.

Ale to przecież było zaledwie dwa lata temu. A z tego wynikało, że ich rzekome wspólne życie w Londynie i Nowym Jorku było kłamstwem, wymysłem albo pobożnym życzeniem Finna. W każdym razie nieprawdą. Nic z tego nie rozumiała i próbowała ukryć przed Michaeliem swój niepokój.

- Wiem, że ojcu bardzo na mnie zależy, robi co w jego mocy, żeby się ze mną zaprzyjaźnić, ale nie zmienia to faktu, że nie widywaliśmy się prawie przez całe moje życie. I właściwie do dziś jesteśmy sobie prawie obcy.

- Przykro mi. - Hope była wstrząśnięta. - Nie chciałam poruszyć bolesnego tematu.

Czuła się okropnie, ale chłopak, który siedział przy stole naprzeciwko niej, nie wyglądał na ani trochę przejętego. Zdążył już poznać wszystkie dziwactwa Finna. Najwyraźniej, zdaniem Michaela, zmyślanie było jednym z nich.

- Właśnie to czyni go tak dobrym pisarzem. Myślę, że sam wierzy w to, co opowiada. Dla niego to prawda, ale dla innych niekoniecznie.

Wykazywał zadziwiająco dużo zrozumienia. Hope była pełna uznania dla wychowania, jakie odebrał od dziadków. Był zdrowym, zrównoważonym młodym człowiekiem. Ale nie dzięki Finnowi, tylko, jak się okazało, pomimo niego.

- Domyślałam się, że to dziadkowie ze strony twojej matki, prawda? - odważyła się zapytać, a Michael kiwnął głową. - Twoja matka nie żyje?

- Umarła, kiedy miałem siedem lat.

Potwierdził to bez emocji, co zaskoczyło ją jeszcze bardziej. Przynajmniej ta część opowieści Finna okazała się mniej więcej prawdziwa. I wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Nie chcę ci niczego narzucać, Michael, i właściwie nie lubię tajemnic w rodzinie, ale obawiam się, że to może być przykre dla twojego ojca. Wołałabym, żeby się nie dowiedział o naszej rozmowie. Obawiam się, że mógłby być na ciebie zły.

Ale tym razem to ona była zła i miała po temu istotne powody. Sprawa, o której rozmawiali, była zbyt poważna, żeby Finnowi wolno było zmyślać. Nie miał prawa skłamać na temat dzieciństwa i wieku dorastania własnego syna. Na temat relacji, jaka ich łączyła. Nie mogła pojąć, dlaczego Finn to zrobił, i nie wiedziała, czy kiedykolwiek w rozmowie z nim odważy się poruszyć tę kwestię. Nie chciała przyciskać go do ściany, czuła jednak, że powinni to wyjaśnić.

Ale Michael spokojnie kiwnął głową w odpowiedzi na tę prośbę.

- To nie jest pierwszy taki wypadek - powiedział bez owijania w bawełnę. - Mój ojciec bardzo chętnie opowiada różnym ludziom, że sam mnie wychowywał. Myślę, że wstydzi się prawdy. Nie chce się przyznać, że nawet mnie nie odwiedzał.

Hope też tak pomyślała. Ale mimo wszystko trudno jej się było z tym pogodzić.

- Nie martw się - dorzucił Michael. - Nic mu nie powtórzę.

Ledwie wypowiedział te słowa, do jadalni wszedł Finn. Hope mimo woli zaczęła mu się przyglądać jak komuś obcemu. Lecz nagle się otrząsnęła, wstała i podeszła, żeby go pocałować. Tylko że to już nie były te same pocałunki co zwykle. Wiedziała teraz, że Finn ją okłamywał. I nic już nie mogło być między nimi tak jak dawniej, póki nie dowie się od niego, dlaczego to robił.

Tego wieczoru we trójkę pojechali na kolację do miejscowego pubu. Przy piwie Finn powiedział Michaelowi, że on i Hope zamierzają się niedługo pobrać. Michael wydawał się nawet na swój obojętny sposób z tego zadowolony. Polubił Hope, a jego relacja z Finnem nie była tak głęboka, żeby stan cywilny ojca sprawiał mu wielką różnicę. Teraz Hope już rozumiała, dlaczego przyjął tę wiadomość tak powściągliwie. Jeśli Michael mówił prawdę, to on i Finn prawie się nie znali. Ale nie miała powodu wątpić w jego słowa. Kiedy go słuchała, czuła, że to wszystko prawda. Jeden z nich dwóch musiał kłamać, ale Hope miała teraz całkowitą pewność, że kłamcą był Finn.

Nie zaprosił syna na ślub. Nie podał nawet terminu. Termin właściwie nie był jeszcze ustalony. Ale Hope miała nadzieję, że ten ślub będzie uroczysty, że nie

zabraknie na nim najbliższych przyjaciół, a przede wszystkim zależało jej na obecności Michaela. Tymczasem wyglądało na to, że Finn chce wziąć z nią ślub po cichu. W pubie mówił o tym otwarcie i było jej tak smutno, że pozostawiła jego słowa bez komentarza. Tego wieczoru w ogóle niewiele się odzywała. Oboje z Michaeliem unikali patrzenia sobie w oczy. Nazajutrz przed jego odjazdem na lotnisko uścisnęła go i podziękowała mu za odwiedziny.

- Mam nadzieję, że znowu się spotkamy. Możesz przyjechać, kiedy tylko będziesz chciał - powiedziała.

- Przyjadę - obiecał Michael uprzejmie, ale niezobowiązująco, dziękując za gościnę.

Finn zawiózł go na lotnisko. Hope została sama i wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo dziwna była to wizyta. Spotkali się raczej jak dwaj obcy ludzie, nie jak ojciec z synem. A pamiętając, co mówił jej Michael poprzedniego dnia, dziwiła się nawet, że w ogóle przyjechał.

Myślała jeszcze o tym, kiedy Finn wrócił z lotniska. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Finn zauważył to spojrzenie i spytał, czy coś się stało. Już chciała zaprzeczyć, ale poczuła, że musi być z nim szczerą. Naprawdę nie było wyboru. Musiała się dowiedzieć, dlaczego skłamał. Jeśli miała spędzić z nim resztę życia, nie mogła zamieść tej sprawy pod dywan. Jak miałyby żyć z kimś, komu nie można wierzyć?

- Przykro mi, że muszę poruszyć ten temat - powiedziała, jakby go przepraszając. - To dla mnie bardzo trudne i nie chcę, żebyś gniewał się na Michaela. Rozmawialiśmy wczoraj przy śniadaniu. Mówiłam mu o tym, jak bardzo za nim tęsknisz i jak go kochasz. Jak wiele dla ciebie znaczy, że wychowałeś go sam. - Wzięła głębszy oddech i brnęła dalej. - A on mi na to odpowiedział, że przez całe życie mieszkał u dziadków w Kalifornii. Powiedz mi, dlaczego opowiadałeś mi tę zmyśloną historię?

Spojrzała mu prosto w oczy i zauważyła, że gwałtownie posmutniał.

- Tak, wiem. Okłamałem cię, Hope - przyznał bez chwili wahania. - Bo czułem się okropnie z tym, jakim byłem ojcem. A słuchając twoich opowieści o Mimi, pomyślałem, że byłaś cudowną matką. Wolałem, żebyś się nie dowiedziała, że oddałem syna rodzicom mojej byłej żony. Nie chciałem go opuszczać - powiedział, kryjąc twarz w dłoniach.

Rozmawiali w ogrodzie. Finn siedział na pniu ściętego drzewa. W końcu podniósł na nią wzrok.

- Nie dałbym sobie rady. Nie nadawałem się do tego. Moja opieka byłaby niewystarczająca. Jego dziadkowie to porządni ludzie. I zawsze bardzo go kochali. Dlatego zgodziłem się, żeby zabrali go do siebie. Gdybym się opierał, byli

zdecydowani wstąpić na drogę sądową, żeby odzyskać wnuka. A ja nie miałem siły ani ochoty z nimi o to walczyć. I nie chciałem, żeby Michael przechodził przez to wszystko razem ze mną. Dlatego zostawiłem go z nimi. Bardzo cierpiałem z tego powodu. Ale sądziłem, że na dłuższą metę tak będzie dla niego lepiej. Michael jest wspaniałym facetem. Wychowali go pierwszorzędnie. - Popatrzył na nią żałośnie. - Pomyślałem, że jeśli powiem ci prawdę, to nie będziesz o mnie dobrze myślała. Nie chciałem, żeby tak się stało.

Wyciągnął do niej rękę, objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Po prostu chciałem, żebyś mnie kochała, Hope. Chciałem, żebyś nie myślała o mnie źle - dodał łamiącym się głosem i łza potoczyła się po jego policzku.

Poczuła, że jest jej go bardzo żal.

- Nie musiałeś walczyć w ten sposób o moje uznanie. Kocham cię. Jakkolwiek się sprawy mają, powinieneś zawsze mówić mi prawdę. To pewnie byłoby dla ciebie zbyt trudne, gdybyś musiał samotnie wychowywać dziecko.

Wielu innym się udawało, ale ona uwierzyła, że dla niego byłoby to niemożliwe. I zrozumiała, że okłamał ją z miłości.

- Kocham cię niezależnie od wszystkiego. Wierz mi, ja też popełniłam w życiu niejedną błąd.

- Nie sądzę - odpowiedział, z głową mocno przytuloną do jej boku. Nagle o czymś sobie przypomniał i popatrzył jej w oczy. - Czy to nie dzisiaj wypada owulacja?

Roześmiała się. Nigdy nie tracił z oczu przebiegu jej cyklu miesięcznego. Ale teraz lepiej rozumiała jego rozpaczliwe pragnienie dziecka. Stracił dzieciństwo Michaela. I kiedy już opowiedział jej o tym szczerze, potrafiła wybaczyć mu kłamstwo. Zwłaszcza że naprawdę żałował.

- Chciałabym, żebyś mi coś obiecał. Mów mi zawsze prawdę, niezależnie od tego, jaka jest. Prawda, nawet najgorsza, zawsze jest lepsza od kłamstwa. Kłamstwo niszczy związek. A prawda rani tylko przez chwilę.

Skinął głową.

- Masz rację. Ja też tak myślę. To wszystko przez moje tchórzostwo.

Okłamał ją już dwa razy. Raz, kiedy powiedział, że kupił Blaxton House, a drugi na temat wychowania Michaela. Za każdym razem dlatego, że wstydził się prawdy. Nie mogła tego zrozumieć. Ale po tej rozmowie poczuła się lepiej. Umiała wybaczać. Poza tym kochała go. Razem ze wszystkimi jego słabostkami.

Wstał, przytulił ją mocno i pocałował. A potem wrócił do swojego pytania o owulację.

- Nie mam pojęcia. Dowiaduję się od ciebie. Moim zdaniem moglibyśmy z tym poczekać. Spróbować po ślubie. To przecież tylko parę miesięcy.

Była rozczarowana, że nie zaprosił Michaela na ślub. Że chciał się z nią ożenić po cichu. Obiecała Markowi Webberowi, że będzie na jej ślubie. Wiedziała, że chciałby na nim być. Będzie mu przykro. I jej także.

- Nie mamy tyle czasu, żeby czekać na ślub - powiedział Finn zniecierpliwiony.
- Nie stajemy się coraz młodsi.

- Chciałeś przez to powiedzieć, że to ja się starzeję - uściśliła.

Ale teraz przynajmniej rozumiała, skąd jego upór w tej sprawie. Chciał zapobiec zbędnej stracie czasu i musiała przyznać, że to nie było pozbawione racji. W jej wieku biologiczny zegar już nie tykał, tylko bił głośno jak na alarm.

- Zostawmy to własnemu biegowi - dodała niezobowiązująco.

Obawiała się, że nowa ciąża może się skończyć tak jak poprzednia, z rozmaitych powodów. Wiedziała, jakie to dla niego ważne, więc nie wykluczała kolejnej próby. Pozostał w niej jednak jakiś maleńki ślad obawy, że jeśli będzie się opierać, to Finn znajdzie sobie inną kobietę, młodszą od niej, która urodzi mu dzieci bez żadnego problemu. Ale o tym nie wspomniała.

- Może powinniśmy pojechać do Londynu, umówić się z tą lekarką - powiedział. - I skorzystać z jej magicznych sposobów.

- Poprzednim razem całkiem nieźle nam poszło i bez tego - przypomniała mu, kiedy szli po schodach do frontowego wejścia.

Finn nie był tak do końca przekonany, chociaż wierzył w sukces mocniej niż pół roku temu. Życzył sobie, żeby użyła przyrządu do wyznaczenia momentu owulacji. Okazało się, że to nie jest ten moment. Kochali się i tak. Po prostu dlatego, że mieli na to ochotę. I jej zdaniem tak było o wiele lepiej. Finn był najlepszym kochankiem, poza wszelką konkurencją. Incydent z kłamstwem na temat Michaela został szybko zapomniany. Hope była pewna, że Finn już więcej nigdy jej nie okłamie. Nie miałby żadnego powodu. Kochała go. To przecież wystarczało.

Rozdział piętnasty

Pojechali do Londynu w październiku. Ale nie do lekarki od spraw płodności. Szperali po antykwariatach, brali też udział w dwóch aukcjach domu aukcyjnego Christie. Hope była trochę zaskoczona, kiedy Finn przebijał, licytując efektowną antyczną szafę i biurko. Kupił je po prawie pięćdziesiąt tysięcy funtów za sztukę. Aukcja go wciągnęła, a potem, po powrocie do domu tłumaczył się z tego i przeproszał. Proponował, że wystawi te meble na sprzedaż na kolejnej aukcji, jeśli Hope nie zechce za nie zapłacić. Ale jej także się podobały, więc nazajutrz poszli zapłacić, choć cena z początku ją zaszokowała. Nigdy wcześniej nie kupowała tak drogich rzeczy. Przez resztę dnia Finn był pełen poczucia winy. Ale zyskali dwa antyki wyjątkowej piękności. Wysłali je od razu do Irlandii, a wieczorem sami wsiedli do samolotu. Przybyli na miejsce w piękny październikowy wieczór i oboje byli szczęśliwi, że znów są w domu. Dom był cichy i pełen spokoju. Zastanawiali się, gdzie umieścić nowe nabytki. Zdecydowali o tym wspólnie. Jedyny zgrzyt w tym uroczym wieczorze nastąpił, kiedy zauważyła, że ma okres. Finn był ogromnie rozczarowany. To go nastroiło ponuro, wypił za dużo i oświadczył, że to jej wina. Nie była w ciąży tylko dlatego, że zaniedbała wyznaczenie terminu owulacji. Nie postarała się. Ale jej zdaniem nic tu od niej nie zależało, chyba że zdecydowałyby się brać leki, o których była mowa podczas tamtej wizyty. A tego nie chciała. Tym bardziej że według opinii tej samej lekarki nie były jej potrzebne. Ta sprawa wymagała przede wszystkim cierpliwości.

Nazajutrz Finn był już w lepszym humorze, co i jej poprawiło nastrój. Powiedział, że dostał od swojego wydawcy projekt nowej umowy, w której figurowało olbrzymie honorarium. Podpisał umowę i pojechał do firmy kurierskiej, żeby ją odesłać. Wieczorem zabrał ją na kolację do Blessington. Mówił, że to największy z jego dotychczasowych kontraktów. Dotyczy trzech książek. To wprawiło go w odświeżony nastrój i wydawało się, że już jej wybaczył to, że tym razem nie zaszła w ciążę. Cięża stała się między nimi najbardziej drażliwą kwestią. Od poronienia minęły cztery miesiące. On był o wiele bardziej niecierpliwy od niej. Ale ona była wciąż niezdecydowana, a on wiedział, czego chce. Chciał mieć dziecko, i to natychmiast!

Nowe nabytki przybyły z Londynu po paru dniach. Wyglądały wspaniale, kiedy tragarze wnosili je do domu. Finn oświadczył, że były warte każdego pensa z pieniędzy, które na nie wydał, a Hope nie mogła się z nim nie zgodzić. I jak oboje wiedzieli, było ją na nie stać.

Nazajutrz rozmawiała przez telefon z Markiem Webberem o trzech sesjach zdjęciowych, które miała zrobić w listopadzie, i o przyszłorocznej wystawie w Tate Modern. Mark pozwolił też sobie na komentarz na temat Finna.

- To, co mu zaproponowano, jest wyjątkowo niekorzystne. Pewnie się wściekł.

Hope nie była pewna, czy dobrze słyszy. Zaledwie kilka dni wcześniej świętowali podpisanie nowej umowy.

- Dlaczego tak myślisz?

- Słyszałem, że mają go dość. Nie oddał im w terminie dwóch ostatnich książek. Sprzedaż poprzednich też nie jest imponująca. Znajduje coraz dziwniejsze tematy. Czytelnicy tego nie lubią. Mnie samego to trochę odrzuca. Wczoraj była o nim wzmianka w „Wall Street Journal”. Zagrozili mu podobno, że odbiorą mu zaliczki, jeśli nie odda dwóch książek, na które mieli z nim kontrakt. To mnie zawsze zdumiewa, jak taki facet może zasrać swoje własne sprawy przez zwykły brak dyscypliny i niewypełnianie umów.

Kiedy Hope to usłyszała, zrobiło jej się słabo. Zaczęła się zastanawiać, czy Finn się tym w ogóle przejął. Niemniej powinien był powiedzieć jej o tym. Przecież w tej sytuacji świętowanie nowej umowy było kolejną próbą wprowadzenia jej w błąd. Nie miała pojęcia, czym był dokument, który Finn podpisał i odesłał.

Słuchając Marka, doszła do wniosku, że nie mogła to być nowa umowa. Może jakieś pisma sądowe. A może nic nie podpisywał i nie odsyłał. Nie chciała przyznać się Markowi, że Finn nie powiedział jej o tym ani słowa. W ich okolicy nigdzie nie można było dostać „Wall Street Journal”. Finn wiedział o tym, więc czuł się bezpieczny. Hope prawie nie czytywała gazet, oprócz tych lokalnych. Żyli odcięci od świata w swojej enklawie szczęścia u stóp Wick-low Mountains. I Finn wykorzystywał tę sytuację. Ale to była naprawdę szokująca wiadomość. Jeśli była prawdziwa, to oznaczała dla niego poważne kłopoty finansowe. A jeśli pozwą go do sądu, to nawet jeszcze większe. Może właśnie dlatego nie chciał jej o tym powiedzieć. Zachowywał się jak dziecko, które chowa przed matką dzienniczek ze złymi stopniami. Ale Hope rozumiała, że sprawa przybrała o wiele poważniejszy obrót. Tym razem nie skłamał na temat przeszłości, tylko na temat bieżących zdarzeń jego życia. A z nią chciał rozmawiać tylko o jednym: o jej ciąży.

Po rozmowie z Markiem przejrzała swoje wyciągi bankowe. Odkąd kupili dom, czyli od kwietnia, Finn nie płacił jej umówionej kwoty. Nie chodziło jej o pieniądze i w innych okolicznościach na pewno by nie robiła z tego problemu, ale to był wyraźny znak, że znalazł się w tarapatkach i trzymał to przed nią w tajemnicy. Wiedziała bowiem, że gdyby miał pieniądze, na pewno by nie

zapomniał o przelewie. A ona, sama z siebie, nigdy by na to nie wpadła, żeby sprawdzić, czy pieniądze wpłynęły.

Żeby poruszyć niewygodne dla niego tematy, zaczęła od tych pieniędzy. Zapytała, czy wszystko w porządku, bo nie odnotowała wpłat na swoje konto. Roześmiał się w odpowiedzi.

- Pani właścicielka się niecierpliwi, że zalegam z czynszem? - Siadali właśnie do kolacji. Tym razem jedli w kuchni. - O nic się nie martw, zaliczka za nową umowę za parę dni będzie na moim koncie.

Ale nie powiedział, jak wysoka to będzie zaliczka. Serce w niej zamarło. Znowu usiłował ją okłamać. Nie wiedziała, czy ma się na niego gniewać, czy raczej się przerazić. Jego gotowość do mijania się z prawdą, do naciągania faktów, a nawet do fabrykowania ich, zaczęła wytrącać ją z równowagi. W jej umyśle zapaliło się czerwone światełko. Finn oblał test. Nie wracała więcej do tej sprawy, która zaległa między nimi jak wielki głaz. Była przygnębiona z tego powodu przez następne dwa tygodnie. A potem zaczęła się pakować na wyjazd do Nowego Jorku.

Finn wszedł do pokoju akurat, kiedy zamykała walizki. Miał minę opuszczonego dziecka.

- Ale właściwie po co masz tam lecieć? - spytał z rozdrażnieniem i pociągnął ją za sobą na łóżko.

Chciał, żeby zostawiła swoje sprawy i zajęła się nim, ale ona miała jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, bo nazajutrz rano wylatywała. Poza tym była na niego zła. Nie powiedział jej prawdy, a jeśli sprawy wyglądały tak, jak mówił jej przez telefon Mark, jego obecna sytuacja była po prostu katastrofalna. Ciągłe pracował nad książką i nigdy nie przyszło jej do głowy, że już pozawalał jakieś terminy. O tym nie wspominał, był niebywale dyskretny. To, że kłamał, było dla niej przyczyną nieustającego stresu. Nie miała ochoty znowu zaczynać rozmowy na ten temat. Jego życie zawodowe było jego sprawą. Dla niej było ważne, żeby zasługiwał na zaufanie. Na które jednak najwyraźniej nie zasługiwał.

- Chciałbym, żebyś zrezygnowała z tej podróży - powiedział, leżąc z nią na łóżku i łaskocząc ją.

Chichotała mimo woli. Czasami był jak dziecko. Jak ładny, duży chłopiec. Ale nie wiedziała już, czy ma być jego żoną, czy mamusią. Do tego dochodziły kłamstwa w zupełnie dorosłym rozmiarze, coraz bardziej nie do przyjęcia. To ostatnie pobiło wszelkie rekordy. I była pewna, że tym razem także kłamał ze wstydu. A przecież nigdy nie było między nimi nawet cienia rywalizacji. Każde z nich miało własny zawód, każde świeciło własnym światłem. Jeśli jego wydawca chciał się go pozbyć i wysłał mu pozew sądowy, musiało go to boleśnie dotknąć i

zranić jego dumę. Zwłaszcza gdy z boku obserwował jej sukcesy zawodowe. Nie wiedziała, co mu powiedzieć, bo milczał na temat swoich kłopotów.

- Nie mogę odwołać - powiedziała. - Jadę do pracy.

- Daj sobie z tym spokój. Zostań ze mną. Nie chcę znowu tak bardzo tęsknić.

Omali nie zaproponowała mu, żeby poleciał razem z nią. Ale zaraz uprzytomniła sobie, że chce trochę od niego odpocząć. Kiedy akurat nie pracował, spędzali razem każdą minutę. Nieustająco potrzebował jej uwagi, którą potrafił zagarnąć w całości. Tak mógł się zachowywać w ich domu w Irlandii, ale nie wtedy, kiedy była w Nowym Jorku i miała zobowiązania zawodowe. Zresztą nie mogła się już doczekać kilku samotnych tygodni w swoim lotcie w Soho. Obiecała mu, że przed Świętem Dziękczynienia wróci do Irlandii.

- Mógłbyś tymczasem dokończyć książkę.

Pogoda o tej porze roku była w Irlandii przygnębiająca. A on przecież musiał wreszcie skończyć tę książkę. To mogło go uratować przed procesem sądowym. Po rozmowie z Markiem Webberem dotarła w Internecie do tego artykułu „Wall Street Journal”. Sytuacja wydała jej się bardzo niepokojąca. Na jego miejscu bardzo by się przeraziła i on być może też się przeraził, ale przed nią starał się robić dobrą minę do złej gry. Chcieli go skarżyć o dwa miliony dolarów, co z odsetkami czyniło okragłe trzy miliony. To naprawdę nie były żarty. A Hope dobrze wiedziała, że jeśli Finn przegra proces, nie będzie miał z czego zapłacić. Na szczęście dom został kupiony na jej nazwisko, więc nie może zostać zajęty na poczet długu. Myślała z początku o tym, żeby kupić ten dom na niego, potem zamierzała dać mu go w prezencie ślubnym. Ale teraz była zadowolona, że do tego nie doszło. I postanowiła, że dom będzie figurował w hipotece jako jej odrębna własność. Inaczej po ich ślubie Finn mógłby go stracić z mocy wyroku sądowego. Ale w sprawie ślubu też zaczynała mieć poważne wątpliwości. Zbyt wiele razy ją okłamał i tego nie umiała wymazać z pamięci. Poza tym wiedziała, że ciągnięcie autora po sądach nie należało do normalnych obyczajów wydawców. A jeśli już coś takiego się zdarzyło, trzymano to w tajemnicy. Widocznie Finn tak przeciągnął strunę, że doprowadził wydawcę do białej gorączki.

Nazajutrz Finn w ponurym nastroju odwiózł ją na lotnisko. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, poczuła ulgę, kiedy znalazła się na pokładzie i samolot wystartował. Położyła głowę na oparciu fotela i przez cały czas lotu próbowała poukładać w głowie to, co się między nimi wydarzyło. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Przez większość czasu Finn był najbardziej uroczym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znała. Ale pamiętała jego okrucieństwo po poronieniu, jego wściekłość i krzywdzące oskarżenia. Jego obsesję na tym punkcie, żeby znowu zrobić jej dziecko. Jego ujawnioną nagle gotowość do dysponowania jej

pieniężmi. Kłamstwo na temat prawa własności domu. I to drugie, o wychowywaniu Michaela. I na koniec ta cała historia z wydawcą, o której nie pisał ani słowem. Czowała ból w żołądku, zaciśniętym jak pięść, i dopiero w swoim pięknym, wygodnym nowojorskim mieszkaniu, w którym miała spędzić następne tygodnie, doznała wreszcie ulgi. Gwałtownie potrzebowała przestrzeni i powietrza.

Kiedy wylądowała, było już za późno, żeby do niego zadzwonić. Tym razem to jej odpowiadało. Ich rozmowy stały się z gruntu nieuczciwe, bo tak wiele miał przed nią do ukrycia, a ona nie mogła z nim rozmawiać otwarcie, skoro nie wiedział, że ona wie. I jej szczęście, jej spełnione marzenie zaczęło zamieniać się w koszmar. Musiała coś z tym wszystkim zrobić, zanim kłamstwa i tajemnice nieodwracalnie zniszczą ich związek.

Dwóch dni potrzebowała na zorganizowanie się przed pierwszą z zamówionych sesji zdjęciowych. Nazajutrz po przybyciu do Nowego Jorku spotkała się z Markiem Webberem. Przyszła do jego biura, czym go zupełnie zaskoczyła. Nigdy nie przychodziła bez wcześniejszego umówienia się przez telefon. Wprowadził ją do gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Usiadła po drugiej stronie jego biurka i patrzyła na niego udreńczonym wzrokiem.

- Co się stało?

Mark zawsze od razu przechodził do sedna sprawy, co bardzo jej odpowiadało. Dotąd nie miała zwyczaju niczego owijać w bawełnę. A teraz była zbyt przerażona, żeby nagle zacząć kluczyć.

- Finn nigdy nie powiedział mi o tym, że grozi mu proces sądowy z wydawcą. Nie wspominał o niedotrzymanych terminach i zerwanej umowie. Przeciwnie, mówił mi ostatnio, że podpisał nową. Myślę, że wstydzi się przyznać. Ale ja źle to znoszę, kiedy ktoś ukrywa przede mną prawdę.

Mark wysłuchał jej i też się trochę zdenerwował. Nie miał zaufania do Finna, choć spotkał go tylko dwa razy w życiu. Uważał, że to miły człowiek, ale trochę za śliski.

- Dotąd nigdy w życiu nie zrobiłabym nic podobnego... - powiedziała Hope, zawstydzona i pełna poczucia winy. - Ale powiedz mi, czy mamy możliwość przeprowadzenia małego prywatnego śledztwa? Chciałabym się dowiedzieć więcej o jego przeszłości, o jego bieżących sprawach, o wszystkim. Wiem, nie powinnam się do tego wtrącać. Ale muszę wiedzieć, co jest prawdą, a co nie. Może znajdzie się jeszcze tuzin rzeczy, które Finn przede mną ukrywa. Po prostu chcę się dowiedzieć, na czym stoję.

Mark skinął głową. To, co od niej usłyszał, podniosło go na duchu. Odkąd dowiedział się o jej romansie i planach małżeńskich, zawsze chciał jej podsunąć

taki pomysł. Uważał, że takie prywatne śledztwo to w podobnie niejasnych okolicznościach bardzo dobre rozwiązanie, a w jej sytuacji - jedyne i niezastąpione.

- Hope, nie musisz się przede mną tłumaczyć. To nie jest wścibstwo z twojej strony. To jest rozsądek. Jesteś bardzo zamożną kobietą i choćby facet był nie wiem jak miły, musisz się liczyć z tym, że kieruje się własnym interesem. Nawet najmiłsi faceci mogą lubić pieniądze. Dlatego sprawdźmy, co to za typ i jakie są jego zwyczaje.

- On nie ma pieniędzy - powiedziała cicho Hope. - A przynajmniej wszystko na to wskazuje, Ale tak na sto procent nie jestem tego pewna. Chciałabym się dowiedzieć o nim wszystkiego, od samego początku. Wychował się w Nowym Jorku i w Southampton, potem przeniósł się do Londynu. W Londynie miał dom. A dwa lata temu wyprowadził się do Irlandii. Dom, w którym teraz mieszkamy, należał do jego prapradziadka. Ożenił się w wieku dwudziestu jeden lat i ma dwudziestodwuletniego syna Michaela. Jego żona umarła, kiedy Michael miał siedem lat. To wszystko, co o nim wiem. Aha, rodzice. Jego rodzice byli Irlandczykami. Ojciec był lekarzem. Podaję Markowi datę urodzin Firna.

- Znasz kogoś, kto mógłby sprawdzić to wszystko, nie robiąc szumu?

Była zawstydzona, że w taki sposób docieka prawdy o życiu człowieka, którego bardzo kochała, i nade wszystko pragnęła mu ufać. Na początku wierzyła mu bez zastrzeżeń, ale potem coraz mniej, a to z powodu jego kłamstw. Finn każde z osobna potrafił wyjaśnić, ale ona była nimi wszystkimi coraz bardziej zaniepokojona.

- Znam jednego faceta, który załatwi to dla nas śpiewająco. A nazywa się tak jak ja. Sam się tym zajmę - powiedział cicho Mark.

- Dziękuję.

Chwilę później, gdy wyszła z jego biura, owładnęły ją wyrzuty sumienia. Czuła się okropnie przez resztę dnia, zwłaszcza po telefonie od Finna, który zapewniał ją o swojej miłości i tęsknocie. Chciał już prawie wsiadać do samolotu i lecieć do Nowego Jorku, ale przypomniała mu łagodnie, że musi dokończyć książkę. Była dla niego nawet jeszcze miłsza niż zwykle, bo czuła się winna z powodu czynności, które Mark podjął na jej życzenie. Ale Mark miał rację, te czynności to po prostu nakaz rozsądku. I jeśli nie znajdą żadnych szkieletów w szafie Finna ani innych problemów oprócz tego wiszącego nad nim procesu, to Hope będzie mogła ze spokojem wyjść za niego za męża. Jeśli chciała przed ślubem sprawdzić, na czym stoi, to była ostatnia chwila, bo postanowili, że pobiorą się w sylwestra, czyli za niecałe dwa miesiące. Musiała przedtem upewnić

się, że z Finnem jest wszystko w porządku. Bo miała jakieś złe przeczucia. Jej wewnętrzny alarm był przez cały czas. Czuła się po prostu chora od tego napięcia.

Nazajutrz musiała się jednak pozbierać, bo była umówiona na sesję zdjęciową. Praca szła wyjątkowo opornie. Hope była zdenerwowana i roztargniona, nie udawało jej się nawiązać prawdziwie bliskiego kontaktu z modelem, a to dla niej było czymś zupełnie wyjątkowym. W końcu największym wysiłkiem woli zdołała się skoncentrować na tym, co robiła, i doprowadzić sesję do końca. Ale efekty nie należały do najlepszych w jej karierze. Do końca tygodnia wyglądało to mniej więcej tak samo. Teraz, odkąd wiedziała, że ktoś sprawdza Firma, niecierpliwie czekała na informacje, chciała wyciągnąć z nich wnioski, podjąć decyzję i czym prędzej mieć już to za sobą. Oczekiwanie ją wykańczało. I wbrew wszystkiemu, wciąż miała jeszcze nadzieję, że będzie dobrze.

Na weekend wyjechała do Bostonu, żeby spotkać się z Paulem, który leżał w szpitalu należącym do Harvardu. Na jachcie złapał uporczywą gripę. Zachodziła obawa, że wywiąże się zapalenie płuc. Kapitan jachtu załatwił transport powietrzną karetką, co prawdopodobnie uratowało Paulowi życie.

U Paula nastąpiła znaczna poprawa, co oczywiście nie oznaczało, że jest całkiem dobrze. Większą część wizyty Hope przespał. Siedziała przy nim, trzymając go za rękę, a on od czasu do czasu otwierał oczy i uśmiechał się do niej. Z bólem myślała, że kiedyś był silnym, energicznym mężczyzną, autorytetem w swojej dziedzinie medycyny, człowiekiem pełnym życia w każdym sensie. I na co mu teraz przyszło. Wydawał się stary, kruchy i bezbronny, a przecież miał dopiero sześćdziesiąt jeden lat. Drżał na całym ciele. W pewnej chwili popatrzył na nią i potrząsnął głową.

- Miałem rację - wyszeptał. - Dobrze, że nie jesteś związana z kimś takim jak ja.

Ze łzami w oczach pocałował ją w policzek.

- Nie chciałam rozstania, wiesz o tym najlepiej. Nie musiałeś się ze mną rozwodzić. Niepotrzebnie wydałeś fortunę na prawników.

- Wkrótce dostaniesz wszystko, co mi zostało, oprócz paru zapisów na Harvard. Mówił z trudem, bardzo cicho. Zmarszczyła czoło.

- Nie mów tak. Wszystko będzie dobrze.

Nie odpowiedział, pokręcił tylko głową, przymknął oczy i znowu zapadł w drzemkę. Spędziła wiele godzin przy jego łóżku, a wieczorem złapała samolot do Nowego Jorku. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak samotna. Może wtedy, kiedy Mimi umarła. Ale wtedy był Paul. A teraz nie miała już nikogo. Oprócz Finna. Nazajutrz zadzwoniła do niego.

- To okropne widzieć, w jakim jest stanie - powiedziała drżącym głosem i łzy popłynęły jej z oczu. Ocierała mokre policzki. - Jest bardzo ciężko chory.

- Nadal go kochasz? - spytał chłodno Finn. Hope przymknęła oczy.

- Jak możesz, na miłość boską! - odpowiedziała. - Byłam jego żoną przez dwadzieścia dwa lata. Oprócz niego nie mam żadnej rodziny. I on oprócz mnie nie ma nikogo bliskiego.

- Ale ty masz mnie - zauważył Finn. Znowu wszystko kręciło się wokół niego.

- To co innego. Kocham cię, ale z Paulem łączy mnie całe życie, które przeżyliśmy razem. I dziecko. Mimo że już nie żyje.

- Nasze też już nie żyje, i to z twojej winy. Zachował się okrutnie, ale to dlatego, że był zazdrosny o Paula i chciał ją zranić. Nad tą skłonnością Finna zawsze ubolewała. Powtarzając w kółko, że jest odpowiedzialna za swoje poronienie, Finn i tak nie sprawi, że stanie się to prawdą. Osiągnie tylko tyle, że popisie się marną klasą. Nie za to go kochała. Owszem, podziwiała go z wielu powodów. Ceniła zupełnie inne strony jego osobowości.

- Muszę iść do pracy - powiedziała.

Nie zamierzała wciąż na nowo wałkować z nim tematu poronienia ani tym bardziej pozwalać na ataki zazdrości o Paula. Jeśli Finn zamierza szaleć z takiego powodu, to jego problem. Była bardzo zawiedziona przebiegiem tej rozmowy.

- A gdybym był tak chory jak on, wróciłabyś do domu? -zapytał jak małe dziecko.

- Oczywiście - odpowiedziała ponuro. Czasami czuła, że jego potrzeby emocjonalne są jak studnia bez dna. Że nic ich nie zaspokoi. Przestraszyła się tego pytania.

- Skąd mam mieć pewność?

- Jeśli wyniknie taka sytuacja, przekonasz się. Cześć, zadzwonię wieczorem - zakończyła, spojrzawszy na zegarek. Powinna być w centrum Manhattanu już za pół godziny.

Był to kolejny ciężki dzień. Miała kompletnie zepsuty humor. Rozmowy z Finnem wytrącały ją z równowagi. Zawsze musiał wyskoczyć znienacka z czymś przykrym. Był nieszczęśliwy, że pojechała zająć się swoimi sprawami. Twierdził, że kiedy nie ma jej przy nim, nie idzie mu pisanie. A Hope czekała niecierpliwie na to, co powie jej Mark. Miała nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Nie da się już odkręcić tego, że Finn okłamał ją na temat swojej aktualnej sytuacji wydawniczej, ale gdyby poza tym nie było się do czego przyczepić, to można będzie uznać jego kłamstwo za przejaw niedojrzałości związany z trudną sytuacją. To byłoby wybacalne.

Mark nie odezwał się do końca tygodnia. Byli umówieni, że tylko on ma się kontaktować z detektywem. Zadzwoił do niej dopiero w piątek wieczorem. Spytał, czy mogłaby spotkać się z nim w jego biurze. Powiedział, że ma parę dokumentów i zdjęć, które chciałby obejrzeć razem z nią. Jego głos nie brzmiał zbyt radośnie, a Hope nie chciała zadawać żadnych pytań, póki się z nim nie zobaczy. Była zdenerwowana przez całą drogę do centrum Manhattanu. Póki nie usiedli przy biurku Marka, wyraz jego twarzy był nieprzenikniony. Dopiero wtedy otworzył aktówkę i podał jej małe, dość zniszczone zdjęcie. Minę miał ponurą.

- Kto to jest? - spytała, kiedy rzuciła na nią okiem. Na poźółkłej, wytartej fotografii zobaczyła czterech chłopców.

- To Finn.

Pokazał jej odwrotną stronę, na której ktoś zapisał imiona: Finn, Joey, Paul i Steve.

- Jest jednym z tej czwórki.

Wszyscy czterej mieli na głowach kowbojskie kapelusze. Stali rzędem, od najmniejszego do największego.

- Pozostali to jego bracia - dorzucił Mark.

- To jakaś pomyłka. On jest jedynakiem. Może to jakiś inny Finn O'Neill. Przecież nosi dość pospolite nazwisko.

Przynajmniej tego była pewna. Mark popatrzył na nią i zaczął czytać z kartki dołączonej do zdjęcia.

- Finn był najmłodszym z czterech braci. Joey znalazł się w więzieniu i nadal siedzi za próbę porwania samolotu pasażerskiego lecącego na Kubę wiele lat temu. Wcześniej odpowiadał przed sądem za napad na bank. Miły dzieciaczek, co? Steve zginął w wypadku drogowym, przejechany przez nieznanego kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku gdzieś na Lower East Side, gdzie mieszkała cała rodzina. Paul został gliniarzem, pracuje w wydziale antynarkotykowym. Jest z nich najstarszy. To on dał zdjęcie naszemu wywiadowcy. Obiecaliśmy, że dostanie je z powrotem. Ich ojciec zginął w bójce pijackiej, kiedy Finn miał trzy lata. Był złotą rączką bez stałego zajęcia. Matka, jeśli wierzyć bratu Finna, służyła u jakichś bogaczy przy Park Avenue. Z czterema synami mieszkała w ciasnej klitce na ostatnim piętrze, bez windy. Chłopcy spali w jednym pokoju, ona w drugim na kanapie. Nazywała się Lizzie. Umarła na raka trzustki trzydzieści lat temu, kiedy chłopcy byli jeszcze bardzo młodzi. Po jej śmierci, jak się wydaje, nie mieli co jeść. Wkrótce Finn razem z którymś z braci został umieszczony w domu dziecka, ale uciekł. Gdy miał siedemnaście lat, zaczął pracować jako robotnik portowy. Ale jego brat, ten policjant, twierdzi, że zawsze miał gadane, umiał

wyciągać historyjki niczym z rękawa, jedną po drugiej. I później także. Żyje z tego po dziś dzień.

Mark popatrzył z widoczną odrazą na aktówkę, która leżała przed nim na biurku. Hope słuchała w milczeniu. Potrzebowała tych informacji, a on je zdobył, więc przekazywał, bez przyjemności, bo wiedział, że to ją zaboli. Nic, co Finn opowiadał jej o swoim życiu, nie było prawdą. Mark mówił o tym nie bez zażenowania, także dlatego, że młodość Finna okazała się biedna i trudna, pełna upokorzeń, zwłaszcza w porównaniu z jej własną. Słuchała o tych początkach wstrząśnięta.

- Od jego brata nasz wywiadowca dowiedział się również, że Finnowi udało się dostać do City College i potem bracia już więcej nigdy go nie widzieli. A imię dostał po pewnym irlandzkim poecie, co w jego wypadku okazało się trafione w dziesiątkę. Brat policjant mówi, że matka była trochę marzycielką. Kiedy leżeli w łóżkach, opowiadała im bajki. A potem upijała się do nieprzytomności w drugim pokoju. Nigdy nie wyszła za mąż po raz drugi.

Zdaje się, że prowadziła wyjątkowo nędzne życie, oni też nie mieli lepszego. Wpada im wszystkim współczuć.

Podał jej następną fotografię Finna - tym razem w wieku około czternastu lat. W tym wypadku nie ulegało wątpliwości, że chodzi o tego Finna. Już wtedy był bardzo przystojny. Tak bardzo wcale się nie zmienił od tamtej pory.

- Rodzina nie miała pieniędzy. Matka straciła w końcu pracę i pozostawała na zasiłku z opieki społecznej, dopóki najstarszy syn nie zaczął jej pomagać ze swojej pensji policjanta. Ale nie przychodziło mu to łatwo, bo był już wtedy żonaty i miał własne dzieci. Matka umarła w szpitalu prowadzonym przez organizację charytatywną. Rodzina zawsze była bez pieniędzy. Nigdy nie mieli mieszkania na Park Avenue ani domu w Southampton. Ojca lekarza też nigdy nie było. Ich dziadkowie przybyli z Irlandii przez punkt imigracyjny na Ellis Island. Nie mieli żadnego związku z dawnymi właścicielami domu, w którym obecnie mieszkasz. W każdym razie Paul O'Neill nic o tym nie wie i zupełnie w to nie wierzy. Powiedział mi, że dziadkowie i pradziadkowie byli biednymi chłopami, uprawiali kartofle na małym skraweczku ziemi. Opuścili kraj w czasie Wielkiego Głodu, jak wielu innych. Takiego domu nie mogli mieć. Rzuciwszy pracę dokera, Finn próbował sił w wielu zawodach, bywał kelnerem, szoferem, odźwiernym, naganiaczem przy nocnym klubie ze striptizem. Ale co się z nim działo po ukończeniu college'u, tego jego brat już nie wie. Zdaje się, że miał dziecko z jakąś dziewczyną i ożenił się z nią, ale jego rodzina nigdy nie zobaczyła ani jej, ani dziecka. Od tamtego czasu Finn nie utrzymywał kontaktów z braćmi.

- Jak stwierdził nasz detektyw - ciągnął Mark - Finn znalazł się w poważnych tarapatach finansowych. Tkwi po uszy w długach, ma wiele niespłaconych kredytów, a bankowa ocena jego wypłacalności jest katastrofalna. Ogłosił bankructwo i to jest prawdziwa przyczyna jego przeprowadzki do Irlandii. Zdaje się, że pieniądze się go nie trzymają, choć na swoich książkach zarobił krocie. Teraz wydawcy są na niego wściekli, w tej branży jest już chyba spalony. Wygląda na to, że najlepszą rzeczą, jaka go w życiu spotkała, było to, że rok temu zawarł znajomość z tobą. I pozwól, że ci to powiem - jeśli się z tobą ożeni, to będzie najfartowniejszym sukinsynem świata. Ale nie sądzę, żeby dla ciebie było to równie dobre rozwiązanie. Przez chwilę milczeli oboje.

- Nie ma nic złego w jego pochodzeniu. W tym, że urodził się w biednej rodzinie, że miał ciężkie dzieciństwo. Wielu ludzi pochodzących z nizin doszło do czegoś w życiu. To oni zbudowali nasz kraj. Facetowi należy się podziw za to, co osiągnął, startując z takiego dna. Jego sytuacja finansowa to rozpacz w kratkę, ale to nie jest koniec świata, wszystko się ułoży, jeśli pomożesz mu z tego wybrnąć. To, co mi się najbardziej nie podoba - powiedział z naciskiem Mark, spoglądając na nią znad otwartej teczki - to to, że nie powiedział ci o sobie ani słowa prawdy. Może się wstydził dołów społecznych, z jakich pochodzi, może chciałby o tym zapomnieć. Ale zamierza się żenić z kobietą, przed którą udaje zupełnie innego człowieka... To nie świadczy zbyt dobrze o jego uczciwości. Kochasz go, więc nie chcę się za bardzo wtrącać, ale to małżeństwo dla ciebie nie zapowiada się najlepiej. Facet jest kłamcą pierwszej klasy. Zmyślił wszystko, nie wyłączając ojca lekarza i arystokratycznych przodków. Zmyślił tłum postaci, które nigdy nie istniały. A jeśli nawet kiedyś istniały, to nie były z nim w żaden sposób spokrewnione. To mnie przeraża.

Podał Hope teczkę, powstrzymując się od dalszych komentarzy. Przejrzała ładny, czysty wydruk sprawozdania, które sporządził wynajęty detektyw. Mark powiedział jej, że ten detektyw na razie pracuje dalej, i obiecał, że w ciągu najbliższych tygodni przekaże następny raport. Ale wyglądało na to, że dowiedzieli się już wszystkiego, co najważniejsze. Hope poczuła, że robi jej się słabo. Nie dlatego, żeby usłyszała na temat Finna coś strasznego, nie do zaakceptowania. Ale wyszło na jaw, że zmyślił wszystkie fakty aż do najdrobniejszego szczegółu. Jako dziecko żył w nędzy w czynszowej kamienicy bez windy, z matką alkoholiczką, a jego ojciec zginął w bójce pod barem. Wylądował w końcu w domu dziecka, przeżył prawdziwy koszmar. Zamiast jej zaufać i opowiedzieć o tym wszystkim, wymyślił inną matkę - znudzoną irlandzką piękność z arystokratycznego domu, ojca lekarza i mieszkanie przy Park Avenue. Zawsze kiedy oddalała się od niego choćby na chwilę, protestował jak dziecko

opuszczone przez opiekunkę. Ale miał tak okropne dzieciństwo, że właściwie trudno się dziwić. To drobiazg. Najgorsze było to, że kłamał. Kłamał bez przerwy i na każdy temat. Dlatego wciąż się zastanawiała, czy ma przed nią jeszcze więcej tajemnic i jakie kolejne kłamstwa wyjdą na jaw. Nie przyznał się nawet, że wydawca zerwał z nim umowę i zamierza pozwać go do sądu. Kłamał uparcie i do tej pory twardo trzyma się swoich kłamstw. Kiedy spojrzała na Marka, w jej oczach zakręciły się łzy.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał łagodnie.

Było mu jej żal. Po małżeństwie z człowiekiem tej miary co Paul wpadła w łapy oszusta. Mark wiedział, że go kochała, ale obawiał się, że Finn O'Neill ma do ukrycia jeszcze niejedno. Hope obawiała się tego samego. Przeżyła z Finnem wiele wspaniałych miesięcy, była z nim szczęśliwa, jeśli pominąć jego okrutne zachowanie, kiedy znalazła się w szpitalu. Poza tym epizodem zawsze był uroczy, kochający, cudowny. A teraz całe jej życie z Finnem rozwiewało się, jakby było tylko mirażem. Ogarniała ją rozpacz.

- Nie wiem, co robić. Muszę się zastanowić. Nie jestem pewna, jakie wnioski powinnam wyciągnąć z tego wszystkiego. Może tak bardzo się wstydzi swojego dzieciństwa, że próbuje udawać kogo innego. Nie byłoby to godne podziwu, ale dałoby się z tym żyć. A może jest po prostu do głębi nieuczciwy.

Mark przypuszczał, że prawdą jest raczej to ostatnie. I nawet podejrzewał, że Finnowi chodziło o jej pieniądze. Był w tak złej sytuacji finansowej, że nie powinno to nawet dziwić. Ta sama myśl przemknęła przez głowę Hope. Na razie nie chciała rozstrzygać wątpliwości na jego niekorzyść. Starła się myśleć o nim jak najlepiej. Wciąż jeszcze go kochała. Ale nie była szalona, nie chciała zamykać oczu na fakty. Prosiła o zebranie tych informacji, teraz je otrzymała i musiała jeszcze je przemyśleć. Nie zamierzała wspominać o tym Finnowi. Nie chciała w odpowiedzi wysłuchiwać kolejnych kłamstw. To by mogło tylko pogorszyć sytuację. Przede wszystkim musiała postanowić, co dalej.

- Jeśli chodzi o jego małżeństwo, detektyw niczego jeszcze nie znalazł. Oprócz nazwiska tej kobiety. Daty i inne okoliczności są mniej więcej zgodne z tym, co mi podałaś. Może o tym jednym powiedział ci prawdę. Ale detektyw sprawdzi to bardziej szczegółowo. A przede wszystkim ustali przyczynę jej śmierci. Mówiłaś mi, że to był wypadek uliczny. Następny raport mam dostać w przyszłym tygodniu, najdalej przed Świętem Dziękczynienia.

- Wtedy będę już z powrotem w Irlandii - powiedziała smętnie.

- Uważaj na siebie, Hope. Bądź ostrożna. Uważaj na to, co mu mówisz. Może się okazać, że nie wiesz, kim jest ten człowiek, chociaż go kochasz. To może tylko natchniony kłamca, ale nie da się wykluczyć, że ktoś o wiele gorszy. Nie

przypieraj go do ściany i nie mów mu, czego się dowiedziałaś. Użyj tego dla własnego dobra, podejmij sensowną decyzję. Ale postępuj z nim bardzo, bardzo czujnie. Chodzi o to, żebyś nie obudziła w nim drzemiącego demona. Paul O'Neill określił go jako socjopatę. Oczywiście policjant nie jest psychiatrą. To tylko gliniarz, który ma szalonego braciszka. Ale, co ciekawe, nikt nigdy publicznie nie zdemaskował kłamstw Finna. Nawet jego brat, który mówi, że nie da się od niego usłyszeć ani słowa prawdy. I rzeczywiście, wszystko na to wskazuje. Te kłamstwa same w sobie nie są niebezpieczne. Są tylko żałosne. Dlatego uważaj, żeby nie popchnąć go do czegoś naprawdę złego. Jeśli zarzucisz go tym wszystkim, może stać się wobec ciebie nieprzyjemny.

Już wcześniej się o nią niepokoił. Zaniepokoił się bardziej po zaznajomieniu się z zawartością teczek. Przypuszczał, że Finn O'Neill był człowiekiem zaburzonego psychicznie, zdolnym do wszystkiego. Byłby bardzo zdziwiony, gdyby Finnowi nie chodziło o pieniądze. W Irlandii, w wielkim pustym domu na odludziu, Hope była zdana na jego łaskę. To się bardzo nie podobało Markowi Webberowi.

- Najgorsze jest to, że zawsze był dla mnie taki dobry. Nikt nigdy nie był dla mnie taki dobry jak on. To najłagodniejszy człowiek na świecie, jeśli pominąć jeden czy dwa wypadki, kiedy się wściekł. W normalnych warunkach to przemiły, kochający facet.

Była przekonana, że taki właśnie jest.

- Ale jest patologicznym kłamcą, na to wskazują fakty. Jeśli postawisz go w trudnej sytuacji, nawet niechcący, to pewnie nie będzie już taki miły.

Hope kiwnęła głową. Ona też się tego obawiała. Pamiętała, jaki nieprzyjemny potrafił być, gdy znalazła się w szpitalu, po poronieniu, które z jakichś przyczyn potraktował tak, jakby spowodował je naumyślnie, jemu na złość. Nie wiedziała, czy właśnie tak to odebrał, ale teraz zaczynała rozumieć, że gdyby miała z nim dziecko, zdobyłby nad nią o wiele większą władzę. Było jej coraz trudniej odgadywać jego intencje, coraz trudniej było domyślać się, gdzie leży prawda.

- Chciałbym, żebyś zrobiła coś dla mnie, Hope. Kancelaria prawnicza, z której usług korzysta moja agencja, ma oddział w Dublinie. - Uśmiechnął się. - Wszyscy pisarze, którzy chcą uniknąć płacenia podatków, uciekają do Irlandii, więc już dwanaście lat temu ci prawnicy otworzyli tam swoje biuro. Dzwoniłem do nich dziś rano. Człowiek, który prowadzi to biuro w Dublinie, wcześniej pracował dla nas przez kilka lat w Nowym Jorku. To bardzo porządny facet, absolutnie godny zaufania i doskonały prawnik. Mam tu jego numer stacjonarny i numer jego telefonu komórkowego. Jeśli podasz swoje nazwisko, od razu cię z nim połączą. Jest Amerykaninem, nazywa się Robert Bartlett. Gdybyś miała jakiegokolwiek kłopoty, dzwoń do niego. Możesz też zawsze dzwonić do mnie. Ale ja jestem o

wiele dalej. On przyjedzie do ciebie z Dublina w każdej chwili, jeśli to będzie konieczne.

Ale zanim skończył mówić, Hope potrząsnęła głową.

- To się Finnowi nie spodoba. Zaraz zacznie coś podejrzewać. Jest zazdrosny o każdego faceta, jaki pojawia się na horyzoncie, zwłaszcza jeśli jest poniżej osiemdziesiątki. Finn się po prostu wścieknie.

To, co powiedziała, bynajmniej nie uspokoiło Marka. W każdym razie wpisał obydwa numery do jej kalendarzyka.

- Ten facet jest po czterdziestce, jeśli to ma dla ciebie znaczenie. Inaczej mówiąc, nie jest już dzieckiem. Ale też nie jest trzęsącym się staruszką. Jest miły, rozsądny, dojrzały, niegłupi. Wszystko może się zdarzyć i niewykluczone, że pewnego dnia będziesz potrzebowała pomocy.

Hope schowała kalendarzyk z telefonami do torebki.

Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała z nich skorzystać.

Mimo przykrych okoliczności miło było się spotkać i Mark pożegnał ją z żalem. Zwłaszcza że obawiał się o jej bezpieczeństwo. Wpakowała się w bardzo niejasny układ z facetem, po którym można się było wszystkiego spodziewać, w najlepszym razie z człowiekiem nieuczciwym, a teraz musiała podjąć ważne decyzje. Sądząc z tego, co mówiła, Finn nie robił wrażenia niebezpiecznego szaleńca, ale to wszystko nie było dla niej ani łatwe, ani przyjemne. Mark nie był zadowolony, że mieszkała teraz tak daleko.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła go. Przed wyjściem przysłała jej jeszcze do głowy pewna myśl.

- Bądź ostrożny, jeśli do mnie zadzwonisz. Tę teczkę zostawię w moim nowojorskim mieszkaniu, w szufladzie zamkniętej na klucz. Nie chcę, żeby Finn ją zobaczył. I proszę, kiedy do mnie zadzwonisz, nie wspominaj ani słowem o detektywie i jego raportach.

- Jasne, że nie - powiedział, wcale nie uspokojony. Hope płakała w taksówce przez całą drogę powrotną do swojego loftu. Od kłamstw Finna pękało jej serce. Współczuła mu ponurego dzieciństwa i wszystkiego, co musiał znieść. Ale te kłamstwa były nie do przyjęcia. I zupełnie nie wiedziała, jak powinna postąpić.

Rozdział szesnasty

Przed wyjazdem miała z Markiem Webberem kolejną rozmowę. Detektyw nie przyniósł jeszcze nic nowego, a ona wypełniła już wszystkie zobowiązania, które czekały na nią w Nowym Jorku. Codziennie dzwoniła do szpitala w Bostonie i pytała, jak się czuje Paul. Jego stan się nie zmieniał. Paul zawsze spał, kiedy dzwoniła. Rozmawiała z jego lekarzem. Powiedział jej, że stan Paula jest nie najlepszy, ale bez powodów do paniki. Paul był bardzo osłabiony. Oprócz tego cierpiał przecież na chorobę Parkinsona, która powoli, lecz stale robiła postępy. Lekarz obiecał, że zadzwoni do Irlandii, gdyby coś się gwałtownie zmieniło. Jeśli tak się stanie, Hope przyleci pierwszym samolotem. Kiedyś znał ich oboje, jeszcze jako małżeństwo. Zawsze im współczuł okropnego losu, który im przypadł w udziale. Najpierw choroba Paula i jego wymuszone odejście z zawodu, potem śmierć córki, wreszcie rozwód.

Przed opuszczeniem Nowego Jorku Hope zadzwoniła do Finna, żeby mu powiedzieć, kiedy przylatuje. Był uszczęśliwiony. Słyszając radość w jego głosie, posmutniała. Teraz, po odkryciu wszystkich jego kłamstw, czuła się tak, jakby ich wspólny świat się rozsypał. Czasami miała jeszcze nadzieję, że uda się go pozbierać, przywrócić do życia i zapomnieć o katastrofie. Szukała sposobu, by dać Finnowi do zrozumienia, że nie musiał ukrywać faktów dotyczących jego dzieciństwa, nie musiał kłamać na temat własnego życia ani nawet na temat swoich problemów z wydawcami. Żadna z tych spraw nie zawiodłaby jej zaufania tak bardzo jak kłamstwo. Kłamstwo odbierało jej wiarę w przyszłość tego związku. Wolała potępić jego postępowanie niż jego samego. Ale odkąd odkryła kłamstwa, sama nie wiedziała już, na czym stoi. Była pewna, że Finn jest porządnym człowiekiem. Lecz nadal nie powiedział jej ani słowa o swojej katastrofalnej sytuacji. To było wprost nie do wiary, że ukrywał ją tak konsekwentnie, a nawet zaprosił Hope na kolację, żeby uczcić rzekomy sukces - umowę, której wcale nie podpisał. Nie potrafiła się na niego nawet gniewać. Była tylko bezgranicznie smutna. Kochała go i cierpiała, że aż do tego stopnia boi się przed nią odsłonić.

- Najwyższy czas, psiakrew, najwyższy czas - powiedział przez telefon, kiedy zawiadomiła go, że wraca.

Zorientowała się, że jest lekko pijany, a może nawet trochę bardziej niż lekko. Powiedział jej, że pogoda była okropna przez cały czas, co wpędziło go w depresję, która trwała przez całe trzy tygodnie od jej wyjazdu. Zaniepokoiła się na myśl, że po utracie wydawcy Finn zacznie się staczać po równi pochyłej.

- Tak, ja też nie mam zbyt dobrego humoru - powiedziała cicho.

Nie mogłaby powiedzieć, że dobrze się bawiła w Nowym Jorku. Przez całe trzy tygodnie przeżywała udrękę z jego powodu. A w drodze powrotnej przez cały czas dręczyła się raportem detektywa. To było coś, czego nie można cofnąć, tak jak nie można cofnąć wystrzału, który już padł. Ale lęku, jaki przeżywała, nie sposób było oddzielić od miłości. Dlatego nie mogłaby upokorzyć go, wyciągając fakty, o których wiedziała z raportu.

Kiedy spotkali się na lotnisku, była bardzo zmęczona. Zauważyła jego podkrążone oczy i pomyślała, że Finn cierpi na bezsenność. Tym razem nawet widok ich domu nie sprawił jej przyjemności. Było zimno jak w psiarni, bo Finn zapomniał włączyć ogrzewanie. A kiedy weszła na drugie piętro, zauważyła, że na jego biurku leży nie więcej niż dziesięć stron napisanych podczas jej nieobecności. Przez telefon mówił, że od jej wyjazdu przybyło mu sto stron, ale teraz już wiedziała, że i to było kłamstwem.

- Czym się zajmowałeś, kiedy mnie tu nie było? - spytała, kiedy przyglądał się, jak rozpakowuje walizki.

Odwieszała sukienki do szafy i starała się, żeby w jej głosie nie było zniecierpliwienia. Usiłowała zadać to pytanie wesołym, lekkim tonem, ale nie zdołała go oszukać. W pierwszej minucie spotkania na lotnisku już wiedział, że coś jest nie tak.

- Co się stało, Hope? - zapytał cicho, chwytając jej ręce i ciągnąc ją ku sobie, na łóżko, na którym siedział.

- Nic - odparła. - Nie mam humoru, bo Paul jest w ciężkim stanie.

Nie mogła mu się spodobać ta odpowiedź. Ale żaden inny pomysł nie przyszedł jej do głowy. Nie czuła się przygotowana na taką rozmowę. Nie mogła mu powiedzieć, że odkryła jego kłamstwa. Że wszystko, co opowiadał o swoim dzieciństwie, było bujną, a w domu, który miał rzekomo należeć do jego przodków, mieszkała zupełnie inna rodzina. Wciąż miała w pamięci fotografię czwórki chłopców w kowbojskich kapeluszach i współczuła mu z całego serca. Nie był nawet jedynakiem. Nie potrafiła się połapać, kim naprawdę jest Finn i jak ma rozumieć to, czego się dowiedziała.

- Może mu się niedługo poprawi - powiedział, siląc się na miły ton.

Włożył rękę pod jej sweter i pieścił piersi. Zdumiała się, że to zrobił. Tak jakby nie łączyło ich nic oprócz seksu. Fantastyczny seks i zero prawdy.

Nie miała ochoty się z nim kochać. Jej świat się walił, a przy tym musiała udawać, że nic się nie zmieniło. Te wszystkie jego kłamstwa - o rodzicach, o dzieciństwie, o domu w Southampton, o ludziach, których znał, o tym, jak radził sobie w szkole - były tak niepokojące, że nie mogła o nich zapomnieć ani na chwilę. Przypuszczała, że po prostu ogromnie pragnął akceptacji. Potrzebował

tego bardziej niż ktokolwiek inny. Może czułby się poniżony, gdyby musiał jej opowiedzieć o nędzy, w jakiej żył. Starając się o tym wszystkim nie myśleć, a zwłaszcza o opiniach wygłoszonych przez jego brata, pozwoliła, by ją powoli rozebrał i, mimo ciężkich myśli, natychmiast poczuła podniecenie. Gdyby nawet nie miał żadnych innych zalet, jego dotyk działał na nią w sposób magiczny. Ale to, że go kochała, przestało już wystarczać. Chciałaby także mu zaufać.

Tego wieczoru, po trzech tygodniach jej nieobecności, Finn wydawał się nienasycony. Jak ktoś, kto umierał z głodu i pragnienia, a teraz nie potrafi odejść od stołu. Chciał się z nią kochać raz za razem. A kiedy wreszcie usnął, odsunęła się od niego na sam brzeżek łóżka i rozplakała się.

Nazajutrz po śniadaniu mimochodem zagadnął o ślub. Przed jej wyjazdem umówili się, że wezmą ślub w sylwestra. Uważał, że miło będzie co roku w sylwestra świętować rocznicę ślubu. Ale kiedy zapytał, czy to aktualne, odpowiedziała wymijająco. Po tym wszystkim, czego się o nim niedawno dowiedziała, musiała na nowo przemyśleć tę decyzję. Poza tym nadal czekała na kolejne sprawozdanie detektywa. Rozumiała, że nie powinna zaczynać z Finnem rozmowy na ten temat, póki nie dowie się wszystkiego. Być może ciąg dalszy tej historii okaże się inny, bardziej podobny do tego, o czym wiedziała od Finna.

- Co to ma znaczyć? - zapytał, nagle zaniepokojony. - Czyżbyś się w Nowym Jorku zakochała w innym facecie?

Domyślił się, że jeśli ona nie chce rozmawiać o ślubie, to znaczy, że nie planuje wziąć ślubu w terminie, o którym była mowa.

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko nie chciałabym brać ślubu akurat w momencie, kiedy Paul leży w szpitalu, ciężko chory.

Była to jedyna wymówka, jaka przyszła jej do głowy. Ale go nie przekonała. Dla niego to nie miało żadnego znaczenia.

- A co to ma do rzeczy? - zapytał. - Przecież on jest chory od bardzo wielu lat.

- Teraz jest chory znacznie bardziej. - Odsunęła na brzeg talerza niedojedzone resztki sadzonego jajka.

- Ale wiedziałaś, że będzie z nim coraz gorzej.

- Nie mogę brać ślubu, kiedy wciąż myślę, że Paul może właśnie umiera. - Gdy ostatni raz była u Paula, miała okropne przeczucie, że widzi go po raz ostatni. - A poza tym nie zaprosiliśmy nikogo. To byłby smutny ślub. Pomyślałam, że weselej byłoby na Cape Cod w przyszłym roku latem. Moglibyśmy zaprosić Marka Webbera. I Michael też miałby o wiele bliżej niż do Irlandii.

Wiedziała od Finna, że w czasie ferii świątecznych Michael do nich nie przyjedzie. Wybierał się z kolegami na narty do Aspen.

- Wymiękasz, Hope? Mówisz o tym tak, jakbyś zamierzała się wycofać. - Był urażony.

- Nie, nie zamierzam. Tylko czuję, że to nie jest odpowiedni moment - odpowiedziała, wpatrując się w talerz.

- Przecież początkowo zamierzaliśmy się pobrać już w październiku - przypomniał jej.

- Ale tylko dlatego, że miesiąc później miało się urodzić dziecko - powiedziała cicho, podnosząc na niego wzrok.

- I wiemy oboje, dlaczego się nie urodziło - zauważył nieprzyjemnym tonem.

Nigdy nie marnował okazji, żeby nawiązać do tej sprawy. Przez pierwsze pół roku ich związku był taki dobry i kochający, a teraz wydawał się wiecznie niezadowolony i zły. Ale może był zły na siebie samego. Przecież ostatnio nic mu się nie udawało. I dlatego wywierał na nią taki nacisk. Pamiętała, że ją okłamywał, i nie przyznawała mu prawa do wywierania nacisku. Finn był jak najdalszy od przypuszczenia, że jego kłamstwa mogły wyjść na jaw. Teraz oboje grali w tę samą grę. Hope czuła się z tym okropnie i nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

- W Nowym Jorku powinnaś była mieć okres - odezwał się, gdy zbierała naczynia ze stołu i wkładała je do zlewu z myślą, że rano Katherine je umyje.

Kiwnęła głową w odpowiedzi. Przez chwilę milczał. Ale kiedy się odwróciła, zobaczyła szeroki uśmiech na jego twarzy.

- To znaczy, że teraz właśnie masz owulację.

Kiedy to powiedział, Hope omal się nie rozpląkała. Usiadła przy kuchennym stole i ukryła twarz w dłoniach.

- Dlaczego tak się upierasz przy ślubie akurat teraz? - spytała stłumionym głosem, ze spuszczoną głową, po czym podniosła umęczone spojrzenie na Finna. - Jaka to różnica?

Zadała to pytanie, ale przecież już wiedziała, że w odpowiedzi nie usłyszy prawdy. Nawet jej się po nim nie spodziewała. Brak zaufania wszystko zniszczył między nimi. Mark miał rację. Finn chorował na kłamstwo.

- Co się z tobą dzieje, Hope? - zapytał łagodnie, siadając obok niej. - Przedtem chciałaś, żebyśmy mieli dziecko. I nie mogłaś się doczekać, kiedy się pobierzemy.

Na to mogłaby mu tylko odpowiedzieć, że wtedy nic nie wiedziała o jego kłamstwach.

- Potrzebuję trochę więcej czasu, żeby się pozbierać. Nie minęło jeszcze pięć miesięcy, jak utraciłam dziecko. I nie chcę brać ślubu, kiedy mój były mąż umiera.

- To są bzdurne wykręty, dobrze o tym wiesz. Popatrzyła na niego i zrozumiała, że musi powiedzieć prawdę. A przynajmniej jakąś część prawdy.

- Czasami wydaje mi się, że nic o tobie nie wiem, Finn. Kiedy byłam w Nowym Jorku, dotarły do mnie dziwne plotki. Ktoś mi mówił, że twój wydawca zamierza wytoczyć ci proces. Nie podpisali z tobą nowego kontraktu, bo nie przysłałeś im dwóch książek, na które byli z tobą umówieni. Termin dawno minął. O co w tym wszystkim chodzi? Pisali o tym nawet w „Wall Street Journal” i w „New York Timesie”. Byłam jedyną osobą, która o niczym nie wiedziała. Dlaczego mi nie powiedziałeś? Po co opowiadałeś, że podpisujesz nowy kontrakt?

Utkwiła w nim pytające spojrzenie. Ale to jeszcze nie były wszystkie sprawy, które powinna poruszyć. To był dopiero początek. Firmowi nie trzeba było nic więcej, już teraz zareagował wściekłością.

- A czy ty mówisz mi wszystko o swoich kontraktach, Hope? - spytał, podnosząc głos.

- Właściwie tak. Mówię ci o wszystkim, co mi się przytrafia.

- To dlatego, że muzea chcą wystawiać twoje prace, galerie się o ciebie biją. Zatem co, u diabła, miałabyś mieć do ukrycia? A ja chwilowo cierpię na brak natchnienia, nie mogę dokończyć tych dwóch cholernych książek i wiem, że paru dupków chce mi wytoczyć proces o trzy miliony dolarów. Mam się tym przechwalać? Sram w portki ze strachu, zrozum to, na miłość boską. Po co miałbym ci o tym opowiadać? Żebyś się nade mną litowała? Albo opuściła mnie jako bankruta?

- Myślisz, że opuściłabym cię z takiego powodu? - spytała i popatrzyła na niego ze smutkiem. - Nie odeszłabym dlatego, że ci się nie wiedzie. Ale mam prawo oczekiwać, że będziesz mi mówił, co się dzieje w twoim życiu. Zwłaszcza o najważniejszych sprawach, takich jak ta. Nie lubię, kiedy mnie okłamujesz. Nie chcę, żebyś wymyślał dla mnie historyjkę ładniejszą od tej prawdziwej. Jedyne, co chcę od ciebie usłyszeć, to prawda.

- Po co ci ona? Żebyś mogła rzucić mi w twarz swoje sukcesy zawodowe i te cholerne pieniądze, które dał ci mąż? W porządku, ciesz się swoim szczęściem, ale nie zmuszaj mnie, żebym się poniżał tylko po to, żebyś mogła dowartościować się moim kosztem.

Zwracał się do niej jak do wroga i był gotów usprawiedliwić każde ze swoich kłamstw.

- Nie chodzi mi o to, żeby się dowartościować - powiedziała z przykrością. - Chciałabym tylko mieć z tobą uczciwe relacje. Potrzebne jest mi przekonanie, że mogę wierzyć w każde twoje słowo.

Omali się nie wygadała, że wie o innych kłamstwach, tych na temat jego dzieciństwa, ale najpierw musiała poznać dalszy ciąg historii, czekała na kolejne sprawozdanie detektywa. Konfrontowanie Finna z każdym z jego kłamstw z

osobna mogło się skończyć jak kołysanie łódką, w której się siedzi. W ten sposób najłatwiej pójść na dno. Zresztą nie miała ochoty rozgrzebywać tamtych spraw. Choć trudno jej było, wiedząc to, co wiedziała, utrzymać język za zębami.

- Ale po co? Zresztą nie kłamałem na temat tego procesu. Po prostu nic o nim nie wspomniałem.

- Mówiłeś, że podpisujesz nowy kontrakt. I to była nieprawda. Mówiłeś, że napisałeś sto stron podczas mojego pobytu w Nowym Jorku. A napisałeś dziesięć, dwanaście. Nie okłamuj mnie, Finn. Ja tego nie znoszę. Kocham cię takiego, jakim jesteś. Kochałabym cię nawet, gdybyś już nigdy nie dostał następnego kontraktu i nie napisał ani jednej strony więcej. Ale nie mów mi nieprawdy. Bo kiedy łapię cię na kłamstwie, w ogóle przestaję wierzyć w to, co mi opowiadasz.

Starła się być wobec niego tak uczciwa, jak to tylko możliwe bez całkowitego odsłaniania kart, bez pozbawienia go gruntu pod nogami. Bez skonfrontowania go z raportem. Nie mogła posunąć się tak daleko.

- W to, co ci opowiadam? Na przykład w co? - prowokował, zbliżywszy twarz do jej twarzy.

- Nie wiem. Znasz przykłady. Zdaje się, że nie brakowało ci pomysłów.

Przecież okłamał ją także w sprawie Michaela i w sprawie domu, który do niego nie należał.

- Ale co chcesz przez to powiedzieć?

- Muszę mieć pewność, że człowiek, którego mam poślubić, jest uczciwy.

- Jestem uczciwy - powiedział kłótliwym tonem. - Masz mnie za oszusta?

Jakby się uparł, że ją zmusi, żeby powiedziała mu wprost to, co usiłowała owinąć w bawełnę. Ale gdyby mu to powiedziała, byłoby jeszcze gorzej.

- Czasami nie mam pojęcia, kim naprawdę jesteś. Proszę cię o jedno: po prostu mnie nie okłamuj, Finn. O nic więcej. Pragnę ci wierzyć. Nie chcę się ciągle zastanawiać, czy powiedziałaś mi prawdę.

- To nie jest twój zakichany interes - warknął i z wściekłością wyszedł z kuchni.

Po chwili usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Zobaczyła przez okno, jak wychodzi na podjazd, wsiada do samochodu i odjeżdża.

Musiała przyznać, że nie udała się ta rozmowa, ale kiedyś i tak musiała ją rozpocząć. Nie mogła wciąż udawać, że mu wierzy, bo już mu nie wierzyła. Kiedy wyszła do ogrodu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, przypomniały jej się słowa Marka Webbera. Nie powinna była zapędzać Finna do narożnika, wypominając mu kłamstwa. Może z tego wyniknąć tylko sytuacja w rodzaju tej, jaką właśnie przeżyła. Ale ona chciała wreszcie usłyszeć od niego prawdę, żeby móc mu znowu zaufać i żeby ich związek trwał nadal. Nie pożegnała się jeszcze z

nadzieją na szczęśliwe zakończenie tej sprawy, nawet jeśli Mark Webber po przeczytaniu raportu uznał, że to nie wchodzi w grę. Ona nadal liczyła na to, że wszystko się jakoś ułoży. I chciała, żeby Finn z nią w tym współdziałał. Nie potrafiła dokonać tego własnymi siłami.

Z ciężkim sercem wchodziła po frontowych schodach do domu, kiedy zobaczyła samochód Finna. Finn zaparkował na podjeździe i wysiadł. Wydawał się bardzo skruszony. Przez chwilę szedł obok niej, po czym odwrócił jej głowę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Przepraszam, Hope. Dupek ze mnie. Po prostu wstydzę się, że nie umiem lepiej prowadzić swoich spraw. Chciałbym mieć się czym pochwalić, ale czasem nic mi nie wychodzi i wtedy zaczynam udawać, że jest świetnie. Tak bardzo bym chciał mieć sukcesy, że muszę kłamać.

Była poruszona. W końcu zdecydował się to przyznać. Znowu nabrała nadziei, że wszystko będzie dobrze. Współczuła mu nieszczęśliwego dzieciństwa i młodości, ale on przecież o tym nie wiedział. Uśmiechnęła się do niego. Wziął ją w ramiona i pocałował. Zobaczyła łzy w jego oczach i to wzruszyło ją jeszcze bardziej. Upokorzył się przed nią, przyznał się do błędu. Błagała los, żeby to już nigdy się nie powtórzyło. Potrzebowała tylko prawdy. Niczego więcej.

- Kocham cię, Finn - szepnęła, kiedy wchodzili do domu, trzymając się za ręce.
- Nie musisz już nigdy udawać przede mną, że sprawy wyglądają lepiej niż w rzeczywistości. Kocham cię takiego, jakim jesteś, nawet wtedy, kiedy ci się nie wiedzie. Co zamierzasz zrobić, żeby uniknąć tego procesu?

- Dokończyć książki. Jeśli dam radę. Ta ostatnia zabrała mi piekielnie dużo czasu. Siedziałem nad nią przez długie miesiące. Mój agent rozmawiał z wydawnictwem, próbował grać na zwłokę. Przedłużyli mi termin o trzy miesiące, ale bez nowego kontraktu jestem załatwiony. Nie mam już forsy. Nawet złamanego centa. Na szczęście kupiłaś dom. Gdybym musiał dalej płacić za wynajem, nie pozbierałbym się. I siedziba pradziadków poszłaby w obce ręce.

Znowu kłamał. Ale to kłamstwo nie było nowe, już je znała. Jeśli zamierzał trzymać się tych historii o przeszłości, jeśli tak bardzo się wstydził swojego prawdziwego dzieciństwa, mogła przymknąć na to oko i pozwolić mu zachować twarz. W porównaniu z jej dzieciństwem w New Hampshire, szczęśliwym jak w opowieści dla dzieci, jego było koszmarem. Nie mogła tylko pozwolić, żeby kłamał na temat swoich bieżących spraw. Było jej przykro, że stoją aż tak źle, choć wcale jej to nie zaskoczyło. Zaczęła coś podejrzewać już wtedy, kiedy zauważyła, że na jej konto nie wpływa umówiona suma. Wiedziała, że płaciłby, gdyby mógł. W tej sprawie, tak jak we wszystkich innych, kłamał ze wstydu.

- Ale przynajmniej o pieniądze nie musisz się martwić - powiedziała łagodnie. - Ja wezmę na siebie wydatki domowe.

W praktyce już dawno je na siebie wzięła.

- I jak będę wtedy wyglądał? - spytał i popatrzył na nią żałośnie. Zdjęli wierzchnie^ okrycia i powiesili je w szafie w głównym holu. - Mam cię codziennie prosić o parę groszy na gazetę? A może będziesz mi wypłacała kieszonkowe? Bez kontraktu jestem ugotowany.

Zabrzmiało to bardzo gorzko. Wchodzili po schodach,

Finn się na nią nie gniewał. Sytuacja chwilowo wyglądała trochę lepiej.

- Jeśli dokończysz tę książkę, będziesz miał następny kontrakt - usiłowała go pocieszyć.

- Jestem już spóźniony o dwie książki, Hope. Nie o jedną.

Teraz przynajmniej nie próbował jej oszukiwać.

- Jak do tego doszło?

Z krzywym uśmiechem wzruszył ramionami.

- Może za dużo balowałem, zanim cię poznałem. Teraz mam więcej czasu na pisanie. Tylko że nie mogę zabrać się do pracy. Szkoda mi każdej minuty, kiedy nie jesteśmy razem.

O tym wiedziała. Ale przecież ostatnio nie było jej w domu przez trzy tygodnie. I prawie nic nie napisał przez ten czas. Naprawdę powinien był wreszcie wziąć się w garść. Kiedy zajmowała się odnawianiem mebli i podłóg, nic nie robił, tylko dotrzymywał jej towarzystwa.

- Wygląda na to, że będziesz musiał zabrać się do roboty - powiedziała spokojnie.

- Wciąż chcesz za mnie wyjść? - spytał z miną zmartwionego chłopca.

Kiwnęła głową i objęła go za szyję.

- Tak. Chcę się tylko upewnić, że oboje potrafimy zachowywać się jak ludzie dorośli i nasz związek opiera się na mówieniu sobie prawdy. To konieczne, jeśli ma przetrwać.

- Wiem - powiedział.

Wyglądał, jakby uszło z niego powietrze. Potrafił być wspaniałym facetem, ale niekiedy zachowywał się idiotycznie. Był nawet zdolny do podłości, jak wtedy, kiedy obwinił Hope o poronienie i nie przepuszczał żadnej okazji, żeby ją wpędzić w poczucie winy. Nie można się w tym było dopatrzeć ani dobroci, ani miłości.

- Co byś powiedziała na małą drzemkę? - spytał z łobuzerskim błyskiem w oku.

Roześmiała się i wbiegła za nim po schodach. Chwilę później zamknął sypialnię na klucz, wziął ją na ręce i podniósł, jakby była dzieckiem. Położył ją na

łóżku i sam po chwili leżał obok niej. Przez całe popołudnie w ogóle nie pracował, ale teraz byli razem, szczęśliwi. I przepaść, która otworzyła się między nimi, wydawała się zasypana. Nie zawsze mówił jej prawdę, ale był człowiekiem pełnym wdzięku i niewiarygodnie pociągającym.

Następnego popołudnia pojechali samochodem do Dublina, żeby kupić więcej tkanin obiciowych i innych rzeczy niezbędnych do urządzenia domu. Hope czuła się winna, że odrywa go od pracy, ale bała się sama prowadzić samochód w Irlandii. Winfred był fatalnym kierowcą, więc Finn zaproponował jej swoje usługi. Zniknęło między nimi napięcie, znowu byli szczęśliwi i humor im dopisywał. Zrobili zakupy, a Hope z zadowoleniem zauważyła, że Finn znowu jest dobrej myśli. Ostatnio różnie bywało i zauważyła nawet, że pił znacznie więcej, niż to miał w zwyczaju. Rozmawiała o tym z Katherine, która potwierdziła jej obserwacje, ale Hope nie powiedziała Finnowi ani słowa. Wiedziała przecież o jego kłopotach, o grożącym mu procesie sądowym i o dwóch książkach, które miał oddać wydawcy.

- Wiesz, zastanawiałem się nad taką rzeczą - zaczął, kiedy skręcili w dwupasmową drogę do Blessington, biegnącą wśród typowo irlandzkiego krajobrazu. Ilekroć Hope patrzyła na tę okolicę, zawsze wyglądała jak z pocztówki, nawet w ten zimny listopadowy dzień. - Czułbym się znacznie bardziej komfortowo, gdybyś założyła dla mnie specjalne konto, z którego mógłbym wypłacać pieniądze. Nie musiałbym cię o nie prosić za każdym razem.

Była zupełnie zaskoczona, kiedy to usłyszała. Owszem, jego prośba miała w sobie dużo sensu. Ale nie byli nawet małżeństwem, więc zabrzmiała trochę zbyt śmiało.

- Jakie konto? - spytała ostrożnie. - O jakich sumach mówimy?

Potrafiła spojrzeć na to z jego punktu widzenia, zwłaszcza teraz, kiedy wiedziała, że Finn jest całkowicie splukany. Sądziła, że ma na myśli parę tysięcy dolarów na swoje wydatki. Mogła się na to zgodzić, choć czuła, że sytuacja będzie trochę niezręczna. Ale byli już prawie małżeństwem. Miała nadzieję, że Finn zgodzi się poczekać ze ślubem do czerwca, choć nie chciała mu tego mówić, pamiętając, jak bardzo się rozgniewał poprzednim razem, kiedy poruszyła ten temat.

- Nie wiem. Zastanawiałem się nad tym wczoraj. Nie, nie mam na myśli żadnych szaleństw. Może parę milionów. Pięć byłoby w sam raz. To dla mnie taka siatka bezpieczeństwa. I nie musiałbym prosić cię o każdy grosz.

- Pięć milionów? - spytała z niedowierzaniem. - Żartujesz? Na co ci potrzeba aż tyle? Co jeszcze zamierzasz kupić? Cały ten dom kosztował półtora miliona.

Półtora miliona, które wydała tylko dlatego, że chciała, żeby był szczęśliwy. Pragnęła, żeby odzyskał gniazdo rodzinne - choć potem się okazało, że jego rodzina nie miała z tym miejscem nic wspólnego.

- Właśnie o to chodzi. Nie chcę cię prosić o pieniądze i za każdym razem tłumaczyć się, na co ich potrzebuję.

Powiedział to z najgłębszym przekonaniem. Patrzyła na niego wstrząśnięta i czuła, że robi jej się słabo.

- Finn, konto z pięcioma milionami na twoje wydatki to szaleństwo.

Nawet jej to nie oburzyło, po prostu była w szoku. Nie zawahał się poprosić jej o taką sumę, jakby chodziło o dwudziestaka, którego miała pod ręką w portmonetce.

- Przy tych sumach, jakimi dysponujesz? - odparł z nagłym rozdrażnieniem. - O co ci chodzi, do cholery? Chcesz mnie kontrolować, trzymając kasę przy sobie? Pięć milionów to dla ciebie tyle co nic!

I nawet nie był miły, kiedy o to prosił. Tak jakby wszystko się między nimi zmieniło. Nagle zaczął żądać od niej pieniędzy i przerzucał się gwałtownie od dawnej łagodności do wściekłych ataków. Nie w takim Finnie zakochała się rok temu. To był jakiś obcy facet, który bez przerwy robił jej przykrości, a od czasu do czasu, jakby dla niepoznaki, wracał do dawnych zachowań pełnych ciepła. Ale na przykład w tej chwili zupełnie nie wyglądał na zakochanego. Zobaczyła nowego, obcego Finna w pełnym rozkwicie. Nagle sięgnął jej przez ramię do portmonetki. Tego by się po nim nie spodziewała. I nie spodobało jej się to ani trochę.

- Taka suma jest znacząca dla każdego, Finn - odpowiedziała spokojnie. Ale sytuacja nie była zabawna.

- Dobra, niech będą cztery bańki. Jeśli mam zostać twoim mężem, nie będziesz wypłacać mi kieszonkowego jak dziecku.

- Nie, chyba nie będę. Ale nie dam ci czterech milionów na drobne wydatki. Jeśli zacznę tak postępować, bardzo szybko stracę wszystkie pieniądze i zostanę bez grosza, tak samo jak ty. Wolę po prostu płacić rachunki, tak jak robiłam to od pewnego czasu, i trzymać dla ciebie parę tysięcy na osobnym koncie.

Dalej nie miała zamiaru się posunąć. Przecież nie zamierzała go kupować. Nie była tak szalona. A po rozwodzie z Paulem sama musiała nauczyć się obchodzić z pieniędzmi.

- Chcesz mnie trzymać na krótkiej smyczy, kontrolując moje wydatki! - sapnęła gniewnie i cudem zdołał uniknąć zderzenia z ciężarówką na zakręcie drogi.

Jego sposób prowadzenia samochodu także ją przeraził. Nawierzchnia była wilgotna i zmrok już zapadł, ale on pędził z ogromną szybkością, bo był na nią wściekły.

- Aż trudno mi uwierzyć, że poprosiłeś mnie o pięć milionów - powiedziała, siląc się na spokój, którego wcale w niej nie było.

- Mówiłem przecież, wystarczy cztery - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Wiem, że popadłeś w kłopoty finansowe, ale nie zgodzę się na to, Finn. - Była urażona, że poprosił o coś takiego. Tym bardziej urażona, że nalegał. - A przed ślubem podpiszemy intercyzę.

O intercyzie wspomniała swojemu prawnikowi w Nowym Jorku dobrych parę miesięcy temu. Napisali już nawet wstępny projekt. Była całkiem prosta, ustanawiała rozdzielność majątkową. Majątek Finna miał należeć wyłącznie do Finna, jej majątek - do niej. Z oczywistych przyczyn nie chciała, żeby ich pieniądze się pomieszały. Dostała te pieniądze od Paula i chciała zawsze wiedzieć, co się z nimi dzieje.

- Nie miałem pojęcia, że jesteś taką sknerą - powiedział prosto z mostu, biorąc z rozpędem następny ostry zakręt.

Była to kolejna rzecz, jakiej nie spodziewała się usłyszeć. Przecież podarowała mu ten dom. Bardzo szybko zapominał o przejawach jej wielkoduszności. Nie była sknerą, ale nie była też głupia. Zwłaszcza że niedawno odkryła jego niebywały talent do kłamstw. Nie zamierzała otworzyć mu dostępu do swojego majątku. Nawet do jego części. Pięć milionów to była jedna dziesiąta sumy, którą dostała od Paula po ponad dwudziestu latach małżeństwa.

Jechali dalej w kamiennym milczeniu, a kiedy ostro zahamował na podjeździe, wysiadła i nie oglądając się na niego, weszła do domu. Była rozgniewana jego żądaniem, a on był nie mniej rozgniewany odmową. Poszedł prosto do pokoju kredensowego i tam nalał sobie szklaneczkę czegoś mocniejszego. Kiedy wszedł na górę, było już po nim widać, że pił. Pomyślała, że chyba nie poprzestał na jednej szklaneczce.

- Zatem jakie rozwiązanie twoim zdaniem jest właściwe? - spytał, siadając.

Spojrzała na niego z rozpaczą w oczach. Działo się między nimi źle i coraz gorzej. Najpierw ta obsesja, by zrobić jej dziecko, potem kłamstwa, a teraz nagłe żądanie ogromnej sumy. Dzień po dniu Finn przemieniał się w zupełnie innego człowieka i tylko czasem, ni stąd, ni zowąd, wyskakiwał ten dawny, cudowny Finn. Ale teraz pojawiał się rzadko i równie szybko znikał. Było w tym coś zupełnie nierzeczywistego, niemal schizofrenicznego, i kiedy się nad tym zastanawiała, przypominała sobie opinię jego brata, który według wynajętego detektywa uważał Finna za so-cjopatę. Teraz pomyślała, że nie można tego

wykluczyć. Przypomniła jej się artykuł, który kiedyś czytała, o czymś, co w psychologii nazywało się „mechanizmem nieregularnej nagrody”. Działo to w ten sposób, że jeden z partnerów, na przemian kochający i nienawistny, doprowadzał swoją ofiarę do stanu kompletnej dezorientacji, w której starała się za wszelką cenę naprawić stosunki między nimi i odzyskać miłość. Właśnie tak się teraz poczuła. Kręciło jej się w głowie. Finn umiał ją oczarować. Ale chwilami maska zsuwała mu się z twarzy coraz bardziej i bardziej, a to, co dostrzegła pod maską, przerażało ją śmiertelnie. Wciąż jeszcze wierzyła, że ten dobry Finn krąży gdzieś w pobliżu. Ale który z nich był prawdziwy? Ten dawny czy ten nowy? Może obaj?

- Nie dam ci żadnych pieniędzy, Finn - odpowiedziała ze spokojem. Zauważyła, że przyniósł ze sobą na górę butelkę szkockiej whisky i nalał sobie kolejną szklanekę.

- Nie zamierzasz chyba zabrać tych pieniędzy do grobu, co? - pytał w coraz bardziej nieprzyjemny sposób. - Siedzisz na pięćdziesięciu bańkach, które dostałaś od byłego męża, a ja mam się pętać obok i prosić cię jak szczeniak o parę groszy?

Pomyślała, że przecież kiedyś świetnie zarabiał i dalej mógłby świetnie zarabiać, gdyby rozwiązał swoje problemy. Ale nawet jeśli to mu się nie uda, ona nie przeleje paru milionów dolarów na jego konto. To by nie było w porządku. Nigdy nie zamierzała kupować sobie mężczyzny. Przypomniało jej się, że kiedy skarżył się na swoje wydatki, mówił o opłatach za chesne na uczelni Michaela. Ale teraz bardzo wątpiła, czy to Finn płacił te rachunki. Płacili je raczej dziadkowie.

- Na razie nie wybieram się do grobu. Nie miałam zamiaru kupować sobie męża. Stawiam sprawę jasno. Uważam, że to, o co prosisz, jest niedorzeczne, i nie zamierzam tego zrobić.

- W takim razie zastanów się, czy nie wolałabyś wydać się za starego Winfreda zamiast za mnie. Może nie potrzebujesz męża, tylko służącego.

- Kładę się spać - odpowiedziała z udreką w głosie. - Nie chcę już dłużej ciągnąć tej dyskusji.

- Naprawdę myślałaś, że wyjdiesz za mnie, nie dzieląc się ze mną pieniędzmi? To na co komu takie małżeństwo?

- Podstawą małżeństwa jest miłość. Nie pieniądze. Uczciwość. Nie kłamstwa. Co się potem wydarzy, o tym decyduje los. Ale nie zamierzam ubić z tobą interesu ani spełnić twojego żądania i przelać pięciu milionów, a choćby i czterech, na twoje konto. To obrzydliwe, Finn.

- Obrzydliwe jest to, że siedzisz na tych pięćdziesięciu bańkach od byłego męża i nie chcesz się nimi ze mną podzielić. To szczyt samolubstwa, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Po raz pierwszy usłyszała od niego coś takiego i była tak zaskoczona, że po prostu nie mogła w to uwierzyć. I ta uwaga na temat Winfreda! Finn stawał się coraz bardziej chamski i podły. I zaciskał pięści w bardzo niepokojący sposób.

Nie powiedziała już ani słowa więcej. Odwróciła się na pięcie, poszła do sypialni i położyła się do łóżka. Tej nocy chyba w ogóle nie przyszedł. Długo nie mogła zasnąć, zastanawiała się, co się stało między nią i Finnem i w kogo Finn się przemienił na jej oczach. Cokolwiek to było, bała się tego. Wszystko się waliło i rozsypywało, z dnia na dzień było gorzej. Coraz trudniej było jej uwierzyć w to, co widziała i słyszała. Czowała się tak, jakby pękało jej serce.

Rozdział siedemnasty

Od dnia, kiedy Finn poprosił Hope o pieniądze, wszystko się między nimi coraz bardziej psuło. Napięcie było nie do zniesienia, raz po raz wybuchały sprzeczki, oboje powtarzali w kółko to samo, a on pił coraz więcej. Żądał od niej czterech milionów dolarów, z którymi będzie mógł zrobić, co zechce. Do tego doszło żądanie kolejnych pieniędzy, które miałby otrzymać po ślubie. Poza tym znowu chciał ją nakłonić do wizyty u londyńskiej lekarki od spraw płodności, ale tym razem stanowczo odmówiła.

W tym domu trzymało ją już tylko wspomnienie dawnego, kochającego Finna. To było tak, jakby dawny Finn chwilowo stracił rozum, jakby przejściowo stał się postacią z okropnego snu, więc czekała w nadziei, że on oprzytomnieje pewnego dnia i znów będzie sobą. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Przeciwnie, stawał się coraz gorszy, a ona powoli porzucała nadzieję, że człowiek, którego kiedyś pokochała, powróci. Do Święta Dziękczynienia zdążyła nawet zwątpić, czy kiedykolwiek naprawdę istniał. Może ten, kogo znała i kochała, był tylko postacią stworzoną przez złego Finna, by wciągnąć ją w romans? Może prawdziwym Finnem był ten, z którym miała do czynienia obecnie? Sama już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

W Święto Dziękczynienia upiekła indyka, ale i tak nie zdołała uratować nastroju. W połowie świątecznej kolacji Finn rozpoczął kłótnię przy stole. To była ta sama okropna sprawa co przedtem, chciał pieniędzy i przedstawiał powody, dla których, jego zdaniem, nie miała prawa mu ich odmówić. W końcu wstał, wściekły, i odszedł od stołu, zostawiając jedzenie na talerzu. Słuchając, jak nalegał, wściekał się i ubliżał jej, poczuła się po prostu chora.

Tego wieczoru, gdy położyła się do łóżka z myślą, że może trzeba spakować walizki i wrócić do domu, Finn przyszedł, nagle odmieniony, znowu kochający jak dawniej. Nie wspominał o pieniądzach, dziękował za wspaniałą kolację. Mówił, że jest dla niego wszystkim, i był tak czuły, że zgodziła się z nim kochać, po raz pierwszy od wielu dni. A potem doznała bolesnego rozdwojenia, bo już się pogubiła, w co powinna wierzyć i która rzeczywistość jest tą prawdziwą.

Obudził ją w środku nocy, żeby kontynuować kłótnię na ten sam temat, którym była już udreńczona. Podczas gdy się pieklił, usnęła. Kiedy się rano obudziła, podał jej śniadanie do łóżka. Był znowu sobą, łagodnym, zadowolonym z życia i kochającym. Pomyślała, że jedno z nich musiało oszaleć. Albo ona, albo on. Bała się, że to ona oszalała, bo kiedy wspomniała, że obudził ją w nocy i rozpoczął kłótnię, zapewniał, że nic takiego nie miało miejsca. Czuła się jeszcze bardziej zagubiona niż przedtem i zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie śniła. Musiała

koniecznie z kimś o tym porozmawiać, to by jej pomogło zrozumieć, co się dzieje. Ale w Irlandii nie знаła nikogo, a nie chciała zawracać głowy Markowi Webberowi. Prawnik, któremu Mark ją polecił, nie wchodził w grę, bo był to obcy człowiek. Nie było możliwe, żeby porozmawiała o tym z ciężko chorym Paulem. Jedynym człowiekiem, którego tu znała, był Finn, ale to właśnie on zaczął jej wmawiać, że zwariowała. Zastanawiała się nad tym na poważnie, brała to pod uwagę i bardzo się tego bała.

Uratowało ją to, że w poniedziałek po Świącie Dziękczynienia zadzwonił do niej lekarz, który opiekował się Paulem. Paul miał zapalenie płuc i jego koledzy obawiali się, że zbliża się koniec. Hope chciała go zobaczyć, więc musiała czym prędzej lecieć do Bostonu. Nie wspomniała Finnowi ani słowem o telefonie, spakowała walizkę i była gotowa do wyjazdu, zanim wrócił z miasta z torbą pełną zakupów. Przy okazji kupił dla niej wielki bukiet kwiatów, których widok ją wzruszył, lecz także wprowadził w jeszcze większe pomieszenie.

Zdumiał się, kiedy zobaczył ją gotową do podróży, ze spakowaną walizką.

- Dokąd jedziesz? - spytał ze strachem w oczach.

Odpowiedziała, że do Paula. Wyglądała na bardzo przejętą jego stanem. Finn objął ją i spytał, czy ma lecieć razem z nią. Nie chciała, żeby z nią leciał. Musiała powiedzieć mu to tak, żeby go nie urazić.

- Poradzę sobie. Chyba lepiej, żebym poleciała sama. - Westchnęła ze smutkiem. - Podobno jest umierający.

Tyle dowiedziała się przez telefon od lekarza. Od wielu lat wiedziała, że Paul umrze, teraz trzeba było stawić czoło tej śmierci. Ale ostatnią rzeczą, jakiej mogłaby zapragnąć, było towarzystwo Finna. Musiała się od niego odłączyć. Musiała spokojnie zastanowić się nad tym, co się między nimi działo, musiała dojść, kim on właściwie jest. Niczego nie była już pewna. Na przemian przytulał ją nocą albo żądał pieniędzy, mówił jej miłe rzeczy albo rzucał wściekle oskarżenia, budził z głębokiego snu, żeby dręczyć, a nazajutrz twierdził, że to ona go obudziła, kręcąc się po pokoju półprzytomna. Niczego nie była pewna, ale wydawało jej się, że Finn gra z nią w dziwną grę, że próbuje manipulować nią, odbierając jej zaufanie do własnego umysłu, i to mu się nawet udawało, bo czuła się coraz bardziej zagubiona. Podczas gdy Finn wyglądał świetnie i nic mu nie dolegało.

Zawiózł ją na lotnisko. Pocałowała go na pożegnanie i w pośpiechu pobiegła do stanowiska odprawy biletowej. Ledwie usiadła na swoim fotelu w pierwszej klasie, poczuła ulgę, że uwolniła się od jego obecności, i nagle się rozplakała. Potem przespała cały lot. Obudziła się, zdumiona, w czasie lądowania na Logan

Airport w Bostonie. Wydawało jej się, że za sprawą Finna jej życie stało się całkowicie odrealnione.

Kiedy dotarła do szpitala, czekał na nią lekarz i od razu zaprowadził ją do Paula. Jego widok nią wstrząsnął. W krótkim czasie, jaki upłynął od jej ostatniej wizyty, Paul zmienił się nieprawdopodobnie. Miał zapadnięte oczy i policzki. Miał podłączony tlen i z początku nie była nawet pewna, czy ją poznał. Dopiero kiedy poruszył głową, z wyrazem spokoju na twarzy, przymykając na chwilę powieki, wiedziała, że ucieszył się z jej przyjazdu.

Siedziała przy nim przez dwa dni. Nie opuszczała go ani na chwilę. Do Finna zadzwoniła tylko raz i powiedziała mu, że nie może długo rozmawiać, bo jest w szpitalu u Paula. Zrozumiał to i był dla niej miły, co tym razem wydało jej się czymś dziwnym, zaskakującym. Ostatnio bardzo często źle ją traktował i coraz rzadziej bywał przyjazny. Dlatego nie lubiła rozmawiać z nim przez telefon. Nigdy nie wiedziała, na którego z Finnów się akurat natknie. Jeśli na nieprzyjemnego, to potem mogła się dodatkowo spodziewać oskarżeń o rozpoczęcie kłótni.

Zadzwoniła do Marka, że jest w Bostonie. Obiecała, że będzie z nim w kontakcie.

Trzeciego dnia jej pobytu w Bostonie zaczęła się agonia. Hope, płacząc, szeptała Paulowi do ucha, że go kocha, i prosiła, żeby zaopiekował się Mimi, kiedy będzie po tamtej stronie. Gdy zmarł, została przy nim bardzo długo, trzymając go za rękę, aż wreszcie, ze złamanym sercem, cicho wyszła z pokoju.

Paul zostawił jej dokładne zalecenia. Chciał, żeby jego ciało zostało spalone, a prochy pochowane obok córki w New Hampshire, na cmentarzu, na którym leżeli także rodzice Hope. W ciągu dwóch dni było po wszystkim. Jego prochy spoczęły obok urny z prochami Mimi. Dla Hope to było tak, jakby życie się skończyło. Nie miała już nikogo na świecie. Jeśli nie liczyć Finna. Od śmierci Paula Finn był dla niej bardzo miły, kiedy rozmawiali przez telefon. Ale teraz, jeśli Finn był dla niej miły, od razu zaczynała się zastanawiać, jak długo w tym wytrwa.

Z New Hampshire wróciła do Bostonu wynajętym samochodem, a potem poleciała do Nowego Jorku. Znow była we własnym mieszkaniu. Czuła się tak, jakby nastąpił koniec świata. Przez kilka dni siedziała zamknięta w domu, nigdzie nie wychodziła, z nikim nie rozmawiała. Prawie nic nie jadła. Myślała o tym, co się wydarzyło. O Paulu. O tym, jaki był dla niej ważny. Wciąż nie mogła uwierzyć, że już go nie ma, że już nigdy nie będzie.

Spotkała się z prawnikiem Paula. Jacht miał zostać wystawiony na sprzedaż. Prawnik zajął się wszystkim, dla niej nie było tu już nic do roboty. Potem poszła spotkać się z Markiem w jego biurze. Wystarczyło na nią spojrzeć, by wiedzieć,

że jest wykończona.

- Tak mi przykro, Hope - powitał ją.

Wiedział, czym była dla niej ta śmierć. Paul był ostatnią bliską osobą, jaką jeszcze miała. Sekretarka przyniosła jej filiżankę herbaty.

- Co słyhać w waszym domu w Irlandii? - spytał, kiedy usiedli.

Spojrzała na niego dziwnie i przez długą chwilę nie odpowiadała.

- Prawdę mówiąc, nie wiem - odezwała się w końcu. - Jestem kompletnie zdezorientowana. Czasami bywa uroczy, a potem robi się nieprzyjemny. A potem znowu wydaje mi się, że mnie kocha. Mówi, że to ja zwariowałam. Ale ja nie wiem, które z nas jest przy zdrowych zmysłach. Budzi mnie w nocy, urządza awantury, a potem twierdzi, że nic takiego nie miało miejsca. Kiedyś wydawało mi się, że był darem losu, teraz to się zamieniło w senny koszmar. I nie wiem nawet, czyj to koszmar, jego czy mój.

To, co mówiła, przeraziło Marka. Był o nią głęboko zaniepokojony.

- Myślę, że ten człowiek nie jest normalny, Hope. Jestem o tym coraz mocniej przekonany. Może jego brat miał rację, kiedy określił go jako socjopatę. Moim zdaniem powinnaś się stamtąd wydostać. Albo, jeszcze lepiej, nigdy tam nie wracać.

- Nie wiem, co zrobić. Powinnam się nad tym zastanowić, póki jestem tutaj. Kiedy jest dla mnie miły, wydaje mi się, że niesłusznie przypisuję mu złe intencje. Ale potem zaczyna się wszystko od początku i znowu wpadam w przerażenie. Żądał ode mnie pieniędzy.

- Ile?

- Chce, żebym przelała mu na konto pięć milionów. Na jego osobiste wydatki. Mark się wściekł, kiedy to usłyszał.

- Nie, on nie jest wariatem. Jest skończonym rżęchem. Chodzi mu tylko o twoje pieniądze, Hope.

- Czasem mam wrażenie, że chce mnie doprowadzić do szaleństwa - powiedziała cicho.

- Prawdopodobnie chce cię przekonać, że zwariowałaś. Nie powinnaś tam wracać. Ale jeśli zamierzasz wrócić, to przedtem zadzwoń do tego prawnika z Dublina. Musisz mieć tam pod ręką kogoś, komu możesz zaufać.

- Dobrze - zgodziła się. - Zostanę jeszcze przez kilka dni.

Po śmierci Paula była za bardzo wyprowadzona z równowagi, żeby od razu wracać. Poza tym w Nowym Jorku czuła się lepiej. Z dnia na dzień rozjaśniało jej się w głowie, rozwiewał się zamęt, w jakim utrzymywał ją Finn. Dzwonił do niej często. Ale nie zawsze odbierała telefon. Potem dzwonił znowu, dopytywał się,

gdzie była i z kim. Najczęściej mówiła mu, że spała. A czasem, gdy wychodziła, po prostu zostawiała telefon w domu.

Mark zadzwonił do niej po dwóch dniach. Jego głos brzmiał ponuro. Chciał do niej przyjechać. Zaprosiła go i półtorej godziny później zjawił się z aktówką pod pachą. Wynajęty detektyw właśnie przyniósł mu końcowe sprawozdanie. Mark wręczył jej aktówkę bez słowa i siedział obok, kiedy przeglądała raport. Był obszerny i zawierał mnóstwo szczegółów. Hope była zdumiona i wstrząśnięta wszystkim, o czym czytała. Wiele faktów nie całkiem zgadzało się z tym, co usłyszała od Finna. O innych w ogóle jej nie wspomniał.

Raport zaczynał się od spraw, na których zakończył się poprzedni. Od małżeństwa Finna z matką Michaela. Według raportu była modelką, odnosiła w tym zawodzie umiarkowane sukcesy. Kiedy wyszła za Finna, miała dwadzieścia lat, on był od niej starszy o rok. Oboje byli znani z imprezowego trybu życia, oboje nie stronili od alkoholu i narkotyków. Zaszła w ciążę, ślub odbył się pięć miesięcy przed terminem porodu. Detektyw pisał, że rozstawali się wielokrotnie, zdradzali się nawzajem, ale potem się godzili. Gdy wracali kiedyś nocą z przyjęcia na Long Island, mieli poważny wypadek samochodowy na autostradzie. Finn wypił o wiele za dużo tego wieczoru i to on siedział za kółkiem. Samochód zderzył się z ciężarówką na skrzyżowaniu. Został zgnieciony, a żona Finna została ciężko ranna. Kierowca ciężarówki zginął na miejscu. Nie było żadnych świadków zdarzenia. Policję stanową i karetkę wezwał przypadkowy kierowca z automatu telefonicznego przy autostradzie. Kiedy patrol drogowy przybył na miejsce, zastał Finna całego i zdrowego, pijanego, ale nie do nieprzytomności. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego sam nie poszedł do telefonu, żeby wezwać pomoc. Raport oddawał mu sprawiedliwość, że prawdopodobnie był w szoku, dezorientowany po uderzeniu w głowę. Finn twierdził, że nie poszedł do telefonu, bo nie chciał zostawić rannej żony bez opieki. Wypadek miał miejsce pół godziny przed pojawieniem się samochodu, którego kierowca zadzwonił na policję. Sekcja zwłok wykazała, że pasażerka, czyli żona Finna, prawdopodobnie by nie przeżyła, nawet gdyby pomoc nadeszła natychmiast. W każdym razie on nie podjął żadnych starań, żeby ratować jej życie.

Prywatne śledztwo potwierdziło, że małżeństwo było bliskie rozpadnięcia się. Finn zażądał rozwodu, a jego żona nie wyrażała zgody. Nie było pewności, czy to on spowodował wypadek. W każdym razie jest pewne, że Finn pozwolił jej umrzeć. Został formalnie oskarżony, dostał pięć lat w zawieszeniu na pięć lat, za jazdę po pijanemu odebrano mu prawo jazdy. Uznano, że śmierć jego żony nastąpiła w wyniku wypadku. Finn stanowczo odmówił podjęcia się opieki nad dzieckiem. Według informacji zdobytych przez detektywa, spotkał się z synem

zaledwie dwa razy przez cały czas, gdy chłopiec chodził do szkoły, i kilka razy po rozpoczęciu przez niego studiów. Dziadkowie twierdzili, że ojciec nie odegrał żadnej roli w życiu ich wnuka. Uważali zresztą, że jego wpływ na chłopca nie byłby pozytywny, i twierdzili, że ich zięć jest człowiekiem niebezpiecznym. Po śmierci ich córki usiłował wymusić od nich pieniądze, grożąc, że ujawni publicznie jej uzależnienie od narkotyków i alkoholu oraz szczegóły jej życia erotycznego. Zgłosili ten przypadek szantażu na policję, ale nie starali się ścigać Finna sądownie. Zależało im tylko na tym, żeby odczepił się od nich i od wnuka.

Wiedzieli o jego sukcesach literackich, które rozpoczęły się już po śmierci ich córki, ale uważali go za sprawcę tej śmierci, za człowieka bez sumienia, za kogoś, kogo interesowały tylko pieniądze i kto troszczył się wyłącznie o siebie. Twierdzili, że na początku znajomości z ich córką był czarujący i zaklinał się, że ją kocha. Podczas jej pogrzebu zalewał się łzami. Załączona była kopia opinii lekarskiej, z której wynikało, że w wyniku odniesionych ran dziewczyna umarłaby tak czy inaczej, również gdyby pomoc została wezwana natychmiast. Rany były zbyt ciężkie i zbyt rozległe. Nieodwracalne zmiany w mózgu nastąpiły w ciągu pierwszych minut.

Kiedy Hope czytała to sprawozdanie, cierpła jej skóra i raz po raz bez słowa spoglądała na Marka. Śmierć żony Finna rzeczywiście nastąpiła w wyniku wypadku drogowego. Ale on nawet nie próbował jej ratować. Na kilku następnych stronach przewijały się kobiety, z którymi się spotykał. Dołączona była luźna kartka dokumentująca jego starania o majątek żony i pozew, jaki złożył przeciwko teściom, żądając od nich alimentów dla siebie, mimo że utrzymywali jego dziecko. Ale wszelkie jego starania, legalne czy nie, o pieniądze od teściów spełzły na niczym. Z pewnością nie wystawiało mu to dobrego świadectwa. Ale też nie czyniły z niego mordercy. Co najwyżej hochsztaplera i człowieka, który dla pieniędzy nie cofnie się przed niczym. Próbował także położyć rękę na pieniądzach, które chłopiec odziedziczył po matce, ale dziadkowie zdołali zablokować i tę jego próbę odebrania pieniędzy wnukowi. Hope mimo woli zadawała sobie pytanie, czy Michael o tym wiedział. Ale na pewno wiedział, że ojciec jest kłamcą. Jednak Finn był kimś gorszym od zwykłego kłamcy. Był absolutnie amoralny.

Jeśli chodzi o kobiety, to spotykał się z kilkoma, wszystkie były dość zamożne. Niektóre z nich utrzymywały go przez jakiś czas, wyglądało na to, że od wszystkich przyjmował pieniądze i prezenty. Jego finanse zawsze były niezbilansowane, nawet w czasach największych sukcesów literackich, a apetyt był w tej mierze nienasycony. Dołączono luźną kartkę ze streszczeniem pozwu, który przygotował przeciwko niemu jego obecny wydawca, i listę osób, które w

przeszłości próbowały przeciwko niemu drogi sądowej, zwykle bez sukcesów. Uwagę Hope zwrócił pozew kobiety, z którą żył przez jakiś czas - o znęcanie się psychiczne, zresztą przegrany przez powódkę. Z raportu wylaniał się obraz mężczyzny, który wykorzystywał kobiety. Wszystkie osoby, do których dotarł detektyw, przedstawiały go jako chorobliwego kłamcę. Dwie określiły go jako socjopatę, a niepodająca nazwiska osoba pracująca dla jego wydawcy - że jest niesłowny, nierzetelny, nieuczciwy, niegodny zaufania, niezdolny do przestrzegania jakichkolwiek reguł. Wszyscy, nie wyłączając byłych teściów, podkreślali, że miał ujmujący sposób bycia. Ale uważano go również za człowieka pozbawionego skrupułów, kierującego się chciwością, niecofającego się przed niczym i idącego do celu po trupach. Nikt nie powiedział o nim dobrego słowa, przyznawano jedynie, że potrafi być czarujący. Kochający i miły bywał zawsze na początku znajomości, potem coraz bardziej okrutny i bez serca. To było właśnie to, co Hope także zauważyła, choć nie była pewna, czy ma wierzyć własnym oczom. Po przeczytaniu sprawozdania wyzbyła się ostatnich wątpliwości.

Odłożyła aktówkę na kanapę, na której siedziała, i popatrzyła na Marka. Oprócz tego wszystkiego, o czym przeczytała, była jeszcze tamta dziewczyna, która z jego powodu popełniła samobójstwo. Był więc pośrednio odpowiedzialny za śmierć dwóch kobiet. I wtedy nagle przypomniało jej się dziwne pytanie, jakie zadał, kiedy znalazła jego fotografię z Audrą. Spytał wtedy, czy Hope mogłaby popełnić samobójstwo. Tak jakby samobójstwo popełnione z jego powodu dodawało mu splendoru. Cała ta sprawa nabrała teraz nowego znaczenia. Ze zdumieniem zauważyła, że drży na całym ciele, gdy myśli o tym, co przeczytała. Przerazające było to, że wszystkie te okropne historie, wszystkie te szczegóły jego życiorysu przez długie lata uchodziły uwagi mediów i zostały odkryte dopiero teraz. Detektyw nieźle się napracował, żeby wydobyć je na światło dzienne.

- Niepiękna postać, prawda? - powiedział Mark z zakłopotaniem.

- Niepiękna - przyznała ze smutkiem.

Był taki, jak o nim mówiono: uroczy na początku znajomości, kochający i dobry. Ale każda z wypowiadających się osób przyznawała, że uważa go za niebezpiecznego.

- I co mam teraz zrobić?

Pytanie to skierowała raczej do siebie, patrząc w zimowe niebo za oknem. Myślała o Finnie, żałując z całego serca, że ich związek nie mógł pozostać tym, czym był na początku.

- Nie wracaj do niego - poradził jej Mark rozsądnie. Rozważała to przez chwilę, pamiętając, jak bardzo była wyprowadzona z równowagi, kiedy opuszczała ich wspólny dom. Przyszło jej do głowy, że może zamierzał doprowadzić ją do

samobójstwa, ale chciał przedtem dostać kilka milionów dolarów. A gdyby za niego wyszła, w razie jej śmierci mógł liczyć na dużo więcej. Gdyby miała z nim dziecko, bez trudu wykorzystywałby ją do końca życia.

- Powinnam jednak do niego wrócić i wyjaśnić to z nim. Dla własnego spokoju.

Było w nim dwóch ludzi. W pierwszym z nich się zakochała, ten drugi był człowiekiem opisywanym w raportach detektywa. Musiała brać pod uwagę i to, że rodzice jego żony obciążali go nadmiernie, bo winili go za śmierć córki.

Biła się z myślami, starając się wątpliwości rozstrzygnąć na jego korzyść. Ale nie było łatwo to zrobić w świetle sprawozdania, które właśnie przeczytała.

- Mieliliśmy się pobrać - powiedziała. - Dla własnego dobra powinnam się dowiedzieć, jaka jest prawda.

- A jeśli on cię zabije? - spytał krótko Mark.

- Nie zrobi tego. Nie zabił żadnej z tych kobiet, nawet żony. To był wypadek. Tak uznał sąd i policja. Myślę, że po prostu spróbuje wyciągnąć ode mnie tyle pieniędzy, ile zdoła.

To też nie wyglądało dobrze. Wciąż chciała wierzyć, że kochał ją naprawdę.

- Zanim wrócę do Dublina, odezwę się do twojego prawnika. Dzięki temu będę miała tam kogoś znajomego, do kogo w razie czego można zadzwonić po pomoc.

W Irlandii czuła się dotąd bardzo samotna, a Finnowi w żadnym razie nie mogła już ufać. Kimkolwiek i czymkolwiek był, jakąś część jego osobowości wypełniało czyste zło. Ku własnemu zaskoczeniu, po przeczytaniu raportu wcale nie zaczęła się go obawiać. Była przekonana, że w Finnie tkwi również dobro. Wciąż jeszcze w to wierzyła. Wiedziała też z całą pewnością, że nie zwariowała. Ale nie mogła wykluczyć, że on jest szalony. Może właśnie dlatego napisał te mroczne powieści. Ich postacie wciąż żyły w jego wyobraźni. One także były nim. Były tym, co ukrywał, czego nie można było w nim wypatrzyć na pierwszy rzut oka.

- Nic mi się nie stanie - uspokoiła Marka, oddając mu teczkę z raportem. - Muszę tam pojechać, żeby jakoś to zakończyć. Zadzwonię do ciebie przed wyjazdem.

Chciała zostać sama, by opłakiwać człowieka, którego kochała, a który prawdopodobnie nigdy nie istniał.

Po wyjściu Marka zapanowała cisza, która aż dzwoniła w uszach. Nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o cudownych miesiącach, jakie przeżyła z Finnem, kiedy jeszcze ufała mu bezgranicznie i kochała go, i wszystko to wydawało się tak bardzo prawdziwe. Łzy spływały po jej policzkach, bo teraz już wiedziała, że każde słowo, jakie od niego wtedy usłyszała, mogło być kłamstwem. Ciężko jej było to przyznać, a jeszcze ciężiej się z tym pogodzić. Jej wspólne życie

z Finnem być może nigdy nie było niczym więcej niż snem. Tak, snem. Snem, który w końcu przerodził się w nocny koszmar. I teraz naprawdę nie wiedziała już, kim był Finn. Miłym i dobrym facetem, który się w niej zakochał, czy nieudacznikiem i oszustem opisanym w raporcie? Wiedziała tylko jedno: trzeba tam wrócić, stanąć z nim oko w oko i poznać prawdę.

Rozdział osiemnasty

Hope odczekała do czwartej nad ranem, żeby zadzwonić do Roberta Bartletta, gdy w Irlandii będzie dziewiąta rano. W drżącej dłoni trzymała kartkę z jego numerem. Telefon odebrała recepcjonistka. Poprosiła, by Hope poczekała, w słuchawce rozległa się muzyka, i po chwili Hope rozmawiała z sekretarką, która obiecała, że Robert Bartlett oddzwoni później. To nie było dobre rozwiązanie, więc wyjaśniła, że dzwoni z Nowego Jorku, i już po chwili Bartlett odebrał telefon. Miał miły głos i mówił z amerykańskim akcentem. Mark Webber przysłał mu e-maila w jej sprawie. Słyszał też o niej od szefa nowojorskiego biura. Firma, dla której pracował, kancelaria prawnicza Johannsen, Stern i Grodnik, miała oprócz swojej nowojorskiej siedziby przedstawicielstwa w sześciu miastach amerykańskich, a także zagraniczne placówki rozrzucone po całym świecie. Robert Bartlett był przez pewien czas szefem kancelarii nowojorskiej, po czym poproszono go, by poprowadził przedstawicielstwo w Dublinie, gdy jego poprzednik zachorował na raka i zmarł. W Dublinie Bartlett mieszkał już od dobrych paru lat i bardzo mu się tam podobało. Ale za kilka miesięcy miał wrócić do Nowego Jorku. Wiedział, że będzie tęsknił za Irlandią.

Nie wiedział dokładnie, na czym polegały problemy

Hope, ale za to wiedział, kim była. Wiedział też, że była ważną klientką firmy. Nie musiał się zastanawiać, która godzina jest w Nowym Jorku. Chociaż nie znał Hope, od razu wyczuł napięcie w jej głosie, kiedy się przedstawiała.

- Wiem, kim pani jest, pani Dunne - powiedział przyjaźnie, kiedy chciała zacząć mu to wyjaśniać. - Co mogę dla pani zrobić? W Nowym Jorku jest teraz noc.

Pomyślała, że jest otwarty i ma w sobie spokój. Jego głos brzmiał zaskakująco młodo.

- To komplikacje natury osobistej - powiedziała powoli. Nie wiedziała nawet, o co mogłaby go prosić ani co sama zamierza zrobić. Było jej trochę głupio, że zwraca się do człowieka, którego w ogóle nie zna. Potrzebowała pomocy. Może nie teraz, ale wiedziała, że może jej potrzebować w przyszłości. Był prawnikiem, a nie psychologiem ani ochroniarzem, ci zapewne przydaliby się bardziej, więc obawiała się, że to, co mu powie, zabrzmi niemądrze. Ale potrzebny jej był ktoś tam, na miejscu, do kogo mogłaby zadzwonić w razie kłopotów. Nie chciała być zupełnie sama, kiedy wróci. A on był jedyną osobą, do której mogła się zwrócić.

- Nie wiem jeszcze, jakiego rodzaju pomocy będę od pana potrzebowała. I nie wiem, czy w ogóle będę jej potrzebowała. Mój agent, Mark Webber, uważał, że powinnam do pana zadzwonić.

Po przeczytaniu drugiego raportu była tego samego zdania. Potrzebowała wsparcia, gdyby z jej związku z Finnem wynikły jakiegokolwiek prawne komplikacje. Chciała, żeby wszystko się jakoś samo ułożyło, ale wiedziała, że może się stać inaczej. A po przeczytaniu drugiego raportu musiała się liczyć z tym, że nie wszystko pójdzie gładko.

- Jestem do usług. Jeśli cokolwiek będę mógł dla pani zrobić, zrobię to bez wątpienia.

Był uprzejmy. Miała wrażenie, że rozmawia z człowiekiem inteligentnym i cierpliwym. Krępowwała się powiedzieć mu, że potrzebuje jego rady w związku z nieszczęśliwą miłością, ale pewnie będzie musiała. Choć tak naprawdę nie chodziło przecież o lekarstwo na nieszczęśliwą miłość, tylko o ocenę niebezpieczeństwa, o określenie ryzyka. Wiele zależało od tego, kim naprawdę okaże się Finn. Ile ona sama dla niego znaczyła i do jakiego stopnia był nieuczciwy. Na pewno bardzo zależało mu na pieniądzach. Ale jak bardzo? Może tym razem jego uczucia były prawdziwe pomimo tego, co wyczytała z raportów o jego przeszłości. Może jednak kochał ją naprawdę. Chciała w to wierzyć. Ale to wydawało się w tej chwili bardzo wątpliwe. I nie do sprawdzenia, póki nie wróci do Blaxton House.

- Trudno mi o tym mówić. Chyba znalazłam się w kłopotach - powiedziała. Jej mieszkanie tonęło w mroku. W Nowym Jorku była czwarta nad ranem, głęboka noc, pora, kiedy lęki ogromnieją, kiedy wszystko wydaje się bardziej groźne niż w rzeczywistości. Rankiem wszystko powraca do właściwych rozmiarów. - Rok temu wdałam się w romans z pewnym człowiekiem, który mieszka w Irlandii między Blessington i Russborough. Ma też dom w Londynie. Jest bardzo znanym pisarzem, miał wiele sukcesów, chociaż akurat w tym momencie jego zawodowa i finansowa sytuacja jest katastrofalna. Nasza znajomość rozpoczęła się od sesji zdjęciowej, którą przeprowadziłam na zlecenie jego wydawcy. Po pracy przyjął jego zaproszenie na kolację, a potem przyjechał do mnie, do Nowego Jorku. Prawdę mówiąc, zupełnie mnie tym zaskoczył. Został przez kilka tygodni i od tamtej pory prawie się nie rozstawaliśmy, mieszkaliśmy albo u mnie, albo u niego. Mam mieszkanie w Nowym Jorku i dom na Cape Cod. Byliśmy razem i tu, i tu, choć najdłużej u niego w Irlandii. Powiedział mi, że dom jest jego własnością, ale odkryłam, że to nieprawda. Okazało się, że tylko go wynajmował.

Robert Bartlett od czasu do czasu wydawał z siebie zachęcające pomruki, jednocześnie notując coś na kartce, żeby nic mu nie umknęło, jeśli będzie musiał wrócić do tych informacji.

- Wynajmował ten dom, nie był jego właścicielem - podjęła wątek po chwili milczenia. - Mówił, że to dom jego przodków, że odzyskał go przed dwoma laty.

Kłamał. Może wstydził się przyznać, że dom do niego nie należy. W istocie trzy poważne kłamstwa odkryłam prawie równocześnie, po dziewięciu miesiącach, w czasie których nasz związek wydawał mi się absolutnie doskonały. Nigdy w życiu nie byłam szczęśliwsza, nigdy nie znałam miłszego człowieka. Ale nagle, po dziewięciu miesiącach, wyszły na jaw trzy kłamstwa.

Mówiła o tym ze smutkiem w głosie.

- Jak pani to odkryła? - spytał Bartlett, którego zaciekawiła ta historia. Miał wrażenie, że rozmawia z inteligentną kobietą, nie wydawała mu się naiwna, więc jeśli dała się nabrać, to oszust musiał być bardzo sprawny i przekonujący. Wyglądało na to, że z początku nie miała powodu o nic go podejrzewać.

- Każde z jego kłamstw wyszło na jaw przez przypadek. Mówił mi, że jako wdowiec sam wychowywał syna. Jego syn przyjechał do nas z wizytą. Powiedział mi, że w dzieciństwie prawie nie znał ojca. Nie było tak, jak mówił mi Finn... Finn to imię tego człowieka.

W tym momencie Bartlett wiedział już, o kim rozmawiają, ale powstrzymał się od komentarza. To bez wątplenia była literacka gwiazda pierwszej wielkości, tak jak ona była gwiazdą fotografii. Nie znalazła sobie bezdomnego typka z rogu ulicy. Dlatego z początku niczego nie podejrzewała, to jasne. Mogło jej się wydawać, pomyślał, że będą parą godnych siebie partnerów, nawet jeśli tak nie było.

- Jego syn powiedział mi, że wychowali go w Kalifornii dziadkowie ze strony matki. Z ojcem zaczął się spotykać dopiero jako student, i to niezbyt często. To było zupełnie niezgodne z opowieściami jego ojca. Spytałam o to i Finn z wielkim wstydem przyznał się do kłamstwa. Musiał przyznać, że z synem ledwo się znali. Mówił mi też, że on i jego żona nie byli dobrym małżeństwem i prawdopodobnie rozwiedliby się, gdyby nie jej śmierć. Kiedy zginęła, chłopiec miał siedem lat. Ale do tego wrócę później. Kiedy odkryłam, że dom został przez niego wynajęty, upierał się nadal, że kiedyś należał do jego przodków ze strony matki. Wierzyłam w to, ale to także okazało się ścierną... Przepraszam.

Zawstydziła się, a on się uśmiechnął.

- W porządku. Tutaj w kancelarii tego słowa nie używamy, ale kumam.

Roześmieli się oboje. Poczuli, że zaczyna go lubić. Słuchał jej z uwagą i współczuciem, mimo że wszystko to nawet jej samej wydawało się trochę szalone.

- Twierdził, że bardzo się wstydził, że nie stać go na ten dom, dlatego skłamał. Mieliśmy się pobrać, więc w kwietniu kupiłam ten dom - powiedziała nie bez zażenowania.

- To był prezent? Na akcie własności figuruje jego nazwisko? - zapytał bez przygany w głosie.

- Kupiłam dom na swoje nazwisko, ale zamierzałam dać mu go w prezencie ślubnym. W tej chwili dom należy do mnie i mam z Finnem umowę najmu za symboliczną kwotę. Za dwieście dolarów miesięcznie. Tylko po to, żeby stworzyć czystą sytuację. Zapłaciłam za dom półtora miliona dolarów. I drugie tyle włożyłam w jego remont. I jeszcze milion kosztowały meble.

Utopiła w tym domu fortunę. I chociaż formalnie należał do niej, wszystko to zrobiła wyłącznie dla Finna.

- Kiedy kupiłam dom, zapisałam mu go w testamencie. W razie mojej śmierci ma przejść na jego własność, w całości i bez żadnych zobowiązań.

- Czy on o tym wie?

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba wspomniałam o tym raz czy dwa. Musiałam mu o tym powiedzieć. Uważałam, że to mu się należy, bo wierzyłam, że to gniazdo rodowe jego przodków. Kilka tygodni temu odkryłam, że jego przodkowie nie mieli nic wspólnego z tym domem. To także było kłamstwo, jedno z wielu. Ale zrobił tyle hałasu wokół swojego rzekomego wstydu, że nie mógł tego domu odkupić... Wierzyłam święcie w tę jego historyjkę.

- Musiał być niezłym aktorem.

Jak dotąd prawnik zyskiwał coraz większą sympatię Hope. Nie był arogantem.

- Powiedziałaś mu też o pieniądzach, które dał mi po rozwodzie mój były mąż. Nie chciałam mieć przed nim żadnych tajemnic. Zapytał mnie, ile tego jest, więc mu powiedziałam. Pięćdziesiąt milionów. I drugie tyle, gdyby mój były mąż umarł - dodała ciszej.

- Miejmy nadzieję, że będzie żył sto lat - powiedział Bartlett uprzejmie. Zapadło milczenie, Hope musiała wziąć głębszy oddech.

- Umarł w zeszłym tygodniu. Od jedenastu lat był nieuleczalnie chory. Właśnie dlatego się ze mną rozwiódł. Nie chciał złamać mi życia. Ale ja wolałabym... - Urwała.

- Bardzo mi przykro. Proszę pozwolić mi podsumować. Ma pani oprócz tamtych pieniędzy jeszcze pięćdziesiąt milionów po mężu... przepraszam... po byłym mężu, który zmarł. Dobrze zrozumiałem?

- Tak.

Usłyszała ciche gwizdnięcie i uśmiechnęła się.

- Tak, to bardzo dużo. Mąż sprzedał swoje udziały w spółkach produkujących nowoczesny sprzęt medyczny i wyszedł na tym bardzo dobrze. Finn wiedział, ile mam pieniędzy. Wiedział, skąd się wzięły.

- Prosił panią o pieniądze?

Według Bartletta Finn nie powinien prosić o nic takiego. Kupiła przecież dom, w którym mieszkał, i obiecała, że dostanie ten dom po ślubie albo w razie jej śmierci. Zatem tak czy owak był wygrany.

- Dopiero ostatnio - odpowiedziała. - Chciał dostać pięć milionów przelewem na swoje osobiste potrzeby. A po ślubie jeszcze więcej. Ale wyskoczył z tym po raz pierwszy w ostatnim miesiącu. Przedtem nigdy nie wspominał o pieniądzach. Znalazł się w kłopotach finansowych. To ma związek właśnie z trzecim z kłamstw, o których wspomniałam. Powiedział mi, że podpisał fantastyczny kontrakt wydawniczy i ma dostać mnóstwo pieniędzy. Poszliśmy nawet do restauracji, żeby to uczcić. Ale zaraz potem się dowiedziałam, że zalega z dwiema książkami, które miał już dawno oddać do druku. Zerwano umowę, może zostać pozwany do sądu. Może go to kosztować trzy miliony dolarów.

- Potrzebował tych pieniędzy, żeby zawrzeć ugodę z wydawcą? Chciał dostać je od pani w charakterze pożyczki?

- Nie. Chciał je dostać na zawsze. To więcej, niż oni żądają. Więcej o dwa miliony. Nie wiem, czy ten proces w ogóle się odbędzie. On postara się grać na zwłokę i dać im w końcu te książki. Ale w tej chwili w świecie wydawniczym ma zaszarganą opinię. I został bez pieniędzy. Nie ma ani centa. Powiedział mi, że nie chce mnie prosić o kieszonkowe. Zaproponowałam, że otworzę mu subkonto z jakąś umiarkowaną sumą, zasilane co miesiąc, a oprócz tego będę płacić wszystkie rachunki tak, że nie będzie miał żadnych większych wydatków. Ale uparł się przy pięciu milionach i żądał, żeby przelać je na jego własne konto. Nie życzył sobie mojej kontroli nad jego wydatkami. Wspominał też, że po ślubie zażąda jeszcze więcej.

- A kiedy miało dojść do tego ślubu? - Bartlett miał nadzieję, że nieprędko. To, co słyszał, nie przedstawiało się zachęcająco.

- Z początku planowaliśmy pobrać się w październiku - oszczędziła mu historii o poronieniu, które miało miejsce w czerwcu. Nie musiał tego wiedzieć, jej zdaniem nie miało to nic wspólnego ze sprawami, o których rozmawiali, a samo wspomnienie sprawiało jej ból. - A potem zdecydowaliśmy się na ślub w sylwestra. Ostatnio powiedziałam mu, że wolę poczekać do czerwca. Był wściekły, kiedy to usłyszał.

- Nie dziwię się. - Nie podobało mu się to wszystko, ale kiedy się zastanowił, zauważył, że jest jeszcze gorzej, niż myślał. - Ten człowiek ma wiele do zyskania, jeśli pani za niego wyjdzie. Dom... nie tylko ten jeden. Pieniądze. Pozywa społeczną. Zdaje się, że wykazała pani wobec niego dużo wielkoduszności i była pani przygotowana na jeszcze więcej, a on przy tym dokładnie znał pani stan posiadania, więc wiedział, o co walczy, pani Dunne.

- Proszę nazywać mnie Hope. Tak, ma pan słusność - potwierdziła spokojnie, patrząc w okno w swoim ciemnym mieszkaniu. Finn wiedział dokładnie, co miała. Wiedział, ile z tego chce przejąć. Może wszystko.

- Płaci pani domowe rachunki. Czy on nie dorzuca się do kosztów utrzymania domu?

- Nie, nigdy. ,

- A w przeszłości?

- Właściwie nie. Kupował gazety. Od czasu do czasu wyprawiał się do sklepu z narzędziami. Ale zwykle wszelkie zakupy zostawia mnie.

No to pięknie. Święte życie dla takiego typu, pomyślał Bartlett, ale zachował tę uwagę dla siebie.

- Miał płacić uzgodnioną sumę za wynajem, ale nie płacił. Tę sumę wyznaczyłam po to, żeby nie urazić jego dumy.

Ale Bartlett był przekonany, że ten człowiek nie miał w sobie dumy takiego rodzaju. Miał tylko chciwość.

- Bardzo mu zależało na tym, żebym urodziła dziecko - ciągnęła dalej Hope. - Nalegał, żeby przedsięwziąć specjalne środki, które miały doprowadzić do tego, żebym zaszła w ciążę. Zawiózł mnie nawet do Londynu, do specjalistki od spraw płodności.

- I co? Zaszła pani w ciążę? - spytał Bartlett trochę nerwowo.

- Nie, to znaczy... Tak, ale potem doszło do poronienia. Był bardzo niecierpliwy, chciał spróbować po raz drugi. Ale ja wolałam z tym jeszcze poczekać. A teraz...

- Niech pani z tym bardzo uważa, Hope. Jeśli będzie pani miała z nim dziecko, nigdy się nie odczepi ani od pani, ani od dziecka. On bardzo dobrze wie, co robi.

- Próbował tego z rodziną swojej żony po jej śmierci. Chciał nawet ograbić syna. Nie wiem, czy chłopak o tym wie. Coś mi mówi, że nie.

- Tak... Teraz nie może pani zająć z nim w ciążę, mam nadzieję, że pani to rozumie.

Sprawiał na niej wrażenie porządnego faceta stąpającego twardo po ziemi. Kiedy do niego mówiła, sama zaczynała lepiej rozumieć swoją sytuację.

- Oczywiście, że rozumiem... Jeszcze jedno. Znalazłam fotografię dziewczyny, z którą chodził w młodości, wiele lat temu. Powiedział mi, że popełniła samobójstwo, kiedy była z nim w ciąży. I kiedy mi o tym opowiadał, spytał nagle, czy byłabym do tego zdolna. Przez chwilę miałam wtedy wrażenie, że uznał jej śmierć za hołd dla siebie, za dowód jej miłości.

Robert Bartlett był tym wszystkim dosyć przerażony, choć starał się nie dać jej tego odczuć. Sytuacja nie była bezpieczna, choć w pewnym sensie wyglądała mu

znajomo. Z opowieści wyłaniał się portret typowego socjopaty. Ona zaś była dla kogoś takiego wymarzoną ofiarą. Mieszkała z nim w Irlandii, gdzie nie знаła nikogo, nie miała tam przyjaciół ani rodziny, kochała go i miała pieniądze, dużo pieniędzy. Była w jego rękach, zdana na łaskę i niełaskę, a po ślubie jej sytuacja mogła się tylko pogorszyć. Robert Bartlett był zadowolony, że do niego zadzwoniła. Zapytał ją, czy ma dzieci z poprzedniego małżeństwa. Po jej stronie znowu na chwilę zapadła cisza.

- Miałam córkę. Umarła na zapalenie opon mózgowych cztery lata temu. Studiowała w Dartmouth.

- Bardzo pani współczuję. - Zabrzmiało to szczerze w jego ustach i ujęło ją. - Trudno mi sobie wyobrazić gorsze nieszczęście. Mam dwie dziewczyny, studentki. Zawsze się o nie niepokoiłem, nawet kiedy wychodziły wieczorem do klubu.

- Wiem, jak to jest - powiedziała cicho.

Robert Bartlett uprzytomnił sobie, że jeśli nie ma dzieci, to nie było nikogo, kto mógłby mieć oko na to, co się wokół niej dzieje i w razie czego ją ostrzec. Osoba taka jak ona była marzeniem każdego socjopaty. Kobieta samotna, bez rodziny, do tego piekielnie bogata. A co gorsza, wyczuwał, że musiała być w tym typie zakochana po uszy, i może kochała go jeszcze teraz, po tym wszystkim. Słuchało się tego z niedowierzaniem. Jak gdyby próbowała, opowiadając mu swoją historię, dopasowywać elementy układanki i czekała na pocieszenie, na zapewnienie, że nie ma się czym niepokoić, że nie jest tak, jak na to wygląda. Ale tego nie mógł dla niej zrobić. Sprawa naprawdę wyglądała bardzo źle. Przerażająco. To, że była gotowa wierzyć w niewinność tego człowieka, zaniepokoiło go dodatkowo. Wystarczyło wiedzieć tyle, ile się od niej dowiedział, by rozumieć, że znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Finn O'Neill najwyraźniej był mistrzem manipulacji. Samobójstwo dziewczyny, z którą chodził, mocno go obciążało, podobnie jak naleganie, by Hope urodziła dziecko. Ale jeśli chciał mieć z nią dziecko, to znaczyło przynajmniej tyle, że nie zamierzał doprowadzić do jej śmierci. Na razie żywa była dla niego bardziej użyteczna. Żywa, poślubiona mu i najlepiej w ciąży. Chyba że zacznie sprawiać kłopoty, przeszkadzać mu w jego planach. Ale właśnie zdecydowała się na postępowanie, które mogło zniweczyć jego plany: odłożyła ślub o pół roku, odmówiła pieniędzy i nie zamierzała zachodzić w ciążę. To były dla niego same złe wiadomości. Oznaczały, że będzie musiał jeszcze bardziej się przyłożyć, żeby ją przekonać. A jeśli mu się to nie uda, ona znajdzie się w niebezpieczeństwie. Jak Bartlett dobrze wiedział, socjopaci najchętniej doprowadzali swoje ofiary do tego, by odechciało im się życia. Zawsze woleli oszczędzić sobie mokrej roboty. W taki sposób ten człowiek obszedł się ze

swoją dziewczyną, która popełniła samobójstwo. Ale Hope nie sprawiała wrażenia zaszczutej. Bartlett był zadowolony, że Mark Webber skierował ją do niego. Miał trochę doświadczenia z podobnymi sprawami. Finn O'Neill sprawiał jednak wrażenie gracza wysokiej klasy. Był w tym wyjątkowo dobry.

- I to są kłamstwa, które odkryłam - powiedziała Hope. - Ale ostatnie z nich, to na temat propozycji nowego kontraktu, kiedy już groził mu proces, zupełnie wyprowadziło mnie z równowagi. Kiedy złapałam go na tym kłamstwie, wyjaśnił, że wstydził się powiedzieć prawdę, bo za bardzo kontrastowałyby z moimi sukcesami. Zawsze używa tej samej wymówki. Kłamie, bo się wstydzi. Ale myślę, że to też jest kłamstwo. Między nami wszystko się dobrze układało do czerwca, to znaczy do czasu, gdy nastąpiło poronienie. Zaczął mnie obwiniać, twierdził, że poronienie było następstwem mojej nieostrożności. Był bardzo zawiedziony, bardzo rozgniewany, bardzo nieprzyjemny. I koniecznie chciał, żebym niezwłocznie znowu zaszła w ciążę. Ale lekarz kazał mi z tym poczekać. Bartlett skrzywił się i sposepniał.

- Zanim to się stało - ciągnęła - zachowywał się wobec mnie cudownie. I tak bardzo pragnął dziecka... Nie korzystaliśmy ze środków wspomagających płodność. Po badaniach wiedzieliśmy, że to właśnie moment owulacji. Upił mnie i kochaliśmy się bez zabezpieczenia. Wiedział, co robi.

Bartlett zauważył, że nie będzie jej musiał o tym przekonywać.

- I to wystarczyło. Przez następne miesiące było cudownie. A potem, parę tygodni po poronieniu, uspokoił się i w ciągu lata znowu było wspaniale. Teraz jest na mnie wściekły prawie bez przerwy. Od czasu do czasu wraca jeszcze to, co między nami było kiedyś, ale potem wstępuje w niego szatan. Pije więcej niż dawniej. Myślę, że jest wyprowadzony z równowagi procesem, który chcą mu wytoczyć. Ale nie pisze. I wściekł się, kiedy odłożyłam ślub. Ni stąd, ni zowąd zaczął się ze mną bez przerwy kłócić. I zawsze o to, że nie chcę zrobić tego, czego żąda. Wcześniej tego nie było. Zachowywał się jak skończony dżentelmen. I nadal jeszcze bywa taki. Czasem nastrój zmienia mu się z chwili na chwilę. Potrafi wpadać z jednej skrajności w drugą, miota się od miłości do wściekłości albo odwrotnie, tak gwałtownie, że aż dostaję zawrotu głowy. Zanim opuściłam Dublin przed tygodniem, byłam już tak skołowana, że nie wiedziałam, co mam myśleć. A on powtarzał mi w kółko, że nie jestem przy zdrowych zmysłach. Już prawie zaczęłam mu wierzyć.

- Na pewno bardzo by chciał, żeby pani w to uwierzyła. Ale rozmawiam z panią, Hope, i mogę panią zapewnić, że jak najbardziej jest pani przy zdrowych zmysłach. Nie studiowałam psychiatrii, ale zdaje się, że to podręcznikowy

przykład socjopaty. Taki będzie próbował robić pani pranie mózgu, będzie się starał zbić panią z tropu. Kiedy poprosił o pieniądze?

- Parę tygodni temu. Poprosił o nie tak po prostu, jakby to było naturalne. Odmówiłam, i od tamtej pory kłóciliśmy się bez przerwy. To mnie zaniepokoiło, więc kiedy pojechałam do Nowego Jorku w sprawach zawodowych, przy okazji poprosiłam Marka Webbera, żeby pomógł mi przeprowadzić małe śledztwo.

Westchnęła i opowiedziała mu, czego dowiedziała się z raportów wynajętego detektywa.

- Jego brat też określił go jako socjopatę. Finn powiedział mi, że jest jedynakiem, ale i to okazało się kłamstwem. Miał trzech braci. Jego matka nie była córką arystokraty, tylko służącą. Jego ojciec nie był lekarzem, zginął w pijackiej burdzie. Żadna z rzeczy, które Finn mi o sobie opowiadał, nie była prawdą. W ten sposób dowiedziałam się, że dom, w którym mieszkamy, wcale nie należał do jego przodków. Każdy, kto kiedykolwiek go znał, potwierdza, że to patologiczny kłamca.

O tym Bartlett już wiedział.

- Drugą część raportu poznałam dopiero wczoraj. Wygląda nie lepiej niż pierwsza. Jego żona zginęła w wypadku samochodowym. Mówił mi, że była sama, kiedy to się stało. Nieprawda, on był z nią. Prowadził po pijanemu. Przeżyła wypadek, ale była w ciężkim stanie. Nie wezwał pomocy, zeznał, że był w szoku. Co prawda, biegły lekarz napisał w swojej opinii, że i tak nie miałyby szansy z tego wyjść.

Bartlett zauważył, że starała się oddać temu człowiekowi sprawiedliwość, szukała okoliczności łagodzących. Uznał, że to źle wróży. Kochała go nadal. Nie przetrwała jeszcze informacji, które otrzymała. Widocznie były dla niej zbyt wstrząsające, zbyt trudne do przyjęcia.

- Dostał wyrok w zawieszeniu na pięć lat za jazdę po pijanemu i udział w wypadku, śmiertelnym dla tamtego kierowcy. Było jeszcze wiele innych pomniejszych historii. Rodzice jego żony obwiniali go o jej śmierć. Twierdzą, że próbował wyłudzić od nich pieniądze. Te, które zostawiła synowi. A teraz żąda pieniędzy ode mnie. Pośrednio jest odpowiedzialny za śmierć dwóch kobiet. Swojej żony, która zginęła w wypadku, i tamtej samobójczyni. Nigdy nie usłyszałam od niego ani jednego słowa prawdy. I teraz już nie mogę mu ufać.

Kiedy to mówiła, załamał jej się głos.

Robert Bartlett byłby zdumiony tym, co mu opowiedziała, gdyby nie znał podobnych spraw. Taka właśnie była natura relacji między sogopatą i jego ofiarą. Sprzeczność między ich interesownością i arogancją a wyjątkową czułością, oddaniem i urokiem osobistym dezorientuje i paraliżuje ofiary, które chciałyby

wierzyć, że tylko to dobre wcielenie ich partnera jest rzeczywiste, a to złe jest jakimś nieporozumieniem. Ale z czasem coraz trudniej im wytrwać w tej wierze. I rozumiał, że Hope znalazła się już na tym etapie, kiedy ofiara zaczyna mieć wątpliwości. Otrząsnęła się z zauroczenia i zobaczyła Finna takim, jakim był. Choć całkiem zrozumiała, że nie mogła się z tym pogodzić. Ciężko przyjąć do wiadomości, że ktoś, kogo kochaliśmy, kto nas kochał, nie istnieje.

- Nie chciałbym, żeby pani także padła jego ofiarą - powiedział, przywołując ją do rzeczywistości.

Właściwie sama wiedziała już wystarczająco dużo. On obawiał się raczej zemsty socjopaty za to, że przejrzała na oczy. Obawiał się, że Hope może zginąć, jeśli tamten uniesie się gniewem albo uzna, że jest dla niego bezużyteczna. Albo doprowadzi ją do samobójstwa, albo zainscenizuje wypadek.

- Ja też nie chcę paść jego ofiarą. Dlatego do pana zadzwoniłam. - Jej głos brzmiał tak, jakby pękało jej serce.

- Pierwszy okres waszej znajomości, kiedy ten człowiek był wobec pani taki ciepły i kochający, fachowo nazywa się „fazą odzwierciedlania”. Socjopata stara się odzwierciedlać w swoim zachowaniu wszystkie pani potrzeby, pragnienia i marzenia. Dopiero potem szydło wychodzi z worka - powiedział Robert Bartlett i zapytał łagodnie: - Co pani zamierza zrobić, Hope?

Współczuł jej szczerze, rozumiejąc lepiej niż większość ludzi, jak ciężko jest stawić czoło podobnej sytuacji i przedsięwziąć odpowiednie działania.

- Nie wiem, co robić. Wiem, że to zabrzmiało głupio. Byłam z nim tak bardzo szczęśliwa przez dziewięć miesięcy i nagle, jedna po drugiej, zaczęły się te okropne rzeczy. Nikt nie był dla mnie taki dobry i miły. Najbardziej chciałabym, żeby wróciło to, co przeżyłam z nim na początku.

Ale to było równie niemożliwe, jak tchnąć życie w zatopiony wrak „Titanica”. Zaczynała zdawać sobie z tego sprawę. Tylko jeszcze nie była tego całkiem pewna. Byłaby szczęśliwa, gdyby Finn potrafił odeprzeć te wszystkie straszne zarzuty. Czasem żałowała, że w ogóle brała do ręki te sprawozdania wynajętego detektywa. Wolałaby wierzyć w swoje marzenia. Wolałaby, ale już nie wierzyła. Po prostu musiała tam wrócić i przekonać się, kim naprawdę jest jej Finn. Każdy, komu opowiedziałyby, co czuje, uznałby, że oszalała. Każdy, ale nie Robert Bartlett. Miała szczęście, że trafiła akurat na niego.

- To już nigdy nie wróci, Hope - powiedział delikatnie. - Człowiek, którego ujrzała pani na początku, w którym się pani zakochała, nigdy nie istniał. A ten prawdziwy jest potworem bez serca i sumienia. Mogę się oczywiście mylić. Nie da się wykluczyć, że jest tylko ciężko zaburzony. Ale myślę, że oboje wiemy już, z czym pani ma do czynienia. Na początku występował przed panią jak aktor. Ale

teraz przedstawienie się kończy. Jesteśmy w trzecim akcie, kiedy łajdak przed niczym się nie zawaha.

Wszystkie swoje książki Finn napisał o podobnych postaciach.

- Może pani do niego wrócić i przyjrzeć mu się jeszcze raz, żeby nabrać pewności. Nie sposób pani tego zabronić. Ale w ten sposób wystawi się pani na niebezpieczeństwo. Może na bardzo poważne niebezpieczeństwo. Jeśli pani zamierza tam wrócić, musi pani mieć przygotowaną drogę odwrotu i zmykać, gdzie pieprz rośnie, gdy tylko pani wyczuje zagrożenie. Nie może pani z nim negocjować. Zazwyczaj nikomu o tym nie mówię, ale sam mam podobne doświadczenia. Ożeniłem się z Irlandką, piękną kobietą. Najpiękniejszą i najmiłą, jaką kiedykolwiek poznałem. Wierzyłem każdemu jej słowu, a jej historia przypominała życie tego człowieka. Wychowała się w nędzy, oboje rodzice pili. Umieszczano ją w domach dziecka, gdzie była traktowana bardzo źle i wyniosła stamtąd makabryczne wspomnienia. Miała twarz anioła, ale serce szatana. Bronilem jej w sądzie w procesie o nieumyślne spowodowanie śmierci. Byłem młody, świeżo po aplikacji adwokackiej. I absolutnie przekonany, że jest niewinna. Nuala zabiła swojego chłopaka. Twierdziła, że chciał ją zgwałcić. Istniały dowody, które na to wskazywały. Wierzyłem jej. Wyciągnąłem ją z tego. Ale dziś nie mógłbym powiedzieć, że zasługiwała na zaufanie. Zaraz po tym procesie wziąłem z nią ślub. Parę lat później opuściła mnie, zabierając ze sobą dzieci i wszystkie pieniądze. Zostałem sam, ze złamanym sercem. Ale wróciła... Po to, żeby mnie zabić. Przyszła w nocy i dźgnęła mnie nożem. Zrobiła to tak, żebym myślał, że miało miejsce włamanie. Ale wiedziałem. A mimo to wracałem do niej trzy razy, ignorując wszystko, co mówił mi rozum. Kochałem ją, byłem od niej uzależniony jak od narkotyku. Chciałem ratować małżeństwo i nie tracić kontaktu z dziećmi. Siedem lat temu wyjechała z nimi do Irlandii. I właśnie wtedy jakimś cudem nasza centrala zaproponowała mi pracę w Dublinie. Przyjąłem ją, szczęśliwy, że będę blisko dzieci. Nie zdołałbym jej zmusić, żeby wróciła do Stanów. Dzięki Bogu, dzieci mają się dobrze. Młodsza córka właśnie dwa miesiące temu wyjechała na studia do Stanów, starsza była tam już od roku. A ja wiosną wracam do Nowego Jorku. Ona po mnie miała jeszcze dwóch mężów. Obu poślubiła dla pieniędzy. Jeden z nich zmarł dwa lata temu z powodu wstrząsu anafilaktycznego po zażyciu leku, który mu podała. Był na niego uczulony. Udało jej się przekonać sędziego, że to była pomyłka. Odziedziczyła po nim cały majątek. Od niedawna ma nowego męża i niewykluczone, że nowe małżeństwo skończy się podobnie. To kobieta zupełnie pozbawiona sumienia. Powinna siedzieć w więzieniu, ale wiem, że nigdy się tam nie znajdzie. Jej pasją jest

łamanie reguł, a największą radością bezkarność. W ten sposób rozlicza się ze światem za swoje krzywdy. Nikt, kto ma z nią do czynienia, nie jest bezpieczny.

- Dlatego - dodał po chwili - domyślam się, co pani przeżyła, i mogę zgadnąć, jak się pani czuje. Minęły lata, zanim zrozumiałem, że ta dobra Nuala była tylko aktorską kreacją stworzoną na mój użytek. Ale była tak cholernie przekonująca, że zawsze jej wierzyłem, niezależnie od tego, jak bezczelne były jej kłamstwa i jak straszne rzeczy miała na sumieniu. Dzieci w końcu przeniosły się do mnie, ale ona się tym nie przejęła. Ludzie tacy jak ona nigdy nie bywają dobrymi rodzicami. Dziecko staje się albo narzędziem ich złych uczynków, albo ich ofiarą. Teraz nie spotyka się już z córkami, i chyba wcale jej na tym nie zależy. Jest zajęta wydawaniem pieniędzy swojego nieżyjącego męża, tego nieszczęsnego faceta, któremu podała niewłaściwe lekarstwo. Wywołało ustanie akcji serca, czego z pewnością była świadoma. Odczekała godzinę, zanim wezwała pogotowie, bo była „wstrząśnięta”. Twierdziła, że kiedy umierał, spała i nic nie słyszała. Wszyscy jej uwierzyli. Nikt po nikim nie płakał tak jak ona po swoim mężu podczas śledztwa. Była niepokieszona. Tym razem znowu wyszła za męża za prawnika, który ją z tego wyciągnął. I nie obejdzie się z nim lepiej niż z innymi. Ale każdy facet, którego rzuciła, pomijając tych, którzy już nie żyją, rozpaczal po jej odejściu, i ja też rozpaczal. Trwało to lata, zanim się pozbierałem. Ale przekreśliłem ją i teraz nic już dla mnie nie znaczy. Choć zanim do tego doszedłem, wracałem do niej, sam się prosiłem o kolejny cios. Dlatego rozumiem panią. Jeśli musi pani tam jechać, jeśli nie wystarczą pani oczywiste fakty, to nikt pani nie powstrzyma. Na jednej szalce wagi leży to, co pani widziała i czuła przez te dziewięć miesięcy, na drugiej to, czego się pani dowiedziała o nim z raportu, więc pośrednio od ludzi, którzy go dobrze znali. Jeśli pani tam pojedzie, Hope, proszę działać ostrożnie. Z takimi ludźmi nie ma żartów. Gdy zaczniesz być gorąco, jedyne, co pani pozostanie, to brać nogi za pas. To najlepsza rada, jakiej mogę pani udzielić. Jeśli chce pani rozegrać z nim następną rundę, musi pani mieć oczy otwarte, musi pani uważnie słuchać, zawierzyć własnej intuicji. Gdyby cokolwiek panią zaniepokoiło albo przestraszyło, proszę zaufać prostym odruchom i wiać czym prędzej. Nie będzie czasu na pakowanie walizek.

Była to rada oparta na jego własnych doświadczeniach, o których słuchała zdumiona. Okropna historia. Ale jego żona dziwnie przypominała Finna.

- Nie mam już nikogo oprócz niego - powiedziała ze smutkiem. - I był dla mnie bardzo dobry. Oprócz Paula nie został mi nikt z rodziny. A teraz już nie żyje. I moja córka też nie żyje.

Mówiąc to, rozplakała się.

- Ludzie tacy jak on działają właśnie w ten sposób. Polują na samotnych, naiwnych, bezbronnych. Nie mogą odprawiać swoich czarów, kiedy wokół są ludzie i patrzą im na ręce. Zawsze starają się izolować swoje ofiary, tak jak on starał się izolować panią. Ofiary są wtedy zdane na ich łaskę i niełaskę. Wiedział, że pani nie ma nikogo oprócz byłego męża, który jest nieuleczalnie chory. Dlatego ściągnął panią do Irlandii, gdzie nie zna pani nikogo, ani rodziny, ani przyjaciół, gdzie nikt się o panią nie upomni. Była pani dla niego idealną ofiarą. Proszę o tym pamiętać. A kiedy właściwie chce pani wyruszyć?

Nie pytał, czy w ogóle chce wyruszyć, pytał od razu o datę. Przeszedł podobne cierpienia, więc rozumiał, że nie jest jeszcze gotowa, żeby zapomnieć i pójść swoją drogą. Potrzebowała następnej dawki bólu i strachu, bo wspomnienie dobrego i kochającego Finna było zbyt silne. Był to doskonały przykład dysonansu poznawczego: dwa komplety faktów, których nie da się ze sobą pogodzić. Z jednej strony miłość i dobroć, którą tak hojnie szafował, z drugiej arogancja i niewyobrażalne okrucieństwo, kiedy zdejmował maskę. Ale od czasu do czasu nakładał ją z powrotem, wpędzając swoją ofiarę w zupełną dezorientację. Jak rasowy socjopata przekonywał ją, że nie jest przy zdrowych zmysłach. Socjopaci doprowadzają w ten sposób zdrową psychicznie ofiarę do rozpacz, bo nie wie ona, czy widzi to, co widzi, czy czuje to, co czuje. W niektórych przypadkach dochodzi do samobójstwa. Bartlett nie chciał, by ten los spotkał Hope. Zamierzał ochronić ją przed nieszczęściem, przed śmiercią, i pomóc wydostać się z łap tego człowieka, kiedy będzie już gotowa się z nim rozstać. Wiedział aż za dobrze, że nie zrozumie tego nikt, kto sam nie miał podobnych przeżyć. A on miał.

Hope była pod wrażeniem jego historii i otwartości, z jaką ją opowiedział, jego uczciwości i współczucia dla jej pomieszanych emocji. Trudno jej było uporać się z pełnym rozdziwieniem między ich miłością z pierwszych miesięcy a tym, co zaniepokoiło ją ostatnio i co opowiadali o nim inni ludzie, którzy go znali. Zagubiła się w tych sprzecznościach jak typowa ofiara socjopaty. Jej pragnienie powrotu i wyjaśnienia wszystkiego do końca było kompletnie niezrozumiałe dla Marka Webbera. Ale Robert Bartlett miał podobne doświadczenia i rozumiał ją.

- Dziękuję, że nie nazwał pan tego skrajną głupotą. Na razie chciałabym mieć nadzieję, że kiedy wrócę, wszystko będzie znowu tak jak kiedyś.

- Zawsze mamy taką nadzieję w sprawach serca. I jest bardzo prawdopodobne, że tak właśnie będzie, przez jeden wieczór albo przez parę godzin. Tylko że nie wystarczy tego na dłużej. Bo to tylko fragment jego sposobu działania zmierzającego do osiągnięcia wszystkiego, na czym mu zależy. Jeśli pani mu tego nie da, jeśli stanie mu pani na drodze do jego celu, znajdzie się pani w kłopotach.

Socjo-pata w takiej sytuacji uderza jak grom. Mam nadzieję, że co najwyżej piekielnie panią przestraszy, że nie stanie się nic gorszego.

Wiedział, że zrobi co w jego mocy, by nie stało się nic gorszego. Tymczasem ona wciąż jeszcze miała nadzieję, że wszystko się dobrze skończy, że Finn okaże się jednak tym, za kogo go uważała, że zachowa się przyzwoicie i będzie ją dobrze traktował. Robert Bartlett nie miał złudzeń, ale Hope musiała się przekonać na własnej skórze. Może nawet więcej niż raz. Choć miał nadzieję, że jeden raz wystarczy. Sama pchała się w ręce socjopaty. Samotna, zdana tylko na siebie, bezbronna, pełna absurdalnej nadziei i niewierząca własnym oczom.

- Czemu nie miałyby pani spotkać się ze mną przed powrotem do tego domu? Proszę odwiedzić mnie w moim biurze w drodze z Dublina do Russborough. Napijemy się kawy, podam pani moje prywatne numery telefonów, a potem pojedzie pani do swojego Kuby Rozpruwacza.

Prowokował. Hope się roześmiała, ale wyobrażenie Kuby Rozpruwacza nie było zbyt przyjemne. Właściwie poczuła się głupio. Musiała jednak przyznać, że pomysł był dobry.

- Mógłbym zaproponować, że odwiedzę panią w jego domu, ale obawiam się, że w ten sposób tylko narobiłbym kłopotu. Socjopaci często są krańcowymi zazdrośnikami.

- Tak, jest zazdrosny. Przy każdej okazji oskarża mnie, że flirtuję z innymi. Nawet z kelnerami w restauracji.

- No właśnie. Moja żona zawsze podejrzewała, że romansuję z sekretarkami, z dziewczynami do dziecka, a nawet z kobietami, których w ogóle nie znałem, w końcu oskarżyła mnie, że coś mnie łączy z jakimś facetem. Musiałem bez przerwy się przed nią tłumaczyć i przekonywać, że to nieprawda. A potem się okazało, że to ona mnie zdradzała.

- Nie wydaje mi się, żeby Finn mnie zdradzał. - W jej głosie zabrzmiała pewność. - Ale podejrzewa mnie o romanse ze wszystkimi mężczyznami w okolicy, nie wyłączając naszego służącego.

- Proszę nie dawać mu żadnych powodów do złości, jeśli tylko się to pani uda. Niestety, oskarżenia w takich wypadkach prawie nigdy nie opierają się na faktach. Tak czy owak, lepiej nie drażnić bestii.

Nie przypuszczał, żeby dawała powody do podejrzeń. Nie sprawiała wrażenia osoby tego rodzaju. Wydawała mu się uczciwa, prostolinijna i godna zaufania. Ona zaś po tej rozmowie poczuła się znacznie spokojniejsza i silniejsza. I już więcej się nie zastanawiała, czy jest przy zdrowych zmysłach.

- Przypuszczam, że ten człowiek wda się z panią znowu w konflikt na tle finansowym. Dostać od pani pieniądze to teraz jego cel numer jeden. Następnie ślub. I być może dziecko.

Nie wspominał o tym, że socjopaci przeważnie są wyjątkowi pod względem sprawności seksualnej. Na przykład jego była żona była fenomenalna w łóżku, jak nikt, z kim kiedykolwiek miał do czynienia. Seks jest dla nich jednym z wielu narzędzi dominacji i uzależniania ofiary. Wszyscy mężczyźni, z którymi romansowała jego żona, w krótkim czasie popadali w skrajne zaślepienie. Do tego stopnia, że nie mieli pojęcia, co im grozi. Mogła doprowadzić ich do śmierci. Sam ledwie uniknął tego losu, wyrywając się z jej rąk. Miał sporą dozę zdrowego rozsądku i dobrego terapeuty, to go uratowało. Ale Hope też nie brakowało zdrowego rozsądku, choć wciąż jeszcze była zakochana i zaślepiona. Prawda była dla niej zbyt trudna do przełknięcia, a sprzeczności w zachowaniu Finna przerastały zdolność pojmowania normalnego, zdrowego człowieka. Toteż starała się wszystkie wątpliwości tłumaczyć na jego korzyść, tak jak większość ofiar. To nie była z jej strony głupota, tylko ufność, nadzieja i miłość, na którą obiekt jej uczuć nie zasługiwał.

Podczas tej rozmowy Hope postanowiła wrócić do Irlandii nazajutrz, wieczornym samolotem, którym lubiła latać, bo lądował w Dublinie z samego rana. Chętnie przyjęła zaproszenie Roberta Bartletta i zamierzała spotkać się z nim w drodze z lotniska do domu. Potrzebowała gruntu pod nogami. Umówili się na dziesiątą rano, bo wiedziała, że do tego czasu zdąży już przejść przez odprawę paszportową i celną oraz dojechać z lotniska do miasta.

- Doskonale. Będę wolny aż do popołudnia - zapewnił ją. I coś jeszcze przyszło mu do głowy. - Co chciałaby pani zrobić z tym domem, kiedy będzie już po wszystkim?

Nie był to przecież formalny rozwód z podziałem majątku.

- Nie wiem, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. - Nadal miała cień nadziei, że nie dojdzie do rozstania. - Teoretycznie mogłabym zatrzymać dom i dalej mu go wynajmować, ale nie jestem pewna, czy to by mi odpowiadało. Dom stałby się ogniwem, które by nas łączyło. A to kiepski pomysł. Z drugiej strony wyrzucenie go na bruk wydawałoby mi się czymś małostkowym.

Robert Bartlett sądził, że Finn nie zasługuje na nic lepszego, ale Hope najwyraźniej jeszcze nie dojrzała do takiej decyzji. Wciąż liczyła na coś, co nie mogło się wydarzyć. Mimo wszystko uważał, że nie jest za wcześnie, by poruszyć tę kwestię.

- Nie musi się pani śpieszyć z decyzją. Życzę miłego dnia w Nowym Jorku. I do zobaczenia jutro rano.

Podziękowała mu serdecznie i rozłączyła się. Było wpół do siódmej, kiedy położyła się wreszcie do łóżka, uspokojona i tak pogodna jak nigdy od miesięcy. Odtąd już nie będzie w Irlandii tak bardzo samotna. A Robert Bartlett dobrze rozumiał jej problemy. Miała nawet wrażenie, że ze swoją była żoną przeżył jeszcze gorsze chwile niż ona z Finnem. Nuala była rasową socjopatką, ale mając na sumieniu śmierć dwóch kobiet i niezliczoną masę kłamstw, Finn nie pozostawał za nią zbyt daleko w tyle. Niepokojące było jedynie to, że Hope, mając w pamięci wszystko, czego się o nim dowiedziała, nie przestawała go kochać. Wierzyła w jego miłość, wierzyła, że człowiek, którego zobaczyła w nim na początku ich znajomości, naprawdę istniał. I tę iluzję najtrudniej było jej porzucić. Była do niego bardzo przywiązana. Przywiązana tym mocniej, że nie było już Paula. Finn stał się dla niej ostatnią bliską osobą na świecie. Dlatego tak trudno jej było wyobrazić sobie rozstanie. Oznaczało ono, że po raz pierwszy w życiu zostanie sama jak palec.

Finn dzwonił do niej dwa razy, kiedy spała. Za każdym razem otwierała oczy, spoglądała na wyświetlacz, przewracała się na drugi bok i znów zasypiała. Nie oddzwoniła. Nie chciała, żeby czekał na nią na lotnisku w Dublinie, bo umówiła się na spotkanie w kancelarii w drodze z lotniska do domu. Zamierzała zaskoczyć Finna swoim powrotem. A przedtem zobaczyć się z Robertem Bartlettem.

Rozdział dziewiętnasty

W dniu, kiedy Hope opuszczała Nowy Jork, szalała zadymka. Samolot czekał na pasie startowym, aż ustaną obfite opady śniegu, a opóźnienie dochodziło już do trzech godzin, bo opadom towarzyszył silny wiatr. Gdy wreszcie wystartował, przez cały czas strasznie trzęsło. Potem opóźnił się rozładunek bagażu. Dlatego zamiast zjawić się u Bartletta o dziesiątej rano, dotarła tam o wpół do trzeciej po południu, znużona i wykończona, ciągnąc za sobą odzyskaną nie bez trudu walizkę.

- Bardzo mi przykro, że się tak strasznie spóźniłam - przepraszała, kiedy wyszedł do drzwi, żeby ją powitać.

Był wysokim, szczupłym, eleganckim mężczyzną o siwiejących jasnych włosach i zielonych oczach, z dołkiem w podbródku widocznym, kiedy się uśmiechał, a uśmiechał się bardzo często. Miał sympatyczny wyraz twarzy i przyjazny sposób bycia. Zasiedli w wygodnych fotelach w jego gabinecie, sekretarka przyniosła im po filiżance herbaty. Kancelaria mieściła się w jednym z zabytkowych budynków południowo-wschodniego Dublina, przy Merrion Scjuare, niedaleko Trinity College, w otoczeniu ładnych osiemnastowiecznych kamienic, nieopodal rozległego parku. W biurze Bartletta podłogi nie całkiem trzymały poziom, okna były rozmieszczone niesymetrycznie i panowała atmosfera miłego artystycznego nieładu. Bardzo się to różniło od efektownego, sterylne nowegojorskiego biura firmy. Robertowi taki styl odpowiadał znacznie bardziej i naprawdę żał mu było rozstawać się z tym miejscem, żeby wrócić do Nowego Jorku. Po siedmiu latach spędzonych w Dublinie czuł się tutaj jak w domu. Ale obie córki były już teraz w amerykańskim college'u na Wschodnim Wybrzeżu, choć jedna z nich twierdziła, że po studiach zamierza wrócić do Irlandii.

Hope znowu długo rozmawiała z Robertem o dziwactwach Finna, o jego kłamstwach i o jej nadziei, że w magiczny sposób wszystko to się nagle samo naprawi. Robert wiedział, że przekonywanie jej mija się z celem, ale wciąż przypominał o wynikach śledztwa przeprowadzonego na jej zlecenie i podkreślał, że jest mało prawdopodobne, by Finn zmienił swoje postępowanie, nawet jeśli naprawdę ją kochał. Robert wiedział, że rozstawanie się z marzeniami to wielka i długotrwała praca. Miał jedynie nadzieję, że Finn nie zrobi jej nic złego. Prosił, by ufała przede wszystkim własnej intuicji i uciekła, gdy tylko wyczuje niebezpieczeństwo. Uważał, że nigdy dość powtarzania tych dwóch dobrych rad. Chciał, żeby wbiła je sobie do głowy raz na zawsze. Obiecała mu, że nie zostanie tam długo, jeśli Finn będzie dla niej nieprzyjemny. Ale nie wierzyła, że mógłby użyć przemocy fizycznej. Jak dotąd znęcał się nad nią tylko psychicznie.

Finn jeszcze nie wiedział, że przyjechała, a tym bardziej o jej spotkaniu z prawnikiem w Dublinie. Kiedy skończyli rozmowę, była już piąta po południu i Robert oświadczył, że jego zdaniem nie ma sensu przyjeżdżać do Blaxton House wieczorem. Radził jej wynająć nazajutrz samochód. Mówiła mu już wcześniej, że ze względu na ruch lewostronny nie lubi prowadzić samochodu w Irlandii. To by mogło być niebezpieczne, zwłaszcza gdyby wracała wieczorem. Jeszcze istotniejsze było to, że wieczorem Finn może być pijany i w złym humorze. Winfred i Katherine nocowali u siebie, w miasteczku. Dlatego Robert uważał, że powrót o tej porze byłby nieostrożnością. Rozważyła jego argumenty i przyznała mu rację. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Finna, ale zarazem bała się tego i rozumiała, że wieczorny przyjazd byłby jak wejście do paszczy lwa. Co najmniej nieroztropny.

Robert polecił jej hotel, który znał, a jego sekretarka zrobiła dla Hope rezerwację. To był najlepszy hotel w Dublinie. A że on sam także wychodził z biura, zaofiarował się, że podwiezie ją razem z walizką, co przyjęła z wdzięcznością. Spędzone z nim popołudnie poprawiło jej nastrój, choć temat rozmowy nie był dla niej łatwy. To, co wydarzyło się w jej życiu w ostatnich miesiącach, przyniosło dużo bólu i rozczarowań. Choć trudno to zrozumieć, kochała Finna. Ale nie tego Finna, z którym miała do czynienia ostatnio. Mnożyły się wątpliwości, choć nadal trudno jej było przyjąć to wszystko bez zastrzeżeń. Kiedy postanowiła zlecić śledztwo, nie przypuszczała, że dowie się aż tyle. A teraz musiała podjąć jakąś decyzję. Nie było to łatwym zadaniem, bo niestety jej miłość nie osłabła, co tylko powiększało ból, kiedy myślała o tych okropnych odkryciach. Robert powiedział jej tego popołudnia, że, jego zdaniem, problem będzie narastał, aż sam się przyczyni do ostatecznego rozwiązania. Było to coś, co, jak sądziła, mogłaby usłyszeć również od mnichów w Tybecie. Jadąc do hotelu, rozmawiali już tylko o jej azjatyckich podróżach. Robert słuchał z wielkim zainteresowaniem.

Zaparkowali przed hotelem. Portier wziął od niej bagaże. Obawiała się trochę tego, co ją czekało, a myśl, że jutro zobaczy Finna, budziła w niej mieszane uczucia. Nie wiedziała, czego się może po nim spodziewać. Jakiego nastroju, jakiego zachowania. Nie sposób było przewidzieć, na którego z dwóch Finnów się natknie: na tego dobrego czy na tego złego. Na tego dawnego czy na tego nowego. Przyznała się Robertowi, że trochę się boi tego spotkania, szczególnie po wszystkich ostrzeżeniach, jakich jej udzielili.

- A może poszłabyś teraz ze mną na lekką kolację? Może na pizzę? Albo do pubu? Albo do chińskiej restauracji. Znam jedną niedaleko. I drugą, hinduską, jeśli lubisz tę kuchnię. Jutro rano muszę być w sądzie, a ty też zamierzasz

wcześnie wyruszyć, więc gdybyś chciała coś przegryźć, podjadę po ciebie za godzinę. Mieszkam parę ulic stąd.

Ten pomysł przypadł jej do gustu. Robert był miłym człowiekiem, a ona miała już po dziurki w nosie tych wszystkich myśli, które brzęczały jej w głowie w samotności. Nie miała ochoty jeść w pokoju hotelowym ani wychodzić samotnie na miasto, co wydawało jej się zbyt przygnębiające. Poczwała, że woli zjeść razem z nim. Był zwyczajnym, uczciwym facetem, ale był inteligentny, a Mark Webber powiedział jej, że to znakomity prawnik. Jak dotąd była zadowolona z jego rad, choć nie były to porady prawne w ścisłym sensie. Ze względu na swoją niejasną sytuację właśnie takich teraz potrzebowała.

- Bardzo chętnie - zgodziła się z wdzięcznością. Była wyczerpana i trudno było tego nie zauważyć.

- No to wspaniale. Przebierz się w coś niezobowiązującego i spotykamy się za godzinę.

Odebrała klucze w recepcji i poszła do swojego pokoju, który był nieduży, ale czysty i elegancki. Nie potrzebowała niczego więcej. Wyciągnęła się na chwilę na łóżku, a potem wzięła prysznic, przebrała się w dżinsy i wyszczotkowała włosy. Zjawił się punktualnie po godzinie, jak obiecał. Przyglądała mu się, kiedy prowadził. Z trudem mogła sobie wyobrazić, że mógł kiedyś wpaść w szpony socjopatycznej Nuali i oszaleć na jej punkcie. Sprawiał wrażenie człowieka wyjątkowo rozsądnego i zrównoważonego. On także przebrał się w dżinsy. Nosił do nich zielonkawą marynarkę na podkoszulek i wyglądał młodziej niż przedtem w garniturze. Sądziła, że jest mniej więcej w wieku Finna, to znaczy niewiele starszy od niej. Powiedział, że pochodzi z Kalifornii. Z San Francisco. Studiował w Stanford, a potem na wydziale prawa Yale. Opowiedziała mu o swoim ojcu, wykładowcy z Dartmouth. Roześmiał się i oznajmił, że bardzo lubił strzelać gole drużynie z Dartmouth, kiedy podczas studiów grał w futbol w reprezentacji uczelni. Grywał też amatorsko w hokeja. Wciąż jeszcze był przystojny i wyglądał na wysportowanego, choć narzekał, że traci kondycję. Wspomniał też, że często jeździł na łyżwach z córkami. Teraz obie były w sportowej reprezentacji swojej uczelni. Nie mógł się doczekać spotkania z nimi w Nowym Jorku na Boże Narodzenie. Zamieszkają w hotelu Pierre. Zamierzał zacząć rozglądać się za mieszkaniem do wynajęcia, bo w marcu wracał już do Nowego Jorku na stałe.

Hope nie miała jeszcze pojęcia, gdzie będzie w marcu i co będzie wtedy robiła. Może także wróci do Nowego Jorku, ze złamanym sercem, a może zostanie w Irlandii, jeśli jej sprawy z Finnem przyjmą lepszy obrót. Kiedy to powiedziała, w jej głosie zabrzmiała nutka nadziei. Robert kiwnął głową bez komentarza. Dość już powiedział jej przez telefon i po południu w biurze. Hope otrzymała komplet

niezbędnych informacji i tylko od niej zależało, jaki zrobi z nich użytek. Żadne działania prawne na razie nie wchodziły w grę. Mógł tylko wspierać ją swoim doświadczeniem. Teraz znała adres biura i miała w torebce kartkę ze wszystkimi numerami jego telefonów. Prosił, żeby nie zawahała się dzwonić o każdej porze, jeśli będzie potrzebowała pomocy. Opiekę nad nią uważał za swój obowiązek i oświadczył, że z przyjemnością zrobi dla niej wszystko, co w jego mocy.

Zjedli doskonale curry. Podczas kolacji znowu rozmawiali o jej podróżach. Był zaintrygowany jej opowieściami i pracą. Jak sam wyznał, nigdy nie był w żadnym egzotycznym miejscu. Znał trochę Europę, odwiedził kraje skandynawskie, ale tylko służbowo, i to wszystko. Sprawiał wrażenie zwyczajnego absolwenta college'u z sukcesami w sporcie, był tylko wrażliwszy.

Kiedy zjedli, było jeszcze dość wcześnie. Odwiózł ją samochodem do hotelu, życzył powodzenia, bo nazajutrz rano miała jechać do Blaxton House, i radził dobrze się wyspać.

- Pamiętaj, że nie jesteś sama. Jeśli o dowolnej porze będziesz mnie potrzebowała, będę u ciebie w ciągu godziny. Możesz też wezwać policję albo po prostu ratować się ucieczką.

Uśmiechnął się. To wszystko brzmiało tak, jakby wyruszała na wojnę. Ale ona nie wierzyła, że Finn może uciec się do przemocy fizycznej, że może być dla niej niebezpieczny. Będzie nieprzyjemny, będzie chciał się z nią kłócić albo upije się do nieprzytomności, ale już nic gorszego, jej zdaniem, nie może się wydarzyć. Znała go dobrze, więc próbowała uspokoić Roberta. Jej zdaniem żona Roberta była przypadkiem wyjątkowym.

Ku własnemu zaskoczeniu, zasnęła od razu kamiennym snem i spała jak zabita przez całą noc. Czowała się w Dublinie bezpiecznie, wiedziała, że nie jest tu osamotniona. Dzięki Robertowi zdołała wyrwać się ze swojej izolacji. Rano przed opuszczeniem hotelu zadzwoniła do biura i poprosiła sekretarkę o przekazanie mu podziękowań za wczorajszą kolację. Zwolniła pokój przed dziewiątą - musiała jeszcze wynająć samochód. Miała nadzieję, że o wpół do dziesiątej znajdzie się w Russborough. Kiedy Finn po nią wyjeżdżał, zazwyczaj docierali do domu około jedenastej. Zamierzała zrobić Finnowi niespodziankę i powiedzieć mu, że przyjeżdżają prosto z lotniska. Poprzedniego wieczoru wysłała mu bardzo serdecznego SMS-a, ale nie było odpowiedzi. Miała nadzieję, że jest po prostu zajęty pisaniem. Nie zamierzała opowiadać mu, że spędziła noc w dublińskim hotelu. To mogłoby sprowokować go do podejrzeń, do przykrych sceny zazdrości. Była odprężona i wypoczęta, kiedy jechała drogą na Blessington. Skręciła potem do Russborough i przybyła do Blaxton House tak, jak zamierzała, punktualnie za

dziesięć jedenasta. W ogrodzie nie było nikogo. Był to chłodny grudniowy dzień, ziemię pokrywała cienka warstewka śniegu.

Zostawiła walizkę w samochodzie i weszła na schody prowadzące do frontowych drzwi. Ledwie znalazła się w holu, natknęła się na Winfreda. Ukłonił się jej z szacunkiem, uśmiechnął się szeroko i wyszedł po bagaże, podczas gdy ona wbiegła schodami na górę. Teraz już nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Finna. Jakby te wszystkie okropne rzeczy, o których usłyszała w Nowym Jorku, nagle zniknęły. Nie, to musiało być jakieś nieporozumienie. Finn był inny. Kochała go tak bardzo, że to wszystko nie mogło być prawdą. I z pewnością nie było.

Podeszła na palcach do drzwi ich sypialni i otworzyła je. Wewnątrz było ciemno, Finn jeszcze spał. Na podłodze obok łóżka leżała pusta butelka po whisky. To wyjaśniało, dlaczego nie odpowiedział na SMS-a, którego wysłała mu wczoraj wieczorem. Pewnie był pijany.

Usiadła na brzegu łóżka i przez długą chwilę przyglądała się jego przystojnej twarzy. Czowała, że przepelnia ją miłość. Pocałowała go delikatnie. Nie poruszył się. Pocałowała go jeszcze raz. Otworzył jedno oko, zobaczył ją i dotarło do niego, że przyjechała. Wtedy się rozpromienił i wziął ją w ramiona. Śmierdział papierosami i alkoholem, ale nie zwracała na to uwagi, kiedy ją całował. Oszczędziła mu komentarzy. Była ciekawa, jak mu szło pisanie i czy jest szansa, że dokończy jedną z dwóch książek, które powinien oddać wydawcy.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytał z sennym półuśmiechem.

- Przyjechałam z lotniska. Chciałam cię zobaczyć - wyszeptała czule, gdy objął ją i mocno przytulił. Wszystkie dobre rady poszły w niepamięć w mgnieniu oka, ale Robert Bartlett wiedział, że tak będzie. I wiedział też, że Hope przypomni je sobie we właściwym momencie, gdy będą naprawdę potrzebne.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś? Wyjechałbym po ciebie. - Wciągnął ją do łóżka i zaczął zdejmować z niej ubranie, a ona nie protestowała.

- Chciałam zrobić ci niespodziankę - powiedziała miękko. Ale on już nie pamiętał, o co przed chwilą pytał. Miał dla niej lepszą niespodziankę. Choć tego akurat mogła się spodziewać. Łączył ich fantastyczny seks, który był ważną częścią ich relacji. Nie mogła się temu oprzeć, choćby nawet chciała, choćby ze wszystkich sił wystrzegając się ulegania jego uwodzicielskiemu urokowi. Po paru chwilach kochali się dziko, namiętnie, nienasyconie, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata, i jak zwykle przez chwilę wydawało im się to całkiem możliwe.

Kiedy wstali z łóżka, było już popołudnie. Wykapali się i ubrali. Finn nie odrywał od niej wzroku. Znowu był dobry i miły jak kiedyś. Trudno jej było

uwierzyć, że ten człowiek mógł kiedykolwiek kogokolwiek okłamać, zranić, skrzywdzić.

- Tęskniłem za tobą - powiedział, i była pewna jego szczerości.

Tak, był szczery. Pod łóżkiem leżało jeszcze pięć pustych butelek po whisky. Kiedy wyjechała, topił w alkoholu tęsknotę i smutki. Czasami był jak dziecko.

- Ja też za tobą tęskniłam - odpowiedziała miękko. Zeszli na dół, żeby wybrać się na mały spacer, zanim zapadnie zmrok. Padał śnieg i było pięknie. Zamierzali zostać tu na Boże Narodzenie, sami. Michael był na nartach w Aspen. A Hope nie miała już nikogo. Nikogo oprócz Finna.

- Przykro mi. Musiało ci być bardzo ciężko, kiedy Paul umierał - powiedział ciepło.

Kiwnęła głową. Starła się o tym nie myśleć, bo inaczej ból by jej nie opuszczał. Przez chwilę milczał, a potem zadał bez ogródek pytanie, które zupełnie ją zaskoczyło. Nie przypuszczała, że potrafi być tak niedelikatny.

- A co ze spadkiem? Spojrzała na niego zdumiona.

- Jak to się odbywa? Po prostu przeleją pieniądze na twoje konto czy musisz czekać na sprzedaż jakichś akcji... albo czegoś innego...

- Dziwne pytanie, Finn. Dlaczego to cię interesuje? Ustalenie prawa do spadku musi trochę potrwać. Może parę miesięcy, może nawet rok. Nie wiem dokładnie. Nie bardzo mnie to teraz obchodzi.

I nie wiedziała, czemu miałyby obchodzić jego. Ich los nie zależał od pieniędzy Paula. Ona miała ich pod dostatkiem. Znacznie więcej, niż potrzebowała, o czym Finn doskonale wiedział od niej samej.

- Bardzo mi go brakuje - dodała, zmieniając temat. Niepokoiło ją to zainteresowanie pieniędzmi, najpierw jej pieniędzmi, a teraz pieniędzmi Paula. Poczula obawę i to przywołało ją do rzeczywistości.

- Wiem, że ci go brakuje - powiedział współczująco Finn i objął ją ramieniem. - Teraz zostałeś sama na świecie - dorzucił, chociaż właściwie nie widziała powodu, żeby to bez przerwy powtarzać. Sama była tego wystarczająco świadoma, aż za bardzo. - Masz tylko mnie.

Kiwnęła głową, ale nic nie powiedziała. Zastanawiała się, do czego Finn zmierza.

- Mamy tylko siebie - ciągnął dalej. - Dlatego musimy trzymać się razem.

Przypomniała sobie jego starą teorię „stapiania się w jedno”. Od pewnego czasu już o niej nie wspominał.

- Ale ty przecież masz Michaela - przypomniała mu.

- Mimi też już nie żyje - dodał cicho.

Poczuła się, jakby wymierzył jej cios prosto w splot słoneczny, i to z całą siłą rosnącego mężczyzny. Zachwiała się i przez chwilę nie mogła zaczerpnąć powietrza. Ale Finn tak się właśnie ostatnio zachowywał, odbierał jej poczucie bezpieczeństwa, lubił, gdy była stale wyprowadzona z równowagi. Ranił ją, kiedy zupełnie się tego nie spodziewała, a to bolało najbardziej.

- Masz tylko mnie - powtórzył z naciskiem.

Nie odpowiedziała. Szli obok siebie wśród wirujących płatków śniegu. Znowu się zaczęło. Zrobiło jej się jeszcze smutniej niż przed wyjazdem, kiedy kłócił się z nią o pieniądze. Wrócili do domu. Chciał jej przypomnieć, że będzie go potrzebowała. Ze oprócz niego nie ma nikogo bliskiego. Postawiło ją to w stan alarmu. I nagle uświadomiła sobie, że myśli o Robercie i jego przestrojach. Umówili się, że nie będzie do niej dzwonił, żeby nie zaniepokoić i nie rozgniewać Finna. Ale gdyby pomoc Roberta okazała się konieczna, wiedziała, jak go ściągnąć. Kartkę z numerami jego telefonów ukryła w portmonetce.

Tego wieczoru sami przygotowali posiłek. Kiedy Hope została w kuchni, by dopilnować kolacji, Finn poszedł na górę, żeby, jak twierdził, jeszcze trochę popracować. Gdy wrócił do kuchni, miał na twarzy ten sam posepny grymas, z którym wychodził. Kuchnia znajdowała się na parterze i jeszcze nie została odnowiona. Była funkcjonalna, ale dość ponura. W południe przeważnie jadali na pierwszym piętrze, ale nie tego wieczoru, bo Katherine i Winfred wyszli wcześniej.

Usiedli przy stole kuchennym, przy którym zazwyczaj jadali służący.

Kiedy Finn się do niej zwrócił, zauważyła błysk w jego oczach i przyszło jej do głowy, że pewnie wypił coś po spacerze. A może i przed spacerem. Zdecydowanie za dużo pił. Dawniej tego nie było. Zastanawiała się, czy Finn pije z powodu grożącego mu procesu.

- Gdzie byłaś wczoraj wieczorem? - zapytał na pozór niewinnie.

- W samolocie. Dlaczego pytasz? - Poczuła, że jej serce zaczęło bić jak szalone. Bez jednej myśli w głowie patrzyła, jak nakładał sobie na talerz makaron.

- Jesteś tego pewna? - spytał, patrząc jej prosto w oczy.

- Tak, jestem pewna. O co ci chodzi? Gdzie jeszcze mogłam być?

Nabrała na widelec trochę makaronu. Finn nagle trzasnął o stół jej paszportem.

- Nie bujaj! Byłaś w hotelu w Dublinie. Znalazłem ten kwit w twojej torebce. Zadzwoń do hotelu. Potwierdzili, że tam spałaś. Ze stempla w paszporcie wynika, że wróciłaś do Irlandii wczoraj. A nie dziś.

A potem pokazał jej kartkę z numerami telefonów Roberta. Napisała na niej tylko „Robert”, bez nazwiska. Finn okazał się doskonałym detektywem. A Hope poczuła się tak, jakby za chwilę miała dostać ataku serca. Trudno jej było

zrozumieć, jak mogła to zrobić. W recepcji zabrała ten kwitek z kontuaru i bezmyślnie schowała do torebki. A Finn go znalazł. Nie przyszło jej do głowy spytać, jakim prawem grzebał w jej torebce. Myślała o tym, że trudno będzie wytłumaczyć mu, dlaczego nocowała w Dublinie.

Nie miała innego wyjścia - musiała powiedzieć mu prawdę. Jak dotąd nie okłamywała go. Ani na temat swojego przyjazdu, ani na żaden inny.

- Masz rację. Przyleciałam wczoraj. Chciałam spędzić noc w Dublinie. Potrzebowałam paru godzin dla siebie. Spotkałam się przedtem z prawnikiem z oddziału kancelarii, która prowadzi moje sprawy. W Nowym Jorku zasugerowali mi, że powinnam skontaktować się z ich oddziałem w Dublinie. Rozmawiałam o podatkach, o przepisach dla cudzoziemców, o domu, w którym mieszkamy. Po spotkaniu z prawnikiem poszłam do hotelu, a rano przyjechałam do ciebie wynajętym samochodem. Ot i wszystko. Przepraszam, że próbowałam cię okłamać.

Nie wspomniała o kolacji z Robertem, bo to wprowadziłoby Finna w szal zazdrości i na pewno by nie uwierzył, że go nie zdradziła. Miała strach w oczach i drżała.

- A kim jest Robert?

- To właśnie ten prawnik.

- I prawnik dał ci swój domowy numer telefonu? Pieprzyłaś się z nim w tym hotelu, nie zaprzeczaj, ty dziwko! A z kim pieprzyłaś się w Nowym Jorku? Ze swoim agentem? Czy z jakimś facetem poznanym w barze na Dziesiątej Alei? Może z kierowcą ciężarówki? - Wiedział, że bywała w takich miejscach, żeby robić zdjęcia. Teraz wykorzystał to przeciwko niej. - Zrobiłaś zdjęcie jego kutasa?

Gdy rzucił jej w twarz te słowa, rozplakała się. Nigdy dotąd tak się do niej nie odzywał. Nigdy nie bywał tak wulgarny. Przekraczał granice, które dawniej były nieprzekraczalne. Robert ostrzegał, że tak będzie, ale nie uwierzyła.

- I co mi powiesz o tym Robercie? Dobry w łóżku? Założę się, że przy mnie wysiada.

Nie odezwała się. Siedziała przy kuchennym stole jak sparaliżowana. Wstydziała się. Nazwał ją dziwką, choć przecież nie zrobiła nic złego. Spotkała się z prawnikiem, a potem zjadła z nim kolację. Nie przyszłoby jej nawet do głowy, żeby z nim romansować. Nie, nie była dziwką. Ale on ją o to oskarżał. Patrzył na nią, jakby chciał zamordować wzrokiem.

- Nic takiego nie miało miejsca, Finn. Spotkałam się z prawnikiem, to wszystko.

- Dlaczego nie chciałaś mi o tym powiedzieć?

- Dlatego, że to są moje sprawy zawodowe i nie o wszystkim chcę ci mówić.

Nie, nie musiała mu o wszystkim mówić. Gdyby naprawdę miała z Robertem do omówienia wyłącznie sprawy zawodowe, Finn i tak by się upierał, że chce jej towarzyszyć. Nigdy i nigdzie nie lubił puszczać jej samej. Usiłował kontrolować ją przez cały czas. Nawet do lekarza chciał chodzić razem z nią - tak jak wtedy, w Londynie. Wtrącał się do jej spraw i starał się nie spuszczać jej z oczu.

- O czym jeszcze nie chcesz mi mówić? - spytał, wbijając w nią wzrok, i teraz była już pewna, że pił. A jeśli nie pił, to znaczy, że był szalony. Choć mógł być pijany i szalony jednocześnie. Miał spojrzenie niebezpiecznego wariata. Wstał z krzesła tak energicznie, że upadło z hałasem, i przeszedł przez kuchnię. Patrzyła na niego i milczała, nie chcąc go rozgniewać. Modliła się, żeby się do niej nie zbliżył.

- Dobrze wiesz, że nie zrobiłabym tego - powiedziała, starając się, by w jej słowach zabrzmiał spokój, choć spokoju nie było w niej ani na lekarstwo.

- Nie, nic o tobie nie wiem, Hope. A ty o mnie wiesz jeszcze mniej.

I prawdopodobnie było to bardziej szczere niż cokolwiek, co jej o sobie opowiadał. Ale sposobu, w jaki wypowiedział te słowa, nie można było nazwać przyjaznym.

- Wszystko wskazuje na to, że jesteś zwykłą kurwą, która idzie do łóżka z pierwszym lepszym, kiedy tylko się odwróć.

Miała nadzieję, że spotka w domu dawnego Finna, ale nie spotkała nawet tego nowego, tylko jeszcze gorszego - tego prawdziwego.

- Uspokój się, zjedzmy makaron, bo wystygnie. Nic się nie wydarzyło w Dublinie. Przenocowałam w hotelu, byłam sama. To wszystko.

Siedziała na krześle wyprostowana, pełna godności i uderzająco krucha. Zanim się zorientowała, co się z nią dzieje, Finn złapał ją za ramiona i podniósł, a potem rzucił na ścianę. Przeleciała kilka metrów i zabrakło jej tchu, kiedy uderzyła plecami o mur. Zbliżył twarz do jej twarzy.

- Jeśli będziesz się pieprzyć z kim innym, Hope, zabiję cię. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie zniosę tego. Wbij to sobie do głowy raz na zawsze. Dotarło?

Kiwnęła głową, nie mogąc dobrać głosu. Dławiła się łzami. Od tego uderzenia o ścianę brzęczało jej w uszach, ale była pewna, że to serce pęka.

- Dotarło? Odpowiadaj!

- Tak... - wyszeptała.

Był pijany, z całą pewnością. Inaczej na pewno by się tak nie zachował. A jeśli tak, trzeba coś zrobić z tym jego piciem. Albo raczej on sam powinien coś zrobić. Był w ustawicznym stresie z powodu grożącego mu procesu i niena-pisanych książek. Bez wątplenia tak właśnie odbijało się na nim zdenerwowanie. Nie tylko na nim, na niej także.

Rzucił ją z powrotem na krzesło i patrzył wściekłym wzrokiem, gdy wzięła do ręki widelec. Nie poznawała go. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Drżącą ręką nabrała trochę makaronu i udawała, że będzie jadła. Nagle uprzytomniła sobie, że są zupełnie sami. Winfred i Katherine poszli do domu i wrócą dopiero jutro. Tak będzie co wieczór. Każdej nocy będzie z Finnem zupełnie sama w tym domu. Nigdy dotąd jej to nie zaniepokoiło. Ale teraz przestraszyła się nie na żarty.

Podczas kolacji nie było już więcej awantur. Ale Finn nie odezwał się do niej ani słowem. Zabrał karteczkę z numerami telefonów Roberta, podarł ją i strzępy schował do kieszeni spodni. Wiedziała, że już ich nie odzyska. Kwit i paszport zostawił na stole. Bez słowa wyszedł z kuchni, zostawiając jej sprzątanie. Siedziała przy stole jeszcze przez długą chwilę. Łzy spływały jej po twarzy i szloch wstrząsał ramionami. Znów jej przypomniał, że była sama na świecie. Nie miała nikogo oprócz niego. Nie miała do kogo uciec, nie mogła liczyć na niczyją miłość. Odkąd umarł Paul, była samotna jak sierotka z bajki, a tymczasem piękny książe zamieniał się w dziką bestię.

Minęła godzina, zanim uspokoiła się na tyle, żeby posprzątać kuchnię. Płakała bardzo długo. Bała się pójść na górę do sypialni, ale wiedziała, że musi to zrobić. A kiedy się nad tym wszystkim zastanowiła na spokojnie, zdała sobie sprawę z tego, że jej nocleg w dublińskim hotelu nie wygląda niewinnie. Kartka z numerami telefonicznymi też miała prawo wzbudzić podejrzenia. Pomyślała, że nie należało kłamać. Ale gdyby nie skłamała, nie mogłaby porozmawiać z Robertem, a przecież potrzebowała tej rozmowy. Dobrze było poznać kogoś, do kogo będzie mogła w razie potrzeby zwrócić się z prośbą o pomoc. Z drugiej strony kłamstwo, które miało pomóc jej ukryć dzień spędzony w Dublinie, dla Finna było czymś niepokojącym. I chociaż jej pobyt w Dublinie był zupełnie niewinny, czuła się z tego powodu nie w porządku i już nie miała do niego żalu.

Weszła po schodach na drugie piętro i gdy otworzyła drzwi do sypialni, spostrzegła zupełnie zaskoczona, że Finn siedzi na łóżku i czeka na nią. Wydawał się spokojny, jakby w ogóle nie było awantury w kuchni. Jego zdolność oscylowania między skrajnościami przerażała ją. W jednej chwili pluł ogniem jak smok, w następnej siedział spokojnie na łóżku i uśmiechał się do niej. Znowu zaczęła się zastanawiać, które z nich zwariowało. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

- Kładź się do łóżka, Hope - odezwał się.

Jakby mieli za sobą miły wieczór we dwoje. Choć przecież to, co się wydarzyło, było okropne. Ale Finn zdawał się o tym nie pamiętać. Wyglądał jak wcielenie niewinności. Kiedy na niego patrzyła, zbierało jej się na płacz.

Umyła zęby, przebrała się w nocną koszulę i położyła się do łóżka, obrzucając go ostrożnym spojrzeniem. Jakby był jadowitym wężem, który szykuje się do ataku.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją i otoczył ramieniem. To było chyba gorsze, niż gdyby dalej się gniewał. Czuła, że się gubi w tym zamęcie. - Pomyślałem... - ciągnął lekkim tonem, gdy leżała obok niego, sztywna ze strachu, nie wiedząc, co jeszcze może się wydarzyć. Po awanturze nie potrafiła się odprężyć. - Pomyślałem, że powinniśmy się pobrać w przyszłym tygodniu. Nie ma żadnego powodu, żebyśmy dłużej to odkładali, skoro i tak nie zamierzamy zapraszać gości. A mnie się znudziło czekanie. Jesteśmy sami na świecie, Hope. Ty i ja. Nie mamy nikogo. Jeśli cokolwiek się stanie któremuś z nas, tak jak na przykład Paulowi, to lepiej być małżeństwem. Nikt nie chce umierać samotnie.

- Paul był bardzo chory od wielu lat. I nie umarł samotnie. Byłam przy nim - powiedziała stłumionym głosem.

- Gdyby któreś z nas miało wypadek, to drugie nie miałoby prawa podjąć żadnej decyzji w jego imieniu. Nie masz rodziny. Michael jest daleko. Mamy tylko siebie.

Był to powracający motyw rozmów, jakie Finn z nią prowadził. Lubił podkreślać jej samotność i przypominać, że oprócz niego nie miała nikogo na świecie.

- Poczuję się bezpieczniej, gdy się pobierzemy. Możemy wydać przyjęcie później, w Londynie, w Nowym Jorku czy na Cape Cod. Już czas, Hope. Jesteśmy razem od roku. Jesteśmy dorośli. Kochamy się i wiemy, czego chcemy. Na co jeszcze czekać? I powinniśmy powrócić do projektu pod nazwą „dziecko”.

Uśmiechnął się. Tak jakby zapomniał, co się wydarzyło w kuchni zaledwie przed godziną. Groził jej, rzucił ją na ścianę, a teraz chciał się z nią żenić za tydzień i życzył sobie mieć z nią dziecko. Słuchając go, Hope miała wrażenie, że to jej pomieszało się w głowie.

- Od poronienia minęło już pół roku - powiedział. Tym razem wyjątkowo jej nie obwiniął. To wyglądało tak, jakby w kuchni wypuścił z siebie nadmiar złości i wrócił do normalnego stanu. Dobry Finn powrócił, leżał razem z nią w łóżku. Ale ona przestała mu wierzyć. Straciła do niego zaufanie. Całkowicie.

I w żadnym razie nie zamierzała się z nim wiązać. Była coraz bardziej pewna, że chodzi mu tylko o pieniądze. Gdyby był jej mężem i coś by jej się stało w tym domu na irlandzkim odludziu, odziedziczyłby po niej cały jej majątek. Nie tylko po niej, ale i po Paulu. A gdyby urodziła mu dziecko, jego sytuacja byłaby jeszcze korzystniejsza. Robert zwracał jej na to uwagę podczas wczorajszej rozmowy w biurze. Zrozumiała go bardzo dobrze. Ale nie chciała znowu rozwścieczyć Finna,

mówiąc mu, że nie zamierza za niego wychodzić. W każdym razie nie teraz. Wolałaby powiedzieć mu o tym rano, kiedy w domu będą Winfred i Katherine, w dziennym świetle. Uznała, że ma dość wrażeń jak na jeden wieczór.

- Może porozmawiamy o tym jutro rano - rzekła obojętnym tonem. - Dziś jestem już zmęczona.

Po scenie, jaką urządził jej w kuchni, czuła się jak potrącona przez autobus. Przez parę chwil bardzo się bała Finna. Ale teraz znowu był spokojny, nawet miły. Choć ona wciąż jeszcze drżała i nie opuszczało jej napięcie. Starła się przynajmniej nic po sobie nie pokazać.

- A o czym tu rozmawiać? - zdziwił się, przyciągając ją do siebie. - Trzeba to po prostu zrobić.

Przeczuwała, że to może być początek następnej wielkiej awantury.

- Nie musimy podejmować tej decyzji akurat dziś, Finn - powiedziała cicho. - Spijmy.

Było jeszcze dość wcześnie, ale nie miała już sił. Była za bardzo zraniona, rozgniewana, zawiedziona i przestraszona, żeby o czymkolwiek jeszcze z nim rozmawiać. Chciała tylko zasnąć, a jeśli on jej na to nie pozwoli, to choćby i umrzeć. Teraz już rozumiała, że w tym związku nic się nie może poprawić. Po jego wściekłym ataku podczas kolacji straciła nadzieję, a to, że znowu zrobił się miły, niczego nie zmieniło. Wiedziała, że jego uprzejmość raczej nie potrwa zbyt długo.

- Już mnie nie kochasz, tak? - zapytał jak mały chłopiec. Nagle z mężczyzny, który ją sterroryzował, przemienił się w skrzywdzone dziecko, które pragnie tylko jednego - być kochane. Było w tym coś niezdrowego. Przytulił się do niej i położył głowę na jej ramieniu. Westchnęła i otarła czoło.

Kochała go, ale po takiej jeździe na diabelskim młynie była bez tchu. Finn tulił się do niej jak dwulatek, a gdy zgasiła światło, podciągnął jej nocną koszulę i chciał się kochać. Ale ona nie miała na to ochoty, była zbyt udręczona, zbyt zrozpaczona. Z drugiej strony obawiała się, że jeśli odmówi, awantura wybuchnie na nowo. Finn umiał sprawić, by jej ciało odpowiedziało na jego zaloty, mimo że umysł się buntował, a w sercu panował niewyobrażalny zamęt. I kochał się z nią w sposób tak łagodny, że po prostu nie mieściło się w głowie, jak ten sam człowiek mógł zaatakować ją tak brutalnie zaledwie dwie godziny temu.

Potem Finn spał i chrapał, a ona długo nie mogła zasnąć. Udało jej się to wreszcie nad ranem, gdy była całkowicie wyczerpana. Przez całą noc płakała cicho w poduszkę. Czuła się odrętwiała, jakby częściowo martwa. Finn zabijał ją po kawałku. A ona zauważyła to dopiero teraz.

Rozdział dwudziesty

Nazajutrz rano Finn był już od dawna na nogach, kiedy Hope się obudziła. Wstała z łóżka obolała i zmęczona, w nastroju równie ponurym jak pogoda za oknem. Kiedy weszła do jadalni, wyczerpana i blada, zastała go przy śniadaniu. Sprawiał wrażenie wesołego i pełnego energii. Oświadczył, że jest bardzo szczęśliwy z powodu jej powrotu. Wydawało się, że mówi szczerze.

Nalała sobie filiżankę herbaty i sączyła ją powoli, kiedy zaczął znowu mówić o ślubie. Proponował, żeby zaraz po śniadaniu poszli do proboszcza w miasteczku, a potem pojechali do Dublina, do ambasady amerykańskiej, po zezwolenie na wzięcie ślubu w Irlandii, bo tego papierka potrzebowała Hope. Finn nie, bo miał irlandzkie obywatelstwo. Okazało się, że zdążył już zadzwonić do ambasady i dowiedzieć się, jakich formalności będzie musiała dopełnić. Wtedy zrozumiała, że jeśli nie chce wziąć z nim ślubu, to musi mu o tym w końcu powiedzieć.

Odstawiła filiżankę i spojrzała na niego.

- Nie mogę - powiedziała ze smutkiem, szukając uzasadnienia, które będzie dla niego do przyjęcia. - Parę dni temu zmarł Paul. Nie chciałabym w takim momencie zaczynać nowego życia.

Dla niej ta wymówka brzmiała przekonująco. Ale nie dla niego.

- Nie jesteś wdową. Rozwiedliście się - powiedział lekko zniecierpliwiony. - Poza tym nikt nie będzie o tym wiedział.

- Ja będę wiedziała - odparła spokojnie.

- Jest jakiś ważny powód, dla którego nie chcesz za mnie wyjść? - spytał urażony.

Hope miała tych ważnych powodów coraz więcej, ale bała się nowej kłótni. Jego kłamstwa, raport wynajętego detektywa, dwie kobiety, za których śmierć był pośrednio odpowiedzialny, jego niedawne żądanie pieniędzy, a do tego wszystkiego wczorajsze użycie przez niego przemocy fizycznej. Każda z tych okoliczności wystarczyłaby, żeby zawahać się przed podjęciem decyzji i poważnie się nad nią zastanowić. Ale jeśli tak, to dlaczego nadal z nim jest? Sprawy nie układają się już tak jak na początku. Nawet w najlepszych chwilach. Zawsze obecny jest jakiś nieprzyjemny podtekst, zawsze w powietrzu wisi groźba. Po tym, jak zażądał pieniędzy, a ona odmówiła, nigdy już nie było między nimi całkiem normalnie.

- Ślub to skomplikowana sprawa - odrzekła cierpliwie. - Powinniśmy najpierw porozumieć się z prawnikami, podpisać intercyzę. Wspominałam już o tym prawnikowi, ale na wszystko potrzeba czasu. A poza tym wolałabym ślub w Nowym Jorku.

- W porządku - zgodził się, nagle zmieniając ton. Przez chwilę czuła ulgę. Poszło łatwiej, niż się spodziewała. -Możemy poczekać z tym do lata. A co z przelewem na moje konto, o którym mówiliśmy wcześniej?

- O jakim przelewie mówiliśmy, Finn? - Pamiętała sumy, których żądał, ale miała nadzieję, że coś się zmieniło.

- Mówiłem, że chciałbym, żebyś przelała mi na konto cztery miliony dolarów, chociaż wolałbym pięć. Ale to było jeszcze przed śmiercią Paula. Biorąc pod uwagę, że zostawił ci mnóstwo pieniędzy, uważam, że teraz należy mi się dziesięć milionów.

Hope westchnęła. Takie dyskusje były dla niej męczące, poza tym nie miały sensu. A może miały? Może tak naprawdę chodziło tylko o to? Czuła się tak, jakby od chwili, kiedy rano otwierała oczy, musiała walczyć o życie, bez przerwy aż do wieczora, kiedy zasypiała.

- Wiem, że nie dostałaś jeszcze pieniędzy po Paulu - uściślił. - Więc niech to będzie na początek pięć milionów, a potem reszta.

Jego zdaniem to było rozsądne i sprawiedliwe rozwiązanie. Zaproponował je takim tonem, jakby prosił o zaprenumerowanie czasopisma albo zakup jakiegoś urządzenia domowego. I chyba sądził, że ona to zrobi bez wahania. Chyba nawet był tego pewny.

- Czyli chcesz dostać pięć milionów teraz, a drugie pięć potem - powtórzyła beznamyślnie. - A po naszym ślubie?

Miała nadzieję, że Finn od razu wyłoży wszystkie karty na stół i potem już nic jej nie zaskoczy.

- Poproszę mojego prawnika, żeby pogadał o tym z twoim prawnikiem - powiedział, uśmiechając się szeroko. -Myślę, że jakiś rodzaj stałej pensji byłby najlepszym rozwiązaniem. A w dzisiejszych czasach ludzie umawiają się także na wypadek rozwodu, więc gdyby miało do niego dojść, potrzebna będzie klauzula o alimentach. I zapis w testamencie.

Nie przeszło mu nawet przez myśl, że to, co proponował, było oburzające.

- Powinniśmy spojrzeć prawdzie w oczy, Hope. Jestem o wiele bardziej sławny od ciebie. Sława to rzadkie dobro. Małżeństwo ze mną to dla ciebie interes wart każdych pieniędzy. W twoim wieku nie znajdziesz łatwo takiego faceta jak ja. Może dla ciebie to ostatni pociąg. Jeśli do niego nie wsiądziesz, zostaniesz na peronie. Nie powinnaś o tym zapominać.

Kiedy to usłyszała, zaparło jej dech w piersi. Po raz pierwszy użył jako argumentu swojej sławy, po raz pierwszy usiłował pomniejszyć jej osiągnięcia. Była tym zaskoczona i oburzona, ale wiedziała, że roztropniej będzie powstrzymać się od komentarzy.

- To będzie dla mnie dość kosztowny interes - zauważyła oględnie i naląła sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty.

- Ale czy nie jestem tego wart?

Nachylił się, żeby ją pocałować. Hope podniosła na niego oczy pełne łez. Był człowiekiem chorym. Ręce jej opadły. Nawet ona nie miała już co do tego wątpliwości.

- Co się dzieje? - spytał, spostrzegłszy wyraz jej twarzy, który go najwyraźniej zaskoczył.

- Przygnębia mnie ta dyskusja o pieniądzach. Podstawą małżeństwa powinna być miłość. Nie mówisz mi o latach, które spędzimy razem, tylko o alimentach, rozwodzie i testamencie. To mnie wcale nie pociąga - odpowiedziała ze smutkiem.

- No to bierzmy ślub, pal diabli intercyzę!

Tego nie mogła zrobić w żadnym razie. Należał do niej spory majątek, a Finn miał tylko długie, niezapłacone rachunki i w perspektywie proces sądowy. Nie mogła zachować się tak nieodpowiedzialnie. Bez intercyzy byłaby wobec niego zupełnie bezbronna, mógłby ją wykorzystywać bez żadnych ograniczeń. I dobrze o tym wiedział. Od tej rozmowy zrobiło jej się niedobrze. Nie było takiej możliwości, żeby się kiedykolwiek pobrali. Ale Finn był w doskonałym nastroju. Wydawało mu się, że zwabił ją w pułapkę i dopnie swego.

W końcu, żeby go uspokoić, obiecała, że zastanowi się nad jego propozycją i wróci jeszcze do tej sprawy. Nie chciała, żeby przyczyną ich zerwania stała się sprawa pieniędzy. Przez cały dzień rozmyślała o jego żądaniach, gdy drukowała odbitki fotograficzne, jeździła do biura firmy kurierskiej i spacerowała po lesie. Z Finnem spotkała się znowu późnym popołudniem. Był miły i kochający, tak jak dawniej. Ale problem w tym, że Hope nie była teraz pewna, co Finn ma na uwadze: uczucia czy interesy. I obawiała się, że już nigdy się tego nie dowie. Liczył na jej zmęczenie, na to, że zatraci instynkt moralny, robił, co mógł, żeby rozmiękczyć jej stanowisko i zniszczyć wewnętrzną równowagę. Jego żądania finansowe były zarazem obraźliwe i szalone. Usiłowała zachować spokój, nie miała dość sił, żeby wdać się z nim w prawdziwą walkę. Odkąd go znała, miewał różne obsesje. Jedną z nich była ciąża, inną małżeństwo, jeszcze inną miliony dolarów, które chciał dostać na swój wyłączny użytek. Czuła przygniatający smutek. Marzenie o zaufaniu i miłości, która miała ich połączyć, kruszyło się w jego rękach jak płatki zasuszonego kwiatu. Przechodzili od jednego drażliwego tematu do następnego, i jak dotąd nie uzgodnili niczego. Teraz chodziło wyłącznie o pieniądze. Zażądał, by na dowód miłości przelała na jego konto pięć milionów. To w jego mniemaniu uczciwa cena miłości. A co zamierzał dać jej w zamian, oprócz tego, że przy niej będzie? Teraz już potrafiła ocenić, że Finn proponuje jej

oszukiwczą transakcją. Jeszcze gorzej: chciał podstępnie zwabić ją w pułapkę, niczym w pajęczą sieć. To on był pajakiem, a ona - co stawało się coraz bardziej oczywiste - jego zdobyczą.

Tego wieczoru Finn zaprosił ją na kolację do Blessington. Zgodziła się w nadziei, że to rozproszy jej ciężkie myśli. I że na chwilę przestanie z Finnem rozmawiać o najtrudniejszych sprawach, które stały się kością niezgody. O pieniądzach, o dziecku, o ślubie. Z początku była przygnębiona. Ale potem, ku własnemu zaskoczeniu, poczuła, że jest jej dobrze w jego towarzystwie. Tak jak na początku znajomości. I to dodało jej otuchy. Od dawna miotała się między nadzieją i rozpaczą. I za każdym razem, kiedy się załamywała, było jej coraz trudniej się podźwignąć. Odkąd umarł Paul, czuła się nieustająco zmęczona. A Finn ją powoli dobijał.

Ale w dniach, które nastąpiły po tym załamaniu, wszystko w jakiś cudowny sposób wróciło do normy. Finn był w dobrym nastroju. Pisał. Ona zaczynała pracować nad albumem z fotografiami zrobionymi w Irlandii. Zmieniła też parę rzeczy w ich domu, co przyniosło jej wiele radości. Starła się zapomnieć o jego szokujących propozycjach, o pieniądzach, których od niej żądał. Oderwała się od tych spraw z przyjemnością, choćby tylko na chwilę. Potrzebowała oddechu. A potem kurier przyniósł list z Nowego Jorku. Zaniósła go Finnowi. Kiedy wyszedł ze swojego gabinetu, wyglądał jak chmura gradowa.

- Złe wiadomości? - spytała trochę zaniepokojona. Patrząc na niego, nikt by nie pomyślał, że wiadomości były dobre.

- Zawiadamiają mnie, że nawet jeśli wyślę im książkę, nie opublikują jej. Kierują pozew do sądu. Psiakrew. To jedna z moich najlepszych książek.

- Jeśli tak, z pocałowaniem ręki wyda ją kto inny. Może nawet dostaniesz korzystniejszą umowę ~ próbowała go pocieszyć, ale był naprawdę zły.

- Dziękuję ci, moja dzielna mała pocieszycielko. Żądają ode mnie zwrotu zaliczki. A ja te pieniądze już wydałem.

Położyła dłoń na jego ramieniu, gdy nalewał sobie szklanek nierozcieńczonej whisky.

- Pozwól mi poprosić Marka Webbera, żeby zajął się twoimi sprawami. Może uda mu się wynegocjować dla ciebie jakąś ugode.

Spojrzał na nią z wściekłością.

- Mogłabyś po prostu wypisać mi czek!

Nie podobało jej się, że podniósł na nią głos, ale nie zaprotestowała. Nie chciała kolejnej awantury.

- Dobry prawnik może tu wiele pomóc. Dowiedzielibyśmy się od niego, co zrobić.

Próbowała go pocieszyć, ale nie chciała się do niczego zobowiązywać. Trudno było przewidzieć, jak potoczą się dalej ich sprawy. Miała jeszcze nadzieję, ale myślała realistycznie, więc nadziei było z dnia na dzień coraz mniej. To wszystko nie wyglądało dobrze. Finnem powodowała chciwość, chciał położyć rękę na jej majątku, podtrzymywał stare kłamstwa. Jak napisano w Biblii, ich wspólny dom musiałby stać na lotnych piaskach.

- Jacy my? Czyżbyś użyła pluralis maiestatis! - spytał zaczepnym tonem. - Albo płacisz, albo przestań mi ciosać kołki na głowie. Co do mnie, po prostu potrzebuję pieniędzy. Chcę je mieć na osobnym koncie.

Tak, o tym wiedziała doskonale. Wałkowali to od paru miesięcy.

- Ale nie wiemy, ile ci naprawdę potrzeba - zaczęła znowu ze spokojem, a spokojnie zachowywała się wtedy, kiedy była rozgniewana albo śmiertelnie przerażona.

- To nie ma nic do rzeczy. Jeśli chcesz, żebym z tobą został, nie każ mi się przed sobą rozliczać. Ile wydaję, na co i po co, to moja prywatna sprawa. Nic ci do tego.

A jednak to od niej chciał tych pieniędzy, z którymi będzie robił, co mu się spodoba. Miał tupet, musiała mu to przyznać.

- Powiedzmy to sobie uczciwie, Hope. Masz czterdzieści pięć lat, a nie dwadzieścia dwa. Jesteś piękną kobietą, ale już nie pierwszej młodości. Nie masz nikogo na świecie, żadnych krewnych. Ani rodziców, ani rodzeństwa, nie masz nawet kuzynów. Twoje jedyne dziecko nie żyje. A ostatnia osoba, z którą czułaś się związana, twój były mąż, umarł w zeszłym tygodniu. Jak myślisz, kto będzie się tobą opiekował, jeśli zachorujesz albo coś ci się stanie? A co z tobą będzie, jeśli cię opuszczę? Jeśli, na przykład, poznam kogoś innego, o wiele młodszego? Zostaniesz sama jak palec, i to zapewne do końca życia. Powinnaś więc dobrze się zastanowić, jak będzie wyglądało twoje życie za dziesięć albo dwadzieścia lat, jeśli teraz nie przelejesz mi tych pieniędzy na konto. Spójrz na to z właściwej perspektywy, a zrozumiesz, że to, co ci proponuję, jest dla ciebie korzystne.

Słuchając go, poczuła się tak, jakby ją spoliczkował.

- Czy powinnam przyjąć to jako wyznanie miłości?

- Być może.

- A skąd mam wiedzieć, że jeśli dam ci te pieniądze, to mnie nie opuścisz? Wyobraźmy sobie, że przeleję na twoje konto pięć albo dziesięć milionów, po ślubie dam ci wszystko, czego sobie zażyczysz, a potem poznasz tę o wiele młodszą osobę.

- Dobre pytanie - powiedział z uśmiechem. Wyglądał, jakby rozkoszował się tą chwilą. - To wygląda tak: dajesz pieniądze i dostajesz szansę. Jeśli mi tych

pieniędzy nie dasz, zanim pojawi się piękna panna O Wiele Młodsza, to zgadnij, czy będę na starość podawał ci basen do łóżka. Zwłaszcza gdyby okazała się dziedziczką wielkiej fortuny.

Nie umiała go sobie wyobrazić z basenem, i to w żadnych okolicznościach, a jego słowa brzmiały coraz bardziej odrażająco. Jeszcze nigdy jej tak nie rozgniewał.

- Podsumowując, proponujesz mi, żebym cię kupiła jako zabezpieczenie na starość?

- Myślę, że można tak to ująć. Spójrz na to od strony korzyści, jakie uzyskasz. Seks na każde zawołanie, może dziecko, niewykluczone, że więcej niż jedno, jeśli skorzystasz z pomocy lekarskiej. I dobrze wiesz, że nie będziesz się ze mną nudziła.

- To zabawne... - Jej fiołkowe oczy pociemniały. – Nie wspomniałeś o miłości. Ale może miłość nie jest przedmiotem tego interesu?

Nikt jej tak nie obraził. Nigdy, przez całe życie. Sugerował, że powinna kupić sobie mężczyznę. Jeśli chciała mieć Finna, to nie było innej drogi, musiała zapłacić cenę, którą za siebie wyznaczył.

Gdy to powiedziała, Finn podszedł do niej i objął ją.

- Wiesz, że cię kocham, dziecinko. Ale muszę wywalczyć sobie jakąś polisę na przyszłość. Ja też mam swoje lata i nie chcę zostać z gołą dupą. Nie mam worków z pieniędzmi, jak ty. W moim życiu nie było nikogo takiego jak Paul.

Ale teraz i w jej życiu nie było już nikogo takiego. A Paul nie po to zarobił te pieniądze, żeby Finn mógł je teraz przepuścić. Na przykład na ładne blondynki, bo jak mówi, to będzie tylko jego sprawa, na co je wyda. Sam fakt, że zażądał pieniędzy, powinien go zdyskwalifikować. Ale nie zamierzała unieść się gniewem. Wtedy to byłby koniec, musiałyby z nim zerwać. A tego nie chciała. Czuła się wykorzystana w okropny sposób i jednocześnie całkowicie sparaliżowana, bezbronna.

- Zastanowię się - powiedziała, rzucając mu posępne spojrzenie. Chciała zyskać na czasie, nakłonić go, by przynajmniej przestał nalegać. - Odpowiem ci jutro.

Ale dobrze wiedziała, że jeśli da mu pieniądze, to ich związek się rozleci, wszystko będzie skończone. Raziło ją każde słowo, które od niego usłyszała, jego ledwie zawołane groźby, że porzuci ją dla młodszej, jego próby przestraszenia jej obrazami samotnej starości, przypomnienie, że nie ma już rodziny i nikt się o nią nie zatroszczy w chorobie... Ale czy naprawdę była przygotowana na samotną starość? Znalazła się między Scyllą i Charybdą. Dwie możliwości, rozstanie z Finnem i wspólne życie, przerażały ją jednakowo. A on nie mówił, że nigdy jej nie opuści, że chce z nią przeżyć resztę swoich dni, tylko dawał do zrozumienia, że

wszystko zależy od przelania przez nią paru milionów na jego konto. Że jeśli nie dostanie tych pieniędzy, to prędzej czy później trafi mu się lepszy interes, więc jeśli Hope wie, co jej się bardziej opłaca, i nie chce zostać na łodzi, powinna czym prędzej mu je wysłać. A Hope ani nie chciała kupić sobie Finna, ani też nie chciała całkiem go utracić. Przez resztę dnia snuła się po domu jak zjawą, w stanie milczącej rozpacz, niesłabnącej ani na chwilę.

Finn był w świetnym humorze aż do wieczora. Przedstawił jej swoje warunki i sądził, że zostały prawie przyjęte. Nie znał Hope tak dobrze, jak mu się wydawało. Przez cały dzień była smutna i zła. Sprzątała łazienkę na drugim piętrze, żeby zapomnieć o udreće, jaką była dla niej cała ta sytuacja. Tymczasem Finn był dla niej szczególnie miły. Zastanawiała się, czy takie byłoby życie, które miała sobie od niego kupić, lecz którego kupować nie zamierzała. Zadawała sobie pytanie, czy zawsze byłby dla niej taki miły. Ciepły i kochający, jak na początku znajomości. Czy może dręczyłby ją scenami zazdrości, a po przepuszczeniu tych pięciu czy dziesięciu milionów groził i żądał jeszcze więcej pieniędzy na swój wyłączny użytek? Trudno przewidzieć, w jakiej znalazłaby się sytuacji, gdyby zdecydowała się dać mu to, czego chciał. Lecz gdyby dawniej ktokolwiek przepowiedział jej, że będzie się zastanawiała, czy ma dać mu pieniądze, powiedziałyby, że to bzdura. Pragnęła tylko jednego: powrotu dawnego Finna, tego, którego poznała przed rokiem. Ale wiedziała, że tego nie dostanie za żadne pieniądze.

Po tej rozmowie była niepokieszona. Po południu wyszła do lasu w nadziei, że spacer pomoże jej pozbierać myśli. Finn widział, jak wychodziła, i uznał, że lepiej zostawić ją teraz w spokoju, żeby mogła wyciągnąć wnioski z tego, co od niego usłyszała. Jego zdaniem nie miała wyboru.

Był bardzo pewny siebie i przekonany, że zdobycz wpadła już w potrzask, z którego się nie wymknie. Jak każdy socjopata, Finn uważał się za wielkiego człowieka i miał poczucie, że należy mu się wszystko. Robert zwracał jej na to uwagę. Finn był pewny, że skoro Hope go kocha, to zapłaci. Nie zechce zostać sama. Wiedział, że go kocha, wiedział, że boi się go utracić. Dla niego sprawa była jasna. I nie wątpił, że równie jasna będzie dla niej. Jego pewność siebie stale rosła po tym, jak przedstawił jej swoją ofertę. Sądził, że teraz już wystarczy ją troszeczkę popchnąć, na przykład przypominając jej, jaką ma przed sobą alternatywę. Uważał, że jeśli nie chciała zostać w przyszłości samotną staruszką w domu opieki, to nie ma dla niej lepszego wyjścia, niż przyjąć jego ofertę. Nie mówiąc już o tym, że mogłaby mieć z nim dzieci. W rozmowie chciał się nawet porównać do rozplodowego ogiera, ale ugryzł się w język, uznał, że to ją może zrazić. Mówił jej tylko rzeczy, które, jego zdaniem, nie przekraczały granicy dobrego tonu. I uważał, że był wart każdego centa z sumy, o którą poprosił. To, co

proponował, jego zdaniem było bardzo rozsądne, i zakładał, że ona także zachowa się rozsądnie. Że bałaby się postąpić inaczej. Był szczęśliwy, kiedy, siedząc przy swoim biurku, patrzył przez okno na Hope idącą w stronę wzgórz. Ale nie widział łez, które płynęły po jej policzkach.

Przed kolacją Hope weszła do ciepłej kąpieli bardzo przygnębiona. Finn zasiał w niej ziarno melancholii. Zaczęła myśleć o przyszłości, o tym, jak będzie wyglądało jej życie bez niego. Było tak, jak mówił, oprócz niego nie miała na świecie nikogo bliskiego. Co prawda, jeśli się z nim rozstanie, może pojawić się ktoś inny. Ale to nie miało dla niej znaczenia. Kochała właśnie jego, i to już od roku. Kochała go na tyle, że była gotowa za niego wyjść i w przyszłości zdecydowałyby się mieć z nim dziecko. Tyle że teraz nie chciała ani jednego, ani drugiego. Chciała tylko znowu poczuć się sobą i chciała, żeby do jej życia powrócił spokój.

Bez Finna jej życie stałoby się całkiem puste. A najsmutniejsze było to, że ona kochała go naprawdę, a on uważał ją za żywą skarbonkę. Jego cena była dość wygórowana jak na kogoś, kto przyznawał niemal otwarcie, że uczucia nie grają dla niego wielkiej roli, a. pochwalić się może głównie tym, że jest dobry w łóżku. Hope pragnęła jego serca. Ale teraz wątpiła już, czy Finn w ogóle posiada taki narząd. Za każdym razem, kiedy o tym myślała, czuła łzy w oczach. Wiedziała, że nie może już odkładać odpowiedzi na jego propozycję. Nie może dłużej grać na zwłokę.

Postanowiła, że będzie trzymać fason, i przebrała się przed kolacją w elegancką sukienkę. Włożyła pantofle na szpilkach, zczesła włosy do tyłu, nie zapomniała o kolczykach i dyskretnym makijażu. Kiedy zeszła do jadalni, gdzie Katherine przyniosła im kolację na tacy, Finn spojrzał na nią i z wrażenia zagwizdał. Po czym wziął ją w ramiona i pocałował tak, jakby naprawdę ją kochał, ale teraz już w to nie wierzyła. I była pełna smutku.

Zamiast ciepłej kolacji poprosili tego dnia o dzbanek herbaty i kanapki. Finn był ożywiony i opowiadał jej o nowej książce, o pomysle, który przyszedł mu do głowy po południu. To była ta druga książka, wymieniona w jego kontrakcie. Powiedział, że pierwszą już prawie skończył, ale ona nie wiedziała, czy powinna mu wierzyć, bo znała jego skłonność do kłamstwa.

Jedli kanapki, które zrobiła dla nich Katherine, a Hope słuchała, jak Finn streszczał swoją nową książkę. Była to historia o dwojgu ludziach, którzy pobrali się i kupili zamek we Francji. Ona była Amerykanką, on Francuzem -bardzo przystojnym mężczyzną w średnim wieku. Finn powiedział, że ten człowiek wystąpi w jego historii jako czarny charakter. Był już dwukrotnie żonaty, obie żony straciły życie w tajemniczych okolicznościach. Największym jego

marzeniem było mieć dziecko. Zdaniem Hope był to dobry początek rodzinnej sagi, ale spodziewała się, że Finn rozwinie to raczej we właściwym sobie kierunku opowieści grozy, pełnej morderstw, duchów, ludzi uwięzionych w lochach, zwłok zakopanych w lesie. Zawsze się zastanawiała, w jaki sposób wpadał na te pomysły, które krytycy od lat uważali za wytwór błyskotliwego, ale zmaconego szaleństwem umysłu. Na początku ich znajomości Finn wydawał jej się zaskakująco normalny w zderzeniu z dziwacznymi historiami, które opowiadał w swoich książkach. Ale teraz i tego nie była już pewna.

- I co będzie dalej? - spytała.

Słuchała z zainteresowaniem, koncentrując na nowej książce całą uwagę. Był to dla niej znacznie ciekawszy temat niż pieniądze, toteż przyjęła go z ulgą.

- Kobieta zachodzi w ciążę, więc zakłada, że nie straci tego mężczyzny, w każdym razie jeśli dziecko przyjdzie na świat i będzie żyło. Jest dziedziczką wielkiej fortuny, a jej ojciec zostanie potem porwany.

Hope się uśmiechnęła. Finn już zaczynał komplikować swoją historię.

- Okazuje się, że jej brat od bardzo dawna okradał firmę ich ojca. Jej mąż, ten Francuz, odkrywa to i zaczyna ich szantażować. Domaga się za milczenie dziesięciu milionów dolarów. Ona rozmawia o tym z bratem i postanawiają uznać to za bluff. Nie dadzą mu pieniędzy - powiedział, uśmiechając się nieznacznie do Hope, po czym pocałował ją w kark.

- I co dalej? - spytała znowj.

- On ją zabije - powiedział Finn z błyskiem radości w oku. - Zabije ją, a razem z nią zginie dziecko.

Zadrżała, kiedy wypowiedział te słowa.

- To przecież okropne. Jak mogłeś wymyślić coś takiego?

Finn zauważył jej pełne lęku spojrzenie. Świetnie się bawił.

- Zamorduje ją z zimną krwią? Zastrzeli? - spytała. - Zresztą chyba nie chcę tego wiedzieć.

Niektóre z jego książek, krwawe i przewrotne ponad wszelkie wyobrażenie, były doskonale skonstruowane, ale od szczegółów robiło jej się niedobrze. Tak czy inaczej, dobrze się sprzedawały.

- Czysta robota. Użyje pewnej trucizny, która rozkłada się w organizmie dość szybko. I odziedziczy całą jej fortunę. To znaczy tę część, która do niej należy. Ale potem zabije i brata. A kiedy ojciec zostanie porwany, mój bohater odmówi zapłacenia okupu, bo ten człowiek nic dla niego nie znaczy. I porywacze zabiją ojca. Francuz usuwa w ten sposób kolejno wszystkich członków rodziny i kładzie rękę na ich forsie. Niezła gratka dla tego biednego chłopaka z Marsylii, nie

uważasz? Na końcu kupi sobie nawet tytuł hrabiowski związany z ich posiadłością.

To przypomniało Hope wcześniejsze fantazje Finna, jego zmyślone opowieści o rodzinie matki zamieszkującej Blaxton House.

- Kładzie rękę na ich forsie i zostaje sam? - spytała niewinnie. Fabuła wydała jej się szalona, ale bardzo w stylu Finna.

- Jasne, że nie. Poślubi młodą dziewczynę z pobliskiego miasteczka, którą kochał przez cały czas. Pod koniec tej historii on ma pięćdziesiąt lat, a ona dwadzieścia jeden. I co o tym myślisz? - Był wyraźnie zadowolony z siebie.

- Dość okropne - powiedziała z uśmiechem, myśląc o wszystkich zwrotach akcji. - Obawiam się, że zamordowanie ciężarnej żony będzie dla czytelników trudne do przyjęcia. Odwrócą się od twojego bohatera. Ludzie są na ogół wrażliwi na takie rzeczy.

- Ale ona odmówiła mu pieniędzy - powiedział Finn, patrząc jej prosto w oczy. - Jej brat chciał zapłacić, ale ona go przekonała i zmienił zdanie. A w końcu Francuz i tak dostał te pieniądze, wszystkie, co do centa. Nie tylko jej część, ale cały majątek rodziny, o wiele więcej, niż żądał z początku. Z tej historii płynie taki morał, że powinni byli mu zapłacić, zanim ich pozabijał.

Finn umiał wymyślać skomplikowane, niejednoznaczne historie, w których ważną rolę odgrywał terror psychiczny i przerażające zbrodnie popełnione z zemsty.

- I to wydaje ci się sprawiedliwe? - Hope także popatrzyła mu prosto w oczy.

- Oczywiście. Ona miała pieniądze, ale trzymała je dla siebie. Dlaczego ona miała tyle, a on nic? On się na niej za to zemścił. I na końcu miał wszystko.

- Nie wyłączając zwłok schowanych w piwnicy.

- Ależ nic podobnego - powiedział Finn urażony. - Każdemu z nich wyprawił piękny pogrzeb. Nawet policja nie wpadła na to, że zostali zamordowani. Owszem, ktoś tam miał takie podejrzenie, ale nie potrafiłby tego udowodnić. Tak, był tam taki cwany komisarz francuskiej policji. Na samym końcu Francois, mój bohater, zabija i jego. Policjant nazywa się Robert. Francois zakopuje go w lesie i nikt nigdy nie znajdzie jego ciała.

Kiedy padło imię policjanta, Hope nagle wszystko zrozumiała. Nie przypadkiem Finn wymyślił śmierć bogatej żony. Chłopak z nizin wygrywa, a komisarz policji nosi imię prawnika, z którym się spotkała, imię znane Firmowi z karteczki, którą znalazł w jej torebce. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsca i groźba, która była w nich zawarta, stała się dla niej jasna.

Spojrzała śmiało na Finna.

- Czy mam to rozumieć jako ostrzeżenie? Wytrzymała jego wzrok, ale i on nie spuścił oczu. Wzruszył ramionami i roześmiał się.

- Dlaczego przyszło ci to do głowy?

- W tej historii jest dość dużo elementów, które wydają mi się znajome.

- Każdy pisarz czerpie inspiracje z własnego życia, chociaż większość się do tego nie przyznaje. Ale jest sporo różnic. On zabija żonę, która jest w ciąży. A ty nie jesteś. Nie masz też brata ani ojca. Jesteś sama jak palec. Gdybym opisał ciebie, byłoby to o wiele straszniejsze. Ale nudne dla czytelnika. Potrzebne są różne warstwy historyjki, różne wątki uboczne. Kiedy jest więcej postaci, powieść nabiera barw. Wydawało mi się ciekawe, co się stanie, jeśli kobieta odmówi mu pieniędzy. I okazało się, że upór nie wyszedł jej na zdrowie. Nie zabrała swoich pieniędzy do grobu.

To, co mówił, brzmiało przerażająco, zwłaszcza w tych okolicznościach, mówił to z ironicznym uśmiechem, jakby z niej kpił. Przesłanie było dla niej jasne: albo zapłaci, albo zginie.

Nie wracał do tego więcej. Pozbierała ze stołu naczynia, tak jak zawsze. Zaczęli rozmawiać o Bożym Narodzeniu, od którego dzieliły ich już tylko dwa tygodnie. Hope powiedziała, że zamierza nazajutrz jechać do Russborough po choinkę, ale Finn wołał pójść do lasu i ściąć choinkę własnoręcznie. W stajni trzymał siekierę. To także zabrzmiało złowieszczo. Fabuła, którą opowiedział, wytrąciła ją z równowagi. Wiedziała, po co to zrobił. Niczego nie robił bez powodu. Poprzedniego wieczoru przypomniał jej, że jest sama na świecie. Teraz opowiada jej historię o kobiecie zamordowanej przez męża, z którym nie chciała podzielić się swoim majątkiem. Przesłanie było niedwuznaczne. I dostawała gęziej skórki, kiedy o tym myślała. Wieczorem leżeli w łóżku obok siebie, czytając i udając, że nic szczególnego się nie dzieje. Hope nie wracała już do jego historii. Ale myślała o niej przez cały czas i nie mogła skoncentrować się na książce, którą trzymała w rękach. Była taka chwila, kiedy pomyślała, że trzeba albo uciekać, gdzie pieprz rośnie, tak jak radził jej Robert, albo skapitulować i dać pieniądze Firmowi. Jeśli tego nie zrobi, zostanie sama na zawsze, tu Finn miał rację. A jeśli zapłaci, co się wtedy stanie? Finn się uspokoi, będzie znowu miły? Może to go zadowoli, może przestaną się kłócić i między nimi będzie znowu tak jak na początku? Nie podobało jej się to, ale być może nie miała innego wyjścia. Czowała się przyparta do muru, zapędzona w pułapkę, udręczona. Nie miała siły dłużej płynąć pod prąd. Wydawało jej się, że zaczyna tonąć. Finn był w porównaniu z nią zbyt silny. Usiłował pozbawić ją zdolności myślenia. Już nawet prawie mu się udało. Czowała to. Był górą.

- I co? Podoba ci się moja historia? - spytał, kiedy przestała udawać, że czyta, i odłożyła książkę.

Podniosła na niego spojrzenie bez wyrazu.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy mi się podoba. Ale rozumiem, dlaczego mi ją opowiedziałeś. Bardziej by mi się podobała, gdyby ten biedny chłopak z Marsylii także zginął. Wtedy nie pomyślałabym, że mi grozisz.

Skończyła mówić i popatrzyła mu w oczy.

- Tego się nie da zrobić - odparł z miną mędrca. - Widzisz, on jest od nich wszystkich o wiele sprytniejszy.

Nie tylko sprytniejszy. Chętniej podejmuje ryzyko, nie wiążą go żadne zasady.

- Dam ci te pieniądze, jeśli tego chciałeś się dowiedzieć - powiedziała ponuro.

Została pokonana. Nie miała już żadnych złudzeń. Teraz grała z nim o życie. I czuła taki chłód, jakby już teraz była martwa.

- Wiedziałem. - Uśmiechnął się do niej. - Uważam, że to rozsądna decyzja.

Podszedł do niej i pocałował ją bardzo delikatnie w usta. Ale ona nie odwzajemniła pocałunku. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, jego fizyczna bliskość była dla niej czymś nieprzyjemnym.

- Uszczęśliwię cię, Hope. Obiecuję.

Już w to nie wierzyła i nie zależało jej na tym. Sprzedała swoją duszę, była tego świadoma. Ale samotność wydawała jej się o wiele gorsza.

- Kocham cię - powiedział łagodnie.

Był zadowolony. W to także już nie wierzyła. Przecież widziała jego sposób działania. Sterroryzował ją. I to właśnie odniosło skutek.

- Nie kochasz mnie już? - zapytał.

Przez chwilę nienawidziła go i żałowała, że jej nie zabił. To pewnie byłoby dla niej prostsze i łatwiejsze.

- Kocham cię - odpowiedziała głucho. Rozumiała, że on nie zna znaczenia tego słowa. Poznając jego tajemnice, znalazła się w punkcie, z którego nie ma powrotu. To, co zrobił tamtego wieczoru, gdy wywołał awanturę podczas kolacji, także było nieodwracalne. - Możemy się pobrać w przyszłym tygodniu, jeśli sobie życzysz, musimy tylko poprosić ambasadę o potrzebne dokumenty. Zadzwoń do prawnika w Dublinie, żeby przygotował intercyzę.

Zachowywała się jak automat i nie czuła w sobie życia.

- Tylko uważaj, żeby ta intercyza nie była zbyt podstępna - ostrzegł ją.

Kiwnęła głową. To on był teraz górą. A ona została z nim w tym domu sama. Za oknem wiał wiatr. Według prognoz w nocy miała nadciągnąć śnieżycyca. Ale nic jej to nie obchodziło. W ogóle nic już jej nie obchodziło. Tego wieczoru musiała coś w sobie zabić. Tym czymś była nadzieja na miłość. Kupowała od Finna tylko

jego obecność. Nie mogła kupić jego serca. W ten związek zaangażowane było tylko jedno serce, jej własne. A ono zostało nieodwracalnie złamane.

- Będziemy mieli śliczne dzieci. Zobaczysz. Pojedziemy w podróż poślubną do Londynu i tam spotkamy się z tą lekarką od spraw płodności.

- Nie potrzebujemy do tego lekarki - zaprotestowała słabo.

- Jeśli pozwolisz, żeby się tobą zajęła, możemy mieć za jednym zamachem bliźnięta albo trojaczki.

Jego ciemnoniebieskie oczy rozpromieniły się na tę myśl. Ale Hope była nią przerażona. Pamiętała, że kiedy urodziła się Mimi, nawet z jednym dzieckiem z trudem sobie radziła. Była kobietą drobną i niezbyt silną. Podniosła wzrok na Finna. Teraz to on nią rządził. Sprzedała duszę diabłu, a tym diabłem był właśnie on.

- A gdyby ona miała urodzić bliźnięta, też by ją zabił? - spytała. Oczy miała szeroko otwarte, pełne lęku.

- W ogóle by jej nie zabił. On by jej nie skrzywdził, gdyby dała mu pieniądze.

Hope kiwnęła głową i nie odezwała się więcej. Finn chciał się kochać, a ona mu na to pozwoliła. Na zewnątrz zawodziła wichura. Hope tym razem leżała obojętnie, pozwalając mu robić wszystko, na co miał ochotę. Nie wyłączając rzeczy, na które nigdy wcześniej się nie zgadzała. Finn był zachwycony tym, co się między nimi wydarzyło tego wieczoru, jego żądza krwi i władzy została nasycona, Hope się poddała. I to wzmocniło jego seksualne pożądanie. Brał ją raz po raz. Mógł ją posiadać na wszystkie sposoby i w każdym sensie tego słowa. Stało się tak, jak chciał: dostał Hope na własność.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Hope obudziła się o piątej nad ranem, gdy wiatr trząsał gałęziami drzewa o mur domu. Burza śnieżna szalała. Finn spał i nic nie słyszał. A ona czuła się tak, jakby ktoś jej wyrwał serce razem z płucami. Od razu po przebudzeniu była już całkowicie przytomna i przypomniawszy sobie, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Wszystko. Każde słowo, każdy odcień tonu. Każdą aluzję. Wszystkie niuanse historii, którą jej opowiedział, o żonie zabitej przez męża. Pamiętała emocje, jakie to w niej obudziło, pamiętała, na co się zgodziła i co on zrobił dzień wcześniej, żeby ją do tego doprowadzić. Nie z jej ciałem, ale z umysłem. Przeszła pranie mózgu. I każda komórka jej ciała krzyczała w proteście. Oddała duszę diabłu, a przynajmniej postanowiła, że mu ją odda, i spokojnie zasnęła obok tego diabła, w tym samym łóżku. Finn był wyczerpany swoimi seksualnymi rekordami z wczorajszego wieczoru. Zasnęli zaledwie przed dwiema godzinami. Hope była wciąż obolała i wiedziała, że to nieprędko minie. I kiedy myślała o tym wszystkim, uznała, że to o wiele gorszy los od samotności, która być może stanie się na starość jej udziałem. Życie, jakie prowadziła od paru miesięcy, było gorsze od śmierci. I nie będzie lepsze po podpisaniu cyrografu. Wiedziała już, co za niego kupiła: bilet do piekła. Przypomniawszy sobie, co mówił jej Robert Bartlett: zaufaj własnym odruchom. Kiedy poczujesz, że chcesz uciekać... w nogi! Uciekaj, Hope, uciekaj co sił!

Hope ostrożnie wstała z łóżka. Powinna pójść do łazienki, ale na to się nie odważyła. Pozbierała z podłogi bieliznę, podniosła sukienkę, którą nosiła wczoraj wieczorem, podniosła sweter Finna. Nie mogła znaleźć swoich butów. Ale to nic, chwyciła torebkę i bosą wyśliznęła się przez lekko uchylone drzwi sypialni. Szybko zbiegła po schodach, modląc się, by nie zaskrzypiały, ale wycie wiatru, towarzyszące śnieżnej burzy, było tak głośne, że tłumiło wszystkie inne hałasy. Nie oglądała się za siebie, bojąc się ujrzeć go stojącego w drzwiach sypialni i patrzącego w ślad za nią. Nikt jej nie zatrzymywał. Finn spał twardym snem i pewnie nieprędko się obudzi. Znalazła jakąś kapotę na kołku przy kuchennym wejściu i męskie kalosze. Otworzyła drzwi i pobiegła przed siebie, w ciemność zimowej nocy, haustami wciągając w płuca mroźne powietrze. Marzła, potykała się w za dużych kaloszach, ale nie zwracała na to uwagi. Robiła właśnie to, co radził jej Robert: uciekała, jakby jej życie od tego zależało. Uciekała z niewoli, biegła ku wolności... Od chwili, gdy nad ranem otworzyła oczy, wiedziała, że jeśli z nim zostanie, zginie. Dał jej to do zrozumienia wystarczająco jasno. I nie wątpiła w to ani przez chwilę. Zanim ją poznał, z jego powodu straciły życie dwie inne kobiety. Nie chciała być kolejną ofiarą. Nawet gdyby miała zostać sama aż do

śmierci. Przestała się o to martwić. Na niczym już jej nie zależało, poza jednym: żeby wydostać się z pułapki.

Przeszła wiele mil wśród zadymki, w kapocie oblepionej śniegiem. Włosy miała posklejane od potu, skostniały jej nogi, ale na to także nie zwracała uwagi. Mijała domy, stajnie, kościoły i pola, od czasu do czasu zaszczekał na nią jakiś pies. Nikt jej nie ścigał. Nie wiedziała, która godzina, gdy dotarła do pubu przy drodze na Blessington. Było jeszcze ciemno, pub był zamknięty. Ale za pubem znajdowała się szopa. Weszła do niej i zamknęła za sobą drzwi. W czasie wędrówki nie spotkała żywej duszy. Lecz obawiała się, że drzwi nagle się otworzą i stanie w nich Finn, który zaciągnie ją z powrotem do domu, żeby ją tam zabić. Drżała na całym ciele, nie tylko z zimna. Wiedziała, że ledwie uszła z życiem dzięki pomocy boskiej opatrności i dobrym radom Roberta. Uchyliła drzwi tylko na tyle, by do szopy dostało się trochę światła latarni. Zajrzała do torebki. Wyciągnęła z niej kalendarzyk. Właśnie tego szukała. Finn podał kartkę z numerami telefonów Roberta, ale jeden z nich Mark Webber wpisał jej jeszcze w Nowym Jorku do kalendarzyka. Przypomniała sobie o tym dopiero w tym momencie i drżącymi, zmarzniętymi rękami namacała w torbie telefon. Wybrała numer i czekała. Po chwili Robert odebrał. Usłyszała jego rozespany głos i odezwała się, ale zęby dzwoniły jej tak mocno, że nic nie rozumiała.

- Kto mówi? - Myślał, że dzwoni któraś z jego córek. W Irlandii była szósta rano, a pierwsza w nocy w Stanach Zjednoczonych na Wschodnim Wybrzeżu, gdzie przebywały.

- To ja, Hope - powiedziała cichym, drżącym głosem. Niełatwo jej przyszło wydać z siebie głos silniejszy od szeptu i wymówić własne imię. - Uciekłam...

Robert nagle oprzytomniał i już wiedział, z kim rozmawia. Poznał po jej głosie, że jest w szoku.

- Gdzie jesteś? Przyjadę po ciebie najszybciej, jak tylko będę mógł. - W myślach błagał los, by Finn nie znalazł jej pierwszy.

- Ppub Wwhite Hhorse w Bblessington, na południowym krańcu miasta. Jestem w ddrewutni za ppubem - powiedziała i rozplakała się.

- Czekaj na mnie, Hope. Wszystko będzie dobrze. Nic ci nie grozi. Jadę po ciebie.

Wyskoczył z łóżka, szybko się ubrał i po pięciu minutach siedział już w samochodzie. Wyjechał z Dublina i pędził na południe po śliskiej, bezludnej drodze. Myślał o tym, jak Nuala wbiła mu nóż w plecy. To minęło i wiedział, że nie zdarzy się nigdy więcej, ale ktoś inny zawsze mógł znaleźć się w podobnej albo gorszej sytuacji. Miał nadzieję, że Hope nie stanie się żadna krzywda. W każdym razie jak dotąd była jeszcze żywa.

Na drogach była gołoledź, więc minęło pięćdziesiąt minut, zanim dotarł na miejsce. Dochodziła siódma rano. Blade światło z trudem przenikało przez chmury. Śnieg padał i padał, ale Robert był już na południowym krańcu Blesington i jechał lokalną drogą, szukając pubu White Horse. I nagle go zobaczył. Wysiadł z samochodu, obszedł budynek i na tyłach znalazł drewnutnię. Miał nadzieję, że Hope jeszcze tam jest, że Finn jej tymczasem nie znalazł. Podeszedł do drzwi i otworzył je powoli. W środku nie dostrzegł nikogo. Spojrzał niżej i dopiero wtedy ją zauważył. Skuliła się na podłodze, przemoczona do nitki, w cienkiej sukience. Podniosła na niego przerażone oczy. Nie wstała na jego widok, tylko patrzyła. Pochylił się nad nią i delikatnie pomógł jej wstać. Chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego zaczęła szlochać. Okrył ją własnym płaszczem i zaprowadził do samochodu. Była przemarznięta do szpiku kości.

Kiedy godzinę później dojeżdżali do Dublina, wciąż jeszcze szlochała. Droga powrotna trwała dłużej, bo już nie musiał się śpieszyć. Zastanawiał się, czy nie powinien odwieźć jej prosto do szpitala. Albo do własnego mieszkania, gdzie posadziłby ją, otuloną ciepłym kocem, przed płonącym kominkiem. Wciąż wyglądała na przerażoną i nie odzywała się ani słowem. Nie miał pojęcia, co się wydarzyło i co jej zrobił ten człowiek, ale nie odniosła żadnych widocznych obrażeń. Urazy psychiczne z natury rzeczy są niewidoczne. Wiedział z doświadczenia, że te goją się najdłużej. Ale rozmawiał z nią wcześniej i spodziewał się, że z tego wyjdzie, że stanie znowu na nogi, choćby miało to trwać bardzo długo. U niego trwało kilka lat.

Spytał, czy chce pojechać do szpitala. Potrząsnęła głową, więc zabrał ją do domu. Tam delikatnie zdjął z niej mokrą sukienkę, jakby miał do czynienia z małym dzieckiem. Wytarł ją mocno ręcznikami, podczas gdy ona nie przestawała płakać, i wręczył własną piżamę. Owinął ją kocem i położył do łóżka. Przez telefon umówił się z lekarzem, który miał przyjść później, żeby ją zbadać. Wciąż miała to przerażone spojrzenie, ale przestała płakać. I dopiero gdy wyszedł lekarz, wreszcie się odezwała.

- Nie pozwól, żeby mnie znalazł - poprosiła.

- Nie pozwolę.

Wszystkie jej rzeczy zostały w Blaxton House, zrobiła tak, jak jej radził. Uciekła co sił w nogach, jakby od tego zależało jej życie. I pewnie tak właśnie było.

Dopiero nazajutrz Robert zdecydował się porozmawiać z nią o tym, co się stało. Wypytywał o wszystko, o każde słowo Finna. O jego naciski w kwestii pieniędzy. O fabułę powieści, którą opowiedział Hope. Jej podtekst nie uszedł i jego uwagi. Finn był o krok od fantastycznego sukcesu, omal nie dostał

wszystkiego, czego chciał. Ale jego kura znosząca złote jajka uciekła nad ranem. Po paru godzinach od tej ucieczki Finn zaczął wydzwaniać na komórkę. Hope nie odpowiadała, więc słał do niej SMS-y, w których zapowiadał, że znajdzie ją wszędzie. Żądał, żeby natychmiast wróciła do domu. Najpierw zapewniał, że ją kocha, ale kiedy przekonał się, że pozostawia te wiadomości bez odpowiedzi, zaczął wysyłać inne, pełne ledwie zawołanych pogróżek. Na te Hope też nie odpowiadała. W końcu Robert wziął od niej telefon, żeby nie musiała czytać tego wszystkiego, bo drżała za każdym razem, kiedy przychodziła wiadomość od Firma. Oddał Hope do dyspozycji swoją sypialnię, sam spał na kanapie w salonie.

Trzeciego dnia po jej ucieczce zapytał, gdzie chciałyby pojechać, co zamierza zrobić i jakie ma plany w stosunku do domu, w którym mieszkali z Finnem. Zastanawiała się nad tym dość długo. Jakaś część jej serca wciąż kochała Finna, dawnego Firma. Wiedziała, że to się nieprędko zmieni. Miłość nie zniknęła. Hope nie mogłaby po prostu zapomnieć mężczyzny, którego kochała szczęśliwie przez dziewięć miesięcy, choć demon, który z niego wyskoczył po tym czasie, omal jej nie zniszczył.

- Nie mam pojęcia, co zrobić z tym domem - powiedziała markotnie. Podjęcie jakiegokolwiek poważnej decyzji było dla niej w tej chwili zadaniem ponad siły. Była jeszcze wciąż wstrząśnięta tym, co się stało.

Robert popatrzył na nią ze spokojem. Potrzebowała przewodnika w tym przedzieraniu się przez ciemny las, z którego trzeba się było wydostać.

- Ten człowiek groził ci, że cię zabije. To nie była fabuła powieści, tylko ostrzeżenie.

- Wiem - odpowiedziała ze łzami w oczach. - Zabił żonę w ciąży, więc dziecko także zginęło i to jemu przypadły wszystkie pieniądze.

Mówiła o tych postaciach tak, jakby to byli żywi ludzie, bo takimi się dla niej stali, zanim się zorientowała, że byli tylko figurą retoryczną, potrzebną po to, by ją nastraszyć.

- Ja dałbym mu trzydzieści dni na spakowanie się i opuszczenie domu. Tacy jak on i tak zawsze spadają na cztery łapy. Kłamią na zawołanie i naciągają innych ludzi, a jeśli w jednym miejscu im się nie powiedzie, próbują w innym - powiedział Robert. Był przekonany, że tak właśnie robi Firma. - To chyba jest dla ciebie rozwiązanie do przyjęcia? Cały miesiąc na wymyślenie nowego planu i spakowanie manatków.

Robert wolałby wyrzucić go na kopniakach w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale wiedział, że Hope się na to nie zgodzi.

- Zgoda - powiedziała.

- W tym tygodniu pojedę tam po twoje rzeczy.

- A co będzie, jeśli Finn pojedzie za tobą i wyśledzi, gdzie mieszkasz?

Znowu zobaczył przerażenie w jej oczach. Zastanowił się nad jej pytaniem. Wiedziała, że nie miał numerów telefonu Roberta, bo podarł kartkę na drobne kawałki i wyrzucił. Bez przerwy pisał SMS-y do Hope, ale bez skutku. Jej telefon nadal miał przy sobie Robert. Oddał go tego samego dnia, ale później. Widział, jak czytała te wszystkie szalone wiadomości od Finna. Kiedy skończyła, rozplakała się. To straszne, co może zrobić z człowiekiem miłość do kogoś takiego. Sam przez to przeszedł, zanim rozstał się z żoną. Rozstanie było jedynym wyjściem. Ludzie pokroju Finna byli na ogół krzywdzeni przez innych w dzieciństwie i w młodości, wewnątrznie zdeformowani, zgorzkniali i wynaturzeni, pozbawieni śladu ludzkich uczuć. I chodzili po świecie, gotowi zniszczyć każdego, kogo spotkają na swojej drodze. Żyli bez serca i sumienia, z chorą wyobraźnią.

Hope obawiała się, że Finn jej szuka, przeczesując cały Dublin. Robert wiedział, że to możliwe. Socjopata jest gotowy na wszystko, kiedy ściga swoją ofiarę. Wysłała więc Roberta, żeby kupił dla niej kilka niezbędnych rzeczy, bo obawiała się wyjść na ulicę. Podała mu swoje wymiary. Wrócił z kilkoma sztukami garderoby, które miały jej na razie wystarczyć. Jeszcze nie zdecydowała, dokąd pojedzie. Ale wiedziała, że Finn będzie jej szukał w Nowym Jorku. I być może na Cape Cod. Myślał już pewnie o tym, żeby wsiąść do samolotu i udać się na dalsze poszukiwania. A jego kolejne SMS-y brzmiały coraz bardziej desperacko. Miotał się w nich między miłością i nienawiścią. Kiedy ofiara wymyka się z rąk socjopaty, ten nie spocznie, póki znów jej nie dopadnie, by dalej dręczyć. Robert wszystko to już widział. Jego żona miała w sobie tę samą zawziętość, gdy opuścił ją ostatnim razem, żeby nigdy już do niej nie wrócić. Miał nadzieję, że Hope także nie wróci do swojego prześladowcy. Jakikolwiek były jej uczucia dla niego, wiedziała przecież, że rozstanie jest jej jedyną szansą na przeżycie. Gdyby złamała się i wróciła, prawdopodobnie nie wyszłaby z tego cało. Skończyłoby się samobójstwem, jeśli nie zabiłby jej Finn. I tak na pewno by się stało. Hope pamiętała, jak myślała o tym ostatniej nocy spędzonej w Blaxton House, gdy zdała sobie sprawę z tego, że sprzedała duszę diabłu, który w nim siedział. Była wtedy tak nieszczęśliwa, że pragnęła śmierci i może zaczęłaby jej szukać.

Robert przynosił jedzenie, gdyż bała się opuścić jego mieszkanie, żeby jeść na mieście. Siedzieli właśnie w kuchni przy kolacji, gdy zapytał, czy ma jakieś miejsce, do którego mogłaby się udać. Z rana przyszedł jej do głowy pewien pomysł, który rozważała przez cały dzień. Nowy Jork nie wchodził w grę, podobnie jak dom na Cape Cod. Wyglądało na to, że ten nowy pomysł jest

najlepszym rozwiązaniem. Nie chciała ukrywać się w jakimś obcym mieście. A trudno było przewidzieć, jak długo Finn będzie jej szukał i ile włoży w to zawziętości. Zresztą nie chciała wystawiać się na pokusę ponownego z nim spotkania. Za każdym razem, kiedy czytała SMS-y, w których zaklinał się, że ją kocha, i wzywał do powrotu, czuła ukłucie w sercu i płakała z bólu. Ale wiedziała też, że człowiek zapewniający ją o swojej miłości nie jest tym samym, na którego się natknie, jeśli wróci. Finn został zdemaskowany, każdy, kto go znał, uważał go za człowieka niebezpiecznego. I był właśnie taki, jakim go widzieli, albo jeszcze gorszy.

Sekretarka Roberta zarezerwowała dla niej bilet na lot do New Delhi. Było tylko jedyne miejsce na świecie, gdzie pragnęła się znaleźć. Wiedziała, że tam znowu odnajdzie samą siebie. Tak jak za pierwszym razem. Musiała się ukryć, ale powinna była także jakoś się pozbierać. Na razie wciąż jeszcze zaczynała drżeć na całym ciele, kiedy dzwonił telefon, i serce w niej zamierało, gdy Robert obracał klucz w zamku, wracając do domu. Za każdym razem drętwiała ze strachu, że to Finn.

Do New Delhi miała więc lecieć nazajutrz wieczorem, trzy dni po ucieczce do Blessington. Słuchając po kolacji opowieści Hope o aśramie, Robert uznał, że to będzie dla niej najlepsze miejsce. Powinna się znaleźć tak daleko od Firmy, jak to tylko możliwe. Do Blaxton House zamierzał wybrać się sam, już po jej wyjeździe, żeby doręczyć Finnowi nakaz eksmisji. Miał zostać wyznaczony trzydziestodniowy termin zwolnienia domu. Hope postanowiła, że po opuszczeniu domu przez Finna Robert ma go sprzedać. Nie chciała więcej widzieć tego domu. Był zbyt pełen wspomnień związanych z Finnem. Ten rozdział swojego życia chciała zamknąć raz na zawsze.

W dniu, kiedy miała odlecieć do New Delhi, zadzwoniła do Marka Webbera do Nowego Jorku i opowiedziała mu o tym, co się wydarzyło. Zapytał, czy zwróciła się do Roberta Bartletta. Odpowiedziała, że jest właśnie u niego i że zaopiekował się nią wspaniale. Ale przemilczała, że Robert rozumiał ją tak dobrze dzięki własnym doświadczeniom. Mark był zadowolony, że jest już bezpieczna. Powiedziała mu, że wybiera się do aśramy Sivananda w Rishikesh, tam, gdzie już kiedyś była. Uznał, że to doskonały pomysł. Fotografie, które stamtąd przywiozła, uważał za największe osiągnięcie w jej karierze. I wiedział też, że poprzedni pobyt w aśramie przywrócił ją do życia. Poprosił ją tylko, by pozostała z nim w kontakcie. Obiecała mu.

I wtedy, trzęsąc się od stóp do głów, zadzwoniła do Finna. Musiała pożegnać się z nim przed wyjazdem. Potrzebowała dla tej historii wyraźnego zakończenia. Nie mogła wyjechać bez słowa. Musiała powiedzieć mu cokolwiek, choćby tylko

tylko, że kochała go, ale musi go opuścić i nie spotka się z nim więcej. Wydawało jej się, że tak będzie przyzwoicie. Ale „przyzwoicie” to słowo, które dla Finna nic nie znaczyło.

- Chodzi o te pieniądze, tak? - zapytał.

- Nie, chodzi o wszystko inne - powiedziała, czując się okropnie. Na dźwięk jego głosu pękało jej serce. I przypominała jej się rozpacz, jaka przygniotła ją, kiedy oddała swój los w jego ręce. - Nie mogłabym zrobić tego, czego ode mnie chciałeś. Przeraziłeś mnie tą swoją historią.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. To przecież była tylko fabuła mojej następnej książki. Dobrze o tym wiesz, do cholery. O co ci, u diabła, chodzi?

Chodziło jej o życie. Wiedziała o tym. I nawet kiedy usłyszała jego znajomy głos, jego zapalczywe zaprzeczenia, nadal wiedziała swoje.

- To nie była tylko fabuła książki. To była pogrożka - powiedziała pewniejszym głosem.

- Masz nie po kolei w głowie. Zachowujesz się jak wystraszona paranoiczka. Jeśli tak dalej pójdzie, sama się wykończysz - straszyl.

- Być może - mruknęła, trochę do niego, a trochę do siebie samej. - Przykro mi - dodała.

Usłyszał w jej głosie coś przejmującego. Znał ją dobrze. Mógł robić w życiu to, co robił, właśnie dzięki temu, że dobrze znał ludzi. Wiedział, jakie uczucia skrywają przed innymi, znał wszystkie ich słabości i doskonale potrafił je wykorzystać. Teraz usłyszał w jej głosie nutę poczucia winy.

- A co zrobisz z domem? - zapytał.

- Będiesz miał trzydzieści dni na wyprowadzkę - powiedziała zdławionym głosem. - A potem dom trafi na rynek nieruchomości. Sprzedam go.

Nie miała wyboru. Chyba że on sam by go kupił. Ale przecież nie miał pieniędzy. Wszystkie jego plany, by wyłudzić pieniądze od niej, wzięły w łeb. Albo zbyt wcześnie pokazał karty, albo zagrał za wysoko. Był tak pewny powodzenia, że poniechał zwykłych środków ostrożności.

- Przykro mi, Finn - powtórzyła.

I usłyszała od niego już tylko dwa słowa.

- Ty suko!

Po czym się rozłączył. Te dwa słowa były jego pożegnalnym prezentem. Ułatwiły jej rozstanie.

Wieczorem Robert zawiózł ją na lotnisko. Dziękowała mu za wszystko, co dla niej zrobił. Za dobre rady i za to, że oddał jej swoje łóżko.

- Cieszę się, że mogłem cię poznać, Hope - powiedział. Był bardzo porządnym facetem, a wobec niej zachował się jak najlepszy przyjaciel. Wiedział, że nigdy

nie zapomni, jak znalazł ją w szopie w Blessington, a ona, że na zawsze zapamięta jego uprzejmość i łagodne spojrzenie. - Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze się spotkamy. Może wtedy, gdy wrócę do Nowego Jorku. Jak długo zamierzasz zostać w Indiach?

- Tak długo, jak będzie trzeba. Poprzednim razem potrzebowałam sześciu miesięcy. Nie wiem, jak będzie teraz: dłużej czy krócej.

Akurat w tamtym momencie sądziła, że zostanie na zawsze. Nie chciała wracać do Nowego Jorku ani tym bardziej do Irlandii, której miała już dość na całe życie. Obawiała się, że Irlandia będzie jej się śniła po nocach przez długie lata.

- Myślę, że wszystko dobrze się skończy - powiedział.

Zauważał wyraźną poprawę nawet w ciągu tych dwóch dni, które spędziła u niego. W szopie ujrzał kobietę całkowicie załamana, ale teraz zaczynało już z niej wyzierać to, czym była naprawdę. Okazała się silniejsza, niż jej się wydawało. Przeszła przez najgorsze chwile. Miłość do socjo-paty należy do takich doświadczeń, których się nigdy nie zapomina. Jeśli w ogóle mieliśmy tyle szczęścia, by ocalić skórę. Najgorsze jest to, że socjopaci wydają się nam tak bardzo ludzcy, czasem śmiertelnie zranieni. Ale kiedy wyciągamy rękę, żeby pomóc im się podnieść, wciągają nas w bagno i próbują utopić. Ich mordercze instynkty są nieuleczalne. Dlatego Robert uważał, że to miejsce na drugim końcu świata będzie dla niej najlepsze. Tym bardziej że opisywała je jako prawdziwy raj. I miał nadzieję, że okaże się ono dla niej rajem. Uścisnęli się i Hope przeszła przez bramkę z małą podręczną torbą podróżną, w której miała ubrania dostarczone przez niego.

- Trzymaj się, Hope - powiedział takim tonem jak do swoich córek, kiedy wyprawiał je na wakacje.

Kiedy wracał do samochodu pozostawionego na parkingu, był pewny, że cokolwiek ją czeka w najbliższym czasie, poradzi sobie. Miała w sobie jakieś niezwykle światło, którego nie zdołał zgasić nawet człowiek pokroju Finna O'Neilla.

Kiedy samolot Hope oderwał się od pasa startowego i brał kurs na New Delhi, Robert siedział przy kominku, myśląc o niej i o własnych doświadczeniach z Nualą. Hope przymknęła oczy, oparła głowę o fotel i podziękowała Bogu, że uratowała skórę. A potem zaczęła się zastanawiać, ile czasu musi upłynąć, zanim przestanie kochać Finna. Nie знаła odpowiedzi. Ale wiedziała, że w końcu przestanie go kochać, prędzej czy później. Kiedy stewardesa podała jej gazety, Hope mimochodem spojrzała na datę. Poznała Finna dokładnie rok temu. I oto wszystko się skończyło. Ta historia zatoczyła koło. Była jak bańka powietrza w przestrzeniach oceanu. Jej wspólne życie z Finnem już nie istniało. Zniknęło, jak

bańka powietrza w przestrzeniach oceanu. Na początku wydawało się cudowne i wspaniałe, a pod koniec stało się przerażające. Popatrzyła przez okno na chmury nad Dublinem. Nad chmurami niebo było czyste, rozgwieżdżone. Spoglądając na nie, wiedziała już, że choć teraz czuje się załamana, to jej dusza powróci do ciała. Ze pewnego dnia dusza i ciało znów staną się jednością.

Rozdział dwudziesty drugi

Zamęt na lotnisku w New Delhi wydał się Hope czymś cudownie znajomym. Patrzyła na kobiety ubrane w sari, niektóre miały znak bindi między brwiami. Dźwięki, zapachy i barwne stroje to było właśnie to, czego najbardziej potrzebowała. Znajdowała się tak daleko od Irlandii, jak tylko to było możliwe.

Sekretarka Roberta wynajęła dla niej samochód z kierowcą. Tym samochodem odbyła wygodnie podróż na północ, do Rishikesh. A potem węższą drogą do aśramy, w której poprzednio spędziła pół roku. Czuła się tak, jakby wracała do domu. Zgłosiła swój przyjazd i zarezerwowała mały osobny pokój. Poprosiła o regularne spotkania z nauczycielem i mnichami. Zamierzała kontynuować duchowe poszukiwania rozpoczęte za poprzednim pobytem. Aśrama Sivanda była świątynią.

Wszystko w niej śpiewało ze szczęścia, kiedy ujrzała świętą rzekę Ganges i szczyty Himalajów. Aśrama spoczywała spokojnie w dolinie, niczym ptak w gnieździe. Wiedziała, że kiedy wysiądzie z samochodu, wszystko, co ją spotkało w ciągu ostatniego roku, zamgli się i zblednie. Poprzednim razem, kiedy tu przyjechała, miała złamane serce po śmierci Mimi, pełne smutku z powodu rozstania z Paulem. Tym razem w Dublinie była zupełnie rozbita, ale gdy zbliżała się do aśramy, w jednej chwili oderwała się od wydarzeń minionych miesięcy i poczuła, że jasny płomień jej energii powrócił, by znowu ożywić ciało. Znajdowała się we właściwym miejscu.

W drodze do aśramy minęli kilka starych świątyń, które już samym swoim widokiem kołysły jej ból. Tego wieczoru pościła, żeby się oczyścić, a nazajutrz od wczesnego ranka ćwiczyła jogę. Potem wyszła na brzeg rzeki i patrząc w jej fale, nakazała swojemu sercu, by pozwoliło Firmowi odejść. Nic już nie chciała od Finna. A nazajutrz w tym samym miejscu pożegnała się z Paulem. I wtedy przestała bać się samotności.

Codziennie rano po ćwiczeniach i medytacji spotykała się ze swoim ulubionym nauczycielem. Wstawała zawsze o świcie, a jej nauczyciel uśmiechnął się, kiedy mu powiedziała, jak bardzo była załamana. Zapewnił ją, że wszystko, co przeżyła, było darem, dzięki któremu stanie się silniejsza. Była przekonana o słuszności jego słów, wierzyła w nie bez zastrzeżeń. Spędzała z nim tyle czasu, ile dla niej miał. Zawsze była gotowa chłonać jego mądrość.

- Człowiek, którego kochałam, okazał się z gruntu nieuczciwy - powiedziała pewnego ranka, kiedy znów zaczęła rozmyślać o Finnie.

Święta Bożego Narodzenia nadeszły i przeminęły, ale ona w tym roku była tego ledwie świadoma. Była wdzięczna losowi, że ją ominęły. Łagodnie, bez

wstrząsów weszła w Nowy Rok. To już połowa stycznia. Hope przebywała w aśramie od miesiąca.

- Jeśli był nieuczciwy, to dał ci ważną lekcję - odpowiedział mnich. - Kiedy ranią nas ci, których kochaliśmy, stajemy się lepsi. Dzięki nim jesteśmy silniejsi, a kiedy przebaczymy im, przestajemy cierpieć.

Hope jednak nadal cierpiała i miała wiele żalu do Finna. I gdzieś w jej sercu pozostała jeszcze miłość do niego. Trudno jej było porzucić wspomnienia o pierwszych miesiącach ich związku. Woląла raczej zapomnieć o bólu i żalu.

- Musisz podziękować mu za ten ból, szczerze, z całego serca. Zawdzięczasz mu wielki dar - powiedział swami.

Hope czuła, że nie będzie jej łatwo spojrzeć na to z jego punktu widzenia. Ale miała nadzieję, że z czasem jej się uda.

O Paulu też rozmyślała bardzo często. Tęskniła za nim. Bolała nad tym, że nie może już do niego zadzwonić. Zawsze był obecny w jej pamięci. Wspominała Paula z odległej przeszłości, z czasów, kiedy mieli małe dziecko. Wspominała córkę. Ale jej myśli o córce były już wolne od bólu. Pozostało po niej tylko dobre wspomnienie.

Chodziła na długie spaceru u podnóża gór. Medytowała dwa razy dziennie. Brała udział w modlitewnych ceremoniach razem z mnichami i gośćmi aśramy. I pod koniec lutego poczuła, że przepelnia ją taki spokój, jak jeszcze nigdy w życiu. Przez cały ten czas nie miała kontaktu ze światem zewnętrznym i wcale jej go nie brakowało.

Była zdumiona, gdy w marcu odezwał się do niej Robert Bartlett. Zawołano ją do telefonu w głównym biurze. Przepraszał za to, że dzwoni do niej. Potrzebował jej decyzji w sprawie sprzedaży domu w Irlandii. Otrzymali ofertę kupna za tę samą sumę, jaką za niego zapłaciła. Oznaczało to, że utraci pieniądze, które wydała na przebudowę i remont. Nabywca proponował dodatkowo korzystną dla siebie cenę za meble, co również oznaczało stratę. Robert mówił, że kupujący są młodym małżeństwem przybyłym ze Stanów. Obejrzelі dom i od razu się w nim zakochali. On był architektem, ona artystką. Mieli trójkę małych dzieci. Dom doskonale spełniał wszelkie ich potrzeby. Hope pragnęła pozbyć się domu, więc była zadowolona, że trafi w dobre ręce. Finn wyprowadził się zaraz po Bożym Narodzeniu. Mówił, że wyjeżdża do Francji. Zamierzał tam od kogoś wynająć zamek w okolicach Marsylii.

- Mam nadzieję, że nie miałeś z nim kłopotów - powiedziała.

Raczej nie chciała znać szczegółów. Zbyt wiele czasu i wysiłku kosztowało ją usunięcie śladów Finna ze swojego serca i umysłu. Obawiała się, że jeśli zacznie teraz rozmawiać o nim z Robertem, to trucizna znowu zacznie działać. Ledwie

zaleczyła rany i nie chciała, by znowu się otworzyły. Wszystko, co miało związek z Finnem, było dla niej niebezpieczne.

- Nie, zachował się przyzwoicie. Był trochę nadęty, trochę się stawiał, ale się wyprowadził. Wszystko w porządku. Jak ci się wiedzie, Hope?

Robert był szczęśliwy, że może z nią porozmawiać. Myślał o niej często, wspominając ten wieczór, kiedy odwoził ją na samolot do Indii. Wydawała mu się wtedy taka mała i krucha, a przy tym taka dzielna. Bardzo ją podziwiał. Wyszła z domu tak jak stała, nie zabierając ze sobą niczego, byle tylko ująć z życiem, gdy sprawy przybrały niebezpieczny obrót.

- Doskonale. - Miała głos kogoś, kto czuje się szczęśliwy i wolny. - Tu jest pięknie. Chciałabym nigdy stąd nie wyjeżdżać. Żałuję, że nie mogę zostać na zawsze.

- Jeśli tak, to jestem pewny, że tam jest pięknie - powiedział z zadumą.

- Tak. - Uśmiechnęła się, patrząc przez okno na okoliczne wzgórza i żałując, że Robert nie może ich zobaczyć.

Była bardzo, bardzo daleko od Dublina, którego miała nadzieję nie zobaczyć już nigdy w życiu. Była zadowolona, że Robertowi udało się znaleźć kogoś, kto kupi dom. Zapewnił ją, że nowi właściciele zatrzymają Winfreda i Katherine, i Hope bardzo się z tego ucieszyła. Do obojga napisała z aśramy, dziękując im za wszystko i przepraszając, że wyjechała bez pożegnania. Przez cały czas wypłacała im pensję i tak miało pozostać aż do czasu sprzedaży domu.

- Kiedy wyprowadzasz się z Dublina? - spytała.

Cieszyła się, że zadzwonił. Był częścią jej złych wspomnień, ale to on uratował jej życie swoimi radami. W Dublinie to on był jej nauczycielem, jej swamim. Myśląc o tym, uśmiechnęła się.

- Za dwa tygodnie. Zabieram dziewczęta na Jamajkę na ferie wiosenne, a potem muszę polecieć do Nowego Jorku i poszukać mieszkania. Żal mi opuszczać Dublin. Wiem, że ty nie wyniosłaś stąd dobrych wspomnień, ale ja spędziłem tu parę lat. Pracowałem, zżyłem się z tym miastem, czułem się w nim jak u siebie.

- Jak ja tutaj.

- Kiedy wracasz? - spytał.

- Jeszcze nie wiem. Na razie nie przyjmuję żadnych zleceń. Obawiam się, że Mark Webber jest na mnie wściekły, ale nie śpieszy mi się do domu. Może latem. Pora monsunowa zaczyna się w lipcu. Wtedy nie jest tu zbyt przyjemnie. Może spędzę lato na Cape Cod.

O domu na Cape Cod już mu opowiadała.

- My chcemy spędzić lato w Martha's Vineyard. Może przyplniemy do ciebie jachtem.

- Będzie mi bardzo miło.

Robert opowiadał jej o swoich córkach. Jedna z nich była tancerką, jak Mimi. Druga studiowała medycynę. Pamiętała, jak rozmawiał z nimi przez telefon w ciągu tych paru dziwnych dni, które spędziła w Dublinie. Wszystko to teraz wydawało jej się nierzeczywiste. A jedyne, co pozostało rzeczywiste, to tych kilka szczęśliwych miesięcy z Finnem. Zastanawiała się, kim będą jego kolejne ofiary - w okolicach Marsylii albo gdzie indziej.

Robert obiecał, że będzie ją informował o sprawach związanych ze sprzedażą. A po tygodniu dostała faks. Dom został sprzedany za cenę, jaką za niego zapłaciła. Odtąd już nie była właścicielką Blaxton House. Ostatnia nitka, jaka łączyła ją z Irlandią i Finnem CNeillem, została przecięta. Była wolna.

Została w aśramie do końca czerwca. Nadciągały monsuny. Ostatnimi dniami swojego pobytu rozkoszowała się jak wspaniałym podarunkiem. Razem z innymi gośćmi aśramy była na małej wycieczce i zwiedziła kilka pięknych miejsc. Płynęła małym stateczkiem po Gangesie. Kąpała się w rzece wiele razy, by się oczyścić. Zrobiła kolejne zdjęcia rzeki i różowopomarańczowych budynków aśramy. Przez ostatnie miesiące nosiła sari. Było jej w nim ładnie, pasowało do jej kruczoczarnych włosów. Wyglądała jak rodowita Hinduska. Jej nauczyciel pozwolił jej malować czerwone kółko między brwiami. Czuła się tu jak u siebie. Ale była smutna, że odjeżdża. Ostatniego dnia spędziła wiele godzin z ulubionym nauczycielem, jakby chciała wszystkie jego mądrości zabrać ze sobą.

- Wrócisz do nas, Hope - powiedział jej.

Miała nadzieję, że tak właśnie będzie. To miejsce uleczyło ją z bólu i rozpacz. Sześć miesięcy minęło w mgnieniu oka.

Ostatniego ranka wstała długo przed świtem. Medytowała przed podróżą. Wiedziała, że zostawia w aśramie część duszy. Ale też zabierała ze sobą to, co tutaj dostała. Jej nauczyciel miał rację, rany się zabiłżniły, i to szybciej, niż się spodziewała. Znowu była sobą. I czuła się silniejsza, mądrzejsza i lepsza. Nabrała pokory wobec życia. Pobyt w aśramie ją oczyścił. Aż dziwne, że wraca do Nowego Jorku. Ale zanim we wrześniu przybędzie do Nowego Jorku, żeby zabrać się do pracy, zamierzała jeszcze spędzić dwa miesiące w swoim domu na Cape Cod.

Opuściwszy aśramę, jechała śpiącymi ulicami Rishikesh.

Chciała każdą chwilę przeżyć do głębi, do dna. Miała przy sobie aparat fotograficzny, ale go nie wyjęła. Patrzyła tylko, jak za oknem samochodu przesuwają się kolejne obrazy. Prawie nie miała bagażu. Nosiła ciemnoczerwone sari, które kupiła, żeby je nosić wieczorem w domu. Nigdy nie miała piękniejszej rzeczy. Robert przysłał jej aparaty fotograficzne, które zostawiła w Blaxton

House. Pozostałe przedmioty, które do niej należały, zgodnie z jej instrukcją wysłał do Nowego Jorku. W aśramie nie potrzebowała niczego. Była najszcześliwsza, gdy nie obciążała się posiadaniem przedmiotów.

Wsiadała do samolotu w New Delhi, czując w sobie lekkość prawdziwej swobody. Był to lot z przesiadką w Londynie. Tam na lotnisku kupiła kilka drobiazgów. Nie jechała do Indii w pogoni za dobrami materialnymi, tylko po to, żeby odnaleźć siebie. I to jej się udało. Kiedy wróciła do domu, znowu była cała i zdrowa. Może bardziej, niż kiedykolwiek przedtem.

Rozdział dwudziesty trzeci

Hope poleciała do Bostonu. Nie była jeszcze gotowa na powrót do Nowego Jorku. Byłby to zbyt wielki wstrząs dla jej organizmu. Wszyscy tam byli bezbarwni, nie było widać sari, kolorowych strojów, pięknych hinduskich kobiet. Ani rosnących wszędzie różowych i pomarańczowych kwiatów. Ludzie nosili dżinsy i T-shirty, kobiety miały krótkie włosy. Hope w Bostonie miała ochotę włożyć swoje sari i namalować między brwiami czerwone kółko. Tęskniła za New Delhi. Na lotnisku wynajęła samochód.

Pojechała na Cape Cod, pogrążona w spokojnych myślach, ale kiedy dotarła na miejsce, przypomniało jej się, jak ostatnio była tu z Finnem. Otworzyła okiennice i przepędziła wspomnienia.

Pod wieczór poszła do sklepu, żeby kupić trochę prowiantu i kwiaty. Kwiaty wstawiła do wazonów i umieściła je przed domem. Potem wybrała się na długi spacer po plaży. Poczula się szczęśliwa w swojej samotności. To Finn był dla niej największym zagrożeniem. Gdyby dostał od niej to, czego żądał, i tak by ją opuścił. Zostałaby sama na zawsze. Woląла przyjąć samotność jak dar od losu. Zabrała ze sobą aparat fotograficzny. Na plaży nie czuła się samotna. Była spokojna i pogodna.

W następnych dniach spotykała się ze starymi znajomymi i poszła na piknik z okazji Czwartego Lipca. Nadal co rano medytowała i ćwiczyła jogę. W drugim tygodniu lipca zadzwonił Robert Bartlett. Hope była na Cape Cod już od czterech tygodni. Szok kulturowy, jaki przeżyła po powrocie z Indii, miała już za sobą. Lecz nadal chętnie nosiła sari, zwłaszcza wieczorem, kiedy była sama. Sari przypominało jej o aśramie. Gdy je wkładała, od razu spływał na nią spokój i pogoda ducha. A rano ćwiczyła jogę na plaży.

- Jak ci się żyje po powrocie? - spytał Robert.

- Dziwnie - przyznała, i roześmieli się oboje.

- Tak, znam to. Mnie też się żyje dziwnie. Gdy w sklepie nie słyszę dialektu irlandzkiego, wydaje mi się, że mówią do mnie w obcym języku.

- Na ulicy wciąż wypatruję kobiet w sari i mnichów.

Lubiła z nim rozmawiać. Teraz już jego głos nie przypominał jej złych chwil. Był po prostu jednym z jej przyjaciół, więc zaprosiła go w niedzielę na obiad razem z dziewczętami. Zamierzali przyplłynąć żaglówką z Martha's Vineyard. Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła jego córki, schodzące bosy z pokładu na keję. Sandały trzymały w rękach. Robert prowadził je jak kwoka kurczęta, co rozśmieszyło ją jeszcze bardziej. Przypominał im, że mają się wysmarować

kremem z filtrem i włożyć sandały, żeby jakaś drzazga nie weszła im w podeszwy stóp.

- Tato! - zbesztła go starsza.

Przedstawił obydwie Hope. Amanda i Brendan. Ładne dziewczyny i obie bardzo podobne do niego.

Dom Hope przypadł im do gustu. Czuli w nim spokój i wewnętrzne ciepło. Po południu około czwartej wszyscy razem wyruszyli na długi spacer po plaży. Dziewczęta szły przodem, a Robert i Hope za nimi.

- Podobają mi się twoje córki - powiedziała Hope.

- To dobre dzieciaki - oświadczył z dumą. Wiedział, że Hope straciła córkę, i obawiał się, że widok jego dziewcząt może sprawić jej przykrość. Ale tak się nie stało. Raczej uruchomił w niej przyjemne wspomnienia. Pomyślał, że teraz jest zupełnie inną kobietą niż siedem miesięcy temu, kiedy pojechał po nią do szopy za pubem w Blessington. Jej także przypomniawszy się tamta szopa. Nigdy w życiu nie ucieszyła się na czyjś widok tak bardzo jak wtedy, kiedy stanął w drzwiach. I był dla niej taki uprzejmy przez te dni, kiedy mieszkała u niego. Pamiętała, że oddał jej własną sypialnię i przeniósł się na kanapę do salonu.

- Przyszłaś do siebie bardzo szybko, szybciej niż ja po swoich przeżyciach z Nualą - powiedział cicho.

- To działanie Indii - powiedziała.

Wyglądała jak kobieta wolna i szczęśliwa. Kiedy po spacerze wrócili do domu, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Nie chciałabyś popłynąć z nami do Martha's Vineyard? Mogłabyś zostać z nami przez parę dni, jeśli masz ochotę.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego propozycją. Nie miała żadnych zobowiązań, więc pomyślała, że przyjemnie będzie popływać razem z nimi na żaglówce. Do wieczora dopłyną na miejsce. A potem mogła wynająć samochód, żeby wrócić na Cape Cod.

- Na serio? - spytała ostrożnie. Nie chciała być intruzem w ich życiu. Domyślała się, jak cenny jest dla nich czas spędzony razem, gdy znaczną część roku dziewczęta spędzały na uczelni. Wiedziała od niego, że za nimi tęskni. Wciąż o nich mówił. Ale nalegał, dziewczęta także zaczęły ją namawiać i Hope postanowiła skorzystać z zaproszenia.

Robert pomógł jej zamknąć dom. Spakowała małą torbę z rzeczami, które mogły jej być potrzebne, i włączyła alarm. Podwiozła ich na przystań, tam zostawiła samochód. Dobrze się czuła w ich towarzystwie. Trochę tak, jakby znowu miała rodzinę. Przywykła ostatnio do samotności i nie bała się jej już ani

trochę. Ale była otwarta na innych ludzi, tak jak nauczał swami w aśramie. I teraz czuła, że spotkanie z tą trójką jest jak cenny dar od losu.

Zdjęła cumy, gdy oni stawiali żagiel. Potem płynęli wzdłuż plaży. Gdy Hope stała obok Roberta, nie wiedzieć czemu znowu przypomniał jej się Finn ze swoimi groźbami. Miała rzekomo pozostać samotna na zawsze, do końca życia, jeśli on ją porzuci. Przypominał jej w kółko, że nie ma już nikogo bliskiego na świecie. Popatrzyła na Roberta, a on uśmiechnął się do niej i położył dłoń na jej ramieniu. Nie przeszkadzało jej to.

- I jak? - spytał.

Był równie uprzejmy jak wtedy, kiedy spotkali się w Dublinie. Kiwnęła głową z uśmiechem.

- Świetnie. Dziękuję, że wzięliście mnie ze sobą. Obojgu przeleciała przez głowę ta sama myśl: że Hope pasowała do ich trójki. We czwórkę mogli być zgraną ekipą. Dziewczęta rozmawiały z nią przez cały rejs do Vineyard. Zachodziło słońce, Robert sterował z pomocą Amandy. Hope i Brendan zeszły do kokpitu, żeby zrobić kanapki. Była to jedna z tych szczęśliwych chwil, kiedy chciałoby się wstrzymać czas. Potem Hope robiła zdjęcia. Zamierzała dać Robertowi odbitki. Wśród zdjęć był także jego profil na tle żagla, z włosami rozwianymi przez wiatr. Robert wyciągnął dłoń i położył ją na jej dłoni. Hope przebyła bardzo długą drogę, odkąd znalazł ją w Blessington tamtego okropnego ranka. Popatrzył na nią i wymienili uśmiechy. Pomyślała, że jej nauczyciel miał rację: rany się zabiły.

- Dziękuję ci za wszystko - szepnęła.

Robert skinął głową i uśmiechnął się, a potem przyglądali się dziewczętom, które zaśmiewały się do rozpuku z jakiegoś żartu. Patrząc na nie i oni zaczęli się śmiać. Wszystko było na swoim miejscu i niczego więcej nie potrzebowali. Piękny dzień, a wokół mili ludzie. W takiej chwili należy się cieszyć z odzyskanego życia.